

Elizabeth Adler

Grzechy młodości

(Indiscretions)

Przełożyła Katarzyna Przyboś.

1.

Londyn, 24 października

Venetia Haven, zamyślona, przemierzała szybkim krokiem Pont Street, przyciskając do piersi naręczę jesiennych kwiatów od Harrodsa.

Była pewna, że Lydia Lancaster zapomniała je kupić, mimo że na kolacji miało być kilkunastu gości. W domu stało mnóstwo przeróżnych kryształowych wazonów, starodawnych, często bezcennych dzbanów, waz, mis i flakonów, ale zwykle tkwiły w nich żalozne, oklapnięte badyle. Prawie każdy stół i półka były obsypane pyłkiem i zwiędłymi płatkami. Lydia dostrzegała kwiaty tylko wtedy, kiedy kolorowe i świeże cudownie pachniały, ale gdy wędły, przestawała je zauważać. Nie, nie była niewrażliwa, po prostu ciągle miała tyle zajęć, że nie zastanawiała się nad przyszłością. Całą uwagę poświęcała sprawom bieżącym. Przyjaciele tak naprawdę nie wiedzieli, czy kochają Lydię z powodu jej beztroski i roztargnienia, czy pomimo tych cech. Umiała się bez reszty skoncentrować na problemach osoby, z którą właśnie rozmawiała, i w tym tkwił jej niezwykły urok. Niestety, mimo najlepszych chęci Lydii ta niewątpliwa zaleta wykluczała jednoczesne zajmowanie się tak przyziemnymi sprawami, jak regularne posiłki, spacery z psami, punktualne odprowadzanie dzieci do szkoły czy odstawianie samochodu do warsztatu. Venetia uwielbiała tę kobietę.

Przez całe lato Venetia starała się znaleźć odpowiedź na nurtujące ją problemy, które dziś, w pierwszy szary październikowy dzień, całkowicie opanowały jej myśli i domagały się rozwiązania.

Zatrzymała się na krawężniku przed przejściem dla pieszych, ledwie dostrzegając ruch uliczny, który pod wieczór nasilał się coraz bardziej. Pasma jej jasnoblond włosów zatrzepotało w nagłym podmuchu zimowego wiatru, więc założyła je niecierpliwym gestem za ucho. Wysoka i szczupła, była otulona przepięknym kremowym kaszmirowym płaszczem, który Jenny kupiła dla niej u Alana Austina w Beverly Hills. Venetia włożyła do niego, zgodnie z brytyjską modą, ciepłe prążkowane leginsy w kolorze karmelu i wygodne mokasyny. Kiedy tak szła z naręczem brązowo-żółtych kwiatów, wyglądała jak prawdziwa panienska z dobrego angielskiego domu. I była nią. No, nie całkiem, westchnęła. To był właśnie jeden z tych nie rozwiązanych problemów. Jenny chciała ją ściągnąć do domu: „Uważam, że tu powinnaś chodzić na uniwersytet, Venetio – oświadczyła stanowczo przez telefon. – Brakuje mi Ciebie.”

Nie ma to jak decyzja we właściwym momencie, rozżaliła się Venetia. Po całych dwunastu latach. Teraz to Londyn jest dla niej domem, a Los Angeles zagranicą.

Przecież chodzi o moje życie, pomyślała zbuntowana, i o moją przyszłość.

A cóż to takiego ta moja przyszłość? Co ja właściwie sobą reprezentuję? Uczyłam się w najlepszych angielskich szkołach i skończyłam niedawno piekielnie trudną szkołę gastronomiczną uzyskując elitarny dyplom szefa kuchni. Nie ma we mnie nic z mola książkowego. Mam dziewiętnaście lat, metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, dobrą figurę, a znajomi twierdzą, że całkiem niebrzydka ze mnie dziewczyna. No i jestem córką Jenny Haven.

Nagle aż podskoczyła: jakiś niecierpliwy taksówkarz zatrąbił, żeby wreszcie zdecydowała się przejść, i przerwał ten pobieżny przegląd zalet i osiągnięć. Wcale nie była pewna, czy fakt, że jest córką Jenny Haven, to zaleta czy utrudnienie życia. Zresztą, czy wyliczone cechy mogły stanowić solidną podbudowę kariery zawodowej?

Szła szybko wydłużonym krokiem i wkrótce skręciła na Cadogan Square. Teraz nie ma czasu na rozmyślanie o przyszłości, skarciła się w myśli, patrząc na zegarek. W najlepszym razie Lydia może nie zapomni o kupieniu czegoś do jedzenia dla gości.

Lydia uparła się, że na kolacji będą obowiązywały stroje wieczorowe. Z dwóch powodów, wyjaśniła ze śmiechem: po pierwsze, kobiety pięknie wyglądają w eleganckich sukniach, a te, które zaprosiła, w dodatku mogą sobie pozwolić na każdą kreację; po drugie, kolację wydaje na cześć ważnego partnera handlowego swego męża, który przyjechał na krótko do Londynu. Chciałaby pokazać temu Amerykaninowi, że w Anglii w dalszym ciągu przywiązuje się dużą wagę do tradycji i życia na pewnym poziomie. „Wszystko to z patriotycznych pobudek – oświadczyła Venetii – a Fitzgerald McBain powinien Bogu dziękować, że będzie tu tylko przez parę dni, w przeciwnym razie musiałby wytrzymać weekend na wsi ze wszystkimi szykanami!”

Dziewczyna uśmiechnęła się przekornie. Już sama kolacja u ekscentrycznych Lancasterów stanowiła pewnego rodzaju wyzwanie, weekend zaś w ich wiejskim domu niejednokrotnie wpędzał nowych gości w stan absolutnej paniki.

Venetia przeszła przez plac i brukowany podjazd przed domem i otworzyła drzwi białego budynku o kapryśnej architekturze. Spędziła tu większość wakacji szkolnych razem ze swoją przyjaciółką Kate Lancaster. Dzięki szczodrości i serdeczności Lancasterów stała się częścią ich dużej rodziny. Po ukończeniu elitarnego liceum mieszkała z nimi nadal jako „sublokatorka” – tak ją żartem nazywała Lydia, gdyż Jenny uparła się, żeby płacić Lancasterom za mieszkanie i wyżywienie córki.

W holu pełnym przywędłych kwiatów, wyłożonym zielono-białym dywanem w geometryczne wzory projektu Davida Hicksa panowała złowrózna cisza.

– O mój Boże – jęknęła, kiedy weszła do salonu.

Czarny labrador leniwie pomachał ogonem na niewygodnej sofie obitej brokatem,

stojącej przed wygasłym kominkiem. Dwa małe teriery podbiegły w radosnych podskokach ciesząc się, że wreszcie znalazł się ktoś, kto na pewno je nakarmi. Na niskim gerydonie przy sofie stała taca z filiżankami po wczorajszej wieczornej kawie, a blaty stolików bibliotecznych chippendale i antyczne lustra pokrywała nietknięta warstewka kurzu.

Venetia w towarzystwie psów przeszła przez hol i zajrzała do pokoju stołowego. Też nic! Długi mahoniowy stół, który o tej porze powinien jarzyć się od lśniących waterfordzkich kryształów, porcelany ze Spode i starych sreber Lancasterów, był pusty. Na półce mały secesyjny kartierowski zegar wskazywał wpół do siódmej; gości zaproszono na wpół do dziewiątej. Nic jeszcze nie zrobione... i ani śladu Lydii. Venetia wyobraziła sobie, jak to ten Amerykanin, przybywszy prosto z kraju, gdzie wszystko jest zawsze na czas, a problemy nie istnieją, przychodzi nic nie podejrzewając na kolację w angielskim domu. Złośliwy uśmiezek rozjaśnił jej trójkątną twarzyczkę i duże szare oczy, kiedy wyobraziła sobie, jak facet ściska nerwowo szklanekę z drinkiem i stara się nie okazywać zdumienia, że oto godziny mijają, a nic nie zwiastuje, że kolacja się w końcu odbędzie. Pewnie ma około pięćdziesiątki, jest żonaty i będzie z dumą pokazywał zdjęcia trójki swoich dzieci, a jego żona codziennie podaje kolację punktualnie o siódmej. Chyba trzeba będzie pomóc Lydii, pomyślała Venetia, wychodząc z pustego pokoju i kierując się w stronę kuchni. W końcu dziewczyna z dyplomem szkoły gastronomicznej potrafi przecież błyskawicznie zorganizować przyjęcie?

Trzasnęły frontowe drzwi i wesoło zadźwięczał jasny głos Kate:

– To ja. Jest tu kto?

Venetia wybiegła z kuchni za psami, które zaczęły obskakiwać Kate i radośnie ujadać.

– Cześć, misiaczki – Kate przytuliła je po kolei. – Cześć, Venetie.

Szybkie spojrzenie na Venetię – i już wiedziała, że w powietrzu wisi katastrofa.

– Co się stało? Henry puścił cię w trąbę? – wesołe ciemne oczy Kate przekornie patrzyły na przyjaciółkę. – Nie, tylko nie to – zorientowała się w sytuacji. – Mamusia jeszcze nie przyszła, na kolacji będzie tłum ludzi, nie ma nic do jedzenia, a w całym domu bałagan. – Uśmiechnęła się z ironią. – Typowe dla Lancasterów! Peanie zjawi się o ósmej, z nadzieją że wszystko da się jakoś urządzić w pięć minut!

– Nie ma szans. Obawiam się, że zostałyśmy same z tym pasztetem.

Zapomniałyśmy, że pani Jones wyjechała na urlop na Majorkę – W dodatku Marie-Therese doszła chyba do wniosku, że to wszystko ją przerasta, i wzięła wolny dzień.

Kate westchnęła. Marie-Therese pracowała u Lancasterów jako pomoc domowa. Była patologicznym leniem, ale Lydia nie dawała sobie wytłumaczyć, że trzeba zatrudnić kogoś innego. „Pomyślcie o matce tego biedactwa we Francji – powtarzała

za każdym razem, kiedy dawano jej kolejny irytujący przykład nieudolności Marie-Therese. – Co ona sobie pomyśli, jeśli wyrzucimy jej córkę na bruk i powiemy, że się do niczego nie nadaje?”

Tak więc Marie-Therese zostawała i z tygodnia na tydzień pracowała coraz gorzej.

– W kuchni są świeże kwiaty, trzeba nakryć do stołu, wyrzucić psa z sofy w salonie i posprzątaj – powiedziała Venetia wybiegając z domu.

– A dokąd ty znowu idziesz?! – wrzasnęła Kate, kiedy Venetia zatrząskiwiała za sobą drzwi.

– Po zakupy!

Jeśli weźmie mini morrisa i zaparkuje gdziekolwiek, nawet blokując inne samochody, to zdąży do delikatesów na Sloane Street, zanim zostaną zamknięte. Pytania dotyczące przyszłości Venetii Haven po raz kolejny zostały zepchnięte na dalszy plan.

Paryż, 24 października

Paris Haven odsunęła się od pokrytej papierami deski kreślarskiej i wyprostowała obolałe plecy. Pracowała bez przerwy od wczesnego przedpołudnia, a już prawie zmierzchało. Niecierpliwie przeczesła palcami długie, ciemne włosy i popatrzyła na stalowego, oksydowanego rollexa; zawsze nosiła go na prawym przegubie, była leworęczna, więc przeszkadzałyby jej przy szkicowaniu i cięciu tkanin. Dostała go dwa lata temu na urodziny od Jenny. Paris przypomniała to sobie z uczuciem nieprzyjemnego zaskoczenia. Ma już dwadzieścia cztery lata i jeszcze niczego nie osiągnęła. A Jenny nie pozwalała jej o tym zapomnieć. „Musisz się zawziąć – powtarza przez telefon. – Pnij się w górę, bądź zawsze elegancka i pokazuj się wszędzie, gdzie należy bywać. Ty jedna masz talent, Paris, i wiem, że ci się uda.” No, właśnie! Paris z poczuciem winy zerwała się z krzesła. Na ósmą zaprosiła na drinka Amadea Vitrazziego, zostało jej tylko dziesięć minut do jego przyjścia. Dobry Boże, nie zdawała sobie sprawy, że jest tak późno! Rozejrzała się po ogromnym pokoju. Przez świetliki w suficie sączyło się szare październikowe światło: w mieście, od którego wzięła swoje imię, zapadał wieczór.

Każda z trzech córek Jenny nosiła dziwne imię – kolejny ekscentryczny pomysł ich matki. Gdyby wszystkie spędziły dzieciństwo w Los Angeles, nie byłyby to takie straszne, ale mieszkać w Paryżu i mieć na imię Paris – to dopiero ciężka próba dla dziecka. Wolą o tym zapomnieć. Dopiero jako szesnastolatka, kiedy rozwinęła swój własny, bardzo indywidualny styl, poczuła, że może sprosta wyzwaniu, które kryje w sobie jej imię.

Długa pracownia na strychu z łazienką i maciupenką kuchnią była jednocześnie mieszkaniem i miejscem pracy. Panował tam zawsze straszliwy bałagan, wszędzie leżały stosy nie dokończonych, odrzuconych szkiców i przeróżne próbki materiałów. Mimo tego nieładu pracownia – tak jak sama Paris – urzekła przyjazną, odprężającą atmosferą.

Paris zostawiła zapaloną lampę nad deską kreślarską i w drugim – mieszkalnym – końcu pracowni zaczęła gorączkowo poprawiać puchate poduszki na staromodnym empirowym łóżku kupionym za pieniądze, które Jenny dała jej na urodziny. W skromnie umeblowanym studio łożo to służyło jednocześnie do spania i jako kanapa. Jedną część wyblakłej teatralnej kurtyny, wypatrzonej gdzieś na aukcji staroci, została przycięta i wykorzystana jako kapa na łóżko, a druga, zawieszona na ozdobnym karniszu z brązu, oddzielała część mieszkalną pokoju od kąca kuchennego i łazienki. Morelowa barwa kurtyny stwarzała atmosferę intymności, kontrastując z bielą ścian. Większą część pokoju zajmowały deska kreślarska, stół krawiecki i proste półki wypełnione różnymi materiałami i projektami kreacji. Tkaniny tworzyły gamę żywych barw, jak na obrazach Matisse'a, odcinając się od celowo neutralnego wystroju reszty pomieszczenia.

Po długich dniach spędzanych nad deską Paris była niemal oślepią feerią stworzonych przez siebie barw i najlepiej wypoczywała w utrzymanym w jednym kolorze wnętrzu. Kiedy naprawdę się „wybiję”, pomyślała, kupię apartament przy bulwarze St-Germain i urzęduję całe mieszkanie na biało. No, może pozwolę sobie na błysk chromu i stali tu i ówdzie, może będzie tam jakiś przepiękny nowoczesny Lalique i trochę starego rtęciowanego szkła, ale nic więcej! A na razie musi wystarczyć mi to, co mam, westchnęła.

O Boże, już za pięć ósma, ona marnuje czas na rozmyślenia, a trzeba jeszcze wziąć prysznic i trochę się ogarnąć. Amadeo Vitrazzi to Włoch, więc może się spóźni, Włosi zawsze się spóźniają. Popędziła za aksamitną kurtynę, zrzucając po drodze robocze dzinsy i koszulkę. Malutka łazienka lśniła bielą kafelków, które Paris sama położyła, pracowicie przyklejając za pomocą przedziwnej zaprawy, która okazała się za słaba. Teraz trzeba było ciągle uzupełniać kolejne odpadające płytki. Paris była nieskończenie cierpliwą projektantką, ale zupełnie nie miała głowy do rzeczy praktycznych.

Woda okazała się prawie całkiem ciepła, więc Paris z przyjemnością stała pod prysznicem. Namydliła smukłe, szczupłe ciało, zadowolona ze swej eleganckiej, zgrabnej sylwetki. Dzięki Bogu, odziedziczyła długie nogi i błękitne oczy po Jenny, rzęsy zaś, ciemne i gęste, oraz kremową karnację – prawdopodobnie po ojcu.

Ostry dzwonek wyrwał ją z zamyślenia. Czyżby to już Amadeo? Nie, to tylko telefon – no tak, jak zwykle, wystarczy wejść pod prysznic. Owinęła się ręcznikiem

i pobiegła do aparatu, zostawiając mokre ślady na drewnianych deskach. Telefon zamilkł. Kto to mógł być, do cholery? Amadeo wymawiający się od wizyty? Nie, tylko nie to. Amadeo był ważny, był jej potrzebny. A przynajmniej jego jedwab był jej potrzebny – bajeczny, najdelikatniejszy na świecie, przepyszny jedwab z fabryk nad jeziorem Como. Jedwabie na satynie, miękkie lejące się szarmezy, krepdeszyny i satynowe wszywki lśniące przygaszonym blaskiem na kobietach ubranych w najnowsze kreacje Paris. Pod warunkiem że dostanie materiały za nie wygórowaną cenę – i na kredyt. Ach, Amadeo Vitrazzi, pomyślała, zaciskając dłonie na ręczniku i wpatrując się w telefon, sam nie wiesz, ile dla mnie znaczysz!

Zrobiło się już naprawdę późno, a ona w dodatku się zdenerwowała. Do diabła z telefonem, trzeba się ubrać. Szafa zajmowała całą ścianę pokoju i mieściła w sobie wszystkie modele Paris. Ponieważ nigdy nie było jej stać na modelkę, szła wyłącznie na swój rozmiar. Całe szczęście, że mam dobrą figurę, pomyślała, narzucając na siebie luźną suknię z szafirowego jedwabiu. Zaczęła zapinać guziki, zatrzymała się nagle i spojrzała w lustro – nie, nie ta. To nie jego jedwab. Amadeo powinien myśleć, że Paris nigdy nie używa innych materiałów. I nie ten kolor. On ma oglądać kolory nowej kolekcji, więc nie może go rozpraszać jej ubiór. Długa spódnica khaki, na to czarna dziana bluza bez rękawów ściągnięta paskiem, a na nogi płócienne buciki khaki sięgające kostek. Paris przyjrzała się sobie w lustrze: szykownie, ale nie sexy – dokładnie o to chodziło. Smużka żółci i morelowego beżu na powieki, profesjonalne muśnięcie pędzelkiem, by położyć na policzki nieco koralowego różu, lekki połysk pachnącej szminki na wargach – i gotowe. No, prawie. Jeszcze tylko odrobina Cristalle – mmm, fantastycznie. Kiedyś będzie produkowała własną markę perfum, jak Chanel. Paris popatrzyła na ścianę, na zdjęcie „Mademoiselle” [Tak paryżanie nazywają Coco Chanel.] powiększone do rozmiarów plakatu, na jej pomarszczoną ze starości twarz rozjaśnioną zwycięskim uśmiechem, na ten szeroki kapelusz włożony szykownie na bakier – wciąż pociągająca osiemdziesięciolatka. Jej ideał. Paris może mieć kiedyś równie potężny wpływ na świat mody. Jest tego świadoma. Tylko że na razie nikt jeszcze nie zdaje sobie z tego sprawy. Na razie, powtórzyła z zaciętością.

Dzwonek! Już przyszedł. Paris Haven wzięła głęboki oddech i ostatni raz obejrzała się w dużym potrójnym lustrze. Wysoko uniosła podbródek i płynnym krokiem podeszła do drzwi, a jej uroczą twarz opromieniał uśmiech Jenny Haven.

Rzym, 24 października

India Haven ustawiła na marmurowej półce nad kominkiem sześć niewielkich akwarelek z widokami Wenecji i odsunęła się nieco, żeby im się przyjrzeć. Patrzyła krytycznie, a jej gładkie czoło przecięła zmarszczka. Na namalowanie tych obrazków

poświęciła trzy pracowite, pełne skupienia tygodnie. Zręcznymi pociągnięciami pędzla udało jej się uchwycić bladą kolorystykę pierwszych jesiennych mgieł spowijających uliczki magicznego miasta na wodzie. Pejzaże oprawne w stare ramy, które India wyszukiwała w małych rzymskich antykwariatach, były urocze.

Westchnęła. Tak, urocze – idealna charakterystyka, ale nie nadawały się do poważniejszych galerii. A jednak Marella wystawiała je na honorowym miejscu w swoim małym butikku na rogu via Margutta i zawsze szybko się sprzedawały. Naturalnie kartka informująca wprost, że są to akwarele Indii Haven (córki Jenny Haven), ściągała rzesze turystów. Marella Rinaldi miała głowę do interesów, więc jeśli India była w sklepie, a trafił się akurat potencjalny nabywca, obrazki i autorka stawały się niemal obiektem sprzedaży wiązanej, a cena natychmiast szła o połowę w górę. Akwarele kupowali głównie Amerykanie, dla których Jenny Haven była wyśnionym ideałem. Indię zawsze zdumiewało, że ci obcy ludzie tak poufale rozprawiają o jej matce, często opowiadając o niej zupełnie nieznanne anegdoty. Opowieść o spotkaniu w Rzymie córki Jenny i o tym, jak kupili jej obrazek, będzie jeszcze długo powtarzana jako główny punkt programu na wielu towarzyskich spotkaniach w Teksasie lub Illinois – choć inne wakacyjne wspomnienia dawno pójdą w zapomnienie.

India rozchmurzyła się i nastrój zaczął jej się poprawiać. Zebrała obrazki z półki, owinęła bibułą i wsunęła do tekturowych pudełeczek. Pasowały jak ulał. Jeszcze obwiązać każde cytrynową wstążką i oto wymarzona, idealna pamiątka z Włoch. „Wspomnienia z Włoch pędzla Indii Haven – z uśmiechem przypomniała sobie słowa Fabrizia Parol ego. – Opakuj je ładnie, Indio. Zawsze trzeba dodać jakiś niby to darmowy drobiazg, a wtedy można sobie policzyć i dziesięć procent więcej.” Miał rację, jego słowa sprawdzały się za każdym razem. Wszyscy zachwycali się ślicznym pudełeczkiem i wstążeczką prawie tak samo jak akwarelkami. Tak, tak, naprawdę potrafię zadowolić swoich klientów, pomyślała, układając pudełka na dnie dużej czarnej torby od Gucciego i zarzucając ją na ramię. Tych sześć obrazków akurat starczy na czynsz za dwa miesiące.

Rzuciła okiem na swoje odbicie w ogromnym lustrze zawieszonym nad kominkiem i z bocznej kieszeni torby szybko wydobyla szminkę. Szkarłatny akcent na pełnych wargach, współgrający z odcieniem nowego swetra od Ginocchietiego, lekkie muśnięcie loczków na czubku głowy, przyczesanie sięgającego łopatek końskiego ogona – i już jest gotowa. Na pewno? Odwróciła się z wahaniem i przyjrzała dokładniej swojemu odbiciu. Z lustra spojrzały na nią wielkie brązowe oczy: niebieskawy odcień gałki oznaczał zdrowie. Nos miała mały i prosty. Na wargach wykwitł uśmiech – ładna jestem, pomyślała, czasami nawet urocza, jak te obrazki. Do większych galerii się nie nadaje, ale w bardziej przyziemnych miejscach

cieszę się dużym wzięciem! Dlaczego więc, u diabła, Fabrizio jeszcze się we mnie nie zakochał? Dlatego że mierzę tylko metr pięćdziesiąt osiem? Może on rzeczywiście woli wysokie kobiety. Przez chwilę kołysała się na obcasach czarnych szpilek.

Z wysoko upiętymi lokami i w tych butach wygląda chyba na metr sześćdziesiąt pięć? Życie zatruwała jej myśl, że nie dorównuje wzrostem Paris ani Vennie. Obie siostry odziedziczyły po matce długie nogi i elegancką sylwetkę, która świetnie prezentowała się prawie w każdym stroju. A ona zawsze musi uważać, co na siebie wkłada.

W dodatku od kiedy skończyła czternaście lat, miała obfity biust. Przekonała się jednak, że mężczyźni uważają ją za szalenie atrakcyjną kobietę, mimo że w odróżnieniu od siostr nigdy nie będzie miała tak smukłej sylwetki jak modelka.

– Mniejsza i okrągłjsza – powiedziała jej Jenny. – Taka byłaś już od urodzenia. Oczywiście masz sylwetkę ojca, nie moją.

W domu Havenów niezbyt często rozmawiało się o ojcach. India wiedziała swoje i nie drażyła tematu.

Tak więc pozostała i teraz mniejsza i okrągłjsza – ale na szczęście nie tłusta! W każdym razie będzie dziś ładnie wyglądać na tym przyjęciu dla prasy; sweter jest prześliczny. Włoscy projektanci są rzeczywiście najlepsi. Nie, Paris jest od nich lepsza, skarciła się w myśli, ale Paris nie szyje przecież na takie sylwetki. Za to Włosi zawsze projektują dla osób o prawdziwie kobiecych kształtach.

Wysokie obcasy Indii zastukały po marmurowej posadzce klatki schodowej Casa d' Ario. Zatrzymała się na moment, żeby popatrzeć na przepiękne krzywizny schodów, wspaniałą linię poręczy z polerowanego orzecha i misterne żelazne balustrady. Może i ten stary dom, w którym wynajmuje apartament na pierwszym piętrze, rzeczywiście rozpada się na kawałki, ale jego piękno nigdy nie przestanie jej zachwycać. Gdyby miała mnóstwo pieniędzy, wszystkie wpakowałyaby w ten budynek, doprowadziłyaby do tego, że odzyskałby dawną świetność, wypolerowała te chłodne różowo-kremowe marmury, pozłociła żelazne kraty, troskliwie pokryła popękane ściany nowymi tynkami – i wyrzuciłaby z frontowego podestu stary wózekz dziecinny należący do signory Figoli. Signora Figoli ma co najmniej pięćdziesiątkę, ale dalej trzyma ten wózek. „Na wszelki wypadek – powiedziała do Indii wesoło. – Z moim mężem nigdy nic nie wiadomo”, dodała z porozumiewawczym mrugnięciem, a India odpowiedziała jej zdumionym uśmiechem. Signor Figoli, łagodny, niepozorny człowieczek, był zawsze cichy i uprzejmy. Co mi zresztą do tego, uśmiechnęła się, wymijając wózek. Sądząc z odgłosów zza ściany, cała szóstka młodych Figoli właśnie toczyła ze sobą zażartą walkę. A może to południowe przerwy w pracy ponoszą winę za eksplozję demograficzną – te długie sjesty, kiedy upalne godziny spędza się za zasłoniętymi żaluzjami, pociągając resztkę wina z butelki.

Wielkie drewniane drzwi zatrzasnęły się za nią. India spojrzała na drugą stronę ulicy, czy na szybie jej fiacika nie pojawił się kolejny złowroźny żółty świstek: mandat za parkowanie. Odetchnęła z ulgą. Dziś jej się udało. Rzuciła torbę na maleńkie tylne siedzenie, wcisnęła się do samochodu i włączyła w chaotyczny ruch drogowy typowy dla Rzymu. Jeśli będzie miała szczęście, to podrzuci obrazy i zdąży na przyjęcie. Nie chciała się spóźnić. Dzisiejszy dzień jest taki ważny dla Fabrizia. Studio Paroli inauguruje właśnie nową kolekcję wnętrza obejmującą wszystko, od barwnych kosztownych tkanin przez eleganckie lakierowane stoliki, puchate, kuszące do odpoczynku kanapy-leniwce, aż po ascetyczne krzesła o surowej linii, zasługujące sobie na miejsce w muzeum.

Fabrizio Paroli był najśłynniejszym włoskim projektantem wnętrz. Opierał się w zasadzie na pomysłach Erna Sotsassa i jego słynnej grupy z Memphis, ale potrafił sprytnie „oswajać” awangardowe koncepcje, tak że przybierały atrakcyjny i łatwo akceptowany przez publiczność kształt. India uważała, że całe Studio Paroli powinno zostać wysłane w wehikule czasu do roku 2500, aby przyszłe pokolenia miały doskonały przykład wyrafinowania estetycznego naszych czasów.

Geniusz Parolego polegał na nadawaniu wnętrzom ostro zarysowanych konturów oraz na stosowaniu pustych przestrzeni, co stwarzało wrażenie lekkości, a następnie na tonowaniu wystroju za pomocą antycznych detali. Wiesział na przykład zamglone ze starości szesnastowieczne weneckie lustro nad surową w kształcie, lakierowaną konsolką w kolorze mahoni, tak że ornamenty połączanej ramy odbijały się w połyskliwym laminowanym blacie mebla, a lustro z kolei nabierało intensywnego zabarwienia konsolki. Albo w nie wykrytym pojedynczym promieniu światła ze szkarłatnej lampy padającym na stół jak ostrze włóczni, stawiał ozdobną szkatułkę z sandałowego drewna, inkrustowaną delikatnymi wzorami z egzotycznego dębu i drzewa różanego. Miał nieskazitelny gust i niezwykle wycucie wartości każdego elementu wystroju, a akcenty antyczne zestawione z najnowocześniejszymi były dziełem prawdziwego geniuszu.

Poza tym miał trzydzieści siedem lat i był niesamowicie przystojny. Klasyczna florencka uroda, gęste kręcone blond włosy i profil o prostym nosie przywodziły na myśl Dawida Michała Anioła. Paroli ożenił się z bardzo atrakcyjną mediolanką, spadkobierczynią wielkiej przemysłowej fortuny. Mieli dwójkę dzieci, które uwielbiał. A India była jego kochanką prawie od roku.

Na ulicach jak zwykle panował koszmarny tłok. Olbrzymi plastikowy zegarek Indii wskazywał już prawie ósmą, jeśli prawidłowo odgadywała położenie srebrnych gwiazdek, które zastępowały wskazówki. Kupiła go za parę groszy w sklepiku z pamiątkami w Wenecji, ot tak sobie, bo uważała, że jest niezwykle stylowy.

Niecierpliwą się i dokonując skomplikowanych manewrów, powadziła

samochód z korka na via Cesare Augusto, wjechała dwoma kołami na chodnik, skręciła, wdusiła klakson i pognęła pod prąd jednokierunkową uliczką. Natychmiast rozległa się kakofonia wszystkich chyba rzymskich klaksonów, kierowcy zaczęli wygrażać pniami, piesi odskakiwali pod ściany domów na wąskim chodniku i wykrzykiwali wyzwiska wprost w roześmianą twarz Indii.

– Odpieprzcie się wszyscy! – odkrzyknęła soczystą amerykańszczyzną. – Jestem spóźniona!

India Haven stała się prawdziwą Włoszką.

Londyn

Wykładana sosnową boazerią kuchnia białego domu Lancasterów była dokładnie zastawiona formami do pieczenia i półmiskami. Świeżo zmiksowany majonez pachniał czosnkiem, a na zlewozmywaku stały niebezpiecznie przechylone sitka z rozmrażającymi się tłustymi, soczystymi homarami. Miejmy nadzieję, że zaraz będą miękkie – pomyślała Venetia. Połówki awokado z ostrym serowym nadzieniem, wstawione do piekarnika zamieniały się w kremowe delicje przybierane odrobiną „niby-kawioru”. Venetia modliła się, żeby gość z Ameryki nie okazał się przypadkiem znawcą kawioru. Puchate risotto, w którym błyszcząły kawałki czerwonej, zielonej i żółtej papryki, też wymagało tylko pięciu minut w piecyku. Obok piętrzyła się piramida koreczków, a świeżutka sałata w dużej szklanej misie miała w ostatniej chwili zostać polana sosem z prowansalskiej oliwy z oliwek i białego winnego octu aromatyzowanego estragonem.

Venetia cofnęła się o krok i z zadowoleniem rozejrzała po kuchni. Pomysł z homarami to był po prostu błysk geniuszu; nie trzeba prawie nic piec, tylko awokado i deser. Zrobiła ustępstwo na rzecz ogólnie znanego zamiłowania Amerykanów do wszystkiego, co z czekolady: zaserwuje czekoladowy suflet. Masa była już przygotowana i pozostało tylko ubić białka.

Dokładnie kwadrans po ósmej Venetia zdjęła pasiasty biało-niebieski fartuch. W tym samym momencie drzwi kuchni otwarły się na oścież i zza framugi wysunęła się dłoń trzymająca kieliszek szampana.

– To dla ciebie – powiedziała Lydia pokornym głosem. – Czy mi wybaczasz?

Venetia roześmiała się.

– Jeśli to dobry szampan, wybaczę ci wszystko.

– Najlepszy, jaki ma Roger. – Lydia z przepaszającym wyrazem twarzy ostrożnie wyjrzała zza drzwi. – Kazałam mu otworzyć sześćdziesiąty dziewiąty rocznik. – Obrzuciła kuchnię szybkim spojrzeniem zielonych oczu. – I zdaje się, że nikt bardziej niż ty nań nie zasługuje. Vennie, kochanie, przecież to prawdziwa ucza.

Jesteś taka zdolna, a ten kurs gastronomiczny naprawdę był wspaniały.

– Lydio, powiedz mi, pytam tak z czystej ciekawości – rzekła Venetia sącąc szampana – czym ty właściwie chciałaś podjąć gości dziś wieczorem?

Lydia z malującym się na twarzy poczuciem winy przytargała zza drzwi sporą paczkę i wyciągnęła ogromny kawał wołowych żeberek.

– Myślałam, że zrobię mu przyjemność. Amerykanie lubią wołowinę, prawda? Po prostu nie przyszło mi do głowy, że wołowe żeberka muszą się tyle czasu gotować! A mówiąc o czasie: trzeba się szybko przebrać. Chodź, Vennie, zostaw już to wszystko. Weź kąpiel, odpręż się i zrób na bóstwo. Roger zadbał o wino, a Kate nakryła do stołu i ułożyła kwiaty. No właśnie, jeszcze i te kwiaty! Vennie, co ja bym zrobiła bez mojej przyszywanej córeczki? Ogromnie ci dziękuję.

Lydia zarzuciła jej ramiona na szyję, a Vennie przytuliła twarz do miękkiego policzka. Tak, tutaj czuła się naprawdę u siebie.

Kate napełniła już wody do wanny, wlała do niej mnóstwo olejku o zapachu gardenii i Venetia, sącąc szampana, zanurzyła się w ciepłej, pachnącej kąpieli. Dom Lancasterów stał się jej własnym, od chwili kiedy poznała Kate. Pierwszy semestr średniej szkoły w Hesketh minął dwunastoletniej Venetii w zupełnej samotności, chociaż była niezłe obeznana z angielskim systemem internatów. Jenny dopilnowała, żeby Venetia już w ważnym w rozwoju dziecka wieku lat siedmiu została ulokowana w podupadłej, lecz prestiżowej Birch House School, gdzieś w samym środku hrabstwa Berk. Venetia do dziś pamięta, jak pierwszy raz zobaczyła sypialnię z surowymi żelaznymi łózkami, na których leżały wyblakłe różowe kapy. Na każdym łóżku siedziały pluszowe misie i inne przytulanki, a na jednym był nawet starannie złożony w kostkę stary koc z satynową lamówką wytartą od ciągłego dotyku dziecięcych paluszków. Przypomniała sobie uczucie nagłej pustki w żołądku, kiedy zobaczyła wyfroterowane, lecz zniszczone posadzki i małe szafki nocne przy każdym łóżku. W jednej z nich miały się zmieścić wszystkie jej rzeczy. Na każdej z szafek ułożono z wojskową precyzją szczotkę, grzebień i postawiono jedną fotografię w ramce.

Venetia rozpaczliwie schwyciła Jenny za rękę. Po trzech latach swobody i wesołego życia w szkole Montessori w Malibu to miejsce przypominało jej więzienie.

– Bądź dzielna, kochanie – powiedziała wtedy Jenny. – Pamiętaj, że jesteś tu, bo twój ojciec był Brytyjczykiem i masz się nauczyć zachowywać jak dama. Nie życzę sobie, żeby któraś z moich córek skończyła jako jeszcze jedna kinowa lalunia z Los Angeles. A poza tym będzie ci tu świetnie, sama się przekonasz.

Jakaś pewna siebie siedmiolatka zaprowadziła je do jedyne wolnego łóżka w sypialni „Czułość” i Venetia zaczęła się zastanawiać, gdzie podziała się ta

szczęściara, która na nim przedtem sypiała.

– Wszystkie sypialnie biorą nazwy od cech charakteru, które szkoła szczególnie chce w nas rozwinąć – powiedziała mała przewodniczka i puściła oko do Venetii. – „Czułość”, „Spokój”, „Współczucie”, „Uprzejmość” i „Skromność”.

– Co się z nią stało? – spytała cicho Venetia, wskazując na puste łóżko, które teraz należało do niej.

– A, Candia? Złapała świnkę. Przyjechała po nią ciotka i zabrała do domu. Rodzice są w Hongkongu, mama chyba chce, żeby Candia tu była, zanim pójdzie do „dużej” szkoły. Wszyscy nasi rodzice są gdzieś za granicą.

Brytyjska, wysoka intonacja głosu dziewczynki i wydłużone samogłoski brzmiały w uszach Venetii jak obcy język.

– A widzisz – powiedziała Jenny z triumfem – mówiłam ci, że nie będziesz tu jedyną osobką bez rodziców.

– Przywiozłaś swojego kucyka? – spytała inna dziewczynka, Lucy Hoggs-Mallet.
– Prawie wszystkie mamy tu swoje kucyki.

– Kucyka? – twarz Venetii wyrażała zaskoczenie.

Pływała jak ryba, pierwsze lekcje brała w Hollywood, w Crystal Scarborough Swim School, kiedy miała roczek. Pół roku później w wodzie czuła się znacznie bezpieczniej niż na swoich dwóch nóżkach na suchym lądzie. Triumfalnie machała do Jenny, która razem z innymi rodzicami dumnie przypatrywała się dzieciom figlującym w basenie jak foczki. Lekcje gry w tenisa zaczęła pobierać jako pięciolatka, umiała prawidłowo trzymać rakieta, miała mocny bekhend i bystre oko. Grając w baseball w szkole i na plaży też nie traciła piłek. Ale żeby kucyk! W domu na plaży w Malibu nigdy nie było kucyka. Z końmi stykała się bardzo rzadko – tylko na przejażdżkach w malutkim wesołym miasteczku w Beverly Hills. Miasteczko zresztą wkrótce zamknięto i wybudowano w tym miejscu szpital i centrum handlowe.

– Jeszcze w tym tygodniu będziesz miała kucyka – obiecała Jenny. – Jakiego ma być koloru?

Tak jakby chodziło o nową sukienkę.

– Nie wiem – Venetia, daleka od entuzjazmu, wcale nie była pewna, czy chce mieć kucyka. Czy one przypadkiem nie są duże i uparte?

– Tylko nie bierz siwka – poradziła doświadczona Lucy. – Zaraz się wytarza w błocie i będziesz go tylko godzinami czyścić. Mój jest gniady – dodała z dumą. – Takie są najlepsze.

– No to dostaniesz gniadego – postanowiła Jenny, układając na szafce w przepisowym porządku szczotkę i grzebyk Venetii i stawiając swoją dużą oprawą w srebro fotografię zrobioną dla „Vogue” przez Avedona.

– Nie – głosik Venetii załamał się z nadmiaru powstrzymanych emocji.

Oddała fotografię matce. – Można mieć tylko jedno zdjęcie, a ja chcę to. – Pogrzebała w zniszczonym śniadaniowym pudełku z wizerunkiem Snoopiego, pozostałości po minionych szczęśliwych latach szkolnych, i wyjęła niewyraźną fotografię zrobioną w dniu jej urodzin na plaży przed domem w Malibu. Grupka umorusanych dzieciaków w dzinsach i zabawnych czapczkach, z buziami umazanymi czymś słodkim, szczyrzyła zęby do fotografa, a w tle stali roześmiani rodzice – pełen luz.

– To jest mój dom – oświadczyła pewnej siebie Angielce. – A to moi koledzy.

– Ach, mieszkasz nad morzem. Jak to miło.

Lucy Hoggs-Mallet zjednała sobie serce Venetii tą prostą akceptacją jej świata. Mała Amerykanka uśmiechnęła się do niej i poczuła się troszkę lepiej. Jenny wykorzystała tę chwilę odprężenia i poszła jeszcze raz porozmawiać z dyrektorką, a potem zasypała córeczkę pożegnalnymi pocałunkami i odjechała. Od tej pory, poza wakacjami, Venetia nigdy nie mieszkała razem z matką.

W Birch House nie panowała surowa dyscyplina, choć rzeczywiście przywiązywano wagę do ideałów, od których wzięły nazwę sypialnie. Pięćdziesiąt dziewczynek spędzało dnie w drewnianych ławkach na intensywnej nauce, ale już od wpół do czwartej zaczynał się czas wolny. Można było jeździć na kucykach, opiekować się łaciatymi świnkami morskimi i kłapouchymi królikami, które, podobnie jak uczennice, wypuszczano wtedy na swobodę. Zwierzątka biegały po ogromnych trawnikach i wśród krzewów, a za nimi dreptały ich właścicielki o delikatnych rączkach. Tereny szkoły sięgały aż do Tamizy i czasami latem można było popływać w zielonkawej wodzie. Jej chłód wcale nie przypominał temperatury w hollywoodzkich basenach, do których Venetia była przyzwyczajona.

Na letnie wakacje jeździła do domu, do Jenny, ale krótsze przerwy w nauce stanowiły problem. Czasem wsadzano ją na Heathrow do samolotu, a potem do limuzyny w Genewie, Rzymie lub Nicei i wieziono na spotkanie ze starszymi siostrami w jakimś wspaniałym hotelu. Potem przyjeżdżała Jenny i znów były razem. Prowadziły życie zupełnie odmienne od szarej codzienności. Traktowano je jak księżniczki: panowie ze studiów filmowych tylko marzyli, żeby poznać i spełnić ich najtajniejsze pragnienia, dyrektorzy hoteli zabierali je na zwiedzanie różnych zakamarków, kelnerzy przynosili do pokoju dodatkowe porcje lodów, a aktualni kochankowie Jenny ze wszystkich sił starali się przełamać ich niechęć. Venetia dopiero w wieku trzynastu lat, kiedy przeżyła pierwsze zauroczenie chłopcem, rozumiała słowa Paris: „Nie możemy być zazdrosne o Jenny; w końcu gdyby nie jej kochankowie, żadnej z nas by tu nie było.”

Paris miała wtedy siedemnaście lat, więc Venetia i India były przekonane, że z pewnością wie, co mówi. Wydawała się taka dorosła i obyta w świecie. „To ten twój szwajcarski internat tak ci służy?”, spytała kiedyś zazdrośnie Venetia,

podziwiając szczupłą, szykowną sylwetkę o małych piersiach i lśniące czarne włosy siostry. Paris we wszystkim świetnie wyglądała, a że nie musiała nosić mundurka, ubierała całą kolekcję przeróżnych ubiorów. Potrafiła tak połączyć niedbałą sportową kalifornijską elegancję z francuskim szykiem i włoską gamą kolorów, że wszędzie zwracała na siebie uwagę. Młodsze siostry czuły się przy niej jak tłuste niezguły. Venetia przysięgła sobie wtedy, że nie tknie puddingu przez cały następny semestr. Później nadeszły jednak długie zimowe wieczory, Paris i jej wiotka elegancja oddaliły się o całe lata świetlne, a szkolną monotonię urozmaicało tylko jedzenie. Delektując się puddingiem zaspokajała nie tylko łakomstwo, ale i inne tęsknoty. Zdaniem Venetii był pociechą dla samotnych, a ona właśnie najbardziej potrzebowała pociechy, zanim zaczęła się interesować płcią przeciwną. A kiedy już się zainteresowała, puddingi i dziecięce okrągłości odeszły w przeszłość, ginąc gdzieś we mgle dzieciństwa, a na słodkiej puciołowatej buzi zarysowały się kości policzkowe – twarzyczka Venetii zaczynała przypominać rysy Jenny Haven.

Krótsze przerwy w połowie semestru w Birch House nie były wcale takie złe – większość dziewczynek pochodziła z rodzin wojskowych albo dyplomatów i ich rodzice przebywali w dalekich krajach. Ale kiedy przeniosła się do Hesketh, życie stało się znacznie trudniejsze, a wakacje zaczęły być problemem.

Pierwszą przerwę międzysemestralną spędziła w Hesketh, w domu dyrektorki, i choć panna Lovelace była miła, tych kilka dni ciągnęło się w nieskończoność. Niestety, większość dziewcząt uznała, że Venetia jest wtyczką dyrektorki, i wykluczyły ją z wszelkich szkolnych układów towarzyskich, przyjaźni i zamkniętych grup. Poza tym koleżanki oczywiście wiedziały, kim jest jej matka. Kiedy Vennie wchodziła do jakiegoś pokoju, rozmowy urywały się w pół słowa. Wszędzie, gdzie się pojawiała, ściagały ją ukradkowe spojrzenia i szepty. O wszystkim dowiadywała się po fakcie. Kiedy dziewczęta urządziły o północy sekretne przyjęcie w szopie albo kiedy Melissa Carr, zaproszona do Eton na święto college'u, zdobyła dwie butelki szampana i odważnie przemyciła je do budynku szóstej klasy, Vennie była w rozpacz. Bardzo pragnęła brać w tym wszystkim udział, a jeśli okazywało się to niemożliwe – niech ją przynajmniej odeślą do Jenny, do Los Angeles. Ale Jenny odpowiadała na wszystkie rozpaczliwe listy z niezrozumiałym dla córki spokojem i przysyłała na pocieszenie kolejne pudło od Theodora albo Freda Segala z fantastycznymi kalifornijskimi ciuszkami, które tak bardzo różniły się od strojów noszonych przez tutejsze dziewczęta. Venetia z obawy przed ośmieszeniem lub zazdrością nawet nie próbowała wkładać tych wspaniałości.

Wybawieniem dla Venetii okazała się Kate Lancaster. Kiedyś wcześniej wróciła z weekendu i zastała Venetię zupełnie samą w ogromnym budynku, który był domem dla nich obu i dla czterdziestki innych dziewcząt. Zrobiło jej się szkoda koleżanki,

poczuła się tak, jakby była w jakiś sposób winna jej samotności, rzuciła w kąt torbę i przysiadła się do Vennie siedzącej samotnie na łóżku w pustej sypialni.

– Ach, Vennie – wykrzyknęła – weekend był ekstra, całe góry jedzenia, psy kochane jak zwykle, a mamusia zapomniała, że w sobotę mają do nas przyjechać Francuzi, i zaprosiła jeszcze kogoś innego, i było nas w domu osiemnaście osób. Musiałam wynieść się ze swojego pokoju i spałam w śpiworze na podłodze. Ale zabawa! Mamusia potrafi robić jeszcze lepsze numery, kiedyś zapomniała, że na lunch ma przyjść biskup, i nie kupiła nic do jedzenia. Wszystko w zamrażarce było twarde jak kość, a biskup uwielbia smakowite kęsy. I wiesz, co wtedy zrobiła? Nalała mu szklanicę dżinu i poleciała do kuchni, szybko zagniotła ciasto i ugotowała jedyną rzecz, jaką mieliśmy w lodówce, czyli mięso dla psów. Wrzuciła do środka trochę przypraw, wlała pół butelki czerwonego wina, rozpaćkała ciasto po wierzchu i zapiekła to wszystko, a w czterdzieści minut później biskup powiedział, że nigdy w życiu nie jadł tak smacznej zapiekanki. A jadł psie zarcie! – zaśmiała się Kate. – Kłopot w tym, że my też musieliśmy to jeść... ale my wiedzieliśmy!

Venetia śmiała się razem z nią.

– No i co, było bardzo niesmaczne?

– Wszystko jest smaczne, jak się doda tyle wina. A ty co robiłaś w weekend?

Kate wyciągnęła się na łóżku Venetii, obserwując ją spod półprzymkniętych powiek. Jest rzeczywiście śliczna, pomyślała. Nic dziwnego, jak się ma taką matkę. Pomyślała o swojej mamie, o Lydii. Owalna twarz, szeroki uśmiech, szczerze zielonkawe oczy i cała masa rudawych włosów. Jest raczej atrakcyjna niż piękna. Zdaje się, że nigdy nie przywiązywała nadmiernej wagi do wyglądu, ale mimo to zawsze umie się odpowiednio ubrać. Na spacer po parku z psami wkłada wysokie zielone kozaki i wywatowaną w ramionach zieloną kurtkę, na proszoną kolację idzie w lśniącej taftowej albo szyfonowej sukni i we wszystkim odpowiednio wygląda. Właśnie tego brakuje Venetii – ona nigdzie nie jest na swoim miejscu. Jest Amerykanką? A może Angielką? Kate poczuła kolejny przypływ poczucia winy. To przecież szkolne koleżanki nie pozwalają Vennie stać się Angielką: cały wolny czas spędza w szkole i to zawsze w samotności. Raz w roku wyjeżdża do matki do Kalifornii albo spotyka się z nią i swoimi dwiema siostrami w Europie. To wszystko, co Kate o niej wie.

Usiadła na łóżku i otoczyła kolana rękami.

– Vennie – powiedziała – a może spędzisz u mnie następny weekend po tym, co będzie za tydzień, ten po egzaminach? Oblejemy sukcesy.

Oszołomiona Venetia wpatrywała się w nią bez słowa. Nazwano ją Vennie i miała już przyjaciółkę. Kate zaprosiła ją do domu i odmieniła jej życie.

Venetia ciągle jeszcze siedziała w wannie, chociaż woda prawie już ostygła.

Nagły dźwięk dzwonka przerwał bieg wspomnień. Aż podskoczyła. Do licha ciężkiego, goście już przyszli, a ona jeszcze nie ubrana! Co by tu włożyć? Wytarła się szybciotko i pobiegła do szafy. Wszyscy zaproszeni goście są co najmniej w średnim wieku. Kate poszła do teatru, co oznacza, że przy stole Venetia będzie jedyną nastolatką. Mniejsza o to, przecież zajmie się kuchnią. A może Marie-Therese wróci i razem dadzą sobie radę. Nie chcę, by ten honorowy gość wiedział, że jestem Amerykanką, postanowiła. Dziś będę bardzo brytyjska, w stylu Lancasterów, a nie Havenów. Różowa marszczona sukienka od Laury Ashley jest jednak zbyt „wiejska”, a ta czerwona jedwabna od Georgia, dopasowana jak druga skóra i odsłaniająca jedno ramię, zbyt przypomina Beverly Hills. Zostaje tylko ekscentryczna kremowa sukienka od Josepha z szarosrebrną tuniką albo ukochana, niezawodna, trochę staroświecka żółta sukienka od Belville Sassoon. Trudna decyzja. A co mi tam, pomyślała, narzucając na siebie kremową sukienkę, dlaczego nie mam wyglądać ekscentrycznie. W końcu jestem częścią rodziny Lancasterów!

Naniósła na powieki odrobinę różowego cienia, podmalowała je kredką, policzki musnęła opalizującym różem, a wargom o ślicznym wykroju nadała odcień hibiskusa. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie zrobić sobie różowego pasemka na bladych włosach. Kusilo ją, żeby po prostu szokować ludzi rozhułaną młodością, która makijażu używa wyłącznie jako formy wyrazu artystycznego, nie traktując go bynajmniej jak zwykłego uzupełnienia stroju. Lydia nie miałaby nic przeciw temu, ale Amerykanin mógłby się czuć nieswojo. Zrezygnowała więc ze sprayu i pobiegła do kuchni, żeby sprawdzić, czy Marie-Therese wreszcie wróciła i czy da się ją namówić do współpracy. Owoce awokado poszły do piekarnika, Venetia wydała polecenie, żeby je wyjąć po piętnastu minutach, i już mogła iść do gości.

W salonie toczyła się ożywiona rozmowa, pobrzękiwał lód w szklankach, słychać było wysoki, typowo angielski śmiech kobiet i eleganckie komplementy wypowiedziane męskimi głosami, których akcent zdradzał wykształcenie zdobyte w ekskluzywnych szkołach. Venetia zatrzymała się w drzwiach i obrzuciła gości uważnym spojrzeniem. Każda kolacja u Lydii upływała od samego początku w niewymuszonej atmosferze. Widać było, że panowie czują się w smokingach bardzo swobodnie, i nic dziwnego, większość marynarek miała jakieś dwadzieścia lat. Suknie pań były idealnie dobrane do charakteru przyjęcia i dość konserwatywne. Venetia poczuła się zupełnie nie na miejscu w swojej ekstrawaganckiej sukience z dzianiny.

Jeden z mężczyzn wyróżniał się pośród tego towarzystwa, jakby przybył z innej planety, ale wcale nie dlatego że miał na sobie fantastycznie skrojony smoking i że tylko on włożył koszulę z dyskretnym podwójnym żabocikiem, ale dlatego że miał

najwyżej dwadzieścia pięć lat i był niesłychanie przystojny, jak stwierdziła Venetia, gdy napotkała spojrzenie jego oczu.

– Vennie, kochanie – podbiegła do niej Lydia – koniecznie musisz poznać pana McBaina.

Obdarzyła młodego człowieka przyjaznym uśmiechem.

– To jest Venetia Haven, nasza „sublokatorka”, dziś wieczór pełniąca funkcję szefa kuchni – powiedziała żartobliwie. – Venetio, to jest Morgan McBain.

– Dzień dobry – Venetia uśmiechnęła się niepewnie – ale... z tego, co wiem, miał być pan dużo starszy, prawda? – spytała zaskoczona. Silna, ciepła dłoń Morgana McBaina ujęła jej rękę.

– Niestety mój ojciec musiał zrezygnować z przyjazdu i przysłał mnie w zastępstwie. Bardzo się z tego powodu cieszę.

Jego błękitne oczy wyrażały szczerzy zachwyt. Venetia, nagle w wyśmienitym humorze, uśmiechnęła się do niego miło. Miał proste, bardzo jasne włosy, jakby spłowiałe w promieniach ostrego słońca. Był opalony na brązowo. Wyglądał jak typowy amerykański sportsmen: świetny żeglarz i doskonały pływak.

– Pani jest szefową kuchni? – w jego głębokim głosie brzmiało zaskoczenie. Venetia zaśmiała się.

– Tak. Mam nadzieję, że kolacja będzie panu smakowała.

– Na pewno, jeśli to pani ją przygotowała, ale proszę obiecać, że będzie pani koło mnie siedzieć – konspiracyjnym gestem wskazał resztę gości. – Chyba będzie mi potrzebna pomoc.

Venetia popatrzyła na niego poważnie, z rozbajającym, odziedziczonym po matce wyrazem błękitnych oczu.

– Zrobię, co się da – obiecała.

Poszła do pokoju stołowego i zmieniała wizytówki na stole, a później zajrzała do kuchni, by sprawdzić, czy awokado już się upiekły. Życie zaczęło jej się nagle bardzo podobać.

Paryż

Amadeo Vitrazzi spóźnił się tylko piętnaście minut. Nieźle, jak na Włocha, pomyślała Paris, nalewając gościowi szkocką whisky, a sobie campari z wodą sodową. Popatrzyła na niego ukradkiem spod rzęs, ustawiając szklanki na czarnej japońskiej tacce z laki. Amadeo siedział oparty o potężny, drewniany słup podpierający dach poddasza i rozglądał się wokół z rozbawionym uśmieszkiem. Był atrakcyjnym mężczyzną: miał gładką czarną czuprynę, gładką brązową opaleniznę – pozostałość lata spędzonego w willi w Saint-Tropez – i gładki sposób wyrażania się,

ale jego zielonkawe oczy o ostrym spojrzeniu lustrowały jej mieszkanie i pracownię, nie pomijając żadnego szczegółu.

He on może mieć lat?, zastanawiała się Paris. Trudno powiedzieć, był szczupły, ale nie jak młodzik, tylko jak dojrzały mężczyzna, który dba o kondycję i wygląd zewnętrzny. Może ma czterdziestkę, a może czterdzieści pięć, uznała Paris i podała drinki, obdarzając go uśmiechem.

– Szkocka z lodem i wodą sodową, signore.

Amadeo Vitrazzi patrzył na nią z upodobaniem. Lubił ładne kobiety, a ta wydała mu się wyjątkowo atrakcyjna, chociaż nie do końca w jego typie. Wolał trochę bardziej zaokrąglone, bujniejsze kształty i większe biusty. Giną taka była, kiedy brali ślub: fantastyczna młoda Włoszka, okrągłutka, niemalże pulchna. Ale to było dwadzieścia pięć lat temu. Po urodzeniu pięciorga dzieci bardzo się roztyła. Niedługo doczekają się pierwszego wnuka. Amadeo miał już czterdzieści osiem lat i coraz bardziej dręczyła go świadomość, że pięćdziesiątka tuż-tuż. Uśmiechnął się ciepło do Paris, biorąc szklankę z jej dłoni. Dobrze jest pobyc z taką młodą kobietą; nawet jeśli jest trochę za szczupłą, to jej uwodzicielski uśmiech może mężczyznę sprowadzić na manowce.

– Podoba mi się twoje mieszkanie, Paris. Ma wiele uroku.

Oparł się mocniej o czarny drewniany filar i jeszcze raz się rozejrzał. Białe ściany, czarne belki i płatanina rur pomalowanych na jaskrawy szmaragdowy kolor. Żadnych wartościowych przedmiotów z wyjątkiem zabytkowego łoża.

– Niezły mebel – pokazał ręką, w której trzymał szklankę. Paris wzruszyła ramionami.

– Moja siostra go dla mnie znalazła. Ona się zna na takich rzeczach, a ja... tylko na modzie.

Spojrzał w jej intensywnie błękitne oczy, pełne wyrazu i trochę nieufne. Oblizła wargi i Amadeo wyczuł w jej zachowaniu pewną nerwowość. Zdziwił się. Dlaczego córka Jenny Haven miałyby się czymś denerwować?

Czarna lampa kreślarska oświetlała tylko stół, pozostawiając resztę kącika roboczego w cieniu. Uwagę Włocha automatycznie przyciągnęły szkice leżące na desce.

– Chciałbyś obejrzeć moje projekty? – Paris delikatnie położyła mu dłoń na ramieniu, a on znów się uśmiechnął, patrząc jej w oczy.

– Czemu nie? Zobaczmy, co wymyśliłaś – powiedział pobłaźliwie.

Paris szybko poprowadziła go do stołu. To był jej prawdziwy świat, jej nadzieje i marzenia, porywy wyobraźni i natchnienia, fantazje krawieckie i koncepcje stylu. I przemożna ambicja. Paris była świadoma swojego talentu i wiedziała, że potrafi ciężko i solidnie pracować. Wierzyła w siebie, a teraz potrzebny był jej ktoś, kto by

uwierzył w nią równie mocno.

Amadeo czuł na policzku jej delikatny oddech, gdy razem pochylili się nad stołem, a ona rozłożyła przed nim swoje szkice. Były niewątpliwie pomysłowe. I oryginalne – czasami nawet aż za bardzo. Fachowym okiem ocenił możliwości sprzedania takiej kolekcji w detalu... ryzykowne, ale podniecające.

– Niektóre z tych eleganckich, nowszych butików mogą coś z tego wziąć. Na przykład te na Place des Victoires albo jeden czy dwa w Halach. Powinnaś porobić próbki i z nimi pochodzić, cara. Jestem pewien, że znajdą się tacy, co zaryzykują.

Głębokie, ciemnobłękitne oczy Paris rozszerzyły się z przerażenia.

– Ach, ale to jest przecież ekskluzywna kolekcja. Muszę zaprezentować ją całą. Amadeo, czy ty nie widzisz, że to wszystko ze sobą współgra, kolory, materiały i cały nastrój?

Amadeo wybuchnął śmiechem, odrzucając głowę do tyłu.

– Chcesz od razu znaleźć się na szczycie, prawda, Paris Haven? Popatrzył na nią naśladując jej wyraz twarzy. Paris poczuła, że się czerwieni. Merde, pomyślała z gniewem, od lat się nie rumieniłam, więc dlaczego akurat teraz? Przecież już nieraz się ze mnie śmiano. Odwróciła się, urażona.

– A dlaczego nie?

Głos dziewczyny lekko drżał. Amadeo widział teraz delikatny zarys profilu jej twarzy. Pełne, zmysłowe usta kłóciły się ze szczupłą figurą, sugerując coś więcej niż powiew erotyzmu. Będę dla niej pobłażliwy, postanowił, spojrzawszy na zegarek. Miał czas, a ona go intrygowała.

– A dlaczego nie – powtórzyła Paris, patrząc mu prosto w oczy. – Jak inaczej mam zacząć?

Tym razem ukrył uśmiech. Córka Jenny Haven musi się jeszcze wiele nauczyć, to widać.

– Słuszne podejście, cara – powiedział, obejmując ją i prowadząc w kierunku zabytkowego łoża. – Chodź tutaj, usiądź i porozmawiajmy. Powiedz mi, jak mogę ci pomóc.

Paris poczuła, że napięcie i niepokój pierzchają, jak chmura rozwiewana wiatrem. To znaczy, że podobały mu się te projekty, naprawdę mu się podobały. Inaczej nie chciałby rozmawiać o pomocy. Dołała mu szczodrą whisky i dopełniła swoją szklanekę campari, tym razem bez wody, tylko z cienką zieloną spiralką skórki cytrynowej zanurzoną w różowym płynie. Powoli sączyła alkohol, delektując się jego gorzkawym smakiem.

– Widzisz, Amadeo – zaczęła – wiem, że mogę odnieść sukces. Pracowałam przez trzy lata w największych domach mody. Robiłam wszystko. Fastrygowałam, dokonywałam przymiarek, nauczyłam się, jak planować wykrój, mistrzowie uczyli

mnie kroju, nawet zrobiłam szkice do dwóch czy trzech najnowszych kolekcji. Amadeo, moje kreacje się sprzedawały i to bardzo dobrze! Ale oczywiście nie było nawet wzmianki, że to mój projekt. Już nie mogłam wytrzymać w sztywnej atmosferze wielkich domów mody. Musiałam zacząć pracować na własny rachunek, wyrobić sobie indywidualny styl. I czuję, że już mi się to udało.

Amadeo ujął jej dłoń i przytrzymał w swojej. Miała taką delikatną skórę, takie długie i szczupłe palce. Pogładził je lekko.

W głosie Paris brzmiała emocja i młodzieńczy zapał. Podniecało go samo wpatrywanie się w jej usta, w lekko nabrzmiąły łuk dolnej wargi.

– Dalej, malutka, mów dalej – zamruczał, podnosząc jej dłoń do ust.

Paris ledwie poczuła delikatny pocałunek. Ponośli ją własne słowa i pragnienia. Obok niej siedział Amadeo Vitrazzi i słuchał tego, co mówiła. Musi go dziś koniecznie przekonać.

– Amadeo, młodość ma swoją własną elegancję stylu. Potrzebuje ubrań o swobodniejszej ekspresji, elementów, które można dowolnie łączyć, a zawsze będą wyglądały jak całość. Na tym pomyśle oparłam swoją koncepcję i dlatego ludzie muszą oglądać tę kolekcję jako całość. Nie można jej wozić w walizce od butiku do butiku i oglądać na ladzie. Efekt byłby fatalny. Te ubrania muszą leżeć na młodych, poruszających się ciałach, one są do chodzenia, a nie do szafy. Oboje wiemy, że sekrety dobrego krawiectwa to linia, materiał i kolor. Ciężko pracowałam, żeby się tego nauczyć i móc wykorzystać przy projektowaniu kolekcji. Zaprojektowałam je dla efektu dotykowego, wykorzystując skontrastowane tkaniny. Potrzebuję mięciutkiego zamszu, prawdziwego płótna – takiego, które da się zaprasowywać – szorstkich bawełnianych dzianin, które ocierają się o skórę. I jedwabiu, Amadeo. Najdelikatniejszego, najbardziej luksusowego i zmysłowego materiału na świecie. Jedwabiu, jaki tylko ty potrafisz zrobić, Amadeo.

Vitrazzi rozparł się na poduszkach i patrzył na nią protekcjonalnie. To dziecko było tak rozemocjonowane, tak przejęte swoimi pomysłami.

– Pokaż mi, o co ci chodzi, cara – zaproponował słodkim głosem. Paris skoczyła na równe nogi i uśmiechnęła się promiennie.

– Poczekaj! – zawołała przez ramię i podbiegła do stołu. – Zaraz ci dam szkice i próbki.

Jej długie czarne włosy falowały, gdy kręciła się po pokoju. Były prawie tak miękkie i gładkie jak jego jedwab.

– Proszę, oto one – przysunęła się bliżej, żeby pokazać mu szczególny odcień tkaniny, zmiany faktury i wytłumaczyć, dlaczego to musi być koniecznie jedwab, a nie inny materiał.

Amadeo otoczył jej ramiona, a czarne włosy musnęły go po twarzy. Roztaczała

znajomy, jakby wibrujący zapach, gorący, lecz nie za ciężki. Spodobał mu się. Można było poczuć zapach jej skóry, a nie tylko same perfumy. Z bliska pachniała i wyglądała cudownie.

Paris podniosła wzrok znad projektów.

– No i co o tym myślisz, Amadeo?

– Fantastyczne, cara, cudowne szkice i cudowne kolory. Jesteś kopalnią nowych pomysłów.

Dziewczyna zarzuciła mu ramiona na szyję i uściskała z radości.

– Oczywiście że tak, Amadeo! Po prostu trzeba było geniusza takiego jak ty, żeby się na mnie poznać. Zbiję fortunę, i to niezadługo, Amadeo Vitrazzi. – Odchyliła się lekko. Jej dłonie w dalszym ciągu spoczywały na jego ramionach. – Ale potrzebuję twojej pomocy.

– Mojej pomocy? – popatrzył pytająco, obejmując ją ramionami. – Jak mogę ci pomóc, Paris?

Dziewczyna poruszyła się niespokojnie, zdawszy sobie sprawę z niestosownej pozy. Gładził ją po plecach, a ich twarze znalazły się bardzo blisko siebie. Za blisko. Odsunęła się.

– Potrzebny mi kredyt, Amadeo. – Wysunęła się z jego objęć i zaczęła przeszukiwać stos szkiców zaścielających podłogę u jej stóp, aż wreszcie znalazła szczegółową listę. – Potrzebuję twoich materiałów i do tego sześciomiesięcznego kredytu na rozkręcenie interesu. Tylko twoje jedwabie się nadają. Są najlepsze. Nie mogę szyć z niczego innego. Ale musisz mi zaproponować rozsądną cenę.

Amadeo wiedział, że jego jedwabie są najlepsze. Wiedział również, że są bardzo drogie. Byłby głupi, gdyby dał jej ten kredyt; tylko wielkie domy mody miały u niego takie względy, ale i im nie odraczał płatności aż na sześć miesięcy. A w ogóle to dlaczego córka Jenny Haven miałaby prosić o kredyt? Przecież matka chyba wspiera ją finansowo?

– Na pewno masz jakieś wzory – zmienił temat – coś do pokazania klientom. Czy mógłbym je zobaczyć?

Paris zawahała się, ale w końcu uległa.

– Nie są z twoich tkanin, więc nie możesz ich oceniać na tej podstawie. Poczekaj chwileczkę.

Zsunęła się z łoża. Niechętnie puścił jej dłoń. Obserwował dziewczynę, gdy podbiegła do aksamitnej kotary, żeby ją odsłonić.

– Proszę, to, to i to. A ta jest moja ulubiona.

Wziął w rękę ubrania, żeby im się przyjrzeć, ale wydały mu się bezkształtne i zbyt wymyślne. Nie było w nich nic ciekawego. Paris dostrzegła ten brak zrozumienia ukryty pod maską uprzejmego zainteresowania.

– Widzisz, mówiłam, że trzeba je oglądać na kimś – powiedziała z rozpaczą.

– Wobec tego przymierz je, moja droga.

Paris bez wahania wśliznęła się za kotarę. W sekundę pozbyła się spódnicy, bluzki, butów i przez chwilę miała na sobie tylko satynowe francuskie majteczki w kolorze miętowej zieleni. Podniecenie zapierało jej dech w piersiach. On obejrzy jej modele, on pierwszy... rozpaczliwie potrzebowała jego akceptacji. Narzuciła sukienkę przez głowę i wsunęła stopy w pantofle na wysokim obcasie. Wygładziła materiał, potrząsnęła włosami, żeby się dobrze ułożyły – była gotowa.

Amadeo wpatrzył się w nią z zachwytem, gdy stanęła w pozie modelki na tle starej brzoskwińowej kotary o srebrzystym połysku. Szary jedwab spływał surową prostą linią od poszerzonych ramion, zwężał się w talii i kończył prostym obrąbkiem pięć centymetrów nad pięknymi kolanami dziewczyny. Suknię przecinały ukośne pasy i wszywki w karo, wykonane z miękkiego zamszu. Paris obróciła się powoli, żeby mógł zobaczyć, jak z tyłu sukni jedwab układa się w głębokie, zbluzowane wycięcie w kształcie „V”, niemal sięgające talii.

Miała rację. To była fantastyczna suknia. Ale Amadeo był bardziej zachwycony dziewczyną niż strojem. Pomylił się, oceniając, że jest zbyt szczupła; miała zaokrąglenia właściwie wszędzie, gdzie trzeba. Wstał i podszedł do niej. Musiał jej dotknąć, poczuć jej ciało – sutki rysowały się pod szarym jedwabiem, a rozchylone usta ozdobił nieśmiały uśmiech.

– Jest cudowna, cara, po prostu cudowna – zamruczał, biorąc ją za rękę i przyciągając do siebie. – Nie myliłaś się, rzeczywiście masz talent.

– Serio, Amadeo, naprawdę ci się podoba? Amadeo pochylił się i lekko pocałował ją w usta.

– Jest cudowna, a na tobie wygląda po prostu przepięknie. Paris popatrzyła mu w oczy z bardzo bliska. Po plecach przebiegł jej dreszczyk emocji. Amadeo uważa, że jej modele są cudowne.

Ręce Włocha dotykały jej nagich pleców. Przyciągnął ją do siebie i delikatnie całował w szyję, lekko i nienatrętnie, ale gdy objął ją mocniej, czuła, jak drży z podniecenia.

– Powiedz mi – szepnęła – powiedz mi, Amadeo, jak ci się podoba ta sukienka... jest seksowna, prawda? Wszystkie moje modele są takie i dlatego odniosą wielki sukces.

Amadeo przesunął ręką po jej piersi okrytej szarym jedwabiem. Cholera, ona dalej mówi o swoich projektach i o tej kiecce, kiedy on ma ochotę tylko na jedno: żeby zedrzeć z niej wszystko. Od dawna tak się nie czuł, nawet Olympe nie potrafiła już go tak podniecić. Jego członek był twardy jak skała i pulsował, bliski wytrysku.

Paris zaśmiała się, gdy przycisnął się do niej; rozpierała ją radość, podniecała

perspektywa świetlanej przyszłości, która otworzyła się przed nią teraz, gdy Amadeo zaakceptował projekty i udzielił jej tego kredytu. Może nawet zrobi coś więcej; może uda się go namówić, żeby został jej współnikiem. Palce Vitrazziego przez sukienkę igrały z jej sutkami. Pocałował ją mocno. Widać było wyraźnie, czego chce w zamian. Paris odchyliła się lekko i pozwoliła, żeby sukienka zsunęła jej się z ramion. Obojętnie patrzyła, jak Amadeo wtula twarz w jej piersi. Poczuli przyływ podniecenia, gdy zaczął pieścić językiem jej sutki.

Właściwie czemu nie? – pomyślała. Jeśli tego chce w zamian, to dostanie – i to w taki sposób, w jaki już dawno się nie kochał. Długo to będziesz pamiętał, Amadeo. Wyzwolili się z jego objęć i odsunęła z uśmiechem.

Amadeo ściągnął marynarkę.

– Poczekaj – poleciła.

Amadeo usłuchał posłusznie, a Paris zdjęła zielone satynowe majteczki.

Boże, czyż ona nie jest najbardziej seksowną i jednocześnie najbardziej elegancką osobą na całym świecie? I oto stoi tu przed nim nago, tylko w pantofelkach na wysokim obcasie! O Boże, jeśli szybko jej nie weźmie, to wszystko skończy się katastrofą, a nie sukcesem... Co teraz? Podchodzi do niego. Pieści dłońmi swoje ciało, z wahaniem dotyka sutków, leciutko głaszcze się po ciemnym zapraszającym trójkacie włosów. Amadeo zaczął rozpinać pasek.

– Poczekaj – Paris ujęła jego dłoń i położyła ją właśnie na tym miękkim, puszystym trójkacie. Uśmiechnęła się, gdy jego palce zaczęły błaznić między jej nogami.

Już dłużej tego nie zniesie, musi ją wziąć. Zaczął rozpinać rozporek. Usłyszał śmiech Paris, która przysunęła się bliżej i zaczęła ściągać z niego koszulę.

– Poczekaj, Amadeo, poczekaj – zamruczała prosto w jego ucho – ja to zrobię.

Najpierw zdjęła koszulę, złożyła ją starannie i położyła na krześle. Potem powoli ściągnęła mu spodnie, podrażniając sztywny członek. Nawet go nie dotknęła. Robiła to wszystko tak wolno, bez pośpiechu, rozmyślnie go dręcząc. Nigdy w życiu nie pragnął tak żadnej kobiety. Ach, to jest dopiero przeżycie.

Paris uklękła przed nim i powoli, bardzo powoli przeciągnęła dłońmi po jego brzuchu.

– Och, Amadeo – westchnęła z zachwytem – nie musisz już dłużej czekać...

Poczuł dotyk miękkich czarnych włosów na swoich udach. Pochyliła się nad nim, a jej usta były jeszcze bardziej delikatne niż pieśczoła włosów. Amadeo zaplątał w nich palce, gdy wstrząsnął nim długi orgazm. Już nie mógł czekać, nie mógł już dłużej wytrzymać.

Położył się wyczerpany, ale jedwabny głos Paris Haven dalej go kusił, a dłonie dziewczyny błazniły po jego ciele. Amadeo otworzył oczy i napotkał jej intensywnie

błękitne spojrzenie.

– Trochę cierpliwości, Amadeo, to dopiero początek.

Ma ładne szczupłe ciało i gładką opaloną skórę, pomyślała, siadając na nim okrakiem. Jest znowu prawie gotów... mogło być gorzej.

Córka Jenny Haven się sprzedała.

Rzym India znowu miała szczęście. Naprzeciwko Studia Parolego było akurat tyle miejsca, żeby wcisnąć jej malutkiego fiacika. Przód wprawdzie trochę wystawał, ale kto by się przejmował takim drobiazgiem. India z zadowoloną miną zatrzasnęła drzwi i zarzuciła torbę na ramię. Pochylając się spojrzała w boczne lusterko i poprawiła włosy. Wygładziła czarną spódniczkę i obciągnęła szkarłatny sweter, miękki i elegancki – w sam raz na ten wieczór. Bardzo dobrze się w nim czuła. A może, jeśli obrazki dobrze się sprzedadzą, zapłaci czynsz tylko za jeden miesiąc i kupi sobie marynarkę do kompletu? Może Marella obniży dla niej cenę?

Przez chwilę zastanawiała się, czy chce wyglądać ładnie ze względu na Fabrizia, czy na jego żonę. Marisa nigdy nie okazała nawet cienia zazdrości. Właściwie nie okazywała Indii żadnego zainteresowania, tak jakby dziewczyna była kimś zupełnie nieważnym, kto nigdy nie zdoła zachwiać pozycją Marisy Paroli. I miała rację. India doskonale zdawała sobie z tego sprawę.

We foyer na futurystycznych krzeselkach, jakby wyciosanych z bloków przezrystego topazu, siedział kwartet cicho grający Vivaldiego. W salonie tłoczyli się już goście. Kilkaset elegancko obutych nóg deptało pastelowy dywan Fabrizia. India patrzyła ze zgrozą na porozlewany szampan i wgniecione w nowiutki materiał resztki zakąsek i popiół z papierosów. Błagała Fabrizia, żeby na ten dzień zostawił czarną wykładzinę, ale odparł, że wtedy pokaz minie się z celem.

– Czarny kolor położy cały efekt. Wszyscy wrócą do redakcji i napiszą, że Paroli stracił wyczucie, albo pójdą na następną imprezę i zaczną rozpowiadać, że nowa linia to chała, bo kolory są dobrane bez sensu.

India zatrzymała się na chwilę przy drzwiach, niepewna, czy Fabrizio miał rację i tym razem. Może pierwsza piętnastka gości zauważyła ten dywan, ale reszta?

Nie było słyhać cichego gwaru rozmów, tylko wzajemne przekrzykiwanie się. Przepychając się do baru, India starała się pochwycić komentarze gości. Żadnego z nich właściwie nie obchodziło Studio Paroli ani też cudowny wystrój wnętrza. Z ust kobiet równie eleganckich jak lakowe konsolki Fabrizia udało się jej usłyszeć tylko urywki rozmów o wakacjach spędzonych na Costa Smeralda i coś o wyjeździe na narty do Ostaad. Opaleni i przystojni mężczyźni dyskutowali natomiast o pozycji lira i najnowszych notowaniach na Wall Street, choć sądząc z wyglądu, nie musieli się specjalnie przejmować sprawami finansowymi.

Fabrizio Paroli patrzył, jak India przeciska się przez tłum z niewzruszoną, typowo

amerykańską pewnością siebie, która go niezmiennie bawiła.

– Popatrz, jak nasza India ślicznie dziś wygląda – mruknął do Marisy.

Marisa podniosła wzrok. Chłodnym spojrzeniem oceniła wygląd Indii Haven, określiła markę producenta i oszacowała cenę nowego stroju, po czym zastanowiła się, czy Fabrizio nie dał przypadkiem podwyżki tej dziewczynie. Trwało to może z piętnaście sekund. Marisa nie kierowała się niechęcią czy złośliwością; była to zwykła reakcja wysoko postawionej kobiety, która automatycznie i precyzyjnie określa status finansowy i społeczny każdej młodej dziewczyny. Myliła się tylko w przypadku Angielek. Określenie ich pozycji było prawie niemożliwe, bo miały zwyczaj ubierać się w to, na co akurat miały ochotę. Mogła to być na przykład jakaś taniocha od Marksa i Spencera albo coś tak dziwacznie uszytego przez małomiasteczkową krawcową – ale za to z bardzo drogiego materiału – że nie sposób było się w tym dopatrzeć żadnej linii. Zdradzała je tylko biżuteria. Nosiły niewiarygodnie wielkie szafiry i szmaragdy, ale były to najprawdopodobniej resztki dawnej kolonialnej przeszłości i to pewnie obciążone długami.

India Haven stanowiła pewien problem. Ze względu na własną pozycję nie powinna w zasadzie być zaproszona na dzisiejsze wieczorne przyjęcie, ale nie można jej było tak po prostu pominąć. Gdyby przyszła razem z Jenny Haven, sprawa przedstawiałaby się zupełnie inaczej. Marisa była tylko bogata i należała do socjety, Jenny Haven zaś to gwiazda.

– Chcę ją przedstawić paru osobom – rzucił Fabrizio i zaczął przepychać się przez tłum w kierunku Indii stojącej przy barku. Z uśmiechem przyjmował komplementy gości.

Lubił Indię. Podobała mu się jej twarz o wystających kościach policzkowych, uśmiech, który ocieplał całą twarz, od warg odsłaniających cudownie równe zęby po roziskrzone brązowe oczy. Nawet jej miedziane loki, zawsze upięte w gruby koński ogon, zdawały się emanować wibrującą energią.

Dwa lata temu, gdy India wreszcie pogodziła się z myślą, że nigdy nie będzie wielką malarką, przyszła do niego i zaczęła go błagać, by ją przyjął jako stażystkę.

– Widzi pan, ja muszę się czegoś uczyć – rozplakała się – a znam się tylko na kolorze i linii. Wnętrzarstwo to dla mnie jedyne wyjście.

Fabrizio na początku błędnie ją ocenił i w konsekwencji potraktował dość obcesowo. Jej entuzjazm wydał mu się beczelnością, a znajomość kilku języków i elegancja – pozą znudzonej panienci z bogatego domu.

– Kolor i linia nie mają tu nic do rzeczy – powiedział. – Ta praca polega głównie na robieniu instalacji sanitarnych, betonowaniu, poganianiu robotników i podlizywaniu się rzemieślnikom. Trzeba radzić sobie z bogatymi humorzastymi klientami, którzy mają już wszystko, a chcą dostać od ciebie jeszcze więcej –

i zawsze musi to być coś oryginalnego! To cholernie ciężka robota, panienko, i takie jak ty się do niej nie nadają.

Sam wybił się z nędzy, spędził przecież dzieciństwo wśród neapolitańskiej biedoty, i to dodało goryczy jego słowom. India aż się skuliła w fotelu. Wpatrywała się w niego wielkimi brązowymi oczyma ze zdumieniem, nie rozumiejąc powodów tego gwałtownego ataku. Natychmiast pożałował swoich słów. Nie dlatego że powiedział nieprawdę, ale dlatego że bez względu na to, jak straszne było jego dzieciństwo, nie miał prawa odgrywać się na tej dziewczynie. Chyba ma ze dwadzieścia lat, nie więcej. A on miał ciężki ranek i jest zmęczony. Spojrzał na zegarek, przeprosił i powiedział, że idzie na lunch.

Zostawił tę dziewczynę oniemiałą z urazy, ale podchodząc już do drzwi, nagle odwrócił się i rzekł:

– Pewnie nie poszłaby pani ze mną na ten lunch, prawda?

Do dziś pamięta, co mu odpowiedziała. Jej twarz rozjaśniła się tym samym uśmiechem co teraz:

– Czybym nie poszła? Ależ pójde z wielką chęcią!

Było fantastycznie. I to on mówił przez cały czas. Opowiedział jej o dzieciństwie w Neapolu, o tym, jak wąziutkie uliczki, ściśnięte zrujnowane domy i wieczny tłok zrodziły w nim tęsknotę za przestrzenią i czystymi liniami, jak udało mu się dostać stypendium w szkole i na uniwersytecie. Potem mówił o nie kończących się studiach architektonicznych, o nauce wzornictwa i długiej drodze do sukcesu. I jeszcze o małżeństwie z Marisą, które oczywiście w dużej mierze przyczyniło się do jego sukcesu.

– Ale tak naprawdę to wszystko jest wyłącznie pańską zasługą – westchnęła z podziwem. – Mama zawsze mówi, że pieniądze nie gwarantują powodzenia. Potrzebny jest talent.

– A skąd pani wzięła taką mądrą mamę? – spytał z ironicznym uśmiechem.

– To Jenny Haven – odpowiedziała po prostu.

– India!

– Fabrizio! – na gładko ogolonym policzku poczuł ciepło jej pocałunków.

Pachniał wodą Eau Sauvage i papierosami Disque Bleu.

– I znowu sukces – powiedziała radośnie.

– Zdaje się, że tak – wzruszył ramionami. – W tym szkarłacie wyglądasz prześlicznie. Jenny się złamała i przysłała ci jakieś pieniądze?

– Widać, że dużo kosztował? – zapytała z przekąsem.

– Nie da się ukryć. Przypomnij mi w poniedziałek, żebym ci dał podwyżkę. Ktoś musi zadbać o to, żebyś trzymała fason, do którego wyraźnie chcesz przywyknąć. Jeśli twoja matka nie zamierza nic zrobić w tym kierunku, to ja postaram się trochę

pomóc.

– Trzymam cię za słowo, Fabrizio. Tymczasem popatrz na ten dywan. To straszne.

Aż się roześmiał na widok jej rozszerzonych ze zgorzenia oczu.

– Mam na jutro drugi taki sam, całkiem nowy. Wiedziałem, że ten będzie kompletnie zniszczony po dzisiejszym wieczorze, to normalne na takich przyjęciach. Coś ci powiem – poczuł nagły przypływ wspaniałomyślności – on jest pewnie w paru miejscach przepalony od papierosów, ale plamy na pewno zejdą w praniu. Do salonu wystawowego mimo wszystko się już nie będzie nadawał, więc może ty go sobie weźmiesz do domu?

Był u Indii w mieszkaniu i wiedział, że są tam zimne marmurowe posadzki i że dywan, nawet poprzypalany papierosami, będzie tam mile widzianym luksusem.

– Fabrizio Paroli, czy ty mówisz serio?

Szkoda że Marisa nie patrzyła na niego z takim wyrazem twarzy, kiedy podarował jej na Gwiazdkę naszyjnik z rubinów od Bulgari.

– Oczywiście że tak. Może trzeba go będzie pociąć i trochę pokombinować z kawałkami, ale będzie u ciebie bardzo dobrze wyglądał.

– Och! – wykrzyknęła India – kocham cię, Fabrizio.

Jej głos o charakterystycznym amerykańskim akcencie słychać było w całym salonie. Paroli zdał sobie sprawę, że niektórzy goście zaczynają się im uważnie przyglądać. Uśmiechnął się do dziewczyny.

– Ja też cię kocham – powiedział na cały głos.

Niech sobie gadają, niech sobie myślą, co chcą. Czasami przychodziło mu do głowy, że naprawdę kocha Indię Haven. Prawdopodobnie była to jedyna naprawdę miła kobieta, jaką spotkał w życiu, prawdziwa przyjaciółka, nie tylko kochanka. Spotykali się poza pracą tylko od czasu do czasu, rzadziej niżby chciał, ale był ostatnio bardzo zapracowany, a Marisa ze wzmożoną podejrzliwością obserwowała każdy jego krok. Dobrze, że India też się w nim troszkę podkochiwała. Kiedy Marisa dąsała się, że ją zaniedbuje i obchodzi go tylko firma, myśl o Indii pochlebiała jego godności własnej.

Gdyby nie dzieci, pewnie by się naprawdę zakochał w tej Amerykance. W dni, kiedy wyglądała tak uroczo jak dziś, pokusa stawała się naprawdę wielka. India była bardzo pociągająca, a poza tym świetny z niej kumpel. Tylko że on uwielbia te swoje dzieciaki i za nic nie chce ich utracić. Rodzina Marisy jest bardzo wpływowa. Nie miałyby żadnych szans na wygranie procesu o opiekę nad dziećmi.

– A teraz do roboty – rzucił energicznie. – Powinnaś obracać się w kręgu międzynarodowej socjety i wdzięcznie szczebiotać do tych, co właśnie niszczą nam dywan i udają, że im się podobają moje projekty. Rzuć im parę cen, niech ich zatka

z wrażenia. Jeśli wskażesz im coś oszałamiająco drogiego, to będą musieli to sobie sprawić.

India roześmiała się. Przesadził, ale w tym, co powiedział, tkwiło ziarno prawdy. Większość z tych ludzi nie miała własnego zdania, trzeba im było mówić, co jest dobre. „Widzowie są jak marni hollywoodzcy pośrednicy – powiedziała kiedyś matka tonem pełnym goryczy – to w zasadzie ludzie o prostackich gustach. Najpierw muszą usłyszeć, że coś jest dobre, a potem już sami w to wierzą. Czytają pochwały w specjalistycznych czasopismach i dziennikach, a potem upierają się, że oni już od dawna wiedzieli, że ten a ten jest dobry. W dodatku potem stawiają go za wzór młodym ambitnym artystom. Bądź właśnie taki, mówią, a zostaniesz gwiazdą. Kolejna kopia! Tylko tego im potrzeba. I jeszcze cała prasa i reklama musi ich bez przerwy upewniać, że taki a taki aktor jest w dalszym ciągu dobry.”

Właśnie po to urządziła się takie przyjęcia jak to; relacje z niego zostaną opublikowane we wszystkich czasopismach i dziennikach i dotrą do czytelników na całym świecie, od wiecznego Rzymu aż po słoneczne Beverly Hills, od pałaców Bliskiego Wschodu po bulwary Paryża i mokre od deszczu londyńskie ulice.

India oparła się o kolumnę z podrabianego malachitu i w milczeniu sączyła szampana, jednocześnie chłodnym okiem obserwując tłum. To są klienci, czyli ludzie, dla których się pracuje. W swojej pracy nie umiała i nie lubiła tylko jednego: dogadzania kaprysom bogatych kobiet. Tylko że to właśnie bogate kobiety mogły sobie pozwolić na kupno tych wszystkich rzeczy. Naturalnie, płacili mężowie, ale oferta musiała być skierowana do pań. Ciężko westchnęła. Niech to diabli, płec męska wciąż bardziej się liczy na tym świecie. Te bogaczki wołały być obsługiwane przez mężczyzn, bo pochlebiały im męskie komplementy.

– Jest aż tak źle?

India drgnęła, słysząc te słowa wypowiedziane tuż przy uchu. Nieco szampana wylało jej się z kieliszka wprost na rękaw eleganckiego garnituru mężczyzny, który przy niej stanął.

– Bardzo pana przepraszam! – O Boże, pewnie zniszczyła mu garnitur i teraz Paroli straci ważnego klienta. Na próżno starała się zetrzeć alkohol małą koktajlową serwetką. Materiał był w dalszym ciągu mokry. – Tak mi przykro – powiedziała.

Podniosła wzrok i popatrzyła przepraszająco w oczy mężczyzny, brązowe jak jej własne.

– Fit treflowy – skomentował Aldo Montefiore.

Wzrok Indii wyrażał zdziwienie; w dalszym ciągu myślała o wyrządzonej szkodzi. Kto by pomyślał, że w jednym kieliszku może się zmieścić tyle płynu!

– Nasze oczy – wyjaśnił. – Są tego samego koloru.

– Ach, tak. Rzeczywiście. – India spoglądała na niego z rosnącym zainteresowaniem.

Chyba w ogóle nie przejmował się marynarką, bo uśmiechał się do niej. To był naprawdę atrakcyjny mężczyzna. Miał ciemne włosy, lekko skręcone po solidnym szczotkowaniu i wciąż wilgotne od prysznica. Sięgały mu do szyi i były trochę nierówne. Ładne brązowe oczy o podwiniętych rzęsach patrzyły spokojnie. Uśmiechał się łagodnie, lekko pytająco, jakby niepewny jej reakcji. Tak jak ona nie był zbyt wysoki – może metr sześćdziesiąt pięć, najwyżej metr siedemdziesiąt. W butach na obcasie i w nowym wysokim uczesaniu prawie dorównywała mu wzrostem; wreszcie nie musiała zadzierać głowy, żeby z kimś porozmawiać, i sprawiło jej to dużą przyjemność. Jeśli spoglądała na mężczyznę z dołu, zdawało mu się, że jest panem i władcą, a ona wyglądała jak smarkacz na spacerze z tatusiem. Wreszcie pojawił się ktoś, z kim czuła się jak równy z równym. I do tego strasznie podobał jej się ten uśmiech. O rety, on coś powiedział, tak się na niego zagapiła, że nie dosłyszała słów.

– To moja wina – powtórzył spokojnie – nie powinienem zagadywać pani zniecka.

– Nic nie szkodzi. Martwię się tylko pana marynarką, niech pan spojrzy, nadal jest mokra. Chodźmy, dam panu ścierkę z kuchni – India uśmiechnęła się, a szkarłat na jej wargach lśnił prawie tak samo jak jej oczy. – Nie gwarantuję, że uda nam się doprowadzić pański ubiór do pełnej świetności, ale będzie na pewno suchszy – dodała, wskazując mu drogę.

W kuchni panował nie mniejszy ruch niż w salonie; kelnerzy wynosili tace z gorącymi przekąskami, a kucharze pracowali gorączkowo w ciasnym pomieszczeniu, narzekając na brak miejsca.

– Proszę tutaj poczekać! – zawołała India, przeciskając się między nimi.

Aldo oparł się o ścianę, tak żeby nie przeszkadzać kelnerom. Pierwszy raz zobaczył ją dziś, gdy parkowała czerwonego fiata, i poszedł za nią do Parolego. Gdyby nie weszła do salonu, poszedłby za nią i gdzie indziej, ale szczęśliwym zbiegiem okoliczności oboje byli zaproszeni na to samo przyjęcie. Wciąż nie wiedział, kim jest ta dziewczyna, ale niewątpliwie dobrze znała Fabrizia i swobodnie poruszała się po salonie i innych pomieszczeniach. Na pewno tu pracuje. Jeśli tak, to pewnie nie idzie na kolację, więc on też się z niej wykręci i zaprosi ją do restauracji. Jeśli z tego powodu wprowadzi zamieszanie w przygotowany przez Marisę plan zajmowania miejsc przy stole, to trudno. Dziewczyna wyszła z kuchni ze ścierką w ręce. Nie wiedział nawet, jak jej na imię.

– India Haven – powiedziała, wycierając rękaw marynarki. – Proszę to zdjąć, zobaczymy, czy koszula też jest taka mokra.

Aldo niecierpliwie odsunął ścierkę.

– Zostawmy koszulę w spokoju – powiedział – sama wyschnie. Jakim cudem dano pani na imię India?

Spojrzała na niego zaskoczona.

– To proste. Tam zostałam poczęta. Na jachcie „Moonrise”, na jeziorze Szrinagar w Kaszmirze.

– A dlaczego nie nazwano pani Moonrise, Szrinagar albo Kaszmir?

– Kaprys matki. Moja starsza siostra nazywa się Paris, a młodsza Venetia, taka wariacja stylistyczna na temat Wenecji. Ja dziękuję Bogu, że nie trafił mi się Ganges albo Katmandu!

Aldo roześmiał się, odrzucając głowę w tył.

– Indio Haven, pozwól mi zaprosić się dziś na kolację.

Jej wahanie było pełne uroku. Patrząc w te przejrzyste brązowe oczy, z łatwością czytał w myślach dziewczyny. Wpierw zainteresowanie, potem wahanie, potem decyzja.

– Niestety nie mogę.

– Ale dlaczego?

– Jestem zaproszona na kolację u Fabrizia i nie mogę go zawieść.

– Wszystko jasne, Kopciuszkule – odparł z triumfem – oboje idziemy na tę kolację.

– Doprawdy? – śmiech Indii zabrzmiał w korytarzu. – No to do zobaczenia.

Muszę już lecieć, obiecałam Marisie, że przed przyjściem gości sprawdzę, czy wszystko w porządku. Właściwie nie jest to wcale potrzebne, obsługa znacznie lepiej się na tym zna ode mnie.

– Pracujesz u Marisy? – Aldo stanowczym gestem wziął ją pod rękę, gdy szli korytarzem.

– Nie. U Fabrizia. Już późno. Do zobaczenia na kolacji. – Wysokie obcasy Indii szybko stuknęły po korytarzu. Przed drzwiami jeszcze się odwróciła. – Nie wiem nawet, jak się nazywasz.

– Aldo – odpowiedział. – Aldo Montefiore. Ich spojrzenia się skrzyżowały.

– Montefiore – wymruczała, pieszcząc głosem sylaby jak aksamit – jak pięknie.

Obróciła się na pięcie i już jej nie było. Aldo pozostał sam jeszcze przez moment – w uszach brzmiał mu głos dziewczyny wymawiający jego nazwisko. Potem w ślad za nią przeszedł przez zatłoczony salon.

Zobaczył ją znowu na ulicy. Wpatrywała się w puste miejsce po odholowanym czerwonym fiaciku. Napis na ścianie wyraźnie zabraniał parkowania.

– Pewnie go wywieźli – powiedział Aldo ze współczuciem.

Jej pech był jego szczęściem. Oznaczał, że może podwieźć dziewczynę do willi... a potem zabrać ją do domu.

– Do wszystkich diabłów! – India aż się popłakała ze złości. Uwielbiała ten samochód. Nienawidziła, gdy dotykał go ktoś obcy. Bóg jeden wie, w jakim stanie go odzyska; firmy holownicze były znane z pozostawiającego wiele do życzenia traktowania nielegalnie zaparkowanych samochodów. – I co ja teraz zrobię?

– Jedziemy. – Aldo znów wziął ją pod rękę i poprowadził do swojego małego czarnego volkswagena, stojącego pod olbrzymim zakazem parkowania.

– Nie do wiary! – Indię aż zatkało. Aldo wzruszył ramionami.

– Dziś zaczęli od lewej strony ulicy – wyjaśnił. – Później wrócą po te z prawej.

– Mój zwykły pech. No, ale gdyby mi się to nie przytrafiło, to padłoby na ciebie i byłoby jeszcze gorzej. Wyobraź sobie: najpierw jakaś roztrzepana baba oblewa cię alkoholem na przyjęciu, a potem okazuje się, że odholowali ci samochód.

– Dokładnie! Po takim wstrząsie nie pozostałoby mi nic innego, jak uciec na wieś i zacząć żyć jak pustelnik, z dala od stresów wielkiego miasta.

Pomógł jej wsiąść do samochodu i zatrasnął drzwi, a ona wciąż się zaśmiewała. Tak, ten Aldo Montefiore naprawdę się jej podobał.

Londyn

Morgan McBain świetnie się bawił. Myślał, że wieczór będzie nudny albo, co gorsza, po angielsku sztywny, a okazało się, że jest fantastycznie.

Posadzono go po prawej stronie uroczej gospodyni, która bawiła go błyskotliwą rozmową, natomiast piękna dziewczyna z jego prawej strony była niezwykle zagadkowa. W dodatku cały czas miał dziwne wrażenie, że gdzieś musiał ją już widzieć, tylko nie pamięta gdzie. Venetia. Urocza Venetia.

– Venetia... takie śliczne imię. I takie niezwykle.

Jej miękkie wargi o barwie hibiskusa rozchyliły się w znajomym uśmiechu, a wielkie szarobłękitne oczy popatrzyły na niego z lekkim rozbawieniem.

– To taki romantyczny żart mojej matki. Moje imię pochodzi od miasta, w którym zostałam poczęta. To było w Wenecji, w apartamencie hotelu Cipriani albo w gondoli... do dziś nie może się zdecydować, w którym z tych miejsc.

Głęboki śmiech Morgana rozbrzmiał w całym pokoju.

– Wszystko jedno gdzie, w każdym razie efekt jest doskonały. Mam nadzieję, że nie masz braci, mogliby nie być uszczęśliwieni doborem imion.

– Mam dwie siostry, nie uwierzysz, ale nazywają się Paris i India.

– A gdzie dokładnie zostały poczęte?

– Naszym zdaniem India ma najlepiej: w łódce na jeziorze w Kaszmirze. A Paris w Ritzu. Tam gdzie Coco Chanel miała swoje studio, prawie drzwi w drzwi. Dlatego Paris upiera się, że przeznaczona jej jest kariera wielkiej projektantki mody.

– A ma szansę?

Venetia wzruszyła ramionami.

– To bardzo trudne, ale Paris ciężko pracuje. Z jej talentem i zaangażowaniem musi kiedyś odnieść sukces.

Morgan postanowił nie mówić jej, że życie często płaća brzydkie figle.

– A ty, Venetio, jaki masz talent?

– Ach, ja... jeszcze nic nie osiągnęłam, tylko skończyłam szkołę, a potem uzyskałam dyplom szefa kuchni. Właściwie nie mam żadnych specjalnych uzdolnień.

– Ale kolacja była doskonała i wszystko przepięknie wyglądało. To też talent, Venetio. – Chciał dodać, że jej uroda zapiera mu dech w piersiach, ale chyba było na to jeszcze za wcześnie.

– A ty, Morganie McBain? Gdzie zostałeś poczęty?

W oczach Venetii tańczyły chochliki. Towarzystwo Morgana sprawiało jej przyjemność. Było tak, jakby jedli tę kolację tylko we dwoje; reszta gości nie włączała się do ich rozmowy, a spojrzenie Morgana wprawiało dziewczynę w euforię. Miał jędrną i opaloną cerę, i takie szerokie ramiona pod eleganckim smokiem. Był najbardziej męskim mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkała.

– Poczęto mnie w barakowozie przy platformie wiertniczej na polu naftowym w najbardziej płaskiej i pustynnej części Teksasu. Ojciec był poszukiwaczem ropy, a matka, która go uwielbiała, zdecydowała się pozostać u jego boku przez okres ciąży, chociaż warunki były bardzo prymitywne. Umarła w dwa tygodnie po moim urodzeniu. Pracowała z ojcem ramię w ramię, pomagała mu... zawsze twierdzi, że bez niej nigdy by się nie dorobił.

– Morgan, tak mi przykro – Venetia żałowała, że zadała mu to pytanie.

– Stare dzieje. Miała rację, ojciec w końcu stanął na nogi. Ale już nigdy się powtórnie nie ożenił – dodał z ironicznym skrzywieniem ust – chociaż zawsze paradowały przede mną całe rzesze ślicznotek, z których każda aż się paliła, żeby zostać moją mamusią!

– Zaraz, zaraz – Venetia dopiero teraz połączyła kilka faktów ze sobą – oczywiście, to ten Fitz McBain! Najbogatszy człowiek świata. Morgan, jestem pod wrażeniem!

– Chyba jednak nie najbogatszy – Venetia była jedną z niewielu znanych Morganowi dziewcząt, które wiadomość, że jest synem Fitz McBaina, wprawiła tylko w chwilowe osłupienie. Morgan, podobnie jak ojciec, przyzwyczał się, że magia jego nazwiska działa jak magnes na wszystkie atrakcyjne kobiety. Najpiękniejsze przedstawicielki międzynarodowej socjety z Europy i Ameryki robiły co mogły, żeby doprowadzić przed ołtarz ojca albo syna. – I w ogóle nie robi to na tobie wrażenia – powiedział, ujął jej dłoń i lekko uściskał – i masz rację. Po prostu

jestem ciężko pracującym synem ojca, który odniósł sukces finansowy. Robimy teraz interesy nie tylko na ropie naftowej. Fitz zaczął z zapałem kupować nieruchomości, może z powodu tych sześciu lat przemieszkanych w barakowozie, gdzie diabeł mówi dobranoc. W każdym razie kupował co żyźniejsze i zieleńsze tereny na subtropikalnych wyspach karaibskich; a że tęsknił do miasta, kupił działki w Central Parku i przy Madison Avenue w Nowym Jorku oraz w centrum Houston i Dallas; polubił wino, więc potem przyszła kolej na zamek z winnicą we Francji... Kupował wszystko, co mu wpadło w oko. A potem, ponieważ uważa, że ulokowany pieniądz musi pracować, pobudował tam hotele albo poprzerał na nie istniejące już budynki. Jak z tym skończył, zainteresował się transportem morskim, tankowcami, frachtowcami. Zaczął pracować w wieku trzynastu lat, urodziłem się, gdy miał dwadzieścia, a teraz skończył czterdzieści cztery. Ciekaw jestem, za co się złapie w następnej kolejności.

– A czy to cię nie niepokoi?

Śluchała z uwagą, wyraźnie bardzo zainteresowana jego słowami. Zniknęły pomiędzy nimi wszelkie bariery i Morgan nagle powiedział coś, czego nie słyszała przedtem żadna inna kobieta.

– Czasami. Nie zawsze jestem pewny, czy uda mi się spełnić jego oczekiwania w stosunku do mnie – wyznał z powagą. – Nie zawsze jest łatwo być synem sławnego, podziwianego ojca.

Vennie poprawiła się na krześle. Te słowa przypomniały jej o własnych rozterkach, które znowu opanowały jej myśli. Przyszłość. Co ma ze sobą zrobić? Jak pokierować życiem, żeby odnieść sukces godny Jenny? Jenny nigdy nie będzie z niej dumna: Vennie jest po prostu zwyczajną dziewczyną, przeciętnie zdolną, bez szczególnych osiągnięć – tyle że ma sławną matkę.

– Wiem, Morgan – powiedziała cichutko, z westchnieniem. – Wiem, co masz na myśli. Widzisz, jestem córką Jenny Haven.

– Venetio, chyba przeniesiemy się do salonu na kawę i pozwolimy panom na wypicie porto we własnym kręgu – powiedziała głośno Lydia.

– Naturalnie. Poproszę Marie-Therese, żeby już podawała. Dzięki Bogu, nie trzeba było nadzorować Marie-Therese, kiedy przygotowywała kawę, pewnie dlatego że sama wypijała całe hektolitry. Venetia posłała Morganowi i innym przepraszający uśmiech i wyszła z Lydią i innymi paniami do salonu.

Morgan patrzył za nią. Drobna, niemal dziecienną sylwetkę spowijała jakaś bezbarwna tkanina w typowo angielskim bezkompromisowym stylu. Dziewczyna była taka śliczna. Odwrócił się do stołu, by przyjąć kieliszek bursztynowego porto z rąk Rogera Lancastera. Córką Jenny Haven. Jasne, stąd to niepokojące podobieństwo. Dziwne... Był przekonany, że jego ojciec w dalszym ciągu kocha się

w tej aktorce, chociaż spotkał ją, zdaje się, tylko raz w życiu. Za to jako nastolatek durzył się w niej na zabój.

Morgan z przyjemnością sącył porto, a Roger Lancaster wyluszczał mu sprawy, które chciał przekazać jego ojcu.

Venetia prowadziła niezobowiązującą pogawędkę z gośćmi Lydii. Niektóre z pań były matkami jej przyjaciółek, więc czuła się wśród nich bardzo dobrze, a jednak cały czas miała uczucie zawieszenia w próżni w oczekiwaniu, aż otworzą się drzwi do pokoju stołowego i Morgan McBain znowu wkroczy w jej świat. Ale czy i tak nie za długo ze sobą dziś rozmawiali? Spojrzała na oryginalny zegarek Cartier Santos, który dostała od matki, w czasach kiedy jej pragnienia koncentrowały się na rzeczach prostych i konkretnych. Znów powędrowała myślą do Jenny i zagryzła wargę ze zdenerwowania. Co powinna zrobić? Nie zniesie powrotu do Beverly Hills. No, drzwi się nareszcie otworzyły. Wyczekująco spojrzała na korytarz, którym Roger Lancaster prowadził gości do salonu na kawę.

Nagle rozległ się donośny dzwonek telefonu.

– Vennie, możesz odebrać? – Lydia podniosła wzrok znad tacy z kawą.

– Pójdę do przedpokoju. – Przebiegła przez salon do aparatu. Stojący w progu Morgan McBain odsunął się, by ją przepuścić.

– Chciałbym z tobą porozmawiać – szepnął, chwytając ją za rękę, gdy przemykała obok niego.

W dalszym ciągu trzymał jej dłoń, gdy podnosiła słuchawkę, więc odwróciła się do niego z uśmiechem.

– Poproszę z panną Venetią Haven.

– Przy telefonie.

– Proszę czekać, Los Angeles do pani.

Paryż

Główka Paris spoczywała na jego lewym ramieniu. Amadeo spojrzał zezem na złoty zegarek, który nosił cyferblatem do wewnątrz. Dostał go od żony. Prezent był nie całkiem w jego guście, ale nosił go, żeby jej zrobić przyjemność. Za kwadrans dziesiąta. Już był spóźniony. Popatrzył na czubek głowy Paris, gdzie grube czarne włosy miękko dzielił błękitnawy przedziałek. Świetna dziewczyna. Cudownie było kochać się z kimś tak pełnym młodzieńczej energii i pasji, by nie wspomnieć o ukierunkowanej ambicji. Jak tylko skończyli, znowu spytała, czy on oczami wyobraźni widzi, jak świetnie będą wyglądać jego jedwabie w tej nowej kolekcji. Pewnie, że widział. Nawet worek będzie elegancki, jeśli się go zrobi z jedwabiu Vitraziego. Przysięgłby, że te projekty, modele i tkaniny podniecały ją seksualnie.

Przypomnił sobie jej sutki pod szarym jedwabiem i przesunął ręką po pięknie zaokrąglonej piersi Paris. Do diabła, zrobiło się bardzo późno. Nie ma czasu na powtórkę, chociaż pokusa jest wielka. Amadeo zdjął rękę z pleców dziewczyny i wstał z łóżka.

Paris uniosła się na łokciu i obserwowwała z niedowierzaniem, jak podchodzi do krzesła, na którym leżało starannie złożone ubranie. On się ubiera! Oczywiście, jest prawie dziesiąta, musi być głodny. Właściwie sama też umierała z głodu.

– Cio – powiedziała, używając tego samego pieszczotliwego słówka, co on – tu na rogu rue de Buci jest urocze małe bistro, przyciemnione światła, pełno zakochanych... świetnie tam dają jeść.

Pełno zakochanych! Amadeo zdecydowanym ruchem zapiął rozporek i wsunął nogi w miękkie mokasyny robione na zamówienie w Londynie. Co to za gadanie o romansach, restauracjach i zakochanych? Czy ona nie rozumie, że to była przelotna historia, drobny przerywnik w ciężkiej pracy? Taka dziewczyna może zagrozić małżeństwu, jeśli się ją dopuści za blisko. Jest za inteligentna, za cwana.

– Przepraszam, cara, ale już jestem spóźniony. Od godziny powinienem być u Olympe Avallon. Oczywiście, nie umówiłbym się z nią, gdybym wiedział... – uśmiechał się przepraszająco, ale unikał jej spojrzenia.

Paris wpatrywała się w niego bez słowa. Olympe Avallon, była modelka Diora, zdobyła kilka lat temu sławę i sukces. Poruszała się po estradzie tanecznym, zalotnym krokiem, a prezentowane modele sukien tchnęły dzięki niej erotyzmem bez porównania większym niż występy nagich tancerek w Folies-Bergere. Wykorzystała swoją popularność i trzy razy zdążyła już bogato wyjść za mąż. Właśnie rozwiodła się z tym trzecim. Była legendą wśród paryskich modelek. W trzydziestym piątym roku życia, wciąż porażająco piękna, wyglądała o dziesięć lat młodziej. Dzięki szczodrości kolejnych eks-mężów była także bajecznie bogata. O jej romansach plotkowało całe miasto. Jasne, teraz Paris sobie przypomniła. Widziała w różnych pismach zdjęcia Olympe ubranej w suknię od St. Laurenta – a może od Lagerfelda? – pod rękę z Amadeo. Paris nagle poczuła się poniżona. Potraktował ją tylko jako przekąskę przed głównym daniem, posłużyła za przystawkę, by Amadeo mógł zaostriżyć sobie apetyt na Olympe. Odrzuciła włosy do tyłu i otuliła się kołdrą, by okryć nagość. W każdym razie ma ten sześciomiesięczny kredyt. Czyli – warto było.

– Naturalnie, Amadeo – wykrztusiła – co za głuptas ze mnie. Umówiliśmy się tak nagle, oczywiście masz wcześniejsze zobowiązania. Może w tygodniu spotkamy się, żeby porozmawiać o interesach.

Amadeo znów popatrzył niecierpliwie na zegarek. Czy ta dziewczyna nie wie, co jest grane? Spojrzał jej w oczy i nagle posmutniał. Miał córkę w jej wieku.

– Jutro wyjeżdżam do Nowego Jorku, cara – powiedział szybko – i zostanę tam

prawie cały miesiąc. Ktoś z księgowości do ciebie zadzwoni. Oczywiście ja sam nie mam nic do powiedzenia w sprawie kredytów. To jest wyłącznie w gestii księgowych. – Z zabójczym uśmiechem podszedł i ją pocałował. – Twórcy, jak ty i ja, nie zajmują się takimi rzeczami, prawda? Ale jestem pewien, że jeśli dostaną od ciebie odpowiednie gwarancje bankowe, to „coś się da zrobić. Ciao, cara. Było miło.

Pocałował ją leciutko i swobodnym krokiem podszedł do drzwi pomalowanych przez Paris na czarno, by pasowały do belek na suficie.

– Ciao, ciao – pomachał ręką i wyszedł.

Amadeo Vitrazzi nigdy nie mieszał przyjemności z interesami.

Paris zupełnie osłupiała. Siedziała bez ruchu z niewyraźnym uśmiechem zastygłym na wargach. Tym wymuszonym uśmiechem go pożegnała. Jak to, przecież obiecywał! Tak mu się strasznie podobały jej modele, mówił, że jest genialna, że jest kopalnią talentów. W zamian dała mu siebie. Jej zdumione oczy powędrowały do miękkiej szarej jedwabnej sukienki leżącej na podłodze, tam gdzie Amadeo ją rozbierał. Zielone satynowe majteczki leżały przy łóżku na podłodze.

O Boże, co ja zrobiłam, powiedziała i rozplakała się. Łzy popłynęły jej po twarzy niepowstrzymanym strumieniem, kiedy przypomniała sobie chwilę, gdy podjęła tę decyzję i myślała, że nie będzie tak źle, w końcu on jest atrakcyjnym mężczyzną. Szlag by to trafił, potem nawet było przyjemnie! Teraz czuła się, jakby ją z czegoś okradł. Przez chwilę walczyła z rozpaczą, a potem ogarnęła ją wściekłość. Wściekłość na Amadea, na siebie, na domy mody i producentów jedwabiu, i na Jenny, która nigdy nie dawała jej pieniędzy, twierdząc, że jak ktoś ma talent, to i tak sam się dorobi.

Skoczyła na równe nogi i nago pobiegła do stołu kreślarskiego.

– Merde! – Jednym ruchem ręki zrzuciła cenne szkice. Następne uderzenie posłało na podłogę lampę ze sznurem skręconym jak pępowina. – Merde, niech to wszystko szlag trafi! – Zaczęła skakać po rysunkach i krzyczeć ze złości. – Skurczybyki! – wrzeszczała, biegnąc w stronę półek, żeby powyrzucać na podłogę bele materiałów. Widocznie jednak jej to nie uspokoiło, bo zaczęła je szarpać i rozrzucać, aż się porozwijały i całe metry kolorowych tkanin pokryły podłogę u jej stóp. – Niech szlag trafi wszystkich producentów – zapłakała, biegnąc po szarą suknię. Jedno silne szarpnięcie i rozdarła ją od góry do dołu. – Nienawidzę jedwabiu, wstrętne paskudztwo.

Kopnęła to, co zostało z sukienki – jej wściekłość doszła do szczytu. Na ławkowej tacy w dalszym ciągu stały szklanki z nie dopitą whisky i campari. Paris zatrzymała się na chwilę, żeby złapać oddech. Pociągnęła łyk ze swojej szklanki. Alkohol był równie gorzki jak jej myśli, więc z grymasem niesmaku wylała go na podłogę.

– Mam was wszystkich w dupie! – wrzasnęła i pobiegła w kierunku łazienki. –

Odpieprzcie się.

W ostatnim przypiływie furii kopnęła drzwi do łazienki, zapominając, że jest boso. Pulsujący ból dużego palca przywrócił jej jasność myśli. Usiadła na podłodze trzymając się za stopę i łzy popłynęły na nowo.

– Paris Haven, jesteś idiotką. Straszna idiotką – zapłakała. Myślała, że jest bardzo mądra, że panuje nad sytuacją. Może gdyby mu się nie pozwoliła uwieść, to dałby jej ten kredyt? Myśl ta zabolęła równie mocno jak uderzony palec. – Tak – powtórzyła z goryczą – jesteś idiotką.

Rozdzwonił się telefon. Oparta o ścianę, nie ruszając się obserwowała czarny aparat. Nie miała ochoty na rozmowę. Czekwała, aż przestanie dzwonić. I doczekała się.

Trzeba wziąć prysznic; może kąpiel zmyje z niej zapach Amadea Vitrazzięgo, a ona poczuje się znowu jak istota ludzka. Cholera, znów ten telefon! Dlaczego nie mogą jej dać chwili spokoju? Zawahała się w drzwiach łazienki. Telefon dzwonił i dzwonił w nieskończoność. Co jest, czy coś się stało? Paris powoli podeszła do aparatu. Nie będzie się śpieszyć, to może ten ktoś po drugiej stronie zrezygnuje i przestanie wydzwaniać. Dzwonek brzmiał tak przejmująco. Podniosła słuchawkę.

– Tak? – Jej głos ledwie było słycać w ciszy, która nagle ogarnęła całe poddasze.

– Mademoiselle Paris Haven?

– Oui, c'est mademoiselle Haven. Qui est a Appia Antica?

– Ne quittez pas, mademoiselle. Los Angeles vous demande.

Rzym Ogromna willa na via Appia Antica była pięknie urządzona w stylu lansowanym przez Fabrizia. Ale mimo to Indii zawsze wydawało się, że ten dom nie ma żadnego uroku. Nie z winy projektanta; on tylko stworzył tło. Brakowało tu elementu ludzkiego, kobiecych pamiątek, rodzinnych zdjęć z uśmiechniętymi dziećmi na plaży, ulubionej satynowej poduchy, rysunków przedszkolaka poprzyklejanych na ścianie w kuchni, bukietu kupionego nie dlatego, że pasuje do wystroju, ale ze względu na piękny zapach albo szalone, zwariowane kolory. Czasami, myślała India z poczuciem winy, aż się prosi, żeby zostawić ślady brudnych paluchów na tych nieskazitelnie gładkich płaszczyznach. To był kolejny salon wystawowy. Tylko że ten należał do Marisy, a nie do Fabrizia. Każde dzieło sztuki, każdy obraz, każda niedbale położona książka były kosztowne, w dobrym guście i tak dobrane, żeby wzbudzać zazdrość gości.

Tylko pokoje dziecięce były autentyczne, i to dzięki Fabriziowi. Marisa chciała, żeby na ścianach namalowano wymyślne freski przedstawiające bajkowe sceny: rycerzy w białych płaszczach albo dzieci zabłąkane w lesie, ale Fabrizio był twardy. Ściany w pokojach pomalowano na biało, a dzieciom wolno było malować na nich,

kiedy chciały i co chciały, i bardzo je do tego zachęcano. Przy ścianach stały jaskrawoczerwone łóżeczka o opływowych kształtach i biało-czerwone szafki. Znajdowały się tu także wielkie skrzynie na zabawki i kosze na różne dziwne rzeczy, które w ciągu dnia zaścielają podłogę dzieciennego pokoju. Dzieci miały także drabinki, kącik do koszykówki i mogły jeździć na wrotkach. Fabrizio uparł się, że jego pociechy mają mieć normalne dzieciństwo i żadne wyobrażenia, fantazje ani perfekcjonizm Marisy nie mogą ich krępować. Pięcioletni Giorgio i sześciolatnia Fabiola byli zatem pełni radości życia.

– Indio, znowu się zamyśliłaś – głos Marisy był miękki jak jedwab. – Dobrze się bawisz? Chyba jesteś trochę zmęczona.

India westchnęła. Kiedy ktoś taki jak Marisa mówi, że jesteś trochę zmęczona, to znaczy, że wyglądasz okropnie. Kolacja ciągnęła się w nieskończoność. India siedziała przy ostatnim z okrągłych stołów w towarzystwie trzech panów, którzy przez cały czas rozmawiali o przemyśle samochodowym, i dwóch pań, które bardzo dobrze się znały, miały mnóstwo wspólnych znajomych i zorientowawszy się, że India jedynie pracuje u Fabrizia, ignorowały jej obecność przez resztę wieczoru. Aldo Montefiore bezskutecznie błagał Marisę – mimo próśb nie zmieniła porządku siadania przy stole i musiał się z tym pogodzić. India spędziła wieczór obserwując, jak uśmiechnięty Aldo gawędzi z ładną kuzynką Marisy siedzącą po lewej i z jakąś oszałamiającą pięknnością po jego prawej stronie.

Marisa poszła za Indią do pokoju kosmetycznego przygotowanego dla pań po drugiej stronie przedpokoju, bo chciała się dowiedzieć, jak dobrze dziewczyna zna Aida Montefiore. Chciała szepnąć tej małej słówko ostrzeżenia, w przypadku gdyby India była za bardzo zainteresowana młodym człowiekiem. Nie chciała przecież mieć później problemu z tą protegowaną Fabrizia.

– Gdzie spotkaliście się z Aldem, carat – spytała, wyjmując wysadzaną klejnotami puderniczkę z błękitnej skórzanej saszetki. Delikatnym ruchem upudrowała sobie nos, napotykając w lustrze spojrzenie dziewczyny.

India grzebała w wielkiej skórzanej torbie. Jak zwykle w obecności Marisy czuła się strasznie niezręczna. Zaproszenia mówiły o nieformalnych strojach, ale szkarłatny sweter wyglądał głupio przy sukni z szafirowego kaszmiru od Krizii.

– Spotkaliśmy się na przyjęciu – powiedziała obojętnie – oblałam go szampanem.

– Nie przejmuj się, kochanie – Marisa przyglądała się, jak India maluje wargi czerwoną lśniącą szminką. – Temu garniturovi nic już nie zaszkodzi. Następnego prania pewnie już nie wytrzyma. Oczywiście, biednego chłopca nie stać na takie drobne luksusy jak porządne ubranie. Rodzina jest w bardzo ciężkiej sytuacji. Aldo jest jej jedyną szansą. Będzie się naturalnie musiał ożenić z pieniędzmi, a z jego wyglądem i tytułem nie powinien mieć większych problemów. Naokoło jest tyle

fortun – Marisa pogardliwie wzruszyła szczupłymi ramionami. – Oczywiście wiesz, kto to jest, kochanie, prawda? Conte di Montefiore to jeden z najstarszych włoskich tytułów arystokratycznych. Do tej rodziny należy ten wielki pałac w Wenecji, który kawałek po kawałku sypie się do kanału. Chyba go nawet kiedyś namalowałaś i dałaś Fabriziowi. No i jeszcze jest Palazzo Montefiore na wybrzeżu. Wspaniały, lecz skazany na zagładę, chyba że uratuje go potężny zastrzyk pieniężny. Aldo dobrze się bawił z moją kuzynką Renatą, nie sądzisz? – Marisa wzięła saszetkę i zamknęła ją zdecydowanym ruchem. – Każdy z nas ma jakieś zobowiązania – oświadczyła na koniec, uśmiechnęła się leniwie przez ramię i odpłynęła w kierunku salonu.

India aż się gotowała ze złości. Policzki jej poczerwieniały. Jak ta Marisa miała czelność ją przestrzegać, niczym pannę służącą, która ugania się za właścicielem majątku! Dziewiętnastowieczne bzdury! Poza tym w ogóle nie obchodzi jej ten Aldo Montefiore. Ten cały conte di Montefiore. Brązowe oczy spojrzały na nią z lustra i przypomniała sobie moment, gdy Aldo roześmianym głosem powiedział „fit treflowy”. No, pewnie nie jest nią zainteresowany, ale za to atrakcyjny. I miły...

India wstała gwałtownie. Była zmęczona. Już czas do domu. Znajdzie Fabrizia, pożegna się i pójdzie sobie.

Przyjęcie trwało w najlepsze. Pianista w holu leniwie przebiegał palcami po klawiszach białego fortepianu i śpiewał piosenki Cole’a Portera. Goście stali w małych grupkach albo plotkowali, siedząc wygodnie na miękkich kanapach. Kelnerzy w białych rękawiczkach podawali kawę i doskonałe maleńkie czekoladki na srebrnych tackach. India rozejrzała się za Fabriziem. Stał pochylony nad fortepianem, wsłuchany w czarodziejskie słowa, które nie zestarzały się wcale z upływem czasu.

– Muszę już iść, Fabrizio. Dziękuję za uroczy wieczór.

– India? Już? Tak szybko?

Poczuła lekki dotyk jego ciepłych dłoni. To dziwne, Marisa zniechęca ją do Aida, którego wyraźnie przeznaczyła dla swojej kuzynki Renaty, a własny mąż jej nie obchodzi.

– Jestem zmęczona – zająknęła się. – Miałam pracowity dzień, a jutro muszę wcześniej wstać, chcę sprawdzić, czy hydraulicy pojawili się w apartamencie Mondiniego.

Fabrizio poczuł wyrzuty sumienia. Czasami kazał jej chyba za ciężko pracować. Mógł przecież bez problemu wysłać kogoś innego, żeby przypilnował robotników w przebudowywanym luksusowym apartamencie na poddaszu, ale to był pierwszy projekt powierzony Indii od początku do końca. Jeśli chce się uczyć, to musi rozumieć podstawy równie dobrze jak wykończeniówkę. Dobre instalacje były tak samo ważne jak kolor kafelków w łazience.

– No to trzymaj się, cara – powiedział, pochylając głowę i czule całując

dziewczyne w oba policzki. – Ciao, do zobaczenia jutro.

Patrzył w ślad za odchodzącą.

– India? Odwróciła się.

– Tak?

– Jutro po południu przywiozą ci dywan.

Jej radosny uśmiech wprowadził go w doskonały nastrój.

India przyjrzała się rolls-royce'om, mercedesom, ferrari i porsche zaparkowanym w podwórzu, a potem przypomniała sobie z rozpaczą, że przecież jest bez samochodu! Zawahała się na schodach, gdy parkingowy podszedł po kluczyki.

– Czarny volkswagen rabbit, jeśli pan tak miły. – Aldo uśmiechnął się do niej. – Na pewno znajdzie się od razu. To bez wątpienia jedyny volkswagen w tej całej kolekcji szpanerskich limuzyn.

– Tylko czy ty nie powinieneś zostać na przyjęciu? – India mimo woli była zadowolona i odpowiedziała mu uśmiechem.

– Zawsze odprowadzam do domu dziewczynę, z którą przyszedłem – puścił do niej oko – a poza tym, jak byś wróciła do domu, gdybym cię nie odwiózł?

Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jest zmęczona, dopóki nie usadowiła się w samochodzie, rozprostowując palce stóp w czarnych pantoflach. Rzuciła okiem na profil Aida, skoncentrowanego na prowadzeniu samochodu po zatłoczonych ulicach. W światłach mijanych samochodów wyglądał starzej i był jakby smutniejszy. Podobała jej się ta twarz o wyrazistych rysach, wystających kościach policzkowych, lekko spłaszczonym nosie i ciemnych oczach tak podobnych do jej własnych. Jego dłonie trzymające kierownicę były kwadratowe i mocne, a na przedramieniu widać było ciemne jedwabiste włoski. Gdy przyglądała się jego ręką, poczuła leciutki dreszcz podniecenia.

Aldo na moment przestał się wpatrywać w pędzące samochody i spojrzał na siedzącą obok dziewczynę. Patrzyła wprost przed siebie, a światło latarni podkreślało błądź jej twarzy. Uroda Indii chwytła za serce. Panna Haven miała w sobie coś, co budziło w mężczyznach czułość, a Aldo postanowił unikać czułości za wszelką cenę. Właśnie się jednak przekonał, że mu się to nie uda.

– Teraz w lewo – jej głos z uroczym obcym akcentem przerwał jego rozmyślenia. Skręcił szybko w przecznicę, kierując się wskazówkami, i skoncentrował znowu na prowadzeniu wozu.

– Jeszcze raz w prawo i jesteśmy na miejscu – powiedziała India. – To już ten dom.

Samochód zwolnił łagodnie i zatrzymał się przy krawężniku.

– Chodzi jak rolls-royce – skomentowała India z przekornym grymasem.

– Minąłem się z powołaniem. Powinienem zostać mechanikiem.

– Poważnie?

Aldo uśmiechnął się z wyższością:

– Nie, nie, żartowałem. Ale strasznie lubię ten samochodzik, to prawie moja miłość.

Miłość. India zastanowiła się chwilę. Szybko zmieniła temat.

– Powiedz mi, Aldo Montefiore, czym się zajmujesz?

– Zarządzam majątkiem rodziny. Jeszcze nie idzie mi najlepiej, ale się uczę.

A ty?

– Pomagam Fabriziowi. Jeszcze nie idzie mi najlepiej, ale się uczę.

Jego pełen aprobaty śmiech brzmiał gardłowo i przyprawił ją o lekkie drżenie.

Poczuła się odprężona; dobrze się czuła w jego towarzystwie, podobał jej się z wyglądu i z zachowania. Do diabła z Marisą i jej kuzynką, pomyślała nagle.

Najważniejsze, że jest tak miło.

Aldo spojrział na dom Indii. Kamienna fasada wyglądała surowo i odpychająco, a wielka podwójna brama, prowadząca pewnie na maleńkie podwóreczko, była zamknięta przed nocnymi natrętami. Ciekawe, które okna należą do mieszkania Indii?

– Tamte – pokazała – na pierwszym piętrze. Właściwie mieszkanie jest za duże dla jednej osoby i jeszcze jest w nim bardzo pusto, ale powoli urządzam je według najlepszych wzorów Parolego. Mam nadzieję, że nie wylaliśmy za dużo szampana na dywan – dodała wesoło – bo jutro będzie już należał do mnie. Podkreśli minioną świetność rezydencji panny Haven, a w chłodne zimowe wieczory zapewni mi ciepło i wygodę. Kiedy w styczniu Rzym okryje się śniegiem, będziesz mógł sobie wyobrazić, jak przebieram paluszkami nóg, nurzając się w miłym ciepełku.

– Nie omieszka – odpowiedział, ciekaw, czy dziewczyna zaprosi go na górę na drinka.

– Słyszałam, że jesteś hrabią – India nagle zmieniła temat. – Conte di Montefiore.

– A ja słyszałem, że jesteś córką Jenny Haven – Aldo uśmiechnął się łagodnie.

India zeszywniała. A więc o to chodzi. Wiedział, kim ona jest. Nagle straciła humor. I pewnie on sobie myśli, że jestem jeszcze jedną bogaczką na wydaniu, kolejną kuzynką Renatą. No to się pomylił. Moja matka może i ma pieniądze, ale każdego centa zdobyła ciężką pracą. Owszem, zarobiła miliony, ale dzięki własnej przedsiębiorczości, i nie zgodzi się nimi szastać, by odrestaurowywać jakieś tam włoskie pałace. Postawiłeś na niewłaściwą dziewczynę, Aldo.

Trzasnęła drzwiami ze złością. Aldo, zaskoczony, wysiadł za nią.

– Dobranoc – powiedziała India sztywno – i dzięki za podwiezienie. Bardzo to miło z twojej strony.

– Ależ, Indio, chciałbym się z tobą jeszcze zobaczyć. Pójdziemy jutro na kolację? Proszę cię, zgódź się. Moglibyśmy skoczyć do takiej małej trattorii na wzgórzach.

Będziesz zachwycona kuchnią papy Rizzolego. O tej porze roku zawsze palą w kominku wielki ogień z gałęzi jabłoni, pachnie jak w raju. Siedzi się przy świecach, mają własne wino... strasznie lubię to miejsce. Chciałbym ci je pokazać.

Mówił bardzo przekonująco, ale India była nieugięta.

– Jutro mam coś innego do roboty – odpowiedziała mgliście.

– No to pojutrze albo później. Powiedz kiedy.

– Zadzwoń do mnie – dziewczyna zniknęła za wielkimi drzwiami, które zamknęły się za nią głucho. Oparta o nie słuchała, jak jego kroki oddalają się po chodniku. Potem trzasnęły drzwi, silnik zaskoczył od razu i samochód odjechał. Dopiero wtedy India poszła w stronę jasno oświetlonej klatki schodowej. Jak wyglądałaby ta kolacja w trattorii? Aldo opisał scenerię wprost idealną do spędzenia romantycznego wieczoru z kimś miłym, z kimś, w kim można by się zakochać. Zapach drzewa jabłoni, światło świec pełgające po wiekowych wapnowanych ścianach, wino prosto z winnicy i Aldo Montefiore, jego mocne dłonie i ostry profil...

Charakterystyczny wysoki jazgot telefonu przeszył jej uszy, gdy rozmarzona wchodziła po schodach.

Telefon. I to do niej! Ostatnie stopnie pokonała biegiem, po dwa, pomajstrowała kluczem w zamku, zatrzasnęła drzwi za sobą i popędziła do aparatu, rzucając torbę na kanapę. Może to Fabrizio. Może postanowił uciec gościom na kilka godzin i wpaść do niej do domu.

– Tak – w jej zdyszonym głosie brzmiało oczekiwanie.

– Signorina India Haven?

– Sì: Pronto.

– Los Angeles do pani.

2.

Jenny Haven nie żyje. Wielkie, czarne nagłówki przecinały białą płachtę gazety, ogłaszając tragiczną wiadomość. Zamieszczone zdjęcie przedstawiało roześmianą blondynkę, już nie tak młodą, na jaką chciałyby wyglądać, ale w dalszym ciągu piękną. Linia podbródka nie była już tak idealna jak kiedyś, słynny biust był może nieco zwiotczały, ale wielkie, szaroniebieskie oczy patrzyły w im tylko właściwy sposób, a pełne wargi wyginały się w uśmiechu, który jakimś cudem był jednocześnie chłodny i prowokujący. Uroda aktorki nic nie zawdzięczała skalpelom hollywoodzkich chirurgów. Jenny bała się szpitali i lekarzy i nie mogła się zdecydować na dobrowolne pójście pod nóż, nawet gdy jej uroda zaczęła nieco przygasać, a agenci sugerowali, że ze względu na karierę „trzeba trochę pomóc naturze”. Jenny Haven stanowiła idealne połączenie „pszenicznej dziewczyny” ze środkowych stanów i hollywoodzkiego blichtru. Była ludziom tak bliska jak dobra znajoma, a jednocześnie wydawała im się nieosiągalną gwiazdą, przebywającą w elitarnych sferach, gdzie niebo jest błękitne, słońce zawsze świeci, a limuzyny wożą kochanków. To o niej marzyli mężczyźni z całego świata i to ona stanowiła wzór dla wszystkich dziewcząt.

Venetia starannie złożyła gazetę, tak żeby nie widzieć tytułów za każdym razem, kiedy spojrzy na puste miejsce obok siebie. Szczególnie tego, który krzyczał: Jenny – złota dziewczyna: czyżby samobójstwo?

Jenny stuknęła już pięćdziesiątka, a ciągle nazywano ją dziewczyną.

– Dlatego, że wszyscy tak ją pamiętają – tłumaczyła Paris. – Vennie, to z sympatii, a nie na złość.

Paris rozumiała. A jednak tylko ona nie zaprotestowała przeciwko temu nagłówkowi. Paris milczała, a Venetia i India upierały się, że to przecież nie może być prawda, że Jenny, która tak bardzo kochała życie, nie mogłaby popełnić samobójstwa. Gazety sugerowały, że pocięty wrak srebrnego mercedesa na dnie Kanionu Malibu może ma coś wspólnego z alkoholem i narkotykami, że zmierzchem kariery i z rozstaniem z Rorym Grantem, który był od dwóch lat kochankiem gwiazdy, miał o połowę mniej lat niż ona i właśnie zaczynał karierę jako główny bohater nowego serialu telewizyjnego.

Gazety wyciągały wszystko, co się dało, żeby agencyjna wiadomość, która błyskawicznie obiegała wszystkie serwisy telegraficzne świata: Jenny Haven nie żyje, brzmiała jak najbardziej szokująco.

Lzy płynęły nieprzerwanym strumieniem po policzkach Venetii. Nie starała się ich powstrzymać, pozwoliła im toczyć się z podpuchniętych oczu po zaczerwienionej twarzy.

Sugestiom dziennikarzy najostrzej sprzeciwiła się India.

– Samobójstwo! – zawołała, a jej brązowe oczy zapłonęły gniewem! – Gdyby matka miała popełnić samobójstwo, zrobiłaby to w rollsie!

Jej słowa były tak oczywiste, a jednocześnie tak zabawne, że wszystkie trzy, siedząc w saloniku VIP na Heathrow w Londynie, wybuchnęły histerycznym śmiechem, jeszcze bardziej bolesnym niż łzy.

Venetia popatrzyła na drugi rząd siedzeń prywatnego odrzutowca, gdzie India siedziała po turecku z książką na kolanach i udawała, że czyta. Przez ostatnie pół godziny nie przewróciła nawet jednej kartki. Paris leżała wyciągnięta jak długa na trzech siedzeniach w rzędzie za Indią. Jedną ręką zasłaniała sobie oczy. Steward okrył ją kocem i udawała, że śpi, ale było to bardzo wątpliwe.

Venetia rozprostowała ścierpnięte nogi. Była znużona, a nie zmęczona fizycznie. Za dużo myśli wirowało w głowie, za dużo zdarzeń, za dużo pytań. I za dużo poczucia winy. Gdyby wróciła do domu na pierwszą prośbę Jenny... Szybkim krokiem poszła do łazienki w ogonie samolotu.

Drzwi z lewej strony były otwarte. Za nimi znajdował się mały luksusowy pokój, który prawie w całości zajmowało łóżko, pokryte ciemnobrązową narzutą z miękkiego futra. Przyćmione światło, wielkie lustro, przy łóżku piloty do telewizora, ekranu kinowego i sprzętu hi-fi. Sypialnia Fitz McBaina. Mogłaby tu się teraz położyć, gdyby chciała. Łóżko zapraszało do odpoczynku. Venetia przez chwilę pomyślała o właścicielu tej sypialni, bogaczu, który miał z dziesięć luksusowych hoteli, zamek we Francji i apartament w jednym z najnowocześniejszych i najbardziej ekskluzywnych budynków Nowego Jorku. Ten samolot to jego dom, powiedział Morgan. Większość czasu spędza w podróży, między jednym spotkaniem a drugim. Ma dwa takie same samoloty. Właściwie jego życie teraz nie różni się tak bardzo od początków kariery, kiedy mieszkał w barakowozie, pomyślała Venetia, przypominając sobie opowiadanie Morgana. Owszem, ten barakowóz jest luksusowo urządony i lata, ale czy to ma naprawdę jakieś znaczenie? Fitz McBain dalej „mieszka w biurze”.

Rozejrzała się po małej łazience. Lustra, kryształowe kurki przy kranach, brązowe kafelki... bardzo po męsku... flakonik wody kolońskiej Lagerfelda, kremowe ręczniki ze szkarłatnym monogramem McB. Te przedmioty niewiele mówiły o mężczyźnie, który po telefonie Morgana do Hamburga natychmiast oddał córkom Jenny Haven do dyspozycji swój prywatny samolot. I nie tylko: ofiarował się z wszelką inną pomocą, włącznie z oddelegowaniem dwóch potężnych ochroniarzy, którzy teraz siedzieli w tyle samolotu tak dyskretnie, jak to możliwe w przypadku tak postawnych mężczyzn. Po lądowaniu w Los Angeles dołączy do nich jeszcze dwóch kolegów.

Fitz McBain myślał szybko.

– Z Rzymu i Paryża zabierzemy dziewczęta do Londynu. Na Heathrow się nimi zaopiekują – powiedział do Morgana. – Wywieziemy je, zanim bomba wybuchnie. Ale w Los Angeles będą kłopoty. Reporterzy, telewizja z całego świata, do koloru, do wyboru. Wszyscy się zlecają, żeby zdobyć jakąś sensacyjkę o córkach Jenny Haven. Przez te wszystkie lata trzymała je z dala od kamer, więc i teraz by nie chciała, żeby ktoś zaczął je wyciągać na słówka, jak tylko wysiądą z samolotu. Będą rozkojarzone i zmęczone. Na pasie startowym będzie czekał samochód i jeszcze dwóch goryli. Załatwię wszystko tak, żeby mogły prosto z lotniska pojechać do mojego domu w Bel Air. To prawie forteca, nikt tam nie będzie ich niepokoił. Jak się trochę pozbierają, same zdecydują, co mają robić.

Rozwiązanie typowe dla ojca, stwierdził w duchu Morgan. Na wieść o śmierci Jenny Haven Fitz zamilkł na chwilę, a potem pomyślał nie tylko o tym, że trzeba będzie dziewczęta jak najszybciej przewieźć do Los Angeles, ale także o konieczności chronienia ich prywatności. Mimo pozornie ekstrawaganckiego stylu życia Fitz McBain przez całe życie starał się trzymać w cieniu swoje sprawy osobiste.

Venetia przyjrzała się swej bladej, podpuchniętej twarzy odbitej w lśniącym lustrze. Wygląda koszmarnie, ale to bez znaczenia. Zgasiła światło i wróciła do sypialni. Cyfrowy zegar przy łóżku podawał czas w Londynie, Nowym Jorku, Los Angeles, Rio de Janeiro, Hongkongu, Tokio i Sydney. W Londynie była dziesiąta rano, a w Kalifornii dopiero druga nad ranem. Czy to znaczy, że w Los Angeles od śmierci Jenny upłynęło mniej czasu?

Vennie zwinęła się w kłębek na futrzanej narzucie. Łzy ukołysały ją do snu.

Książka, w którą India wpatrywała się od godziny, zsunęła się na podłogę z cichym stuknięciem, ale dziewczyna ledwie to zauważyła. Widziała tylko matkę: Jenny uśmiechającą się do niej z iskierkami rozbawienia tańczącymi w błękitnych oczach; Jenny rozmawiającą przez telefon, przeczesującą znajomym, nerwowym ruchem ręki gęste jasne włosy; Jenny przeglądającą się w lustrze przed ceremonią rozdania Oskarów, z dumną miną zapinającą diamentowy naszyjnik i zakładającą na szczupłe ramiona obszerne futro z białych lisów; Jenny w łóżku, zrelaksowaną i roześmianą, otoczoną trójką córeczek, które błagają o jeszcze jedną bajkę; Jenny, która aroganckim tonem żądała najlepszych apartamentów w hotelu, „bo ona, kurczę, na to ciężko pracuje”; Jenny zakochaną, uganiającą się do utraty tchu za nowym mężczyzną... ciągle byli nowi mężczyźni, żaden nie zostawał na dłużej. Biedna Jenny.

Może, myślała India, gdyby żył mój ojciec, matka znalazłaby trwałe szczęście zamiast przelotnych przyjemności. Kochała go, sama mi to powiedziała. On też ją kochał. To nie było tak jak z ojcem Paris, z którym łączyła ją płomienna, lecz chwilowa namiętność. Z ojcem Venetii natomiast Jenny nawiązała flirt – bawiło ją

uwodzenie starszego dżentelmena z zasadami, dziedzica bardzo starego angielskiego tytułu arystokratycznego i ogromnego majątku. Była zachwycona, że może wprowadzić go w krainę erotyzmu, którego istnienia nawet nie podejrzewał i któremu nie potrafił się oprzeć. India nigdy się nie dowiedziała, czy historia z gondolą zdarzyła się w rzeczywistości, czy też Jenny ją wymyśliła, żeby podkolorować nieco opowiadanie. Jednak znając Jenny, można było przypuszczać, że mówi prawdę. Robiła z fantazją wiele rzeczy, choćby po to, żeby potem móc sobie przypominać, jak to ten dobrze wychowany, rozpalony namiętnością angielski dżentelmen brał ją w rozkołysanej gondoli płynącej po czarnych weneckich kanałach. Jenny uwielbiała emocjonujący seks i ryzyko, że w każdej chwili ktoś może odkryć, co się dzieje. Nie musiała wcale być zakochana, nawet na mgnienie – seks po prostu nierozzerwalnie łączył się z jej stylem życia. Jenny Haven uwielbiała się kochać – niektórzy określali to bardziej wulgarnie – ale India była pewna, że miłością darzyła tylko jej ojca.

Po twarzy dziewczyny przemknął uśmiech, gdy przypomniała sobie, jak matka opowiadała im „historyjki o tatusiach”, w miarę upływu lat wzbogacając je nowymi szczegółami, aż urosły do wymiaru rodzinnej legendy. Historia o tatusiu Paris była pełna namiętności, ta o tatusiu Venetii – zabawna, ale o moim – romantyczna; ukazywała bezbronną, zakochaną Jenny, która gdzieś na łodzi w Kaszmirze, ogrzana ciepłym ramion kochanka, oglądała cichy, chłodny, gwiazdzisty świt nad jeziorem Szrinagar... Wreszcie skończyli kręcić film, ale ich miłość się nie rozwiła. Mieli się pobrać, gdy on zakończy skomplikowane formalności rozwodowe. Nie doczekał tego – utonął w czasie kręcenia zdjęć w Singapurze, w jednym z tych bezsensownych wypadków, które tak wiele mogą zmienić. Tak, ta miłość mogłaby trwać i może wtedy Jenny żyłaby nadal.

Może to dlatego zawsze trzymała mnie blisko siebie, dumiała India. Czyżby z tego właśnie powodu posłała mnie do szkół w Stanach, a nie w Europie?

Oczywiście, zgodnie z teorią Jenny, że wykształcenie to podstawa życia, były to najlepsze szkoły. Najpierw Miss Porter w Nowym Jorku, a potem Vassar. Jenny pozostawała z nią w stałym kontakcie. India nigdy nie czuła się samotna albo nie kochana tylko dlatego, że dzieliło je kilkanaście tysięcy kilometrów. Jenny była zawsze na drugim końcu linii telefonicznej, a w nagłych wypadkach – jak zapalenie wyrostka robaczkowego albo zwichnięte na stoku kolano – przylatywała natychmiast specjalnym samolotem.

Jak ja cię strasznie kochałam, pomyślała znużona India. Kochałam cię jako matkę, podziwiałam jako ciężko pracującą aktorkę, a gdy dorosłam na tyle, żeby więcej rozumieć, kochałam cię za twoją kobiecość.

Czasami nie było łatwo być córką Jenny. India na zmianę chodziła w blasku chwały i kryła się przed nim, szczególnie w szkole plastycznej i podczas randek

z chłopcami. Wszyscy wiedzieli, albo myśleli, że wiedzą, w jaki sposób Jenny Haven zrobiła karierę – chociaż sama India nie była pewna, jak wiele prawdy jest w tych opowieściach. Z pewnym zaniepokojeniem zdawała sobie jednak sprawę, że chłopcy się zastanawiają, jak bardzo jest w tych sprawach podobna do matki. To prawda, że Jenny uciekła z domu w małym miasteczku w Karolinie Północnej, gdy zajęła pierwsze miejsce w konkursie śpiewu i stepowania zorganizowanym przez miejscowy browar. Mając w kieszeni pięćdziesiąt dolarów nagrody, Jenny wskoczyła w dalekobieżny autobus i pojechała na zachód, skąd zapraszająco błyskały jasne światła Hollywood. Miała wtedy trzynaście lat, a wyglądała na siedemnaście. Była wysoką, pełną seksu blondynką. I była niewinna – dopóki nie trafiła do tego miasta. Według obiegowych opowieści, uwiódł ją słynny reżyser – klasyk kina. Mieszkała z nim przez trzy lata, podczas gdy on „kierował jej karierą”, twierdząc cały czas, że jest dla niej jedynie jak stary dobry wujek. India przypuszczała, że tak było rzeczywiście. Potem nastoletnia Jenny przechodziła z rąk do rąk sławnych starszych od niej aktorów, wreszcie dzięki romansowi z reżyserem dostała rolę, w której odniosła sukces... Ile w tym wszystkim było przesady? Jenny zawsze się śmiała z tych historii i zbywała je wzruszeniem ramion, ale nigdy nie zaprzeczała.

W każdym razie, wykorzystywanie seksualne nigdy nie było dla matki gorzkim przeżyciem. Raczej sprawiało jej przyjemność – przynajmniej w większości przypadków. Oczywiście, o niektórych chwilach wolałaby zapomnieć. Krępował ją własny brak obycia i wykształcenia. Była przekonana, że gdyby skończyła szkoły albo pochodziła z „dobrego” domu, nie musiałyby pazurami walczyć o sukces, tylko spokojnie zajęłaby należne jej miejsce w hollywoodzkim panteonie – a pomogłyby jej talent i uroda. Tylko czy tak rzeczywiście by się stało? W Hollywood są tłumy zadziwiających piękności, utalentowanych i nie. Nigdy nie wiadomo, kto trafi przed kamerę.

Z tych właśnie powodów Jenny, która nigdy nie wyszła za mąż za żadnego z „tatusiów”, postanowiła wychować swoje córki na damy. Zdecydowała, że gdy trochę podrosną, zabierze je z Hollywood – mogłoby wycisnąć na nich swe piętno i przykleić im etykietkę „grzechów młodości” Jenny Haven. Jej dziewczynki mają dorastać w najlepszych warunkach, chodzić do najbardziej ekskluzywnych szkół, mają nabyć ogłady, znać się na sztuce, muzyce i książkach. Zadba o to, by rozwinęły swe uzdolnienia, a odpowiednie szkoły średnie będą dla nich początkiem drogi do sukcesu. Bo, naturalnie, wszystkie będą odnosić sukcesy. Jakże mogłoby być inaczej? Przecież to jej córki. Jenny bez oporów wydawała ogromne sumy na kształcenie dziewcząt w Europie, kupowała im ekstrawaganckie prezenty, widywała się z nimi na Starym Kontynencie i wynajmowała dla nich apartamenty w najlepszych hotelach. Ale kiedy przestały już się uczyć, poinformowała je, że oto są już „przygotowane do

życia”. Nie będą musiały mozolnie piąć się w górę, jak Jenny, młodziutka, głupiutka i rozpaczliwie samotna, ale na sukces muszą zapracować własnymi rękoma. Jenny sama zarobiła swoje miliony – i tego spodziewa się także po nich.

India westchnęła smutno, przypominając sobie, jak nieraz było jej ciężko grać rolę córki Jenny Haven nie mając żadnych specjalnych uzdolnień. Przerwała studia w Vassar, żeby pójść na historię sztuki w Wenecji. Włochy ją urzekły. Spędziła wiele uroczych dni w szkole sztuk pięknych we Florencji, gdzie nauczyła się malować swoje śliczne akwarelki, i przekonała się, że ma za mało zdolności, by osiągnąć sukces na miarę Jenny.

Patrzyła, jak Paris niespokojnie rzuca się na siedzeniach z tyłu. Jenny pomyliła się, zakładając, że wszystkie odziedziczą po niej ambicję i siłę przebicia. Tylko Paris je miała. Ponad wszystko pragnęła sukcesu i to pragnienie ją spalało; India miała nieprzyjemne poczucie, że jej siostra przed niczym się nie zawaha, byle tylko się wybić. A Venetia? Młodziutka wersja Jenny Haven, z tym samym przyprawiającym o zawrót głowy połączeniem niewinności i erotyzmu. Chyba sama jeszcze nie jest świadoma swego uroku, pomyślała India.

A ja? Popatrzyła obojętnie przez okno na skłębione chmury, ciemniejące wraz z nadejściem wieczoru. Czego oczekuję od życia? Do tej pory tak sobie płynęłam z prądem, dla przyjemności. Chyba jestem szczęśliwa... Byłabym, gdyby Fabrizio rozstał się z żoną. Na pewno? Bądź realistką, Indio, powiedziała sobie z niezwykłą u niej goryczą, Fabrizio nigdy nie zostawi Marisy, niezależnie od tego, co do ciebie czuje. A tak naprawdę, to co on czuje? Przedtem raczej unikała odpowiedzi na to pytanie. Od czasu poznania Fabrizia nie miała nikogo innego. Właściwie nikt jej nawet nie zainteresował – aż do zeszłego wieczoru, gdy spotkała Aida Montefiore. Przypomniała sobie jego ręce na kierownicy volkswagena: miał kwadratowe, mocne dłonie, ciemne, jedwabiste włosy, lekko zniekształcony profil w świetle ulicznych lamp i rozbawione ciemne oczy, szukające jej wzroku. Spodobałby się Jenny. Tyle że to wszystko jest bez znaczenia, pomyślała India obojętnie. Conte di Montefiore szuka sobie bogatej żony, a ona za nic nie będzie całe życie występować jako „ta druga”!

Łzy spłynęły jej po policzkach na śliczny szkarłatny sweter, który miała na sobie poprzedniej nocy. Po tym telefonie z Los Angeles i po półgodzinie, którą przesiedziała w szoku, niezdolna do najmniejszego ruchu, zadzwoniła do Fabrizia; zaraz przyjechał. A potem telefon zaczął dzwonić bez przerwy, przekazując instrukcje i wskazówki. Wszystko działo się w takim pośpiechu, że nie miała czasu pomyśleć o odpowiednich ubraniach, więc pewnie pójdzie na pogrzeb matki odziana w szkarłat. Ach Jenny, Jenny, załkała bezgłośnie, tyle się spodziewałaś po mnie – po córce jedyne go człowieka, którego kiedykolwiek kochałaś, a ja się niczym specjalnym nie wyróżniam i nie podzielam twoich marzeń i dążeń. A do tego sama nie wiem, czego

chę.

Paris piekły oczy od łez, które nie chciały popłynąć. Gdy przymykała powieki, ciągle słyszała przenikliwy dźwięk telefonu, przeszywający ciszę na poddaszu. Widziała znowu szarą jedwabną sukienkę, satynową bieliznę i potłuczone szkło. Przypominała sobie, jak odebrała telefon, z cieniem nadziei że może to jednak Amadeo... i nienawidziła siebie za to, że o nim pomyślała. Gorzej. Nienawidziła siebie za to, co pomyślała o Jenny: zrzuciła na nią winę za próbę uwiedzenia Włocha w zamian za jego jedwab, a przecież mogła za to obwiniać jedynie samą siebie. Jenny zaś leżała wtedy na dnie Kanionu Malibu. Dlaczego? Dlaczego o czwartej nad ranem jechała samotnie skrajem kanionu? W wieczorowej sukni?

Gospośia powiedziała, że Jenny spędziła ten wieczór w domu. Nie czuła się najlepiej i została w łóżku. Kiedy gospośia się kładła o wpół do pierwszej, telewizor był włączony – zapamiętała godzinę, bo właśnie leciał show Johnny'ego Carsona. Policja twierdzi, że to musiało się stać o czwartej albo piątej nad ranem, ale ciało znaleziono w wiele godzin później. Dlaczego nikt jej nie szukał? Pewnie dlatego, że Jenny nikogo nie dopuszczała do siebie zbyt blisko, pomyślała Paris z goryczą. Jenny nie należała do nikogo, nawet do żadnego ze swoich stałych kochanków. Ceniła swobodę, dawała miłość, kiedy chciała, i chadzała własnymi drogami. Może w ten sam sposób umarła?

Venetia i India dały się chyba przekonać, że to był wypadek, ale czy aby na pewno? Czy nie było żadnych powodów, które mogłyby pchnąć matkę do samobójstwa? Hollywoodzki sen wcześniej przemiął dla Jenny Haven. Żyła nim, sama była jego częścią. Zarobiła miliony dolarów, ale wiedziała, że za nim kryje się fałsz. Co jej dało powodzenie? Nie miała ani męża, ani życia rodzinnego, ani mężczyzny, który by o nią się troszczył, gdy przestała być pierwszej młodości – miała tylko dzieci, które musiała odesłać, by trzymać je z dala od stylu życia, do którego tak uparcie dążyła, ale w który już nie wierzyła.

Z naszej trójki jestem do niej najbardziej podobna, choć zawsze dzieliła nas duża odległość w sensie fizycznym, pomyślała Paris. Urodziłam się pierwsza i całymi latami ukrywano mnie przed światem, żeby nie wywołać skandalu i nie złamać Jenny kariery. W mglistych wspomnieniach z dzieciństwa widziała matkę jako porażająco piękną panią, odwiedzającą ją ukradkiem w willi we Francji, gdzie Paris mieszkała ze swoją przybraną rodziną. Potem urodziła się India i Jenny machnęła ręką na wszystko. Stwierdziła, że albo publiczność zaakceptuje ją taką, jaka jest, albo do diabła z nimi wszystkimi. No i widownia pogodziła się z jej nieformalnymi związkami, traktując jej grzeszki młodości – i dzieci – jako część mitu. Jenny Haven nie mogła być zła.

Paris pomyślała przelotnie o swoim ojcu. Co teraz czuje? Musiał przeczytać

o wypadku Jenny w gazecie albo dowiedzieć się o nim z telewizji. O wypadku... albo o samobójstwie. Co myślał, czy w ogóle o niej pamiętał? A jak mógłby zapomnieć? Spotkali się, gdy Jenny była u szczytu kariery i urody, a on – młody awangardowy francuski reżyser – zaczynał zyskiwać rozgłos. Gwałtowny, płomienny romans nie trwał długo, opowiadała Jenny. Przez trzy miesiące kochankowie nie potrafili rozstać się nawet na chwilę. Wzajemna potrzeba kontaktu fizycznego była tak silna, że nieraz Jenny przerywała pracę w środku sceny pod pozorem, że potrzebuje wskazówek, podczas gdy w rzeczywistości musiała ująć jego dłoń i unieść ją do ust albo poczuć jego oddech na policzku. Byli wiecznie niewyspani, bo ciepłe wieczory, spokojne noce i szare paryskie świty spędzali kochając się w ogromnym apartamencie w hotelu Ritz.

Nie, ojciec nie mógł zapomnieć o Jenny Haven, choć ich namiętność wygasła równie szybko, jak rozkwitła. Kiedy Jenny zorientowała się, że jest w ciąży, doszła do wniosku, że dziecko i minione uczucie do jego ojca to dwie różne sprawy. Dziecko jest jej i sama je wychowa.

Przed oczyma Paris pojawił się jasny jesienny dzień, kiedy obie szły, objawszy się ramionami, brzegiem jeziora Lucernę w Szwajcarii. Cytrynowożłote ogniki migotały w pięknych włosach Jenny, która opowiadała Paris o ojcu. Tego dnia osiemnastoletnia Paris po raz pierwszy usłyszała jego nazwisko. Przeżyła ogromny szok, dowiedziawszy się, że jej ojciec jest sławny na całym świecie nie tylko ze względu na kręcone przez siebie filmy, ale także jako odkrywca „gwiazd”, które wybierał spośród całej rzeszy dorastających młodych piękności o zmysłowych wargach, sterczących piersiach, splątanej grzywie włosów i prowokującym spojrzeniu. Przecież razem z koleżankami przypinała jego zdjęcia nad łóżkiem w internacie. To on był bohaterem mglistych, erotycznych fantazji nastolatek. Jenny popatrzyła na nią zakłopotana.

– Może nie powinnam ci mówić, jak się nazywa, Paris – powiedziała – ale masz już osiemnaście lat. Od kiedy skończyłaś siedem, nie zapytałaś mnie o niego ani razu, ale w końcu będziesz chciała poznać prawdę i wolę, żebyś się wszystkiego dowiedziała wprost ode mnie. Jesteś dzieckiem namiętności, Paris, a on nie potrafiłby być dla ciebie prawdziwym ojcem. Musiałam zastąpić ci oboje rodziców i dzięki temu jestem czymś więcej niż zwykłą matką, prawda? – Jenny patrzyła na nią, pragnąc potwierdzenia, zawsze pragnęła tak wiele miłości od wszystkich – od przyjaciół, od kochanków i od córek.

Paris poruszyła się niespokojnie, przekreśliła na aksamitnych fotelach i zasłoniła oczy miękkim brązowym kocem z lamy. Jej ojciec właśnie poślubił kolejną panienkę, młodszą od Vennie. Była to piąta z kolei odkryta przez niego „gwiazdka”. Paris nigdy nie czuła potrzeby, by się z nim skontaktować i dać mu znak życia. Teraz, gdy Jenny

nie żyje, on się nigdy nie dowie, że ma córkę. Paris zachowa tajemnicę dla siebie.

Znowu przyszedł jej na myśl Amadeo Vitrazzi. Zobaczyła jego opalone ciało na swoim i szarą jedwabną sukienkę rzuconą na podłogę.

– Ach, Jenny, Jenny – jęknęła dziewczyna i wreszcie łzy trysnęły jej z oczu. – Zdradziłam cię. Nie wychowałam córek po to, by walczyły o sukces środkami, jakich ty musiałaś używać.

A jednak czuła tę samą potrzebę wybicia się, tę samą wiarę we własne zdolności, to samo palące pragnienie sukcesu... te same potrzeby erotyczne.

– Nigdy więcej tego nie zrobię, Jenny – przysięgła. – Będę używać wszelkich środków, uczciwych i nieuczciwych, ale nigdy więcej nie sprzedam samej siebie.

Nagle przysła jej do głowy zaskakująca myśl. Przecież już nigdy więcej nie znajdzie się w takiej sytuacji. Teraz należały do nich miliony odziedziczone po matce. Paris znowu zanosła się płaczem.

Samolot przeleciał nad zakurzonym miastem, palmami, lazurowymi basenami kąpielowymi i jak drapieżny ptak przemknął nad zatłoczoną autostradą, podchodząc do łagodnego lądowania na pasie międzynarodowego lotniska w Los Angeles. Po raz ostatni ryknął potężnym silnikiem, wyhamował i zaczął kołować w kierunku budynków lotniska.

Były w domu.

Paris zacisnęła palce na poręczach fotela w nerwowym oczekiwaniu na to, co przyniosą najbliższe dni. Najpierw dochodzenie. Potem pogrzeb. Potem będą musiały uporządkować sprawę Jenny – urzędowe i osobiste, i to ona, Paris, jako najstarsza, będzie musiała się tym zająć.

India przesłała jej zmęczony uśmiech. Jaskrawy sweter podkreślał bladość twarzy i podkrążone ze zmęczenia oczy. Nawet jej loki jakby straciły naturalną sprężystość i przylegały gładko do głowy, przypominając Paris czasy dzieciństwa.

Odpięła pasy i z troską popatrzyła na Venetię, siedzącą z drugiej strony przejścia. Mała miała potargane włosy i zaczerwienione, podpuchnięte powieki. Umyła sobie twarz i bez makijażu wyglądała zupełnie bezbronne, jak piętnastolatka.

– Vennie – Paris przysiadła się do niej, obejmując ją opiekuńczo ramieniem – wiem, że nie będzie nam łatwo, ale jakoś sobie damy radę. Przynajmniej jesteśmy razem. Wytrzymaj jeszcze trochę, kochanie, niedługo będziemy już w domu.

W chwili gdy wypowiadała te słowa, zdała sobie sprawę, że wcale nie jest tak, jak mówi. Nie jechały do domu. Jechały do Willi Fitz McBaina. Błękitne oczy Vennie popatrzyły na nią z rozpaczą.

– Wszystko będzie dobrze, zobaczysz – Paris miała nadzieję, że głos nie zdradzi jej rozterek.

Gorączkowo pogrzebała w torbie i wydobyla z jej dna ciemne okulary –

nieodłączny element wyposażenia hollywoodzkiej gwiazdy. Teraz już wiedziała, do czego służą. Jeśli nikt nie może spojrzeć ci w oczy, masz szansę na zachowanie odrobiny prywatności.

Żadna z nich nie wzięła walizki, miały tylko podręczny bagaż – kilka niezbędnych drobiazgów wrzuconych w ostatnim momencie – więc bez problemów przeszły formalności celne i wizowe. Zostały natomiast kompletnie zaskoczone powodzią świateł, tłumem kamerzystów i ludzi z mikrofonami, setką głosów mamrocących ich imiona i żądających, żeby „popatrzyły tutaj” i „powiedziały, co sądzą o przypuszczalnym samobójstwie Jenny Haven”. Cofnęły się do wejścia, oślepione światłami, ogłuszone nagłym tumultem i wstrząśnięte brutalnymi pytaniami.

– Barbarzyńcy – syknęła Paris. – Quels sauvages!

– Musimy przebiec do wozu, panienko.

Do pary potężnych ochroniarzy dołączyła następna dwójka, która oddzieliła dziewczęta od kamerzystów. Złapały mężczyzn pod ręce i ścigani przez horde dziennikarzy pobiegli wszyscy korytarzem do wyjścia, gdzie na chodniku czekała już limuzyna. Przez zaciemnione okna olbrzymiego mercedesa Paris nadal widziała ciekawskie twarze i błyski flesza.

– Chyba jadą za nami, panienko – powiedział przepaszającym tonem ochroniarz – a pod domem będzie ich jeszcze więcej. Ale mur jest wysoki i strzeżony elektronicznym systemem. Postaramy się, żeby nikt się wam nie narzucał. Panu McBainowi bardzo na tym zależy.

– Powinnyśmy Bogu podziękować za twojego pana McBaina, Vennie – skomentowała India drżącym głosem. – Tylko on przewidział, co tu się może dziać, mnie by to w ogóle nie przyszło do głowy. Gdyby nie nasi opiekunowie, byłybyśmy jak w pułapce.

Venetia pomyślała o Morganie McBainie. Wspomnienie jasnych włosów, opalonej twarzy i wczorajszej kolacji przyplęnęło gdzieś z bardzo daleka. Patrzyła przez zaciemnione okna na znajomy pejzaż upstrzony kioskami z hamburgerami, jadłodajniami drivein, tanimi motelami i stojącymi tu i ówdzie wzdłuż drogi szybami naftowymi, które zawsze przypominały jej gigantyczne, kłaniające się koniki polne. Wieczór, który zaczął się tak obiecująco, po tym jednym telefonie zmienił się natychmiast w koszmar. Lydia i Roger Lancasterowie chcieli z nią jechać, ale udział kochających, zastępczych rodziców w pogrzebie prawdziwej matki wydał się wszystkim niestosowny. Venetia była córką Jenny Haven – i po raz ostatni miały być razem.

Limuzyna z milczącymi pasażerami lekko pokonała wzniesienie na końcu bulwaru La Cienega, w ostatniej chwili przy zmieniających się światłach przeskoczyła

skrzyżowanie i skręciła na zachód, w Bulwar Zachodzącego Słońca, mijając tablice reklamowe zachwalające najlepsze nagrania rockowe, jakiś nowy film i gwiazdy z Las Vegas.

India odwróciła oczy, gdy mijali luksusowe trawniki Beverly Hills, dzielnicy, w której mieszkała Jenny. Choć żadna z siostr nie spędziła tu zbyt wiele czasu, była to namiastka domu. W Beverly Hills India obchodziła w dzieciństwie urodziny, wracała tam ze szkoły żółtym rozklekotanym autobusem, ścisnęła w rączce swoje rysunki, które Jenny przyczepiała potem do ściany w kuchni, zapraszała do siebie dzieciaki na basen. Miały też jeszcze dom na plaży w Malibu, gdzie spędzały długie letnie tygodnie. Pewnie obie posiadłości będzie trzeba teraz sprzedać.

Strażnik przy zachodniej bramie Bel Air przepuścił ich machając lizakiem i wielka limuzyna podjechała pod położony na wzgórzu wielki biały dom z kolumnadą – część prywatnego świata Fitzo McBaina. Na szerokich frontowych schodach czekał młody człowiek.

– Dzień dobry, jestem Bob Ronson – przedstawił się. – Pan McBain życzył sobie, żebym w jego imieniu panie przywitał. Będę miał przyjemność opiekować się paniami. Jeśli będziecie miały jakieś życzenia, proszę mi dać znać.

Ronson był jednym z wielu młodych pracowników McBaina, łączył funkcje sekretarza osobistego, asystenta i majordoma. Zależało mu na pokonaniu licznych stopni wiodących do kariery w wielopoziomowej strukturze firm McBaina i bardzo szybko znalazł się na stanowisku powierzonym przez szefa najbardziej obiecującym i ambitnym pracownikiem. McBain nie znosił przeciętności. Zdawał sobie sprawę, że pewne osoby zawsze pozostaną, z wyboru czy ze względu na naturalne ograniczenia, gdzieś na średnich poziomach jego imperium, ale nie życzył sobie obecności miernoty w swojej bezpośredniej bliskości.

Biała rezydencja była pełna spokoju i słońca. Zdaniem Venetii, wyglądała bardzo po europejsku. Wypastowaną podłogę w przedpokoju przykrywały wyblakłe isfahańskie kobierce, a na ścianie wisiał jeden jedyny obraz – angielski pejzaż niebywalej urody i niebotycznej wartości. W parze pięknych kryształowych lusterek z Hepplewhite odbijały się wazony z kwiatami stojącymi na dwóch identycznych konsolkach. Venetia instynktownie pochyliła się nad herbacianymi różami, wdychając ich znajomy zapach.

– Cudownie pachną – zamruczała, zastanawiając się, czy to Fitz McBain lubi bukiety z wonnych angielskich róż i życzy sobie mieć je we wszystkich swoich rezydencjach, czy też kwiaty dobrał według swego gustu nieskazitelnie ubrany młody pan Ronson.

W oczach Indii, rozglądającej się po salonie zajmującym cały parter domu, zabłysła zawodowa ciekawość na widok Zatoki Aniołów w Nicei Dufy'ego,

wczesnego Pissarra i dwóch liliowych Monetów na ścianach. Pomyślała, że i bez tych obrazów wystrój salonu można byłoby określić jako „styl luksusowy”, choć spodobała jej się kolorystyka: kremowe i żółte tło z akcentami ciemnego błękitu.

Powinam przedstawić Fitzu McBainowi Fabriziowi Paroli, pomyślała, wyglądając na taras przez półokrągłe przeszklone drzwi. Szeroki zielony trawnik prowadził do lazurowego basenu, nad którym stał młody człowiek w białych szortach i koszulce, czyszcząc z liści nieskazitelną toń. Scenka jakby żywcem przeniesiona z obrazu Hockneya.

Ronson poprowadził je przez trawnik do białego, ozdobionego portalem letniego domku, w którym mieściła się mała, ale dobrze wyposażona sala gimnastyczna, przebieralnia i ulubiony pokój pana McBaina. Venetia natychmiast domyśliła się, czemu gospodarz tak go lubił. Ten pokój służył do wypoczynku; można się było wygodnie ułożyć na jednej z czarnych kanap, wziąć sobie książkę z którejś z półek albo słuchać na cały głos muzyki z fantastycznej wieży wyposażonej w potężne głośniki.

– Czego najbardziej lubi słuchać pan McBain? – spytała Ronsona, przesuwając palcem po kolekcji obejmującej Bacha, George’a Bensona, Vivaldiego, „Roxy Music”, Mozarta i zespół „Motown”.

Ronson wyglądał na zdziwionego.

– Pan McBain zwykle puszcza muzykę, jaka jego zdaniem spodoba się gościom. Nie wiem, czego słucha, gdy jest sam.

Venetia zastanowiła się przez chwilę. Morgan McBain powiedział, że wiele pań chciałoby odgrywać ważną rolę w życiu jego ojca. Czy Fitz McBain często zatem bywa sam? Czuła się trochę dziwnie, goszcząc w domu kogoś, o kim ledwie słyszała i nie wiedziała nawet, jak wygląda. Nie mogła sobie przypomnieć żadnych jego zdjęć w gazetach, ale Morgan mówił, że ojciec bardzo sobie ceni prywatność. Pewnie wygląda trochę jak panowie ze starszej generacji z Dallas, stwierdziła, taki czerstwy facet w średnim wieku, kowboj ubrany w garnitur.

India wzięła kij bilardowy i wbiła czerwoną bilę do luzu, po czym z zachwytem przyjrzała się frędzlastym wiktoriańskim abażurom nad stołem.

– To fantastyczny pokój – oświadczyła. – Urządzmy tu naszą kwaterę główną na czas pobytu.

– Zgoda – Paris padła na kanapę – tu jest trochę jak w domu.

– Proszę czuć się tu zupełnie jak w domu – powiedział Ronson. – Nikt tu paniom nie będzie przeszkadzał. Jeśli można, chciałbym teraz pokazać sypialnię. Pewnie chciałyby panie wypocząć.

Potężnie zbudowany mężczyzna z ochroniarskiego oddziału Bel Air czekał na nie w przedpokoju. Gdyby nie kabura na biodrze, mógłby uchodzić za bliźniaka

strażników, którzy towarzyszyli im wcześniej.

Czy oni są specjalnie dobierani wzrostem i wyglądem?, zastanawiała się Paris, gdy mężczyzna poważnym, pełnym szacunku tonem informował je, że straż jest w pełnej gotowości i że dom będzie pod całkowitą ochroną o każdej porze dnia i nocy. Nie muszą się martwić o fotografów z obiektywami teleskopowymi, którzy potrafią nieraz wspiąć się na drzewo, żeby zrobić krępujące zdjęcie, ani też o kamerzystów i dziennikarzy redagujących kolumny towarzyskie wciskających się na siłę przez bramy. Jego ludzie się tym wszystkim zajmą.

– To dla nas wielka ulga – odpowiedziała India.

Znała się na dziennikarskich sztuczkach na tyle, by wiedzieć, że jeśli jakiś paparazzi sfotografuje krótką kąpiel w basenie, to nazajutrz zdjęcie ukaże się w gazetach z podpisem: Córki Jenny Haven rozkoszują się kąpielą w słoneczny dzień, podczas gdy toczy się dochodzenie w sprawie śmierci ich matki. Życie jest okrutne. A dochodzenie ma się zacząć pojutrze.

Z uczuciem wdzięczności poszła za siostrami, by ukryć się w czterech ścianach swojego pokoju.

3.

Nowy Jork Raymunda Ortiz, odziana w śnieżnobiałą koszulę nocną, leżała leniwie wyciągnięta na środku olbrzymiego łóżka i zmieniała pilotem programy telewizyjne, jednym uchem przysłuchując się głosowi Fitz. Oczywiście, jak zwykle rozmawiał przez telefon i jak zwykle o sprawach firmy. Można by przysiąc, że telefon przyrósł mu do ręki na stałe, oczywiście z wyjątkiem tych chwil, kiedy się z nią kochał i ręce zajęte miał czymś znacznie bardziej atrakcyjnym. Popatrzyła jeszcze raz na swoją koszulkę z najcieńszego szwajcarskiego płótna, przymarszczoną przy szyi i rękawach i zdobioną delikatnym haftowanym kwiatowym deseniem. Chciała się upewnić, że naprawdę wygląda niewinnie, by Fitz sobie nie pomyślał, iż ona jest pierwszą lepszą dziwką w oślizłych jedwabkach. Niezależnie od tego, co robili w łóżku, chciała, by Fitz był przekonany, że ona jest damą – damą, która na przyjęciach będzie ozdobą socjety i która uczyni jego dom miejscem spotkań śmietanki towarzyskiej, jednym słowem damą, która nadaje się na żonę. Zresztą, Raymunda rzeczywiście była dobrze wychowaną dziewczyną z dobrej brazylijskiej rodziny. Wyszła za męża w wieku osiemnastu lat, owdowiała w dziesięć lat później, a teraz, mając trzydzieści dwa lata, desperacko rozglądała się za drugim mężem. A kto nadawał się lepiej niż Fitz McBain?

Popatrzyła na niego przez szerokość pokoju. Fitz, prawie nagi, owinięty tylko ręcznikiem w pasie, opierał się w swobodnej pozie o stół, przytrzymując słuchawkę podbródkiem. Jego ciemne włosy były jeszcze wilgotne od prysznicy, a kropelki wody wciąż spływały po muskularnych plecach. Raymunda pomyślała, że mogłaby tak zlizywać te kropelki, jedną po drugiej... pod warunkiem że on się wreszcie odczepi od tej cholernej słuchawki! Zdenerwowana, przełączyła telewizor na jakiś kwiz, wyłączyła dźwięk i zaczęła uważnie słuchać Fitz.

– Ogłoś przetarg na tę robotę, Morgan – mówił – to jedyny sposób. I nawet nie myśl o tych liberyjskich tankowcach, niedawno dwa poszły na dno.

Rozmawia z synem. Morgan jest taki przystojny... może jeśli z Fitzem jej pójdzie źle, to powinna zainteresować się tym młodym człowiekiem? Nie. Ma trzydzieści dwa lata, powinna raczej zarzucić sieć na ojca. Poza tym, to on posiada władzę.

Raymunda jeszcze raz popatrzyła na plecy Fitz. Kropelki wody spływały tymczasem pod ręcznik. Czekwała tu na niego, od kiedy przyjechał skądś tam – chyba mówił, że z Hamburga – a on się tylko szybkoitko przywitał, wskoczył na chwilę pod prysznic i zaraz zaczął telefonować do Morgana. Nawet nie zauważył tej koszuli. Popatrzyła na nią z powątpiewaniem. A może wygląda nazbyt niewinnie? Raymunda rozpięła guziczki aż do pasa i lekko rozchyliła materiał, eksponując duży, ładny biust. Miała przyjemną gładką oliwkową skórę. Lekko dotknęła sutków, z przyjemnością

obserwując reakcję własnego ciała.

Cały kłopot w tym, że nie wiadomo, jaką taktykę obrać w grze z Fitzem. Czasem, kiedy się kochali, trudno jej było pamiętać o doborze słownictwa właściwego damom. Z drugiej strony nie była pewna, czy człowiek z jego pochodzeniem rozumie, że nawet damy lubią dawać tyłka. Naprawdę ciężko grać podwójną rolę.

– Fitz! – zawołała niecierpliwie. – Jesteś mi potrzebny. Odwrócił głowę i uśmiechnął się do niej.

Problem w tym, że on naprawdę ją podniecał – lubiła jego wysokie, szczupłe, muskularne ciało, zahartowane przez te wszystkie lata, które spędził gdzieś w dzikich ostępach Teksasu. Podobały jej się brązowoczarne włosy, twarz z wyraźnie zarysowanymi kośćmi policzkowymi i głęboko osadzone ciemnobłękitne oczy. Ekscytowała ją również siła jego pieniędzy – tak wielka, że zapierała dech w piersiach. U boku Fitzo McBaina kobieta czuła, że cały świat leży u jej stóp, bo bogacze ustalają własne reguły gry. Władza to coś fascynującego.

Raymunda kusząco rozsunała białą koszulę i przybrała zmysłową pozę, opierając się o poduszki. Pragnęła go już teraz.

– Fitz! – zawołała znowu. – Chodź tu do mnie, chcę ciebie. Machnął tylko niecierpliwie ręką i rozmawiał dalej.

– Szlag by to trafił! – usiadła i ze złości znów zaczęła przełączać programy w telewizji.

– Czekaj! – Fitz rzucił słuchawkę na widełki i podszedł do łóżka. – Daj z powrotem wiadomości na dwójce.

– Na dwójce! Do cholery, ja tu czekam, żebyś...

Fitz wyrwał jej pilota i wcisnął dwójkę. Na ekranie pojawiły się zdjęcia Jenny Haven, a potem biuro koronera w Los Angeles. Cholerna Raymunda, ściszyła też głos.

– ...sekcja wykazała – mówił reporter – że choć krew Jenny zawierała nieco alkoholu, aktorka nie była pijana. Stwierdzono też obecność niewielkiej dawki środków uspokajających, ale nie tyle, by spowodowały zapaść, choć zawsze istnieje taka możliwość przy połączeniu leków z alkoholem. Może Jenny po prostu nie mogła zasnąć i postanowiła przejechać się na brzeg oceanu, by odetchnąć świeżym powietrzem? Tylko dlaczego w wieczorowej sukni? Może umówiła się z kochankiem? Jak do tej pory nikt się nie przyznał. W sądzie stwierdzono, że Jenny była dobrym, doświadczonym kierowcą, noc była bezchmurna, a nad oceanem nie gromadziła się mgła. Czy więc tragiczny wypadek zabrał Jenny spośród nas? Czy też był to akt rozpaczony ze strony starzejącej się kobiety, żyjącej z dala od trzech córek, które ledwie знаła, i niezdolnej samotnie stawić czoło dalszemu życiu? – reporter wskazał ręką na budynek sądu w tle. – Dziś rano koroner orzekł, że przyczyna śmierci

Jenny Haven jest nieznana. – Ponownie pokazano prezentera w studio. – Tak, smutny to koniec dla kobiety, którą każdy z nas kochał na jakimś etapie swojego życia...

Fitz wyłączył telewizor i przysiadł na łóżku. Teraz dopiero gazety zaczną rozgrzebywać całą sprawę, pomyślał. Popelniła samobójstwo? A może nie? Wyciągną każdy okruch przeszłości – a Bóg jeden wie, jak bardzo Jenny była niedyskretna. Fitz pomyślał, że ładnych parę osób w Hollywood modli się teraz gorąco, żeby Jenny nie prowadziła żadnego pamiętnika i żeby gospościa okazała się lojalna i nie opowiedziała prasie różnych szczegółów w zamian za ogromne pieniądze.

Oczywiście głównym celem będą trzy córki Jenny. Widział je przez chwilę w wiadomościach, jak uciekały przed dziennikarzami na lotnisku. Były tak bezbronne i nieodporne na przemoc, jak ich matka, przynajmniej takie sprawiały wrażenie. Tyle że wszyscy wiedzieli, że pod delikatną, eteryczną urodą Jenny kryje się żelazny charakter, ukształtowany ambicją i latami walki. W ciągu sześciu lat, od przyjazdu do Hollywood do momentu, kiedy została gwiazdą mając dziewiętnaście wiosen, Jenny przeżyła bezmiar rozczarowań i bólu, jaki niejednemu starcza na całe życie. To ją łączyło z Fitzem McBainem.

– Fitz – Raymunda przesunęła paznokciami wzdłuż jego kręgosłupa – od czego zaczniemy dziś wieczór?

Nawet jej nie słyszał. Spróbowała jeszcze raz: objęła go w talii, przytulając nagie piersi do jego pleców.

– Ja wiem, co bym chciała robić.

Pochyliła głowę i leciutko polizwała go po ramieniu. Fitz odepchnął ją i zerwał się na równe nogi.

– Ubieraj się, Raymunda.

– Ubrać się? Ale dlaczego? Ja jestem tutaj i czekam na ciebie. Nie podobam ci się w tej koszuli?

Widocznie zagranie na niewinną dziewczynę było błędem. On wolał ostrzejszy seks. Zdarła z siebie szwajcarskie płótno i rzuciła się na łóżko, rozsuwając długie, muskularne nogi. Zawsze mu się podobały, lubił, gdy obejmowały go w mocnym uścisku.

– Ubieraj się. Zaraz wychodzimy.

Raymunda zsunęła się z łóżka, ciągnąc za sobą koszulę, zarzuciła ją na ramiona i z wściekłością podeszła do drzwi. Fitz, nie zwracając na nią uwagi, odsunął zasłony i wpatrywał się w noc.

Wieżowce i iglice Manhattanu błyskały milionem światła. Widok ten niezmiennie sprawiał mu przyjemność, choć nie był pewien, czy zachwyca go sama uroda tego miasta, czy też myśl, że on, chłopak z dalekiego Teksasu, przeszedł zwycięsko długą drogę i został władcą tego miasta twardzieli – a jego pałacem była ta podniebna

rezydencja, z której roztaczał się widok na całe królestwo. Dziś jednak był ślepy na uroki panoramy.

Na wspomnienie wieczoru, gdy zakochał się w Jenny Haven, lekki uśmiech rozjaśnił jego surową, przystojną twarz. Miał wtedy trzynaście lat i wydał jedyne, ciężko zarobione dolara na bilet do kina i torebkę prażonej kukurydzy, o której i tak zapomniał już na początku seansu, pochłonięty emocjami wywołanymi widokiem rozbijającym błękitnych oczu Jenny, która z uśmiechem patrzyła na niego z ekranu w zapchlonym prowincjonalnym teksańskim kinie. Wtedy po raz pierwszy poczuł, jak to jest, kiedy się naprawdę pragnie kobiety, poczuł, jak w kroczu narasta olbrzymie napięcie, spowodowane nie jakąś tam młodzieńczą fantazją o dziewczynie z dużymi cyckami i umalowanymi ustami, stojącej za kontuarem w sklepiku, ale wywołane przez tę cudowną istotę o blond włosach, delikatnie pachnącej skórze i ustach jak z jedwabiu. Był pewien, że Jenny w rzeczywistości jest właśnie taka.

Przesiedział w kinie jeszcze jeden seans i wyszedł, dopiero kiedy już zamykali, ale przedtem wyzebrał od rozbawionego kasjera jeden z fotosów, które wisiały w gablotce we foyer. Od tej pory zdjęcie Jenny, w swetrze i szortach, przycupniętej na stołku i zalotnie dotykającej paluszką podbródka, zdobiło ściany wszystkich taniutkich pokoików, w których mieszkał w czasie swojej wędrówki po Teksasie. Zdobył korespondencyjnie jeszcze inne fotosy i zatrzymał je sobie, nawet gdy już poznał i poślubił Ellen. Zawsze mu się wydawało, że to od Jenny Haven podświadomie nauczył się, jak należy traktować kobiety. „Przy tobie czuję się piękna i pociągająca”, mówiła Ellen nawet wtedy, gdy w skrajnej biedzie mieszkali w rozklekotanym barakowozie gdzieś na zupełnym pustkowiu.

Spotkał Jenny raz w życiu, wiele lat później, na przyjęciu w Beverly Hills. Wiedział, że jest zaproszona, i był strasznie spięty. Co będzie, jeśli to spotkanie zniszczy obraz, który nosił w sercu? Już raz zmieniła jego życie na lepsze; ale rzeczywistość mogła to popsuć. Wszystko jednak odbyło się tak jak wtedy, gdy po raz pierwszy zobaczył ją na ekranie. Prawda, tym razem sceneria była bardziej luksusowa, bo spotkali się w prywatnej sali kinowej hollywoodzkiego reżysera, a Jenny siedziała tuż obok niego; mimo całego doświadczenia, bogactwa, pozycji w świecie, potęgi i bagażu przeżyć wspomnienie pierwszych chłopięcych doznań seksualnych było tak silne, że spowodowało erekcję. Kiedy pochyliła się ku niemu i konspiracyjnym szeptem zwierzyła mu się prosto w ucho, że film jest potwornie nudny, jej delikatny oddech na policzku, lekkie dotknięcie ramienia i ulotny zapach perfum niemal go zniszczyły.

Mógł próbować ją zdobyć. Miał jej co zaoferować w zamian. Kobiety uważały, że jest atrakcyjny, lubiły się z nim kochać, podobało im się jego ciało, fascynowała je reputacja prostaka, który stał się bogaczem, i naturalnie przyciągała je potęga

pieniądza. Ale Jenny romansowała wtedy z hollywoodzkim producentem, moment nie był właściwy, a poza tym on wciąż się bał konfrontacji mitu z rzeczywistością.

Ze smutkiem zaciągnął zasłony i odwrócił się od rozgwieżdżonej nowojorskiej panoramy. Jutro albo pojutrze złożą Jenny do grobu, a on, Fitz McBain, który zawsze ją kochał, dopilnuje, żeby cała ceremonia odbyła się godnie. Podeszedł do biurka i znowu podniósł słuchawkę telefonu.

– Przynajmniej to jedno już mamy za sobą – powiedziała India i ułożyła się wygodnie na wielkiej czarnej kanapie w letnim domku.

– Przynajmniej nie orzekli samobójstwa – w głosie Venetii brzmiała ulga.

– Przed nami jeszcze pogrzeb – po słowach Paris zapadła nieznośna cisza, więc dziewczyna podeszła do wieży i puściła pierwszą płytę z brzegu. Ciccolini zaczął grać muzykę Erika Satiego; pokój wypełniły chłodne, pojedyncze dźwięki pianina. Paris oparła się o poduszki i patrzyła na srebrzyste drobinki kurzu tańczące w promieniach słońca. Dzięki Bogu październik w Hollywood był ciepły i słoneczny – Jenny na pewno nie chciałaby, żeby jej pogrzeb odbył się w deszczowy, zimny dzień.

– Nie mamy odpowiednich sukienek – powiedziała w końcu India. – Nie możemy iść tak na pogrzeb. A jak tu zrobić zakupy? Pomyślcie tylko, co będą wypisywać w gazetach.

Mimo obecności ochroniarzy z prywatnej agencji wokół posiadłości w dalszym ciągu kręcili się reporterzy i wszystkim robili zdjęcia. Jak dotąd nikt nie wdarł się za bramę, pewnie z powodu dwóch wielkich owczarków alzackich biegających wzdłuż muru. Dziennikarze nie mogli wejść, za to dziewczęta nie mogły wyjść – sława Jenny i ludzka ciekawość uwięziły je w tym domu jak w pułapce.

Paris podniosła słuchawkę telefonu.

– Spytam Ronsona, co robić. Na pewno znajdzie jakieś rozwiązanie.

Odebrał od razu.

– Panie Ronson, będziemy potrzebować odpowiednich ubrań na... pogrzeb. Jak widać, nie możemy same iść po zakupy, więc pomyślałam, że może jakiś sklep przyśle dla nas kilka sukienek do wyboru? Aha. Aha, rozumiem. A rozmiary? Tak. Tak, to bardzo miło z pana strony. Dziękujemy, panie Ronson.

Paris padła na poduszki.

– Zdaje się, że nie musimy się o to martwić – w jej głosie dźwięczał szczerzy podziw. – Pan McBain telefonował godzinę temu i wydał już odpowiednie instrukcje. Skontaktował się z agentem mamy Billem Kaufmannem oraz z jej prawnikiem Stanleyem Reubinem i omówił z nimi wszystkie sprawy związane z pogrzebem. Wybrali nawet osoby do niesienia trumny i pan McBain zadzwonił potem do nich osobiście, żeby się upewnić, czy godzą się wypełnić to zaszczytne zadanie.

Na wypadek, pomyślała cynicznie, gdyby ktoś odmówił. McBain niczego nie zostawiał przypadkowi.

– Pogrzeb odbędzie się na cmentarzu Św. Kolumby w Beverly Hills. Pan McBain zajął się zaproszeniami i organizacją obsługi. Wybrał nawet nagrobek, oczywiście, jeśli go wprawdzie zaakceptujemy, ale pan Ronson mówi, że jest bardzo prosty, tylko imię, nazwisko i daty. McBain pomyślał o wszystkim. Nawet o ubraniach dla nas. Sklep Magnina przysłał dla nas do wyboru całą kolekcję. Pan Ronson ocenił rozmiary na oko, bo nie chciał nam przeszkadzać. Naturalnie, ocenił bezbłędnie.

W oczach całej trójki malował się podziw.

– Fitz McBain to wszystko załatwił? – spytała Venetia.

– Tak. Pomyślał o wszystkim – Paris westchnęła; ten człowiek musi być naprawdę potężny.

– Ale dlaczego? Przecież go nawet nie znamy. A Morgana też widziałam tylko raz, parę dni temu...

– Pewnie zakochał się od pierwszego wejrzenia albo może Fitz McBain był wielbicielem naszej matki – Paris wygodnie wyciągnęła się na kanapie. – Tak czy owak, strasznie miło być pod tak dobrą opieką... – nie dorzuciła: „dla odmiany”, ale te niewypowiedziane słowa zawisły w powietrzu. W tym luksusowym otoczeniu Amadeo Vitrazzi, jej walka o sukces kolekcji i uznanie jej talentu wydawały się odległe o całe lata świetlne.

India zaczęła niespokojnie chodzić po pokoju.

– Pewnie tak żyją księżniczki – powiedziała i nagle zatęskniła za wąskimi uliczkami i zatłoczonymi kafejkami Rzymu. – Odetchnę z ulgą, gdy to wszystko będzie już za nami. W tym domu czuję się jak w pułapce.

To wszystko, czyli pogrzeb, pomyślała Venetia. To wszystko odbędzie się już pojutrze. Jak ona to wytrzyma ze świadomością, że może gdyby wróciła do domu na prośbę Jenny, matka by wciąż żyła...

– Vennie – rzuciła India ostrzegawczo – tylko się znowu nie rozklejaj. To nie ma żadnego sensu. Już się dość napłakałyśmy!

Venetia wstała nagle i poszła w stronę drzwi.

– Dokąd idziesz? – pobiegła za nią India.

– Do kuchni – odpowiedziała z westchnieniem. – Filiżanka herbaty chyba dobrze by nam zrobiła.

Fitz McBain zlekceważył migającą czerwoną lampkę telefonu, która sygnalizowała, że ktoś jest na linii, i włączył brzęczyk, dając znak, że jest zajęty. Właśnie oglądał popołudniowe wiadomości na drugim programie.

Paris, w prostej czarnej jedwabnej sukni i kapeluszu z szerokim rondem, wysiadła z samochodu, wsparła się na ramieniu Billa Kaufmanna i ostentacyjnie uniosła

podbródek na widok kamerzystów. Agent poprowadził ją szybkim krokiem do drzwi kościoła. Odwróciła się na chwilę, żeby się upewnić, czy z siostrami wszystko w porządku. India, w prostej garsonce z czarnego płótna, mocno trzymała za rękę Stanleya Reubina i prawie przebiegła aleję. Venetia zawahała się na chwilę. Miała na sobie elegancko wyciętą przy szyi jedwabną sukienkę z krótkimi rękawami. Wsparła się na ramieniu Jake'a Matthews, wieloletniej supergwiazdy telewizyjnej, który czterokrotnie partnerował Jenny i prawdopodobnie był także jej kochankiem. Smutne oczy dziewczyny przez moment patrzyły z rozpaczą prosto w kamerę. Później spuściła wzrok, zsunęła kapelusz do przodu i w ślad za siostrami poszła do kościoła.

Kamera pokazywała teraz przybraną girlandami kwiatów trumnę Jenny Haven wnoszoną do kościoła. Ładniutka rudowłosa reporterka, uważająca się za większą gwiazdę niż trochę już zapomniana Jenny – w końcu występuje w telewizji co wieczór, i to teraz, a nie dwadzieścia lat temu – wygłaszała gładki komentarz:

– W tym tłumie jest wiele osób zaprzyjaźnionych z Jenny Haven, są też studyjne hostesy, o których zawsze pamiętała przy okazji świąt Bożego Narodzenia, scenarzyści i stolarze, charakteryzatorki i fryzjerki – ludzie ciężko pracujący, by wszystko na planie szło gładko. Jenny często rozmawiała z nimi o ich rodzinach, znała imiona ich dzieci. Przybyli tu także kierowcy ze studia, którzy nieraz przyjeżdżali zabrać ją do pracy o wpół do szóstej rano, kiedy mało kto wygląda atrakcyjnie. Według nich jednak Jenny była prześliczna nawet o tak wczesnej porze. Tak, „szarzy” pracownicy techniczni w naszych studiach filmowych doskonale znali jej życzliwość i dobroć. Zawsze miała czas, by ich wysłuchać, często pożyczala im pieniądze, traktując to jako podarunek, bo w pożyczki nie wierzyła. Jenny Haven miała bogatą osobowość: znaliśmy ją z ekranu jako wyidealizowaną gwiazdę filmową, jako utalentowaną aktorkę, która potrafiła rozśmieszyć nas do łez, przykładem Samotnica, albo doprowadzić do płaczu, tak jak w roli Maggie z Minionego czasu, za którą dostała nagrodę Oscara. Bywała też kapryśną gwiazdą, zawsze żądała tego co najlepsze; od partnerów wymagała perfekcjonizmu, a od personelu hotelowego idealnej obsługi, bo przecież ciężko na to, do cholery, zapracowała. Jest jeszcze jedna, nie znana nam twarz Jenny: matki trzech pięknych córek, które dziś przybyły na jej pogrzeb. W tej roli znało ją niewiele, ta strona jej życia w dalszym ciągu jest dla nas największą zagadką.

Na ekranie ponownie pojawiły się dziewczęta: tym razem wychodziły z kościoła i szły do samochodu. Potem kamera pokazała karawan z trumną ich matki.

– Dziś Hollywood żegna kobietę, którą wielu kochało i której wielu zazdrościło. Prawdziwą gwiazdę naszych czasów.

Fitz wyłączył telewizor, podszedł do stołu i nalał sobie burbona. Zakołysał płynem w szklance i wpatrywał się weń w zadumie. Kto by pomyślał, że najmłodsza

córka, Venetia, jest tak bardzo podobna do matki? Dziwnie się poczuł, gdy te znajome błękitne oczy znowu spojrzały na niego wzrokiem zranionej łani. Najstarsza, Paris, to wyrafinowana piękność, elegancka i prawdopodobnie równie twarda i pełna godności jak Jenny. Drobna, kędzierzawa India mimo poważnej czarnej sukni wyglądała jak psotny chochlik. Jednym haustem dopił alkohol i nalał sobie następnego drinka. Nareszcie wszystko już się skończyło. Żegnaj, Jenny Haven.

4.

Bill Kaufmann jechał swoim czerwonym porsche autostradą Pacific Coast w stronę Malibu, tym razem wyjątkowo nie przekraczając dozwolonej szybkości. Słońce prażyło mocno, jak na tę porę roku. Zamknął okna, włączył klimatyzację, ale pocił się dalej. Wcale nie miał ochoty jechać na to cholerne spotkanie! Dlaczego Jenny mu to zrobiła? Wypadek czy nie, bezmyślna baba wrobiła go w to wszystko. Jego i Staną Reubina. Co oni mają teraz powiedzieć tym dziewczynom? Rozpieszczała je przez całe życie, zasypywała luksusowymi prezentami, dopóki nie pokończyły szkół, a potem po prostu puściła je na głęboką wodę. Posprzeczał się z nią o to, argumentując, że nie może ich tak po prostu zostawić samym sobie.

– Bill, ja ich nie zostawiam bez opieki – odparła spokojnie – dałam im środki do samodzielnego życia, a teraz daję im wolność. – Siedziała przed lustrem w charakteryzatorni Studia Burbank, a koło niej kręciła się pomocnica z pudrem i pomadkami. Wiedział, że wybrał zły moment na tę rozmowę, a później jakoś nigdy już nie było sprzyjającej okazji. – Nie martw się, Bill – zaśmiała się. – Zawsze będę mogła je asekurować, jeśli im się noga powinie.

No i co? Gdzie teraz jesteś, Jenny, i jak zamierzasz asekurować swoje dziewczynki? Oboje z Myrą byli zdumieni, gdy wysłała dzieci do Europy. Prawie wszyscy z kręgu ich znajomych pochodzili z rodzin emigrantów: dziadkowie uciekli z Europy do Stanów w poszukiwaniu lepszego życia. Jenny nie wiadomo dlaczego chce odwrócić ten proces. Zgadzał się z Myrą, że nigdzie nie ma lepszego miejsca dla dzieci niż bezproblemowy, dostatni świat Beverly Hills. Wielu ludzi oddałoby wszystko, żeby mieć to szczęście i tam zamieszkać. A ona w dodatku jeszcze posiadała dom na plaży. Czy w weekendy dzieciakom nie byłoby tam lepiej niż w tych wszystkich zwariowanych szkołach?

Bill Kaufmann od dwudziestu pięciu lat pracował jako agent w Hollywood i przez ten czas zyskał sobie całkowicie uzasadnioną reputację „zylety”. Niespecjalnie mu się ten przydomek podobał, ale sam nieraz przyznawał w prywatnej rozmowie, że w życiu często musiał odrzucać wszelkie skrupuły, by wygrać – a przecież urodził się po to, by wygrywać. Jeszcze jako ambitny młody człowiek, dość przystojny, sprytnie pozyskał zaufanie młodej Jenny Haven, zdobył jej przyjaźń i skutecznie odstawił na boczny tor dotychczasowego menedżera. Sam przejął jego obowiązki. Był także jej agentem, aż do tej scysji przed trzema laty.

Do diabła, co za ulga, że nie musi już bez końca myśleć o tym, dlaczego nie zdobył dla niej roli w filmie Hofmanna, dlaczego, gdy spodziewała się głównej roli w telewizyjnym miniseriale za grube miliony, wrócił z propozycją zagrania leciwej kochanki, która ginie po pierwszych czterdziestu minutach!

Bill zapalił następnego papierosa i łagodnie skręcił w bramę wiodącą do Malibu Colony. Skinął głową w odpowiedzi na pozdrowienie strażnika i niechętnie skierował samochód w stronę plażowego domu Jenny – miał zobaczyć się z jej córkami. Zaparkował przy otynkowanym różowawym murze, który oddzielał willę od ulicy. Cały czas żywił nadzieję, że Stan Reubin, w odróżnieniu od niego, będzie umiał pokierować sprawami we właściwy sposób.

Drzwi otworzyła Venetia.

– Cześć, Bill – pocałowała go w policzek. Od kiedy sięgała pamięcią, był zawsze uważany za przyjaciela domu. – Cieszę się, że już jesteś. Strasznie tu dziwnie bez mamy.

– Jak się czujesz, kociątko?

Otoczył ją ramieniem i weszli razem do dużego pokoju z widokiem na ocean. Wysoka fala przyływu podchodziła prawie pod pale drewnianej werandy, gdzie pod niebieską markizą czekały Paris i India.

– Już całkiem dobrze. Nie byłam pewna, jak dam radę przez to wszystko przejść, ale najgorsze chyba już za nami. Chodź, posiedzimy na dworze, dzień jest taki piękny.

Bill zdjął marynarkę i rzucił ją na oparcie krzesła. Pochylił się i pocałował kolejno Indię i Paris.

– Cześć, dziewczynki, jak się czujecie?

– Chyba wszystkim nam ulżyło, więc jest dużo lepiej – Paris wstała z uśmiechem.

– Czego się napijesz? Zimnego piwa? Białego wina?

Piwo było dużą pokusą, ale żona by go zabiła, gdyby złamał dietę. Albo to piwo zabiłoby go wcześniej.

– Tylko Perriera, kochanie, i bez cytryny.

Przechylił się przez balustradę, nerwowo bębniąc po niej palcami. Zaraz przyjedzie Stan Reubin i będą dalej grać tę komedię. Zapalił piątego papierosa. Nie powinien tego robić – ulga, jaką przynosiło palenie, nie była warta poczucia winy i niepokoju o zdrowie, jakimi płacił za tę przyjemność. Jasna cholera, przez te wszystkie diety, gimnastyki, zakaz picia i palenia życie polega wyłącznie na odmawianiu sobie dobrych rzeczy. Gdyby nie seks i kokaina, nic by nie zostało z legendy Hollywood.

– Marny dziś wiatr na pływanie – India stanęła obok, by dotrzymać mu towarzystwa. Oparła się o poręcz i patrzyła na lśniące fale oceanu, łagodnie spienione na wilgotnym piasku. Na głębszej wodzie unosiła się ciemna smuga wodorostów. – Pamiętasz, jak uczyłeś mnie surfingu? Miałam wtedy ze siedem lat – zaśmiała się na wspomnienie chudej dziewczynki o wystających zębach. – Zdradzę ci tajemnicę, Bill. Przez bardzo długi czas byłeś dla mnie kimś bardzo ważnym. Uważałam, że jesteś

przystojniejszy od wszystkich narzeczonych mamy, i o wiele bardziej cię lubiłam. Wydawało mi się, że też mnie lubisz, ale wiedziałam, że siedmioletnie dziewczynki są za małe, żeby wyjść za męża. Postanowiłam więc okazać się szlachetną altruistką i pozwolić ci na małżeństwo z Jenny... w końcu wtedy też byłbyś ze mną na zawsze. Ale wszystko ułożyło się zupełnie inaczej.

Rozbawione brązowe oczy Indii patrzyły na niego pytająco. W dalszym ciągu był przystojny z tą grzywą siwych włosów, głęboko osadzonymi oczyma i łagodnym wyrazem twarzy, który niejednego już wprowadził w błąd.

– Tak dla statystyki, Bill, oświadczyłeś jej się kiedyś? Niecierpliwie zduśił papierosa.

– Nie, Indio, nigdy. Jasne, że się w niej kochałem, na początku to były porywy uczucia między sprzeczkami, a potem parę razy nas kusiło, żeby całą sprawę oficjalnie przypieczętować, ale dzięki Bogu zwyciężył zdrowy rozsądek. Byliśmy z twoją matką przyjaciółmi prawie przez całe życie, aż do chwili, kiedy...

– Kiedy co, Bill?

We wnętrzu domu zabrzmiał nagle znajomy, ćwiczony na salach sądowych głęboki głos Stana Reubina. Kaufmann z ulgą odwrócił się od Indii, nie odpowiadając na jej pytanie.

– No, nareszcie jest Stan – wziął ją pod rękę i weszli do nasłonecznionego pokoju. Na chwilę zatrzymał się w drzwiach.

– Dzięki za komplement, Indio.

– Nie ma za co – odparła z uśmiechem.

– A jesteś już, Bill – Stan Reubin zmierzył go chłodnym spojrzeniem. Jego zdaniem Bill mógł dużo sprawniej manipulować Jenny. W końcu taka miała być jego rola.

– Chodźcie, dziewczęta, siadajcie, i bierzemy się do roboty. Nie mam wprawdzie zbyt wiele do powiedzenia, ale kiedy skończę, z pewnością i tak zasypiecie mnie pytaniami.

Stanął oparty o obramowanie pustego kominka, a trójka siostr usiadła rządkiem na białej kanapie naprzeciwko. Przypomniało mu to Gwiazdkę, wiele lat temu, kiedy na tej samej kanapie, w tym samym domu siedziały trzy małe dziewczynki w wyjściowych sukienkach i lakierowanych pantofelkach, niecierpliwie czekając na rozpakowanie prezentów. To wspomnienie go rozdrażniło. Nie lubił się roztkliwiać, nie lubił uczuciowości. Zaczął chodzić po pokoju.

– Wiecie, to dziwne – powiedziała Paris. – Spędziłyśmy tu w sumie niewiele czasu, a ja zawsze myślę o tym miejscu jako o domu. Tylko że bez Jenny to już nie będzie to samo; dla nas dom był zawsze tam, gdzie ona.

Stan odchrząknął – w sądzie nigdy tego nie robił. Im szybciej będzie miał to

wszystko za sobą, tym lepiej.

– Zanim zacznę – powiedział ciepłym głosem – chciałbym, byście wiedziały, że zawsze możecie zadzwonić do mnie albo do Billa z prośbą o radę, naprawdę o każdej porze. Jasne?

Przytaknęły, wpatrzone w niego w pełnym oczekiwania milczeniu.

– Wasza matka kilka lat temu zrezygnowała z naszego doradztwa w sprawach zawodowych i finansowych. Rzadziej dostawała propozycje, a i role były coraz bardziej epizodyczne. Wytwórnice kręciły coraz mniej filmów, a reżyserzy szukali nowego pokolenia gwiazd – nie tylko młodszych, ale w innym typie. Wasza matka w dalszym ciągu była dobrą aktorką, ale pierwszoplanowe role wymagały obsadzenia kimś bardziej nowoczesnym – i Jenny już do nich nie pasowała. Było dla niej dużo ról w telewizji i Bill twierdził, że mogłaby się łatwo przestawić. Niestety w tych popularnych miniserialach mogłaby grywać na drugim planie, a nie jako główna bohaterka. Obwiniała o to Billa, a kiedy spróbowałem wziąć jego stronę i wytłumaczyć jej, że i czasy się zmieniły, i ona sama ma już trzydzieści dziewięć lat, więc pora spojrzeć na karierę z nieco innej strony, oskarżyła nas obu o zdradę i kazała iść do diabła.

Stan przerwał i nieskazitelnie białą chusteczką wytarł pot z czoła.

– Mężczyzna, z którym wówczas mieszkała, utwierdzał ją w tym przekonaniu.

– John Fields – wtrąciła Venetia.

Spotkała go raz przy okazji wizyty w domu i nawet ona, tak młoda i niedoświadczona, natychmiast zorientowała się, że ten człowiek manipuluje matką. Zaczęła zadawać pytania, które Jenny niecierpliwie zbywała, twierdząc, że Venetia staje się nazbyt brytyjska i konserwatywna, myli amerykański entuzjazm z agresją i brak jej orientacji w tych sprawach.

– Właśnie. John Fields. Jenny pozwoliła, by zajął się jej finansami, a potem, kiedy po kilku miesiącach się rozstali, jego miejsce zajął Rory Grant. Miał dwadzieścia cztery lata, marzył o karierze, nikt go nie znał, a ona zakochała się w nim po uszy, jak to się mówi. Wzięła się za jego edukację, zawiozła do krawców, którzy go ubierali, dopóki nie wyrobił sobie wystudiowanej swobody w ubiorze. Oboje eksperymentowali z jego uczesaniem, aż natrafili na ten lekko rozwichrzony blond image, który znawcy uważają za najbardziej na fali. Płaciła za lekcje gry aktorskiej, tańca i pracy przed kamerą, ćwiczyła z nim przed próbnymi zdjęciami. Poza tym dla Jenny Haven wszystkie drzwi w tym mieście były otwarte, więc wydzwaniała do szefów studiów, producentów, reżyserów i opowiadała im, że rodzi się nowa supergwiazda. Rory Grant znał wszystkich i wszyscy jego znali.

Bill zapalił kolejnego papierosa.

– Ulokowała w nim swoje zawiedzione ambicje – dodał – a ten skurczybyk

dobrze o tym wiedział. To nie znaczy, że ją nieprzyjemnie traktował – wyjaśnił pospiesznie na widok ich zasmuconych twarzy – albo sobie z niej stroił żarty. To był całkiem miły chłopak; miał to, czego pragnęła, a ona dawała mu, czego potrzebował. Wydawało się, że jest im razem całkiem dobrze. Przez jakiś czas.

– Na nieszczęście – podjął Stan – Rory chciał się jej jakoś odwdziżyć. Próbował uporządkować ten galimatias, który został po Johnie Fieldsie, a ona mu na to pozwoliła, mimo że błagaliśmy, by zwróciła się o pomoc do nas albo przynajmniej do jakiegoś innego profesjonalisty. Wprawdzie już nie była na nas obrażona, ale stosunki między nami nie układały się tak jak przedtem. Kiedy próbowaliśmy coś doradzać, Jenny uważała, że krytykujemy Granta.

– Rok temu – włączył się Bill – Rory dostał główną rolę w nowym telewizyjnym serialu i od tego momentu zaczęło być między nimi coraz gorzej. On pracował, ona nie. On wychodził z domu o wpół do szóstej rano i wracał o ósmej wieczorem, a po powrocie chciał tylko coś przekąsić, powtórzyć rolę na następny dzień i iść wcześniej spać. Jenny czuła się osamotniona, ale to nie była jego wina. Sama doskonale знаła taki rozkład zajęć i przecież, do diabła, ciężko się napracowała, żeby ten chłopak mógł zacząć grać. Ale kiedy osiągnęła, co chciała, zemściło się to na niej. Sprzecznali się coraz częściej. Próbował ją jakoś ułagodzić... Widzicie, dziewczęta, Rory to w zasadzie dobry chłopak. Pewnie, brał, co dawała, czemu nie? Ale nie był taki jak Fields, nie był wyzyskiwaczem – Bill wzruszył ramionami. – Jednak awantury między nimi zaczęły wybuchać co noc, odbijało się to niekorzystnie na jego pracy, a kiedy ten serial został wykupiony przez dużą sieć telewizyjną, Rory uznał, że coś musi z tym wszystkim zrobić, w końcu przecież musiał zacząć dbać o swoją karierę. Rozstali się pół roku temu.

Paris ostrożnie dobierała słowa:

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że Jenny mogła mieć powody, by odebrać sobie życie? O to ci chodzi? Tak bardzo się załamała z powodu jego odejścia?

– Bzdura! Jenny umiała walczyć, żaden facet nigdy jej nie zgłębił. Ona by się nie zabiła dla Rory'ego Granta!

– Czy to tylko twoje zdanie – spytała Paris z goryczą – czy masz może na to jakieś dowody?

– Nie ma żadnych dowodów – wtrącił Stan. – Jenny w dalszym ciągu była piękna. Mogła mieć innych, mogła nawet wyjść za mąż, gdyby chciała.

– Tego nigdy nie chciała – India znużona oparła głowę na poduszce. – Kiedyś mi się zwierzyła, że był tylko jeden mężczyzna, z którym chciała wziąć ślub: mój ojciec. Myślę, że całe życie go kochała.

– Słuchajcie, dziewczęta – Stan popatrzył niecierpliwie na swego złotego rolexa: czas mijał, a on był umówiony w klubie golfowym o wpół do dwunastej. – Nie ma co

wracać do tej sprawy. Osobiście wierzę, że to był wypadek, a przejażdżka samochodem o czwartej rano wcale nie jest czymś niezwykłym dla osoby pokroju Jenny, ona często potrafiła robić z nocy dzień, jeśli miała taki kaprys.

Popatrzył z niepokojem na Venetię, która w milczeniu wpatrywała się w okno, obserwując promienie słońca na falach oceanu. Chyba nie chce zrobić jakiegoś głupstwa...

– Wiecie, że Jenny bywała nieobliczalna... – znowu odchrząknął nerwowo i wyjął z teczki plik papierów. – Musimy teraz porozmawiać o interesach, chociaż szczerze mówiąc, nie bardzo jest o czym. Muszę was z przykrością poinformować, że przez kilka minionych lat waszej matce i jej nowym „doradcom finansowym” udało się roztrwonić pokaźny majątek. Naszym zdaniem, Fields zagarnął jego sporą część do własnej kieszeni, chociaż nie ma na to konkretnych dowodów – to znaczy takich, jakie by można przedstawić w sądzie. W każdym razie, lwia część majątku została źle zainwestowana w papiery i nieruchomości. Do dziś nie jestem w stanie zrozumieć, jak można było stracić pieniądze na nieruchomościach w tym mieście, ale Jenny to się jakoś udało. Płaciła straszne pieniądze za ziemię, która według jej doradców miała ogromnie zyskać na wartości, gdy tylko pobuduje się nowe autostrady i dzielnice. Ktoś udzielał jej fałszywych informacji. Wszystkie jej działki znajdowały się w innym miejscu niż planowane inwestycje: na przykład ma ziemię w pobliżu Doliny Krzemowej, tyle że sto kilometrów za daleko.

Zdecydowała się włożyć dużo pieniędzy w działki budowlane pierwszej klasy nad brzegiem Jeziora Mamuciego. Była chyba jedyną osobą, która nie słyszała, że niedawno doszło tam do serii wstrząsów sejsmicznych i nie wiedziała, że jej działki są na głównym uskoku – takiej ziemi nie można odsprzedawać. Podobnie sytuacja przedstawia się w innych przypadkach. Zaczęła spekulować na giełdzie towarowej, gdzie nawet doświadczeni mężczyźni mogą w parę miesięcy zgrać się do nitki. Wasza matka poszła na duże ryzyko z dużym zyskiem, i wszystko straciła. – Stan podniósł głowę znad papierów. – I o czym tu mówić, dziewczęta? – wzruszył ramionami. – Wszystko jest do wglądu.

Jego wzrok napotkał trzy pary osłupiałych oczu. Szybko spojrzął więc z powrotem na dokumentację.

– To nieprawda! To nie może być prawda! – jęknęła Paris. To było nie do wytrzymania, po prostu straszne... nie zniesie tego, co prawdopodobnie zostanie zaraz powiedziane.

– Ale ona tak ciężko pracowała przez całe życie! Przecież nie mogłaby stracić wszystkich swoich pieniędzy! – Odezwała się Venetia.

Stan popatrzył na Billa Kaufmanna, który unikał jego wzroku i w milczeniu wpatrywał się w okno. Ależ ten ocean dzisiaj, cholera, fascynująco wygląda,

pomyślał prawnik.

– Stan, moja matka była bardzo bogata – powiedziała India rzeczowo, starając się zachować spokój. – Z pewnością część jej fortuny została ulokowana w bezpiecznych inwestycjach i rozsądnych nieruchomościach. Na przykład ten dom musi być teraz wart duże pieniądze.

– Wasza matka kupiła go dwadzieścia lat temu za siedemdziesiąt tysięcy dolarów. Ponieważ w ciągu ostatnich kilku lat ceny nieruchomości w Los Angeles poszły ostro w górę, jest teraz wart cztery miliony.

Paris odczuła ogromną ulgę; naturalnie, przecież jest jeszcze ten dom, i ten na North Canyon Drive w Beverly Hills.

– Dzięki Bogu – westchnęła. – Myślałam, że nam zaraz powiesz, że wszystko przepadło.

Stan znowu odchrząknął.

– Jenny wzięła trzy lata temu pożyczkę na hipotekę tego domu. Rok temu znowu obciążyla hipotekę. Przykro mi, Paris, ale w rezultacie dom należy do banku First National and City. To samo dotyczy willi w Beverly Hills.

Na rękach Paris zalśniły łzy. Jej przyszłość znowu rysowała się czarno.

– Może byłoby dobrze, żebyś nam powiedział, ile dokładnie zostało – zaproponowała India. – Chcemy wiedzieć, na czym stoimy.

Stan odłożył papiery i skrzyżował ramiona, prezentując swoją sądową pozę wyrażającą głębokie współczucie.

– A więc dobrze, dziewczęta. Sprawy wyglądają następująco. Trzeba sprzedać oba domy wraz z wyposażeniem, żeby spłacić banki i pokryć inne długi. Pozostałe inwestycje Jenny są bezwartościowe. Dostajecie tylko nienaruszoną polisę ubezpieczeniową, którą Jenny wykupiła w wieku siedemnastu lat. Wtedy myślała pewnie, że to mnóstwo pieniędzy... Jest warta dziesięć tysięcy dolarów.

– Dziesięć tysięcy!

India nie zwróciła uwagi na oburzenie Paris. Wstała z kanapy i zaczęła chodzić po pokoju – jakoś łatwiej jej było znieść rozczarowanie. Ktoś musi wyjaśnić sytuację. Venetia, zszokowana, zamilkła zupełnie, a Paris była na granicy hysterii, więc najwyraźniej powinna to wziąć na siebie.

– Rozumiem. A samochody? Rolls i – tu przypomniała sobie, że mercedes leżał na dnie kanionu – i biżuteria? Miała tyle pięknych klejnotów.

– Obawiam się, że wszystko trzeba będzie sprzedać; widzicie, przez tych parę lat pozaciągała strasznie dużo pożyczek. A teraz po jej śmierci wierzyciele zaczęli się niepokoić i nie chcą czekać.

– Gdybyśmy tylko wiedziały – powiedziała nagle Venetia, jakby wyrwana z transu – mogłybyśmy jej jakoś pomóc. Dlaczego nikt nam nic nie powiedział? Bill,

ty musiałeś wiedzieć, co się dzieje!

– Nie, kociątko, nic nie wiedziałem! Przysięgam. Wiedziałem tylko, że Jenny razem z Grantem spekulują na rynku nieruchomości, ale przecież wszyscy to robią! Słowo honoru, dziewczęta, nie miałem pojęcia, że to przybrało takie rozmiary!

– Nikomu nie mówiła ani słowa – Stan Reubin przemierzał pokój, jakby był w sądzie i starał się znaleźć słabe punkty w obronie. – To już przeszłość, musicie się z tym pogodzić. Jenny zostawiła wam dziesięć tysięcy dolarów, nie mniej i nie więcej – tu przerwał i stanął przed nimi. Ręce założył za siebie i dobroduszenie zmarszczył brwi. – Nie musicie się jednak martwić o długi wobec nas. W tym roku ciężko jest o pieniądze, trudno o odpisy podatkowe, a koszty są wysokie, ale obaj z Billem zdecydowaliśmy się zrezygnować z wszelkich opłat za zajmowanie się sprawami Jenny. Oczywiście za moje dzisiejsze usługi też nic od was nie wezmę.

Znowu przeszedł przez pokój, odwrócił się na pięcie i popatrzył na nie z uśmiechem.

– Nielatwo dziś o gotówkę, ale gdybyście kiedyś potrzebowały paru setek, zobaczymy, co się da zrobić.

Chyba nikt na świecie nie zdawał sobie sprawy, ile wysiłku musiała włożyć Paris, by mu spokojnie odpowiedzieć, choć najchętniej zabiłaby go z zimną krwią.

– Stan, Bill, dziękujemy wam za tę propozycję... jako dawnym przyjaciółom matki. Ale widzicie, Jenny dała nam wszystko, co jej zdaniem jest w życiu potrzebne. Dawno temu postanowiła, że musimy same sobie dawać radę, tak jak ona. Właśnie tego chciała i będziemy respektować jej wolę. – Dziewczyna zimno popatrzyła na dwóch mężczyzn uważających się za przyjaciół jej matki. Wiedziała, że zarobili ogromne pieniądze na jej talencie i ciężkiej pracy. – Dziesięć tysięcy wystarczy nam w zupełności, dziękujemy.

Paris nie wiedziała, czy usiadła z własnej woli, czy nogi się pod nią ugięły. Wiedziała tylko, że tym razem nie zawiodła Jenny. Uratowała swój honor – i honor matki.

– Tak, tego by chciała Jenny – przytaknęła India. – Nic się nie zmieniło, od czasu gdy pokończyłyśmy szkoły. I jakoś każda z nas potrafiła do tej pory zarobić na życie.

– Naturalnie, że tak – Venetia zgodziła się z siostrami. Skończyła szkołę ledwie dwa lata temu, więc jej uśmiech nie wyrażał aż takiej pewności siebie, ale była równie twarda jak siostry.

Stan wsunął papiery z powrotem do teczki i zaczął zbierać się do wyjścia. Cholera, te dziewczyny były godne podziwu. Śliczne, a twarde jak stal. Przyszły tu, by się upewnić, że odziedziczyły miliony, a musiały przyjąć taki cios. Tak naprawdę odziedziczyły po Jenny Haven siłę charakteru. Może i nie najgorzej je w końcu wychowała. W każdym razie, on był już kryty.

– Tak się zastanawiam – powiedziała Paris z wahaniem – czy każda z nas nie mogłaby wziąć sobie jakiejś pamiątki po Jenny? Chyba sąd nie będzie miał nic przeciwko temu? To znaczy, wiem, że to wszystko trzeba będzie sprzedać, ale mogłybyśmy coś dla siebie odkupić, coś, co by nam ją przypominało. Zapłacimy za to z tych dziesięciu tysięcy.

Nareszcie jakaś furтка! Stan odetchnął z ulgą. Jest więc sposób, żeby wyjść z tej sprawy nie tracąc dobrego imienia. Trochę się obawiał, że gdyby wszystko trafiło do gazet, zaczęłyby się paskudne plotki – ludzie wiedzieli przecież, że obaj z Billem prowadzili sprawę Jenny przez długie lata. A w tej sytuacji po prostu „nie zauważy” paru osobistych drobiazgów przy robieniu spisu ruchomości. W końcu dziewczęta mają prawo wziąć sobie coś po matce. Jego żona pierwsza poprze taki obrót sprawy – i rozpowie po całym Beverly Hills, jaki Stan był dobry dla dziewcząt.

– Bierzcie, co chcecie – powiedział wielkodusznie. – Nie musicie nic płacić. Jakoś to załatwię w sądzie.

– Ale jeśli są jacyś wierzyciele...

– Proszę – powiedział Stan z najbardziej rozbijającym ze swych „sądowych” uśmiechów – powiedzcie, co byście chciały sobie wziąć, a ja już zajmę się formalnościami.

Venetia podeszła do portretu Jenny, wiszącego z prawej strony kominka. Przedstawiał matkę w wieku dwudziestu ośmiu lat, smukłą i zgrabną, ubraną w błękitną, zwiewną wieczorową suknię. W blond włosach lśniły diamenty, a spojrzenie błękitnych oczu było identyczne jak spojrzenie jej najmłodszej córki. Venetia zawsze kochała ten obraz. Artyście udało się uchwycić prawdziwą kobietę ukrytą za filmowym blichtrzem. W uśmiechu Jenny malowała się autoironia, tak jakby chciała podkreślić, że gra rolę portretowanej przez malarza gwiazdy filmowej. W jej wyrazie twarzy było coś bezbronnego – mało komu udało się odkryć tę stronę charakteru aktorki. Obraz został namalowany z czułością, i zdaniem Venetii oddawał osobowość Jenny. Przesunęła palcem po obrazie, jakby pragnąc dotknąć matki.

– Ten portret zawsze wiele dla mnie znaczył – powiedziała. – Nie mam pojęcia, ile może być wart...

– Weź go sobie – odparł Stan. – Powiedziałem przecież, że macie się nie przejmować. Jest twój.

I tak nie poszedłby na aukcji za duże pieniądze – chociaż może któreś studio zapłaciłoby całkiem niezłą cenę... ale jak ta mała chce go mieć, dlaczego jej odmawiać? Zapalił olbrzymie kubańskie cygaro i czekał.

– Nie wiem, czy mogę o to prosić – powiedziała India – bo tak jak Vennie nie wiem, ile to może być warte. Pewnie dużo, ale dla mnie ta rzecz jest bardzo ważna...

– A o co chodzi? – spytał Bill.

– Pamiętasz ten pierścionek, z którym się nigdy nie rozstawała? Ten z rubinem? Dostała go od mojego ojca w Kaszmirze, kiedy mu powiedziała, że zaszła w ciążę. To był zaręczynowy pierścionek. Zawsze go miała na palcu – dziewczyna spojrzała na Staną smutnymi oczyma. – Bardzo chciałabym go zatrzymać, jeśli to możliwe.

– Oczywiście. Jest twój, Indio – odparł Stan pośpiesznie, żeby się nie rozmyślić. To już był kosztowniejszy drobiazg. Zaraz, zaraz, czy ten rubin nie miał przypadkiem skazy?

– A ty, Paris? Co wybierzesz? – India popatrzyła na siostrę. Paris była bledziutka i wydawało się, że zaraz zemdleje.

– Parę lat temu Jenny przyjechała do mnie z wizytą – zaczęła Paris cicho, jakby mówiła sama do siebie – była zima, mróz i słońce. Jenny miała wtedy niesamowite futro od Fende’a, strzyżone brzuski nerek, ufarbowane na niezwykle oliwkowy odcień. Wyglądała w nim jak prawdziwa paryżanka i wreszcie nikt nie miał wątpliwości, że jesteśmy matką i córką – odwróciła się, by spojrzeć na siostry. – Strasznie bym chciała mieć to futerko.

– Załatwione – odpowiedział Stan, zadowolony, że tym razem nie proszono go o nic bardzo kosztownego. Niechętnie wycofywałby się z danego słowa. Wziął teczkę i otworzył drzwi. – To by było na tyle. Jeśli będziecie potrzebować porady, wiecie, do kogo się zwrócić.

Paris pomyślała sobie, że na pewno z niczym się do niego nie zwróca.

Bill Kaufmann był z siebie zadowolony. Poszło łatwiej, niż się spodziewał, bez łez, bez awantur – cicho i sprawnie.

– A zatem, wszystko załatwione – powiedział, wychodząc w ślad za Stanem na podjazd przed domem.

– Właśnie tak, Bill – odparła India. – Wszystko zostało załatwione. – Podała mu marynarkę. – Zapomniałeś o tym.

Bill przerzucił marynarkę przez ramię i wyszedł na ulicę.

– Dzięki za wszystko, Bill. Jedź uważnie, masz taki szybki samochód.

Czyżby usłyszał w jej głosie cień ironii? Nie, na pewno nie. Czym by sobie na to zasłużył? Nikt nie oczekiwał, że zrobi dla tych dziewczyn coś więcej, no nie?

– No, to do widzenia – Stan przełożył cygaro z prawej ręki do lewej i mocno uściśnął dłoń każdej z dziewcząt. – Może wybierzemy się na wiosnę z żoną do Paryża. Lubi tam czasem wpaść po zakupy, wiecie, jak to jest. Słuchaj, Bill, jak się nazywa ta restauracja, o której mi wspominałeś? Lasserre? Jak ją oceniasz, Paris? Chyba niezła? No, to zaprosimy cię do niej, jak przyjedziemy. Będziesz liczyć dni, co? Dziewczęta, zaproszenie dotyczy wszystkich, jeśli akurat będziecie w Paryżu. Może zrobimy taki mały niby-zjazd rodzinny.

Wsadził sobie cygaro w usta i zdecydowanym krokiem podszedł do lśniącego

błękitnego rollsa camargue zaparkowanego za porsche.

Bill Kaufmann pośpiesznie pocałował każdą z dziewcząt w policzek.

– Jak tylko kiedyś tu znów przyjedziecie, zaraz dajcie nam znać! – zawołał, idąc do samochodu. – Myra będzie szczęśliwa, jeśli się u nas zatrzymacie... bardzo lubiła Jenny.

Usadowił się za kierownicą i niecierpliwie czekał, aż Stan wykręci swoim rollsem. Dlaczego on się nie pośpieszy, do ciężkiej cholery? Nareszcie, a teraz wiejmy! Ruszył z luzu na pierwszym biegu, z przyjemnością wsłuchując się w gang silnika po zmianie biegu. Na szczęście nie wydało się, że teraz on jest agentem Rory'ego Granta, a Stan jego prawnikiem... Niby nie ma w tym nic złego. Zapalił papierosa. Taki już jest ten przemysł rozrywkowy!

Nacisnął guzik otwierający okno i wyjrzał, żeby pomachać ręką i się uśmiechnąć, ale ciężka drewniana brama była już zamknięta. Do licha, mogły chociaż poczekać, po tym wszystkim, co dla nich zrobił.

India rzuciła się na kanapę i z wściekłością waliła w nią pięścią.

– Skurwysyny! – wykrzyknęła. – Po prostu para ponurych skurwieli.

– Indio! – zawołała zaszokowana Venetia.

– A potrafisz znaleźć dla nich jakieś lepsze określenie? Czy ty sobie w ogóle zdajesz sprawę, ile oni zarobili na Jenny przez te wszystkie lata? Mogę cię zapewnić, że dużo więcej, niż masz ty albo ja. Ich praca, sownie opłacana, polegała na tym, żeby się zajmować jej sprawami! Boże, niedobrze mi się robi na samą myśl. Jak tylko zaczęły się jakieś trudności, zostawili ją z tym wszystkim zupełnie samą. Nie, Vennie, nie ma żadnych wątpliwości – to po prostu para wstrętnych szmaciarzy!

– I co w związku z tym? – spytała Paris. – Co robimy? Siadamy i jeszcze raz roztrząsamy problemy Jenny z ostatnich paru lat i obwiniamy ją, że nie zostawiła nam żadnych pieniędzy?

– To nie jej wina! – krzyknęła Venetia z oburzeniem. – Sama te pieniądze zarobiła i miała prawo zrobić z nimi, co jej się podobało.

– Czy aby na pewno, Vennie? – głos Paris był pełen goryczy. – Wiesz rodzice zwykle mają względem dzieci pewne zobowiązania. Nawet jeśli chciała, żebyśmy wszystko zawdzięczały samym sobie, przed zdecydowaniem się na te wszystkie zwariowane inwestycje mogła o nas pomyśleć, szczególnie że żadna z nas nie ma oparcia w ojcu...

Paris była bliska łez. Zaciśnęła kurczowo dłonie, wbijając paznokcie w ciało. Przypomniała sobie Amadea Vitraziego i swoją rozpaczliwą próbę zdobycia jego finansowego poparcia.

– Do jasnej cholery! – krzyknęła, nie mogąc już dłużej skrywać urazy – Dlaczego, dlaczego, dlaczego nie dała mi tych pieniędzy, kiedy ich potrzebowałam?

To by była znacznie mniej ryzykowna inwestycja niż te wszystkie nieruchomości. Czy wy tego nie rozumiecie? Ona wydawała forszę na tych wszystkich młodzieniaszków, a ja cały czas musiałam się szarpać...

Łzy popłynęły jej po twarzy. Wytarła je z irytacją. Siostry patrzyły na nią ze współczuciem.

– Przepraszam – załkała. – Nie myślę tak naprawdę. – Wyjęła z kieszeni chusteczkę higieniczną i wytarła oczy. – Vennie, masz rację. Sama zarobiła te pieniądze ciężką pracą i miała prawo zrobić z nimi, co chciała. Była naiwna, i tyle, i zupełnie sama, całkiem bezradna.

A nikt lepiej ode mnie nie zna tego uczucia, dodała w myśli.

Venetia popatrzyła przez okno na przestwór oceanu i paskudną żółtą chmurę smogu na horyzoncie. Zwyczajny hollywoodzki dzień. Za każdym powrotem do tego miasta przekonywała się na nowo, że tu się nie da mieszkać. Błękitne niebo Hollywood, blask słońca i styl życia na luzie to tylko kamuflaż w bezpardonowej walce o blichtr nagród. Miasto bezlitośnie zaciskało na bezbronnych ofiarach swoje macki luksusu, aż więzły w systemie pozornych wartości niby w pułapce. Jenny z tym walczyła – i wysłała dziewczęta tak daleko, by nie dosięgła ich pokusa – ale sama dała się w końcu zniewolić; także i dla niej Bóg zamieszkał w Hollywood.

Venetia nagle zatęskniła za anonimową, deszczową swobodą Londynu i za bezinteresownością Lancasterów. Co z nią dalej będzie? Da sobie radę; ma przecież dyplom. I tak zamierzała niedługo zacząć pracę przy organizacji przyjęć, kolacji i południowych posiłków dla dyrektorów w City. India prawdopodobnie nadal będzie pracować w swoim zawodzie – zdaje się, że wszystko jej się nieźle układa, no, może z wyjątkiem komplikacji uczuciowych związanych z Parolim. Najbardziej pokrzywdzona będzie Paris. Jest zupełnie sama – Vennie przypuszczała, że nie było w jej życiu żadnego mężczyzny – a do tego taka ambitna. Nawet z jej niewątpliwym talentem czeka ją długa, ciężka walka o wyrobienie sobie nazwiska wśród projektantów. Teraz przypadły nawet szanse na poparcie ze strony matki. Miały tylko dziesięć tysięcy dolarów na trzy. Dziesięć tysięcy dolarów...

– Słuchaj, Paris – powiedziała Vennie, przerywając ponure milczenie. – Weź sobie moją część z tych dziesięciu tysięcy. Może przyda się do zrobienia tego twojego pokazu.

W błękitnych oczach Paris błysnął płomyk nadziei. Ale nie, nie mogła się zgodzić.

– Vennie, to strasznie miło z twojej strony, ale nie mogę tego zrobić. Pewnie sama będziesz kiedyś potrzebować tych pieniędzy.

– Weź sobie i moją część – włączyła się India – przecież sama powiedziałaś, że jesteś lepszą inwestycją niż ci wszyscy młodzi faceci Jenny. Paris, ty jedna w naszej

rodzynie masz talent, więc dziesięć tysięcy Jenny pójdzie na sfinansowanie pierwszego pokazu kolekcji Paris Lines!

Paris Lines... dziesięć tysięcy... i tak nie starczy na wszystko – ale tym tylko dysponują. To znacznie więcej niż nic, a parę dni temu niczego nie miała. Boże, te jej siostry są wspaniałe. Paris rzuciła się na szyję Vennie, a potem Indii i wyściskała je z wielkiej wdzięczności.

– Czy jesteście zupełnie pewne? To ogromna odpowiedzialność, wszystkie pieniądze całej rodziny – zaniepokoiła się Paris.

Czarne jedwabiste włosy podkreślały jeszcze bladość jej twarzy wyrażającej wielkie napięcie. A jeśli okaże się nie dość dobra? Niemożliwe. Przecież jest świetna, co do tego nie ma wątpliwości. Ale tyle rzeczy może nie wypalić...

– Nie martw się, Paris – powiedziała India spokojnie – pieniądze są twoje, i to bez żadnych zobowiązań. Chcesz, to wydaj je na rozwiążcie życie, twoja sprawa, my nic nie chcemy wiedzieć. Żadnych zobowiązań, rozumiesz?

– Żadnych zobowiązań – powtórzyła Paris. Spłaci je, odniesie sukces, który jest jej przeznaczony, a potem zaopiekuje się nimi, tak jak Jenny powinna była to zrobić.

– Nie będziecie żałować – powiedziała.

– No dobrze, czas na nas – India pomachała z werandy do dwóch strażników, którzy siedzieli na plaży przed domem i zabawiali się puszczaniem kaczek po grzbietach fal. Odpowiedzieli również machnięciem ręki i skierowali się w stronę domu. Po raz ostatni spojrzała na ładnie urządzonej pokój. Na białych kanapach zostały wgniecenia, tam gdzie siedzieli, stoliki były zastawione popielniczkami i pustymi szklankami. Za wielkim oknem rozpościerał się tylko szaroniebieski ocean i błękitne niebo.

– Pożegnajcie się z domem – szepnęła.

Paris i Venetia obrzuciły pokój długimi spojrzeniami. Teraz, kiedy już nie należy do nas, wydaje się obcy, pomyślała Paris, jest trochę zaniedbany, trochę nie posprzątany – tak pewnie będą go postrzegać przyszli nabywcy.

– Nie pójde do sypialni Jenny, nie mogę – szepnęła Venetia.

– Ja też nie – Paris odwróciła się do drzwi.

– Ciekawa jestem, w jakim nastroju Jenny wyruszyła z Malibu na swoją ostatnią przejażdżkę do kanionu – zamyśliła się India, przekręcając klucz w zamku. – Mam nadzieję, że była to szalona, pełna seksu Jenny spiesząca na spotkanie z kolejnym mężczyzną.

– Nie! To była Jenny romantyczna, która zatęskniła za widokiem księżyca nad falami oceanu – Venetia była przekonana, że ma rację.

Tylko Paris milczała. A może, pomyślała, gdy wyszły na podjazd, była to gwiazda ekranu z minionej epoki, której uroda zaczyna przygasać, a kariera się

kończy – życie straciło sens i jedyną perspektywą jest dno Kanionu Malibu.

5.

Młody parkingowy z postoju Cafe Rodeo, wyglądający raczej na ratownika z ekskluzywnej plaży, podał Rory'emu Grantowi kluczyki i posłał mu zabójczy uśmiech. Kiedyś on też zrobi karierę; to się zdarza, szczególnie tutaj, w Hollywood.

Rory szedł ulicą spacerowym krokiem, przeglądając się w oknach restauracji. Dobrze się prezentował, jak typowy amerykański – a może kalifornijski – chłopak. Swobodnie opadające dość długie włosy, z delikatnymi pasemkami i odrobiną trwałości, były tak uczesane, żeby mógł je przeczesywać swobodnym ruchem ręki, znanym milionom widzów. Miał na sobie wyblakłe dżinsy, tenisowe buty Nike, bardzo drogą włoską koszulkę od Jerry'ego Magnina i sweter Missoni, zarzucony swobodnie na ramiona, ze związanymi luźno rękawami.

Nie był pewny tego swetra – czy dobrze widać, że to Missoni i że jest niemożliwie drogi? A może lepiej byłoby włożyć zwykły kaszmir albo Armaniego? Sweter kosztował straszne pieniądze – więcej niż miesięczną pensję jego staruszka, więcej niż miesięczną pensję większości ludzi. Jeszcze raz przejrzał się w sklepowym oknie... Ekstra wyglądasz, Rory, naprawdę świetnie, tak jak powinna wyglądać supergwiazda, którą przecież jesteś – no, prawie. O tym właśnie chciał porozmawiać z Billem.

Bill czekał przy stoliku w Cafe Rodeo już od dwudziestu minut. Wyliczył sobie, że Rory spóźni się dokładnie pół godziny – na tym etapie kariery oni wszyscy tyle się spóźniają. Później – to już indywidualna sprawa. Czasem robią się nagle bardzo uprzejmi i bezproblemowi, ale to rzadko.

– Jak leci, Bill? – Rory odpowiedział na liczne pozdrowienia od innych stolików i swobodnie usadowił się naprzeciwko agenta.

– Całkiem nieźle.

Smarkacz będzie miał o coś pretensje, wyraźnie widać. Zamiast powitalnego uśmiechu – na twarzy nieprzyjemny grymas.

– Proszę sałatkę – Rory zwrócił się do kelnerki – z awokado i krewetek, i niech dodadzą trochę kiełków lucerny i pszenicy. Do picia Perriera.

Od kiedy Jenny dobrała mu dietę, dzięki której zszedł z osiemdziesięciu trzech kilo na siedemdziesiąt pięć i jego sylwetka zrobiła się muskularna i szczupła, Rory zwracał uwagę na sposób odżywiania. Szkoda że tylko na to, pomyślał Bill. Taki ćpun nigdy nie dostanie najlepszej roli w nowym serialu.

– Lepiej daj sobie spokój z koką – poradził mu. – Spieprzysz sobie membrany.

– Nie spotkaliśmy się tutaj, żeby rozmawiać o moich membranach – uciał Rory, jednocześnie obrzucając szybkim spojrzeniem kawiarnię i zapamiętując, kto z kim rozmawia. – Spotkaliśmy się, żeby pogadać o pieniądzach.

Aha. O to chodzi. Za małe pobory.

– W czym rzecz?

– W tym rzecz, że za mało zarabiam – Rory bawił się maleńką złotą łyżeczką zawieszoną na łańcuszku na szyi. To była jego jedyna biżuteria. Postanowił nie kupować sobie rolexa, bo wszyscy je mają, a ci, co nie mają, noszą tanie podróbki. Ciągle zwlekał z nabyciem zegarka, bo chciał mieć najmodniejszy, a nie wiedział, która marka przyjdzie po rolexach.

Kelnerka podała sałatkę, więc obdarzył ją szerokim uśmiechem. Rzeczywiście ma ładne zęby, pomyślała.

– Słuchaj, Rory, i tak już raz podnieśli ci gażę, dostajesz teraz trzydzieści tysięcy za odcinek. Na taką forszę nie wypada kręcić nosem – Bill uśmiechnął się na swoją nie zamierzoną aluzję do wachania narkotyku, a Rory popatrzył na niego wściekłym wzrokiem.

– To za mało. Jestem gwiazdą tego serialu, beze mnie przepadną. Bill, te wszystkie kobiety, słyszysz?, kobiety, z innych seriali dostają więcej ode mnie.

To prawda, był gwiazdą tego serialu, tyle że film dopiero wszedł na ekran. Inne seriale – Dallas, Dynastia – były nagrywane od lat.

– Słuchaj, Rory, ci aktorzy sobie na to zapracowali, na początku wszyscy płacili frycowe.

– Aha. No więc ja nie zamierzam tak długo czekać. Możesz im powiedzieć ode mnie, że w przyszłym roku nie wejdę na plan, jeśli mi nie zapłacą pięćdziesiątki za odcinek – zuł kielki lucerny żalując, że to takie niedobre. – Bill, ja mówię serio.

Bill w dalszym ciągu uśmiechał się łagodnie, ale aż go roznosiło z wściekłości. Tyle uwagi poświęcił temu smarkaczowi, a on teraz to wszystko zmarnuje, bo nie jest w stanie poczekać paru lat. Trochę za wcześnie na taką chciwość.

– Słuchaj, Rory – powiedział, zabierając się za swoją kanapkę – musisz tylko trochę spokojnie poczekać, solidnie popracować przez rok czy dwa, a potem firma będzie skłonna zapłacić ci większe pieniądze. Tak się teraz prowadzi interesy. Jeśli serial zostanie dobrze przyjęty, nikt ci nie będzie robił trudności. Jeszcze dogonisz tych z Dynastii.

– To ma być już! – uparł się Rory. – Nie chcę czekać!

Billa poniosło, ciągle jednak uśmiechał się uprzejmie i mówił cichym, spokojnym głosem, żeby nikt przy sąsiednich stolikach się nie zorientował, co się dzieje.

– Ty głupi palancie, zrobisz to, co ci każe. Tylko nie próbuj mi rozkazywać i nie myśl sobie, że jesteś gwiazdą, bo i ty, i ja wiemy, że nie jesteś, póki ja cię nią nie zrobię.

Popatrzył prosto w brązowe oczy pod szerokimi jasnymi brwiami. Rory zamarł z kawałkiem awokado przy ustach.

– Co jest? To ja występuję przed kamerą! Ty już nie masz nic do gadania.

– Na pewno?

Rory odłożył widelec. Czuł, że szantaż wisi w powietrzu.

– Twoje słowo przeciw mojemu – odparł zadziornie.

– Tak, moje słowo – przytaknął Bill, prosząc o rachunek – i słowo Staną Reubina.

Przecież wiesz, że Stan jest jednym z najlepszych prawników, prawda? W sądzie uwierzą we wszystko, co będzie miał do powiedzenia o ostatniej nocy Jenny Haven.

Rory gapił się na Billa, który spokojnie położył na stole napiwek.

– Tak więc bierz się do roboty, Rory. Producenci nie zrobią ci krzywdy, już ja się o to postaram. Nic się nie martw.

Bill skierował się do wyjścia, a Rory patrzył za nim jak urzeczony. Cholera, pomyślał niespokojnie, czyżby śmierć Jenny nie zakończyła całej tej historii? O co chodziło Billowi?

– Czy coś jeszcze podać, panie Grant? – uśmiechnęła się do niego kelnerka.

Milutka dziewczyna. – Śliczny ten Missoni – pogładziła rękaw swetra.

– Dziękuję – rozpogodził się.

A więc się nie mylił, każdy potrafił rozpoznać, że to ekstra-sweter.

6.

Morgan McBain niespokojnie spacerował po galerii idealnie utrzymanego genewskiego lotniska, od czasu do czasu zatrzymując się, żeby popatrzeć przez okno na padający śnieg. Sypało od ponad trzech godzin, a coraz grubsza kołderka białego puchu na pasach startowych spowodowała wstrzymanie lotów i odcięła lotnisko – a więc i Morgana – od świata. Przyleciał tu z Aten, a jego samolot wylądował jako ostatni, zanim rozpętała się zamieć. Trudno było przewidzieć, kiedy odleci samolot do Paryża.

Oparł się o balustradę i przyjrzał kolejkom przy odprawie paszportowej. Przewodnicy starali się uspokajać grupy narciarzy, którzy koniecznie chcieli dostać się w góry, a nie tracić czas i pieniądze na jakimś lotnisku unieruchomionym z powodu zawiei. Śliczne dziewczyny w futrzanych apreskach i kolorowych narciarskich kombinezonach przepychały się w zatłoczonym barze i wiele zaciekawionych i przyjaznych uśmiechów powitało go, gdy próbował przedrzeć się wśród porozstawianych plecaków i nart opartych o ścianę do bufetu, żeby wypić trzeci kubek kawy. W ciemnoszarym garniturze czuł się nieswojo i nie na miejscu.

Kiedy to ja byłem ostatni raz na nartach?, pomyślał, przypominając sobie przyjemność płynącą z uprawiania sportu, koleżeńską atmosferę wśród narciarzy i uroki wesołych górskich miasteczek w dolinach otoczonych ośnieżonymi szczytami. Może trzy, a może cztery lata temu?

Tak czy owak, bardzo dawno!

Znalazł sobie wolny kąt, nie zastawiony nartami, i popijał kawę, jednym uchem słuchając gadaniny o „strasznych muldach” i „czarnych szlakach”, o tym, kto nosi najbardziej dopasowany kombinezon, a jeździ jak „noga”, i dlaczego w Verbier zawsze jest najweselsze towarzystwo, najlepsze warunki, szlaki i schroniska i najładniejsze kelnerki.

Przecież ci narciarze są w moim wieku, pomyślał, przerażony, że automatycznie zaliczył siebie do starszego pokolenia. Mam dwadzieścia pięć lat i jak ojciec całe życie spędzam w podróży. Narty nartami, ale kiedy ja tak naprawdę ostatni raz wyjechałem na prawdziwy urlop? Tak się zaangażowałem w rodzinne interesy, że zupełnie zrezygnowałem z życia osobistego – spędzam parę dni tu, parę dni gdzie indziej, i tak w kółko!

Jacht ojca, „Fiesta”, był w tej chwili zakotwiczony w zatoce Carlisle na Barbadosie, z załogą w komplecie, bez żadnych pasażerów. Fitz przebywał w Nowym Jorku i może uda mu się popływać przez jakiś tydzień w ciągu sezonu. Morgan spędził na „Fieście” pięć dni w zeszłym roku, zrobił zwykłą trasę po śródziemnomorskich portach, z Saint-Tropez na Sardinie. I to wszystko! Wpadł

jeszcze na Wyspy Bahama, by sprawdzić, jak funkcjonuje hotel McBainów i porozmawiać o rozbudowie i modernizacji budynku. Tak mu zależało, żeby stać się niezbędnym elementem imperium ojca i zwalczyć w sobie kompleks „syna szefa”, że nie dawał sobie ani chwili wytchnienia. Spędzał czas na przykład w Kuwejcie na zagubionej pośród piasków budowie albo w rafinerii w Galveston – nie na plaży czy na ośnieżonym górskim stoku.

Jeśli nie będę uważał, pomyślał, odstawiając kubek, stanę się taki jak ojciec. Tak mnie wciągną sprawy Korporacji McBaina, że zabraknie mi czasu na przyjemności.

Odpowiedział uśmiechem na uśmiech dziewczyny w błękitnej kurtce i dżinsach. Miała płomiennorude włosy i zadarty nos obsypany piegami i wyraźnie chciała nawiązać kontakt.

– Wyglądasz mi na narciarza – powiedziała, oceniając potężną sylwetkę Morgana – tylko jesteś inaczej ubrany.

Uśmiechnął się.

– Uczyłem się na stoku w Vail i doskonaliłem umiejętności w Park City w Utah.

– Nie wiesz, co tracisz, nie jeżdżąc w Szwajcarii – odparła. – Założę się, że lubisz czarne nartostrady.

– Nie lubię szlaków. Wolę ryzyko.

– To widać. – Wzięła plecak i narty i obrzuciła go uważnym spojrzeniem. Chyba nie był dużo starszy, ale sprawiał wrażenie dojrzałego. Promieniował spokojną pewnością siebie. Bardzo pociągająca cecha charakteru, bardzo pociągający facet. – Na pewno nie chcesz zrzucić z grzbietu tego garnituru i pojechać ze mną?

Przeskoczyła między nimi iskra erotycznego napięcia.

– A dokąd się wybierasz?

– Do Verbier. Wszyscy Brytyjczycy tam jeżdżą.

Wszyscy Brytyjczycy... Ciekawe, czy Wenetia też tam bywa? Zabawne, zawsze myśli o niej jak o Angielce, chociaż jest amerykańskiego pochodzenia tak jak on. No, prawie.

– Może kiedy indziej. Ale dzięki za propozycję.

– Nie ma za co. Szkoda, mogło być fajnie. Założyła rude włosy za uszy i zarzuciła narty na ramię. Morgan patrzył, jak dziewczyna dołącza do kolegów. Było ich ze dwanaścioro, wyglądali na zgraną paczkę. Jakiś muskularny młody człowiek objął ją ramieniem i wciągnął w sam środek grupki. Było im bardzo wesoło, bez przerwy śmiali się i żartowali, czekała ich przecież dobra zabawa na stoku i w narciarskich klubach.

Odwrócił się do baru i zamówił whisky. Jako doświadczony globtroter wiedział, że lepiej nie pić przed podróżą samolotem, ale nagle poczuł się osamotniony i pokrzywdzony przez los. Nie chodziło o kobiety – tych w jego życiu nie brakowało.

Ciągle jakaś stawała mu na drodze. W każdym mieście na kuli ziemskiej co najmniej tuzin ślicznotek dopominał się, żeby do nich zadzwonił, a urocze hostesy z wielką chęcią zaprosiłyby go na kolację. Bywał na balach w Monako i na galowych przedstawieniach w nowojorskiej operze. Grywał w tenisa z aktorkami w Los Angeles i zapraszał na kolacje eleganckie paryskie modelki – oczywiście trzymały dietę, ale chętnie bywały w eleganckich nowoczesnych restauracjach, które zawsze serwowały to samo menu. Najczęściej jednak jadał sam w klimatyzowanych pokojach hotelowych, które wyglądały tak anonimowo, że nie miało znaczenia, czy rezerwował je w Abu Dhabi, czy we Frankfurcie.

Mógłby się założyć, że ta grupka narciarzy będzie się w ciągu następnego tygodnia dużo lepiej bawić, niż on miał po temu kiedykolwiek okazję w ciągu minionych pięciu lat.

Życie, stwierdził Morgan, wychylając whisky do dna, stało się strasznie monotonne. Z wyjątkiem spotkań z Venetią Haven. Od kiedy się poznali trzy miesiące temu, wykorzystywał każdą sposobność, żeby wpaść do Londynu, a nieraz nawet nadkładał drogi. Często przyjeżdżał tylko na jeden wieczór, a następnego dnia musiał łapać o zwariowanej porze poranne samoloty, ale ta dziewczyna była tego warta. Zapraszał ją na kolacje do maleńkiej, kameralnej restauracji, którą lubiła, trzymali się za ręce, na stoliku migotały świece, a on nie mógł oderwać od niej oczu. Nie dostrzegał w niej wielkiego podobieństwa do sławnej matki, może dlatego że Jenny była heroiną poprzedniego pokolenia; widział tylko delikatną blondynkę, której oczy zmieniały odcień pod wpływem nastroju: lśniły jasnym błękitem, gdy była czymś zainteresowana, szarzały, gdy czuła się zmęczona, a pod wpływem wzruszenia stawały się prawie fioletowe.

Vennie upierała się przy swojej niezależności, a jednak usta jej drżały pod wpływem jego pocałunków... jak dotąd tylko na tyle sobie pozwolił. Bo gdyby posunął się dalej z kimś takim jak ona, oznaczałoby to poważne zobowiązanie, a nie był pewien, czy tego chce. Wiedział, że go lubi ze względu na niego samego, a nie na pozycję ojca. Nigdy nie żądała, by ją zabierał do najdroższych restauracji czy klubów; wystarczyło jej zwykłe bistro w sąsiedztwie, jeśli on akurat miał ochotę tam wpaść; światło było tam przyćmione, karta win zdumiewająco bogata, a menu całkiem interesujące.

Głośnik wycharczał po francusku informację, że wszystkie loty będą miały bardzo duże opóźnienie. Narciarze powitali wiadomość szyderczym śmiechem i okrzykami. Nagle na tym wielkim lotnisku Morgan poczuł się samotny jak palec. Szybkim krokiem skierował się do saloniku dla VIP-ów, jakby ucieka przed tłokiem i zgiełkiem. W cichym pokoju z zieloną wykładziną na podłodze kilku mężczyzn czytało gazety, inni drzemali na wygodnych kanapach, jeszcze inni nadrabiali

zaległości w papierkowej robocie albo rozmawiali przy kieliszku. Steward przekazał najnowsze informacje o zamieci i spodziewanych opóźnieniach. Co najmniej dwie, trzy godziny. Jeśli pan McBain sobie życzy, zajmie się rezerwacją pokoju w hotelu.

– Mam inny pomysł – powiedział Morgan, oddając mu bilet i przepustkę na pokład – niech pan uprzejmie wystawi mi bilet do Londynu, poproszę też o telefon. Chcę zadzwonić za granicę.

Steward podłączył aparat telefoniczny do gniazdka. Morgan wykręcił numer, zastanawiając się, czy Venetia lubi jeździć na nartach.

Mroźny, ostry wiatr zamienił mżawkę w kłujące igiełki lodu, które smagały zaczerwienione policzki Venetii taszczącej z parkingu duże kosze jedzenia. Wreszcie dotarła do zacisznego biurowca, ciężko postawiła kosze na podłodze windy, strząsnęła z włosów drobinki lodu i wytarła twarz dużym wełnianym szalem. Ogarnęło ją błogie ciepło. Nacisnęła przycisk dziesiątego piętra. Musiała dwa razy obrócić, żeby zabrać wszystko z samochodu, i zmarzła przy tym na kość. Błoto poplamiało nowe eleganckie szare włoskie kozaczki kupione w zeszłym tygodniu, gdy przygotowała trzy południowe posiłki i dwie kolacje, po czym poczuła się strasznie bogata. Nie powinna sobie kupować luksusów, na które jej nie stać – czas na więcej praktycyzmu!

Winda zatrzymała się gwałtownie i Venetia znów musiała taszczyć swoje kosze, uśmiechając się do recepcjonistki siedzącej w ciszy szarosrebrzystych wykładzin należącej do zarządu części biurowca firmy Blakemore i Honeywell, konsultantów w dziedzinie zarządzania i wykonawstwa. Gładkowłosa brunetka obojętnie kiwnęła głową w odpowiedzi i nadal piłowała długie, czerwone paznokcie.

– Kuchnia jest dalej, w korytarzu na lewo – powiedziała.

Nie zaofiarowała się z pomocą i Venetia znowu musiała dwa razy obrócić z koszami.

W końcu mnie za to płacą, a nie jej, zreflektowała się dziewczyna, rozglądając się po kuchni. Panienki z biur zwykle traktowały ją, jakby była prostą pomocą kuchenną, a one wielkimi damami z pałacu! Natomiast dyrektorzy, dla których gotowała, byli całkiem normalni – albo zauważali jej pracę i uśmiechali się z uznaniem, albo w ogóle nie zwracali na nią uwagi i zjadali podany posiłek, nie przerywając rozmowy o interesach. Venetii nie przeszkadzało takie zachowanie, jeśli jedzenie im smakowało i dobrze płacili albo – i wtedy była najbardziej zadowolona – jeśli prosili, naturalnie za pośrednictwem sekretarki, żeby przygotowywała dla nich co tydzień lunch na zebrania zarządu. W ten sposób mogła wypełnić pustawę strony swej książki zamówień na wiele tygodni naprzód i była pewna, że co miesiąc wpadnie jej trochę gotówki.

Okazało się, że z pracą jest gorzej, niż myślała. Szkoły wypuszczały w świat całe

tłumy dyplomantek. Na każde ogłoszenie w „Timesie” zgłaszało się mnóstwo chętnych, przeważnie z większym doświadczeniem niż Venetia. Lancasterowie i ich przyjaciele od czasu do czasu załatwiali jej jakieś zlecenia – obsługę chrzcin albo jakiejś rocznicy. Z agencji dostawała zamówienia na zorganizowanie weekendowego przyjęcia na wsi albo jakiejś kolacji – zwykle w nagłych przypadkach, kiedy kucharka klienta w ostatniej chwili rezygnowała z pracy.

Venetia przeważnie nie miała pretensji do swoich tymczasowych pracodawców. Zwykle traktowali ją jak służącą, zakładając, że powinna sama wiedzieć, gdzie co jest w kuchni, i dać sobie radę z tym, co znajdzie, nie zawracać im głowy i szybko brać się za robotę. Kobiety zwłaszcza miały wysokie wymagania i trudno je było zadowolić. Mężczyźni patrzyli na nią innymi oczami – widzieli ją jako ozdobę kuchni, którą można było poczęstować dżinem z tonikiem, gdy żona zażywała kąpieli, potem otoczyć ramieniem, poklepać po pupie i zaproponować spotkanie: „Przekąsimy sobie coś naprawdę ekstra, wreszcie ktoś wyciągnie cię z kuchni, he, he, a potem...” Takie traktowanie trzeba było chyba wkalkulować w ryzyko zawodowe. Zaczynało to ją niepokoić, choć na razie udawało jej się utrzymać tych zalotników na dystans. Musiała być przy tym uprzejma, bo potrzebowała pieniędzy, ale w takich przypadkach należało właściwie natychmiast sobie pójść, i niech mężowie tłumaczą potem paniom domu, dlaczego nici z kolacji.

Wyjęła z koszy delikatną roladę z łososia w galarecie, elegancko ułożoną na liściach sałaty i przybraną plasterkami cytryny i ogórka. Dyrektorzy, dla których przygotowywała przyjęcia, zwykle panowie w średnim wieku, lubili proste potrawy, nie nazbyt tuczące, ale z dobrych produktów, więc jagnięcina na dziko, w panierce z ziół, musztardy i tartej bułki, delikatnie podpieczona do różowa, była zwykle zjadana ze smakiem. Vennie zawsze się starała robić lekkie desery – tym razem przygotowała sorbet cytrynowy ze świeżymi, cieniutkimi jak wafle migdałowymi herbatnikami, sałatkę owocową i talerz wyśmienitych serów. Wina pochodziły zwykle z piwnic dyrektorów, więc nie musiała się o nie martwić. Podawała zimną zakąskę i deser, więc podgrzać trzeba było tylko główne danie i warzywa, które kupiła poprzedniego dnia i ugotowała rano w kuchni Lancasterów. Zwykle o dziesiątej miała już wszystko zrobione, spakowane i gotowe do zabrania. Starczało jej jeszcze czasu na szybką kąpiel, a potem wkładała strój do pracy – prostą spódnicę i bluzkę, i naturalnie wielki pasiasty fartuch, którym mogła się owinać dwa razy i zawiązać na przedzie, pakowała wszystko do samochodu i jechała do klienta.

Przykręciła gaz w piecyku i zaparzyła kawę. Dwunasta. Przy odrobinie szczęścia zaraz przyjdzie obsługa, żeby nakryć stół, a potem posprzątać i zmyć. Można wykorzystać tę chwilę i trochę doprowadzić się do porządku.

Wyszła szybko na korytarz w poszukiwaniu łazienki. Znalazła ją bez problemu,

nie musiała więc pytać niesympatycznej recepcjonistki, która była pochłonięta rozmową przez telefon.

Przejrzawszy się w lustrze, Venetia oceniła, że nie jest aż tak źle, jak myślała – włosy i buty już wyschły i chyba udało jej się osiągnąć efekt schludności połączonej z profesjonalizmem. Ściągnęła gęste włosy do tyłu, przewiązała je niebieską wstążką i zaczęła szukać szminki. W bocznej kieszonce torebki natrafiła na pocztówkę od Morgana, którą dostała tego dnia rano. Wielbłąd z nieszczęśliwą miną gapił się na nią na tle pustynnego krajobrazu z okolic Abu Dhabi. Z uśmiechem przeczytała parę słów skreślonych na odwrocie ręką Morgana: Niezawodny, skuteczny, tani w eksploatacji, nierdzewny... właściwie po co komu samochód? Tęsknię za tobą.

Morgan nabrał zwyczaju przesyłania jej pocztówek z każdego miejsca, zwykle z pośpiesznie nagryzmołonym dopiskiem: Szkoda że cię tu nie ma, albo Pozdrowienia, ucałowania. Przez tych kilka miesięcy od jej powrotu z Kalifornii widzieli się może z pięć razy i czuła, że coraz bardziej go lubi. Miło było z nim rozmawiać, uważnie słuchał, gdy opowiadała mu o swoich kłopotach, i zadawał takie pytania, że potrafiła sama zanalizować problem i znaleźć jego rozwiązanie.

A poza tym, cóż tu się oszukiwać: przebywanie w towarzystwie tak atrakcyjnego mężczyzny to czysta przyjemność; widziała, jakim wzrokiem patrzą na niego inne dziewczyny. Zdaniem Kate Lancaster, był zniewalający! Morgan emanował typowo amerykańską pewnością siebie – miała wrażenie, że ten człowiek jest w stanie poradzić sobie w każdej sytuacji, dokładnie tak jak tego strasznego wieczoru przed trzema miesiącami. Naturalnie, była im obu – Morganowi i jego ojcu – nieskończenie wdzięczna za pomoc.

Lubiła także się z nim całować, nawet bardzo, i wydawało jej się, że i jemu te pocałunki sprawiają przyjemność. Tylko dlaczego nie posuwał się dalej? Może była dla niego za mało atrakcyjna? Może było w niej coś, co go zniechęcało? Venetia popatrzyła niespokojnie na swoje odbicie w wysokim łazienkowym lustrze, które tak złośliwie zniekształcało obraz, że nawet ona, szczupła i wysoka, wyglądała jak pieczarka. Była ładna i dobrze o tym wiedziała, choć czasem w głębi duszy wątpiła w swoją urodę. A Morganowi, zdaje się, wystarczały tylko pocałunki.

O mój Boże, jak ten czas leci! Wsunęła pocztówkę z powrotem do torebki i popędziła do kuchni.

– Już nakryłam do stołu, panienko – powitała ją w cockneyu kelnerka.

– Aha, świetnie. Zaparzyłam kawę, może się pani napije – Venetia wsunęła pieczeń do piecyka i zatrzasnęła drzwiczki.

– Dzięki, panienko – sympatyczna czterdziestolatka nalała sobie filiżankę i bystro przyjrzała się dziewczynie. – Ja skądś znam tę twarz – powiedziała – strasznie jesteś podobna do kogoś z telewizji.

– Naprawdę? – Venetia uśmiechnęła się i zabrała za przygotowywanie jarzyn.

– Już wiem! Jesteś podobna do tej gwiazdy filmowej, tej, co to się zabiła w Hollywood parę miesięcy temu, tej Jenny Haven. Też była taka piękna. Jak byłam dziewczyną, zawsze chciałam być taka jak ona. Zaraz, zaraz... nie, nie może być... siedzisz tu sobie i gotujesz na przyjęcie i tak dalej – znaczy, niemożliwe, żeby córka Jenny Haven... ale przecież widziałam cię w telewizorze!

Venetia uśmiechnęła się skromnie. Kiedyś myślała, że po pogrzebie uwagę dziennikarzy odwrócą inne skandale i romanse, ale reporterzy przez całe tygodnie kręcili się pod domem Lancasterów. Nieraz jakiś fotograf robił jej z zaskoczenia zdjęcie, gdy wracała z zakupami z supermarketu albo wychodziła na spacer z psami. Poproszono ją nawet o wywiad, a dwie konkurujące ze sobą gazety usiłowały skusić ją całkiem sporą sumką pieniędzy, by opowiedziała im „prawdziwą wersję wydarzeń”. Oczywiście zignorowała obie oferty. Jej nieco zamazane zdjęcie w towarzystwie Morgana ukazało się nawet w rubryce towarzyskiej Nigela Dempstera w „Mail”.

– No nie, w życiu bym nie powiedziała... spotykam cię w biurowcu, jak podajesz lunch tej marnocie! – Na twarzy kobiety nagle odbiło się zrozumienie. – A więc to do ciebie był ten telefon! Samantha z recepcji powiedziała, że dzwonił ten bogaty Amerykanin, skądś z zagranicy, i pytał o pannę Venetię Haven, więc oczywiście nasza panna Mądralińska odpowiedziała mu, że tu taka nie pracuje. Mało się przy tym nie rozplynęła w uśmiechach. A on przecież dzwonił do ciebie, kochana. Lepiej leć i ją zapytaj. Chyba powiedział, że jeszcze zadzwoni, bo wiedział, że tu na pewno będziesz.

Kobieta pociągnęła solidny łyk kawy i uśmiechnęła się do Venetii, rada, że może przekazać dobrą wiadomość – po tym, jak oczy dziewczyny nagle rozbłysły, zorientowała się, że musi chodzić o coś miłego. Ta mała jest naprawdę śliczna, zupełnie jak jej mamuśka.

Morgan? Morgan jej tu szuka przez telefon? Ale skąd on wiedział?... – głupie pytanie, oczywiście zadzwonił do Lancasterów i dali mu numer telefonu. To chyba coś pilnego, skoro nie mógł się doczekać, aż wróci do domu.

– Dziękuję, bardzo dziękuję – powiedziała idąc w stronę drzwi. – Aha, mogłaby pani przypilnować mięsa w piekarniku? Zaraz wracam.

Samantha z recepcji popijała różowy mleczny napój, który zastępował jej drugie śniadanie. Popatrzyła na Venetię z wystudiowanym znudzeniem.

– Do pani? – w jej głosie dźwięczał cień ironii; tej dziewczynie coś się pomyliło. Przecież McBainowie tego świata nie wydzwanają pilnie z Genewy do najemnych kucharek.

– Nazywam się Venetia Haven. Nie pytał o mnie?

Samantha po raz pierwszy popatrzyła uważniej na Venetię. O Boże, teraz wszystko jasne. To przecież córka tej gwiazdy, od razu widać!

Znowu odezwał się cichy brzęczyk telefonu. Recepcjonistka machinalnie odebrała.

– Blakemore i Honeywell. Tak, proszę pana. Ma pan całkowitą rację, panie McBain. Jest tutaj, już ją proszę.

Podala słuchawkę Venetii i dalej sączyła napój, udając, że nie słucha rozmowy.

– Morgan? – Venetia mówiła cichym głosem do słuchawki trzymanej przy samych ustach. – Tak, tak, oczywiście, cieszę się, że dzwonisz, ale dlaczego tutaj? Czy to coś pilnego? Tak? Oczywiście, że jeżdżę na nartach. Kiedy?... Morgan, to brzmi strasznie kusząco, ale nie jestem pewna, czy mi się uda... Śnieg zatrzymał cię w drodze, jak romantycznie! Pewnie, że bym chciała być z tobą, ale muszę pracować, słyszysz?... No dobrze, może się uda...

Jej śmiech zadźwięczał w pustym biurze, a Samantha popatrzyła na nią z zazdrością.

– Dobrze, pogadamy, jak przyjedziesz... jesteś pewien, że mnie namówisz? – znowu się zaśmiała. – Dobrze, czekam na telefon... tak... ja też... Cześć.

Venetia odłożyła słuchawkę i zadowolona skierowała się z powrotem do kuchni, odprowadzana zazdrosnym wzrokiem recepcjonistki.

Rolls-royce z hotelu Pałace powiózł ich przez zaśnieżone ulice Saint-Moritz, a potem po porośniętym świerkami stoku i w końcu zajechał przed duży, choć niewysoki budynek o stromym dachu z rzeźbioną kalenicą. Wygląda jak karykaturalnie wielka willa, pomyślała Venetia. Dyrektor hotelu czekał, by ich powitać osobiście i obiecać, że obsługa postara się zapewnić im wszelkie wygody.

– Warunki śniegowe są już bardzo dobre – poinformował – i spodziewamy się, że jeszcze dopada, może nawet za dużo. Ale nawet jeśli nas zasypie, mademoiselle nie będzie się nudzić w czterech ścianach hotelu, mamy lodowisko, basen, salę gimnastyczną, pokój do squasha, można grać w brydża, iść na dancing... a nawet zrobić małe zakupy.

– Zbytek szczęścia – zaśmiał się Morgan. – Mademoiselle będzie tylko zaliczać wyciągi i trasy z góry na dół i z powrotem, i to w ostrym tempie. Założę się o dziesięć funtów, że będę od niej lepszy na wszystkich pięciu trasach.

– Jeszcze ci chyba nie mówiłam – rzuciła Venetia, gdy szli do windy – że pierwszy raz przypięłam tu deski w wieku trzech lat, przyjechałyśmy razem z matką, a Jenny była naprawdę nieźle wysportowana. Sama świetnie jeździła i dopilnowała, żebym miała najlepszych trenerów. Nawet jeśli pan okaże się szybszy, panie McBain, a nie jest to wcale takie pewne, to i tak nie będzie pan lepszy stylowo.

– Pewnie masz rację – uśmiechnął się w odpowiedzi – cała moja nauka to było

pół godziny, kiedy ojciec pokazał mi podstawy. Potem wsadził mnie w krzeselko, powiózł na szczyt i powiedział: „Jedź za mną.” Nie miałem wyboru, jeśli chciałem dostać się na dół. No i zjechałem. Było fantastycznie, wywaliłem się chyba ze dwadzieścia razy. Nie pomógł mi wstać, tylko czekał w pewnej odległości i wykrzykiwał wskazówki.

Idąc korytarzem w ślad za dyrektorem hotelu, Venetia wyobraziła sobie małego chłopczyka, samotnego i przerażonego na zaśnieżonym stoku; musiało mu się wydawać, że jest strasznie stromo.

– Twój ojciec był bardzo surowy – powiedziała.

– Był i nadal jest. Ale i tak jest najlepszy. Wychował mnie sam, bez matki, tak jak umiał – Morgan kwaśno się uśmiechnął. – Postanowił nie zrobić ze mnie mięczaka, pieniądze są po to, żeby kupić dobre jedzenie i wykształcenie, a nie jakieś tam niemęskie luksusy.

Venetia pomyślała, że ten Fitz McBain to po prostu kawał despoty, ale zatrzymała tę opinię dla siebie.

– Oto pani pokój, mademoiselle – dyrektor z ukłonem otworzył drzwi.

Pokój był duży, nasłoneczniony i pełen kwiatów. Stały w nim dwa pojedyncze łóżka. Venetia popatrzyła na Morgana z niemym pytaniem.

– Ja mieszkam przez ścianę – wyjaśnił. – Dam ci piętnaście minut na wskoczenie w kombinezon i ruszamy, dobra?

– Lunch podajemy w restauracji, proszę pana – zasugerował dyrektor, wychodząc z pokoju w ślad za Morganem.

Venetia zaśmiała się, słysząc odpowiedź swojego towarzysza.

– Lunch? Szkoda czasu. Przekąsimy coś w barku na stoku. Kiedy Morgan czegoś zapragnął, musiał to mieć natychmiast!

Przyleciał samolotem do Londynu, przekonał ją, żeby dała sobie spokój z szukaniem pracy, i porwał do Szwajcarii pierwszym samolotem. Vennie z pewną rezerwą popatrzyła na oba łóżka – Morgan, jak zwykle nie narzucający się i dyskretny, nie pozwoliłby sobie na wynajęcie wspólnego pokoju... a poza tym nie doszli jeszcze do tego etapu. Jeszcze. Usiadła na brzeжку łóżka, zdjęła buty i dzinsy, włożyła piankowe spodnie, bawełnianą koszulę w kratę i narciarską kurtkę. Naciągnęła futrzane apreski, przypięła szaszetkę na pasku, złapała gogle i otworzyła drzwi. Po drugiej stronie stał Morgan, który właśnie miał do niej zapukać.

– Wygrałem – powiedział triumfalnie. – Pierwsza runda dla mnie.

– Zdawało mi się, że zaczynamy ten zakład dopiero na stoku – odparła Venetia.

– Dobra, dobra, żartowałem tylko... czekaj no, panno Haven, dostaniesz dobrą szkołę.

Venetia już zapomniała, jak cudownie jest na stoku. Zaczęli od czerwonego

zjazdu – ot tak, na rozgrzewkę, powiedział Morgan na górze. W rzeczywistości nie chciał, żeby nadwreżyła mięśnie dla ambicji. Ten szlak umożliwił jej honorowe wycofanie się z gry, jeśli wolałaby się nie przymierzać do czarnego. Może trzeba będzie sobie tym razem odpuścić, zgodziła się w myśli, odpinając po zjeździe wiązania i zarzucając narty na ramię; kolana aż się pod nią uginały z wysiłku. Ale warunki były fantastyczne: śnieg wprost idealny, błękitne niebo z niewielkim pasemkiem chmur na horyzoncie i oślepiające słońce. A ona sobie stała u podnóża zjazdu czekając na Morgana, który dwa razy wysypał się na górze i został daleko z tyłu. Wyprzedziłam go co najmniej o trzy minuty, pomyślała, gdy zatrzymał się obok.

– Dołożyłaś mi, nie ma co. – Uśmiechnął się. – Cholera, Vennie, nie wierzyłem ci, jak mówiłaś, że jesteś dobra, a ty jesteś nie do pobicia. Zdaje się, że moja wygrana odpłynęła daleko.

– Takie jest życie – przyświadczyła Venetia z godnością. – Przegrany funduje grzańca i kanapki, tak?

Morgan wciągnął powietrze ze świstem.

– Nie wiesz, w co się ładujesz, panienko – zarzucił narty na ramię i objął dziewczynę ramieniem, prowadząc ją do zatłoczonego barku, z którego werandy roztaczał się widok na całą dolinę. – Pod koniec tygodnia możesz pożałować swoich słów, Vennie Haven. To cię będzie drogo kosztować!

Promienie słońca rozszczepione w kryształkach śniegu jak w milionie pryzmatów raziły w oczy. Siedzieli na tarasie, rozgrzani słońcem i gorącym winem, zajadając kanapki z szynką i podziwiając pejzaż.

Jest po prostu wspaniale, pomyślał Morgan. Siedzę sobie w górach – co zawsze uwielbiałem – Bozia dała piękny dzień, a ze mną jest dziewczyna, w której się zakochałem. Popatrzył ukradkiem na profil Vennie, która popijała grzańca, spoglądając na pocztówkowo piękną dolinę. Uwielbiał miękkie zaokrąglenie jej policzka i ślad dołeczka z prawej strony, który pojawiał się i znikał, gdy coś mówiła, i nadawał jej uśmiechowi uroczy wygląd. Kochał te wielkie, szeroko otwarte błękitne oczy, długie wywinięte rzęsy połyskujące złotem, to uczesanie w koński ogon i delikatną linię ramion, które nawet w obszernym kombinezonie wyglądały tak krucho. Ale to złudzenie. Venetia jest silna – nie tylko fizycznie, ale i psychicznie. Wiedział, z jaką determinacją walczy, żeby zarobić na życie tymi przyjęciami, i żałował, że nie może jej pomóc. Ale przecież musi być jakiś sposób, żeby jej ulżyć? Bo miał wrażenie, że nikt i nic jej nie powstrzyma, jeśli wyznaczy sobie jakiś cel.

– Jedziemy? – spytała Vennie, naciągając miękką, szaro-różową czapkę z angory, w kolorach kombinezonu. – Spróbowałabym czarnego zjazdu, jeśli chcesz.

– Dobra.

Stukając po drewnianej podłodze ciężkimi buciskami wyszli z barku, zabrali narty wetknięte w śnieg razem z innymi, przypięli je do nóg i zjechali do wyciągów. Trzymali się za ręce, a krzeselko wyciągu unosiło ich coraz wyżej na szczyt.

Jest jak w niebie, pomyślała uszczęśliwiona Venetia.

Kiedy kończyli piąty i ostatni popołudniowy zjazd, zza horyzontu nadciągnęły chmury i zaczął padać gęsty śnieg, który zmienił się w regularną zamieć, gdy dojeżdżali do hotelu.

– W samą porę – oświadczył Morgan ustawiając sprzęt w narciarni – założę się, że jutro nas zasypie.

Venetia jęknęła, rozprostowując zbolale mięśnie.

– Oj, chyba się nie zmartwię... marzę tylko o gorącej kąpieli i żeby sobie pospać tak z tydzień.

– Zgodzę się tylko na kąpiel – odparł Morgan. – Potem idziemy do baru na drinka, zjemy kolację przy świecach, a potem... – Morgan otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

– A potem? – szepnęła, uśmiechając się zalotnie spod długich rzęs.

– No... trochę potańczymy, będziemy się całować... – wycisnął na jej chłodnych wargach mocny, władczy pocałunek, a ona silniej objęła go za szyję. – No ładnie, całujemy się w narciarni jak smarkacze z liceum – roześmiał się – a ty marzniesz. Nigdy w życiu nie całowałem tak lodowatych ust. Idziemy, trzeba cię wsadzić do tej gorącej kąpieli. Później podejmiemy przerwane przed chwilą czynności.

Strasznie lubię, jak ktoś się mną tak opiekuje, pomyślała Vennie, maszerując korytarzem u boku Morgana. Z nim wszystko jest takie łatwe.

Vennie miała na sobie długą, fałdowaną suknię z fioletowej wełny, z małym dekoltem i szerokimi rękawami, przewiązaną paskiem z fioletowej satyny. Inna wyglądałaby w tym wyzywająco i ostentacyjnie, ale nie ona – na jej szczupłej wysokiej sylwetce ta suknia po prostu idealnie leży, pomyślał Morgan, sam elegancki w wieczorowym garniturze. W hotelu pełnym bardzo przystojnych ludzi oni oboje wyróżniali się urodą do tego stopnia, że goście patrzyli za nimi, gdy szli do restauracji z przytulnego barku przy kominku.

Venetia, odświeżona kąpielą i pokrzepiona koktajlem na szampanie, poczuła się jak nowo narodzona. Rozpierała ją energia, ale innego rodzaju niż na stoku. Wtedy czuła sportowe emocje i radość z powodu pięknej pogody. Teraz po prostu cieszyła się młodością, urodą i towarzystwem Morgana.

Kelner podprowadził ich do stolika, zapalił świece, a Morgan ujął jej dłoń.

– Czy już ci mówiłem, jak pięknie wyglądasz w blasku świec? – spytał z uśmiechem – Może nawet lepiej niż na stoku, chociaż tam jesteś bliska mojego ideału!

– Ty też – odparła zalotnie. – W tym świetle twoje oczy nabierają złotej barwy.
– A co do jedzenia... Czy mam rozumieć, że umierasz z głodu? – Morgan ucałował jej palce, zanim puścił dłoń.

– Jasne. W dzień pozwoliłeś mi tylko na kanapkę – odpowiedziała Vennie, spoglądając fachowym okiem na długą listę zakąsek. – Dobry Boże, ależ tu jest wybór.

Morgan z rozbawieniem obserwował, jak wodzi palcem po poszczególnych pozycjach, mrużąc pod nosem komentarze.

– Morgan? Czy mogłabym zamówić dwie zakąski, ale za to bez głównego dania? To wszystko jest tak kuszące... po prostu muszę wziąć ślimaki, a potem chciałabym spróbować tej góralskiej szynki.

Morgan westchnął z udawaną rozpaczą.

– A więc nie będzie fondue?

– Nie będzie fondue – odparła twardo.

– Dzięki Bogu – uśmiechnął się z ulgą. – Zniósłbym to jakoś, ale tylko ze względu na ciebie. Vennie, jak chcesz, zamów sobie i ze trzy zakąski, albo nawet cztery. Albo pięć.

– Dwie wystarczą – odpowiedziała.

– Ty zawsze wiesz dokładnie, czego chcesz, prawda? – spojrzeli na siebie ponad migocącym płomieniem świecy.

– Czasami tak – odpowiedziała z namysłem. – Czasami...

Jak na dwie osoby, które przed chwilą były takie głodne, zjedli zdumiewająco mało, ale wszystko smakowało wybornie, jak to określiła Venetia. Potem trochę potańczyli przy spokojnej muzyce, objęci ramionami. Jej głowa spoczywała na jego ramieniu, tam gdzie jej miejsce, pomyślał Morgan. O północy ogarnęło ich zmęczenie i choć moment był zupełnie niewłaściwy, Venetia zaczęła ziewać.

– Przepraszam – powiedziała – ale taka jestem zmęczona. Morgan roześmiał się.

– Dzięki Bogu, że to nie z nudów – powiedział, biorąc ją za rękę i prowadząc do windy. – Całował cię kiedyś ktoś w windzie? – szepnął, kiedy drzwi się zamknęły i zostali sami.

– Jeszcze nie – odszepnęła rozanielona.

Tym razem pocałunek był inny – mniej czuły, a bardziej pożądlivy. Trwał, dopóki drzwi się nie otworzyły i nie stanęła w nich jakaś para, spoglądająca na nich z jawnym rozbawieniem.

Venetia splonęła rumieńcem i szybko ruszyła do pokoju, trzymając Morgana za rękę. Tak się zatraciła w tym pocałunku, że speszył ją widok obcych ludzi.

Zatrzymali się przed drzwiami, Morgan wziął jej klucz i otworzył pokój. Pomyślał, że Venetia jest chyba bardzo zmęczona; zbladła, zniknęły zdrowe

rumieńce. Ale była bardzo piękna w tej bladości. Nie był w stanie się od niej oderwać.

– Vennie? – ich oczy spotkały się. – Mogę wejść i pocałować cię na dobranoc? Bo inaczej nas ktoś przyłapie na korytarzu, prawda? Wystarczy skandali jak na jeden dzień, to znaczy, mam na myśli tę windę.

Venetia uśmiechnęła się.

– Zapraszam.

Tak dobrze było skryć się w jego ramionach, tak dobrze... chciałaby zasnąć w jego objęciach, byłoby cudownie. Zmysłowy pocałunek rozchylił jej usta – czekała na to, co się teraz powinno zdarzyć... ten cudowny przypływ fizycznej emocji, eksplozja tysiąca fajerwerków w żyłach, uczucie, które idzie do głowy i odbiera zdrowy rozsądek. Czyż nie to się właśnie odczuwa, gdy się kogoś pokocha?

Morgan pogładził jej szczupłe plecy, przyciągnął ją jeszcze bliżej do siebie i leciutko, pieszczotliwie całował jej powieki. O Boże, jak on jej pragnie... odchylił się nieco na moment, by popatrzeć w jej cudną twarz. Była taka śliczna – i taka zmęczona!

– Bydlak ze mnie – powiedział, całując ją w policzek. – Jesteś po prostu wykończona. Wsadzę cię do łóżka i będziesz spać, aż się sama obudzisz, jak ta księżniczka z bajki.

Wszystko oczywiście przez to, że jestem tak strasznie zmęczona, myślała Venetia po ostatnim pocałunku Morgana. Kiedy wyszedł z pokoju, zrzuciła pantofle i z ulgą wyciągnęła się na łóżku, myśląc o nim i o tym, co czuła. Czy to uczucie nie było jednak zbyt letnie? Morgan to przecież nie pierwszy lepszy facet, ale ktoś szczególny, i to z wielu względów. W jego towarzystwie zawsze czuje, że jest pod dobrą opieką, po raz pierwszy od wielu lat. Od czasu kiedy wyjechała z domu do szkoły w Anglii. Tak, Morgan się nią opiekował. Na przykład przed chwilą: czuła, że jej pragnie, ale jest przy tym taki delikatny i troskliwy. Tylko czy uczucie nie powinno aby pokonać zmęczenia?, pomyślała niespokojnie. Czy dotyk jego ust nie powinien jej rozpałić?

Jenny zawsze poddawała się uczuciu – gdyby nie to, nie byłoby na świecie ani Venetii, ani jej sióstr – ale z tego, co mówiła, w takich chwilach nic się nie liczy, tylko zmysły. Matka tak to odczuwała. No dobrze, ale dlaczego w takim razie Venetia nie czuła nic takiego przed chwilą?

Dziewczyna zdjęła suknię i naciągnęła jedwabną męską piżamę – gwiazdkowy prezent od Lydii Lancaster dla męża. Vennie pożyczyła ją sobie na wyjazd, bo piżama wyglądała o wiele bardziej seksownie niż te wszystkie frymuśne koronkowe koszulki. Zmyła makijaż i czyściutka, pachnąca, z wyszczotkowanymi włosami zasiadła przed lustrem, z głową opartą na dłoniach. Przecież chyba zakochałam się w Morganie?, myślała. A przynajmniej chciałabym, żeby tak było. On za to prawie na

pewno się we mnie kocha – to znaczy, miejmy nadzieję, że tak; w każdym razie niewątpliwie mu się podobam, westchnęła, odwróciła się od swojego zatroskanego odbicia w lustrze i położyła do łóżka. Zgasiła światło i chwilę leżała w ciemności, myśląc o tym, jak świetnie było im razem na stoku i później, kiedy trzymając się za ręce jechali wyciągiem, potem ta kolacja przy świecach, powolny taniec, pocałunki w windzie... wtedy przecież straciła głowę, prawda? Więc pewnie są różne rodzaje miłości, pomyślała, zasypiając. Nie każdy musi poddawać się przemożnym emocjom... Prawdziwa miłość może być przecież pełna... pełna spokoju.

Morgan nie mógł zasnąć. W pokoju jest za gorąco, stwierdził, wstał, podszedł do okna i popatrzył w noc. Śniegowe płatki wirowały w powietrzu. Westchnął i zasłonił okno. Jutro nici z jazdy, zasypało ich. A z kim może czuć się w takiej sytuacji lepiej niż z Venetią? Z nikim. Był tego pewien. Wiedział, że tym razem to coś innego. Był już przedtem zakochany, dwa razy, i w obu przypadkach wydawało mu się, że bez tej dziewczyny nie ma życia – aż do momentu, kiedy okazywało się nagle, że wręcz przeciwnie, życie bez niej jest możliwe, i zapowiada się całkiem przyjemnie. Tym razem sprawy miały się jednak zupełnie inaczej. Nie chodziło o to, że jest taka śliczna, ani o to, że on jej tak bardzo pragnie – chociaż to też miało znaczenie, wcale nie było mu łatwo rozstać się z nią wieczorem – ale o to, że potrafiła odkryć w nim te cechy jego natury, których istnienia przedtem nawet nie podejrzewał.

Pierwszy raz w życiu chciał się ktoś opiekować, kogoś chronić i o kogoś się troszczyć. Miała taki niezwykły charakter – była silna i niezależna, a jednocześnie delikatna i bezbronna. Boże, co za bydlak z niego, narzucać się tak obcesowo, kiedy padała z nóg. Właściwie, to jeszcze prawie dziecko. Powinien uważać, nie robić nic pośpiesznie, dać jej czas na przyzwyczajenie się. Właśnie tak mężczyzna powinien postępować z kobietami w rodzaju Venetii. Pójście z nią do łóżka byłoby równoznaczne z podjęciem zobowiązania – a na to przyjdzie czas. Vennie jest godna podziwu – jest piękna, świetny z niej kumpel, dziś spędzili razem fantastyczny dzień. Chciałby, żeby ten związek rozwijał się powoli, żeby można było nim się w spokoju nacieszyć. Będzie do niej dzwonił z każdego kraju, do którego pojedzie, będzie do niej pisał, przysyłał jej kwiaty, prezenty i tak ją oczarowywał, tę swoją niewinną Vennie, aż przyjdzie właściwy moment.

Położył się z rękami pod głową i snuł plany dla Venetii.

Dni mijały szybko, jak to zwykle na urlopie; każdy z nich zmieniał się w nieprzerwany ciąg drobnych zdarzeń. Jeździli na łyżwach na hotelowym lodowisku, trzymali się za ręce pod ciepłym futrzakiem na kuligu, słuchali dźwięku końskich dzwonek w zaśnieżonym górskim lesie jak z opowieści wigilijnej. Venetia ograła Morgana w curling i triumfalnie podskakiwała na lodzie, gdy wręczał jej wygraną – pięciofuntowy banknot. Kupiła mu potem w prezencie szary kaszmirowy

szalik, zarzuciła mu go na szyję i przypieczętowała dar pocałunkiem. Kiedy przestało padać i puszczono ratraki na trasy, z radością chodzili na stok; wieczorami były kolacje przy świecach, dansing... i czuły, delikatny, opiekuńczy Morgan. Tylko dlaczego, zastanawiała się Venetia, przebierając się przed kolacją ostatniego dnia, dlaczego już więcej nie próbował się z nią kochać? Czy coś się stało? Był tak samo, a nawet bardziej, kochający jak przedtem, uprzedzająco miły; sprawiał jej różne drobne przyjemności i wyglądał na równie szczęśliwego jak ona; ciągle się razem z czegoś zaśmiewali. No więc dlaczego, do cholery! Czyżby była dla niego za mało pociągająca?

Venetia wykrzywiła się do lustra. Postanowiła znowu włożyć fioletowy komplet – pierwszego wieczoru zrobił odpowiednie wrażenie. Pochyliła się i potrząsnęła głową, żeby włosy mogły się swobodnie ułożyć, a potem zarzuciła je na plecy, przeczesując palcami, tak by ułożyć swobodną fryzurę w pozornym nieładzie. Tym razem mocno podmalowała oczy, które zaraz nabrały głębi i zadumy. Podkreśliła policzki różem i umalowała usta intensywnie różową kredką, wpadającą niemal w fiolet, według porady Paris nabłyszczając mocniej dolną wargę, co dodawało ustom zmysłowości. Jeszcze odrobina perfum Penhaligona o zapachu leśnych dzwonków. Dobra. Jeśli to nic nie da, to nie ma na niego sposobu. Musiała przyznać sama przed sobą, że wygląda doskonale – miała nadzieję, że Morgan to doceni.

Venetia, ty chyba oszalałaś, skarciła sama siebie ze śmiechem. Najpierw nie wiesz, czy chcesz, żeby się z tobą kochał, potem, jak zaczyna cię uwodzić, nie jesteś pewna swoich uczuć, a na koniec zaczynasz się zastanawiać, dlaczego on właściwie się z tobą nie kocha!

Nie mogła się doczekać, żeby porozmawiać o tym z Kate Lancaster, swoją najlepszą przyjaciółką.

Sięgnęła po torebkę i rozejrzała się po pokoju – zgarnęła porzucane ubrania na dno szafy, wygładziła narzutę i zdjęła z krzesła piżamę – tak na wszelki wypadek, pomyślała sobie, z zadowoleniem lustrując pokój. Tak na wszelki wypadek, gdyby miał ochotę przyjść do mnie dziś wieczór.

Na kominku w barze płonął wesoły ogień, a Morgan czekał przy ich ulubionym stoliku i popijał whisky z wodą sodową. Zauważył, że ludzie aż się odwrócili na jej widok. Stała w drzwiach, rozejrzała się po sali i uśmiechnęła do niego. Mógłby się założyć o duże pieniądze, że nie zdawała sobie sprawy z własnej urody; to właśnie było w niej takie miłe.

Dzisiaj wygląda nieco inaczej niż zwykle: idzie wolniej, jakby z większą pewnością siebie, a w jej wzroku oprócz zwykłej bezpośredniości jest coś. Niech to diabli, co za pokusa! Przez cały tydzień z trudem opierał się naturalnym instynktom, a dzisiaj masz ci los – dziewczyna roztacza urok leśnego kwiatu, pachnie wiosną

łąką i emanuje seksem jak Lolita. Jezu, co ona zamierza z nim zrobić?

Venetia pocałowała go, gdy wstał na powitanie, a potem usiadła w fotelu, rozsiewając zapach leśnych dzwonek.

– Podoba mi się... – zakaszłał Morgan, gdy dotarła do niego fala perfum – znaczy ten zapach mi się podoba.

Venetia rzuciła mu najbardziej uwodzicielskie ze swych spojrzeń.

– Naprawdę? – zamruczała, żałując, że perfumy nazywają się Leśny Dzwonek, a nie na przykład Kwiat Zmysłów.

Morgan popatrzył na nią ze zdumieniem. Co też, u licha, w nią wstąpiło?

– Dobrze się czujesz? – zapytał ostrożnie. – Nie jesteś przypadkiem zmęczona?

O Boże, coś na pewno jest nie tak, przeraziła się Venetia. On myśli, że jestem zmęczona, a ja myślałam, że wyglądam seksownie!

– Oczywiście, że nie jestem zmęczona, ja się wcale tak szybko nie męczę, wiesz?

– Tak, naturalnie. To może się czegoś napijesz? Chcesz drinka z szampanem, jak zwykle?

Venetia popijała koktajl, żałując, że nie ma na tyle wyrafinowanego gustu, żeby zażyczyć sobie martini, wódkę z sokiem albo jakiś inny egzotyczny napój, po którym pewnie zrobiłoby się jej niedobrze, ale za to zamawiając go, czułaby się starsza i bardziej elegancka. Światowa, to jest dobre określenie, pomyślała. Boże, szkoda że nie jestem taka jak Paris, ona by tu doskonale dała sobie radę. Dlaczego Jenny nie wysłała mnie do szkoły w Szwajcarii zamiast w Anglii! Ale Paris za to nie umie gotować – pocieszyła się. Bo nie musi, dopowiedziała w myślach, bo pewnie co wieczór elegancy, wspaniali mężczyźni zabierają ją do najlepszych restauracji!

– Nudzisz się?

– Słucham? – Venetia porzuciła uwodzicielską pozę i ujęła go za rękę. – Ależ skąd, wcale nie. Dlaczego tak myślisz?

– No, bo patrzysz tak dziwnie i nic nie mówisz, zupełnie jak nie ty.

Venetia uśmiechnęła się.

– Masz całkowitą rację – przytaknęła – to nie ja! Umieram z głodu, a ty nie? Dzisiaj znów mam ochotę na ślimaki.

– Myślałem, że zaczniemy od kawioru – odpowiedział. – Kazałem zamrozić butelkę Dom Perignon.

– Świetnie. A potem zamówię ślimaki. Morgan roześmiał się.

– No to idziemy, kończ tego drinka.

Kawior był doskonały, szampan świetny, a truskawki ze śmietaną – to dopiero luksus w tym zasypanym śniegiem miasteczku. Morgan to Morgan, a Venetia to Venetia, myślała sobie dziewczyna, gdy wracali po nocy przetańczonej po kolei we wszystkich lepszych dyskotekach w całym Saint-Moritz. Lubimy się nawzajem,

świetnie się ze sobą czujemy. To z pewnością miłość. Tak pewnie powinno być: wesoło i fajnie, na pewno chodzi właśnie o przytulanie się w tańcu i chodzenie z dłonią w dłoni po ulicach. Może jesteśmy za młodzi na te wszystkie wstrząsające emocje. Romantyzm jest dużo lepszy, romantyzm i radość.

Morgan marzył o tym, żeby ją otoczyć ramionami i powiedzieć, że jej pragnie i że ją kocha, ale na to było jeszcze za wcześnie. To przecież dzieciak; tak się umie wszystkim cieszyć. Spędził wiele takich wieczorów z innymi dziewczętami; o tej porze były już przeważnie wtulone w niego i tak samo jak on oczekiwały na to, co miało nastąpić. Ale z Vennie przecież tak nie można. Musi zwolnić tempo i grać rolę delikatnego adoratora, aż dziewczyna będzie gotowa. W ten sposób na pewno ją zdobędzie.

7.

Cała podłoga poddasza była pokryta białymi czystymi prześcieradłami. Paris, na bosaka, w czarnych dżinsach i koszuli, klęczała na środku pomieszczenia, upinając srebrzyste falbany na długiej satynowej spódnicy w kolorze stali. Modelka, naga od pasa w górę, lekko drżała. Zauważyła gęsią skórkę na swoim ramieniu i spojrzała na zegarek.

– Paris, tu jest jak w lodowni – poskarżyła się. – Złapię zapalenie płuc, jeśli się nie pośpieszysz.

Jej głos o nosowym teksańskim akcencie rozlegał się w całej pracowni. Paris westchnęła. Jej zdaniem, wszystkie modelki powinny trzymać buzię na kłódkę i nie wtykać nosa w nie swoje sprawy. Dzisiejsze zadanie Finoli polegało tylko na tym, żeby stać spokojnie przy przymiarce, a ona nie dosyć, że cały czas przeszkadzała, to jeszcze miała łaskotki.

– Zaraz wezmę się za żakiet – pocieszyła modelkę. – Czekam tylko, aż Berthe skończy klapy.

Berthe Mercier, utalentowana krawcowa, siedziała w kącie przy długim stole i pracowicie obszywała długie, zaokrąglone klapy satynowego żakietu. Inna, młodsza kobieta siedziała obok i obrębiała szeroką płócienną spódnicę.

– Już wpół do piątej – marudziła Finola – a ja muszę jeszcze pojechać... gdzieś indziej na szóstą.

– A gdzie? – zdenerwowała się Paris. – Jesteś tu dopiero od trzeciej, myślałam, że masz cały dzień wolny.

– No... tak, miałam. Ale szóstą to już przecież wieczór, nie dzień?

Paris skończyła upinać falbanę wzdłuż rozcięcia spódnicy sięgającego biodra.

– Dobra. O której przyjdiesz jutro? – odsunęła się, żeby ocenić efekt.

– Nie wiem. Zadzwoń i dam ci znać.

Paris popatrzyła na modelkę z namysłem. Czuła, że coś jest nie tak. Finola coś knuła, tylko co?

– Słuchaj, Finola – powiedziała, minimalnie przesuając falbanę w lewo. – Te wszystkie wieczorowe suknie są zaprojektowane i szyte dla ciebie. Jeszcze tylko parę dni i kończymy. A teraz mów, o której przyjdiesz?

Berthe Mercier przyniosła żakiet.

– Skończony, mademoiselle.

Paris uważnie obejrzała klapy.

– Świetna robota, Berthe, jak zwykle.

Berthe Mercier zaczęła pracować jako piętnastolatka. Szyła dla wszystkich najlepszych paryskich domów mody, a teraz dorabiała po godzinach, żeby zarobić na

czesne dla córki w szkole baletowej. Nauka ciągnęła się bez końca, mała miała mnóstwo dodatkowych zajęć – ale to się opłaci, Naomi w końcu zostanie gwiazdą. Tak samo jak Paris Haven, która wyrobiła sobie mistrzowską rękę, a sztukę kroju opanowała do perfekcji.

Finola narzuciła żakiet na chude ramiona i zapięła go poniżej talii na stalową broszę w kształcie rombu, pełniącą rolę jedyne go guzika. Żakiet zachowywał opływową linię, dotykając ciała modelki jedynie tam, gdzie powinien. Satynowa tkanina i rzucający się w oczy zaokrąglony kształt klap tworzyły uroczy kontrast z męskim krojem i kolorem, podobnie jak zalotne, efektowne falbany z tyłu. Finola uważnie przyjrzała się swemu odbiciu w lustrze wiszącym na ścianie. Żakiet odsłaniał jej dekolt, więc skromnie ściągnęła jego brzegi ku sobie.

– Paris, wygląda fantastycznie – powiedziała, obracając się wokół na próbę – tylko boję się, że jeśli będę się za gwałtownie ruszać, to mi cycki wyskoczą z tego dekoltu.

– Spokojnie, nawet gdybyś je miała, to i tak by nie wyskoczyły, żakiet jest dobrze skrojony.

Finola zaśmiała się mimo woli.

– Touche, jak mówią Francuzi. – Mogę już iść?

– Dokąd? Zarabiać na lewo? – Didier de Maubert trzasnął za sobą drzwiami i roześmiał się, pochwywszy wściekle spojrzenie modelki. – Przepraszam, przepraszam, chérie. Nie chciałem tego powiedzieć. Po prostu podsłuchałem końcówkę rozmowy, i tyle.

Didier de Maubert, wbity w biały garnitur, który służył mu jak mundur na każdą okazję latem i zimą, był kolegą, pomocnikiem i kozłem ofiarnym Paris, czyli zajmował się „sprawami urzędowymi”, podczas gdy ona pracowała nad artystyczną stroną kolekcji. Didier wypisywał czeki i pilnował finansów; wyszukał dostawców guzików, nici, zamszu i satyny i wynegocjował bardzo korzystne ceny. Utrzymywał kontakty z właścicielami sklepów, walczył z modelkami, podlizywał się krawcowym, parzył kawę, zmuszał Paris, żeby jadła kolację co wieczór, i osuszał łzy zmęczenia i frustracji.

Paris poznała go jako siedemnastolatka, kiedy uczyła się kroju i szycia w szkole plastycznej. Miał wtedy dwadzieścia trzy lata i właśnie przygotował kolekcję letnich spodni i koszul. Ubrania były w ostrych kolorach i kojarzyły się z morzem, więc okazały się idealne na wakacje. W ten sposób Didier odniósł pierwszy, nieoczekiwany sukces. Od tego czasu firma „Didi’s Designs” przeżywała zmienne koleje losu: niektóre sezony były udane, inne nieco mniej, ale Didier jakoś sobie radził w tym niepewnym zawodzie, a jego przyjaźń z Paris, nawiązana w kafejce, gdzie oboje byli stałymi bywalcami, przetrwała próbę czasu.

Poprzestali tylko na przyjaźni, ponieważ Didi był, jak to określają rubryki towarzyskie, „zatwardziałym kawalerem”. Dawno temu powiedział Paris, że ich przyjaźń dlatego prawdopodobnie przetrwała tyle lat, że miał odmienne upodobania seksualne.

– Dla takiej pięknej kobiety jak ty każdy inny mężczyzna stanąłby na głowie, zrobiłby wszystko, żeby zostać twoim kochankiem.

Didi obserwował postępy Paris – a raczej brak postępów – od chwili gdy porzuciła bezpieczny kokon szkoły plastycznej, a potem frustrujące wielkie domy mody i zaczęła pracować na swoim. Wysłuchiwał jej skarg na brak pieniędzy, a potem zaproponował, że szepnie słówko na jej temat w dowolnie przez nią wybranym domu mody sprzedającym gotowe kreacje. Sklepy te stale poszukiwały nowych, oryginalnych twórców. Paris jednak obawiała się, że ten wielki, bezosobowy świat ją wchłonie i zabije w niej indywidualność.

Gdyby Didier dysponował odpowiednią ilością pieniędzy, sam by sfinansował kolekcję Paris, ale nigdy nie udało mu się zebrać tyle, by starczyło na jeszcze jedno przedsięwzięcie. Kiedy Paris wróciła z Hollywood z dziesięcioma tysiącami dolarów oraz nieugiętą ambicją i opowiedziała mu całą historię spadku, Maubert postanowił jej pomóc.

Didi zawiesił na stojaku opakowane w folię modele, które odebrał ze specjalistycznych pracowni.

– To ci powinno poprawić humor – powiedział.

Paris pościagała plastikowe osłony i uważnie obejrzała stroje.

– Didi, wyglądają fantastycznie.

Trzy długie płócienne spódnice – różowa, wykończona morelowym zamszem, niebieska z fioletem i szara z bursztynem – wisiały obok stonowanych w kolorze jedwabnych bluzek o rozszerzanej koszulowej linii. Spodnie, z tego samego grubego płótna, zebrane w mankiet na wysokości łydki, miały tworzyć całość z obszernymi zamszowymi kurtkami. Nawet na wieszaku ubrania wyglądały młodzieżowo i wesoło. Paris odzyskała pogodę ducha.

– A więc pierwsza partia jest już gotowa – stwierdziła. – Dzięki Bogu. Zaczęłam już się martwić, że dostawcy z niczym nie zdążą.

– Mówiłem ci, że wszystko się uda – uśmiechnął się Didi i spojrział na zegarek. – Paris, musimy sprawdzić co z dodatkami, a potem zdecydować ostatecznie, gdzie odbędzie się pokaz. Nie można tego już dłużej odwlekać.

Udało im się ograniczyć początkową listę miejsc do dwóch. Pierwszym z nich była nieciekawa sala w nowoczesnym hotelu, który miał jedną zaletę: znajdował się niemal w samym centrum świata paryskiej mody, drugim – niezwykle secesyjny hotel na tyłach Hal, dawnego targowiska, które przekształcona w centrum handlowe pełne

butików, barów i kafejek. Sprawa była poważna, podobnie jak wybór dodatków, ale Paris miała już dość podejmowania decyzji. Do każdego modelu trzeba było dobrać odpowiednie pantofle, kapelusze albo ozdoby do kapelusza i do włosów, oryginalne paski, ozdobne spinki, naszyjniki, bransolety i kolczyki. Większość ozdób zaprojektowała sama i zleciła ich wykonanie licznym małym pracownikom rozsiętym po całym Paryżu. Plan, który powstał na początku w głowie dziewczyny, zaczynał przybierać realne kształty. Tylko im bliżej było do terminu pokazu, tym bardziej Paris się denerwowała. W dodatku jeszcze zaczęły się problemy z Finolą!

Narzuciła futro odziedziczone po Jenny i zeszła w ślad za Didiem do jego białego mercedesa 450, nieprawidłowo zaparkowanego na jezdni. Za szybą samochodu tkwił mandat.

– Merde – zaklął Didi z pogodnym wyrazem twarzy, dołączając kwitek do kolekcji w schowku na rękawiczki.

Uważał mandaty za nieodłączny element miejskiego życia. Przez myśl mu nigdy nie przeszło, żeby szukać parkingu albo przepisowego miejsca do zaparkowania – musiałby zbyt daleko iść od samochodu do domu w tę ohydłą pogodę, a na to by się nigdy nie zdecydował.

Didi był najbardziej francuskim ze wszystkich znanych Paris Francuzów. Miał pociągłą bladą twarz, smutne ciemne oczy średniowiecznego świętego i mięsisty garbaty nos. Był przy tym przystojny i zawsze ubierał się elegancko w nieskazitelnie białe garnitury – latem noszone z granatową bawełnianą koszulką, a zimą z pastelową niebieską albo różową koszulą pod krawatem. Zwierzał się Paris ze swych problemów uczuciowych, a raczej skarżył się ciągle na samotność. Ale kto miałby czas na romanse? Była tylko praca, praca i jeszcze raz praca. A Paris nie chciała niczego więcej. Didi był jedyną osobą, której powiedziała o Amadeo Vitrazzim.

– Poczekaj, chérie, tylko poczekaj – pocieszał ją. – Kiedy już staniesz się sławna, będziemy kupować jedwabie tylko od Derome’a, a jak signor Vitrazzi zacznie się płaszczyć i uśmiechać o zamówienia, to mu powiesz, że jego jedwabie nie są dla ciebie dość dobre i niech sobie idzie do Olympe Avallon.

– Od czego zaczynamy? – spytała, gdy Didi zaczął przebijać się przez obłędne wieczorne korki.

– Od kapeluszy – zahamował gwałtownie i skręcił w boczną uliczkę. – Obiecałem, że przyjedziemy przed piątą. Jesteśmy spóźnieni.

– Och, Didi, mam nadzieję, że Jean-Luc zrobił wszystko jak należy.

Kapelusze były najważniejsze ze wszystkich dodatków – od nich zależał w dużej mierze cały „szuk”.

Didi znowu zaparkował w niedozwolonym miejscu, a Paris pognęła po schodach do pracowni Jeana-Luca, młodego człowieka świeżo po szkole, który był odkryciem

Didiego. Zachwyciły ją próbne wzory, atrakcyjne i pobudzające wyobraźnię, ale teraz zaczęła się denerwować. W końcu to jego pierwsze zamówienie: co będzie, jeśli nie okaże się aż tak dobry, jak na to wyglądało?

Młoda żona Jeana-Luca otworzyła drzwi w odpowiedzi na jej niecierpliwy dzwonek. Trzymała w ramionach niemowlę i uśmiechała się miło na powitanie.

– Proszę wejść, mademoiselle. Jean-Luc już czeka. Napije się pani herbaty albo wina?

Idąc za dziewczyną do obskurnego pokoju, Paris ze wszystkich sił starała się uspokoić. Niemowlę posłało jej bezzębny uśmiech znad ramienia matki.

Odpowiedziała mu uśmiechem i pogładziła palcem pulchną łapkę. Słodki szkrab.

– Paris, wszystko gotowe – Jean-Luc uściśnął jej rękę i poprowadził do długiego na całą ścianę stołu. Na niskich podstawkach kapelusze wyglądały jak rząd letnich kwiatów w ascetycznym, ponurym pokoju.

Jean-Luc zrobił fikuśny toczek z woalką, który powinno się nosić przekrzywiony na jedną stronę w stylu lat trzydziestych, ekstrawagancki hiszpański kapelusik do garsonki i słomiany kapelusz o szerokim rondzie przyozdobionym długimi wstążkami – do romantycznych codziennych sukienek. Nie było czym się denerwować – wszystkie nakrycia głowy były idealne.

– Więcej niż idealne – powiedziała, zarzucając mu ramiona na szyję – są rewelacyjne, a ty jesteś geniuszem, Jean-Luc. Będą miały takie powodzenie, że w przyszłym roku nie będzie mnie na ciebie stać.

Jean-Luc uśmiechnął się skromnie:

– Mam nadzieję, że się nie mylisz, i bardzo się cieszę, że jesteś z nich tak zadowolona.

– Musicie przyjść na pokaz, najlepiej w trójkę – powiedziała, zapraszając także i malucha.

Didi wpadł pośpiesznie do brzydkiego pokoiku. Jego biały garnitur był tu równie nie na miejscu, jak te kapelusze.

– Didi, spójrz. Prześliczne, prawda? – Paris zaczęła je przymierzać.

– Fantastyczne. Doskonała robota, Jean-Luc. Wiedziałem, że ci się uda. Są wspaniałe, Bogu dzięki. Paris, zbieraj się, musimy już lecieć.

Pociągnął ją za sobą po schodach, ułożył pudła z kapeluszami na tylnym siedzeniu mercedesa i pojechali do następnej pracowni po buty, później po biżuterię, a wreszcie ozdoby do włosów.

O ósmej siedzieli obok siebie w samochodzie, zmordowani, ale szczęśliwi.

– Mam tylko jedno zastrzeżenie – przeciągnęła się Paris. – Mianowicie takie, że te niebieskie sandały mogłyby lepiej pasować odcieniem do tkanin. Poza tym, wszystko jest idealnie. Prawda, Didi?

– Bogu dzięki, tak.

Jak na początkujących autorów kolekcji, idzie nam zaskakująco dobrze, pomyślał.

– Została nam jeszcze jedna sprawa – powiedział. – Wybór salonu na pokaz. Najpierw coś wypijemy, czy pójdziemy oglądać?

Wzmianka o drinku była kusząca, jednak ta najważniejsza decyzja ciągle nie została podjęta.

– Mam ochotę na bardzo zimny, bardzo duży koktajl z szampanem. I z wisienką – powiedziała powoli.

– Doskonale – odparł Didi i zapalił silnik.

– Ale jak już obejrzymy te salony. Westchnął ciężko.

– Tak mi się zdawało, że to powiesz na koniec!

Paris popijała poranną kawę i rozważała swoją decyzję. Hotel Art Nouveau był niewątpliwie nie po drodze, ale w dzisiejszych czasach projektanci potrafili zaprezentować kolekcję nawet na torze wyścigowym, albo pod płóciennym dachem rozpiętym na parkowych zieleńcach, a atmosfera tego miejsca idealnie pasowała do jej strojów. Modele były projektowane pod wpływem słodkiego hollywoodzkiego stylu musicali z lat trzydziestych, a te ogromne, zakręcone schody były jakby stworzone do występu Freda Astaire’a albo innej gwiazdy z tamtego okresu. Didi chciał ją odwieść od tego pomysłu argumentem, że pokaz powinien odbyć się w centrum, tam gdzie coś się dzieje, a salon można tak udekorować kwiatami, że jego wygląd zmieni się nie do poznania. W końcu jednak stwierdzili, że sala jest i tak za duża na tak mały pokaz. Co będzie, jeśli połowa gości nie skorzysta z zaproszeń? Będą się głupio czuć w pustym salonie. A więc zdecydowali się na Art Nouveau.

Następnym razem, postanowiła sobie, odstawiając filiżankę i wyskakując z łóżka, następnym razem wynajmę olbrzymi apartament w Ritzu na przyjęcie, a pokaz urządzimy w jednym z jego najelegantszych salonów. Odtworzę atmosferę otaczającą Chanel. Na razie stać nas tylko na tamten hotel. Ledwie nas stać!

Popatrzyła w okno. Znowu pada. Czy ta okropna zima nigdy się nie skończy? Boże, to już wpół do ósmej! Do dwunastej, do przyjścia Finoli, trzeba jeszcze tyle zrobić. Jak na razie idzie dobrze – i według planu. Tylko strasznie ciężko jest zorganizować wszystko samej, chociaż Didi pomaga, ile może. We dwójkę wykonują pracę co najmniej pięciu osób. Naprawdę jednak przydałby się ktoś, kto by zajął się dodatkami, i ktoś, kto by się zajął poszczególnymi elementami pokazu – ubraniami sportowymi, codziennymi, koktajlowymi i wieczorowymi. No cóż – uśmiechnęła się sama do siebie – w przyszłym roku to wszystko będzie wyglądać zupełnie inaczej. Stanę się już kobietą sukcesu i będę mogła wysypiać się w moim apartamencie do dziewiątej, a asystenci i ich pomoce zajmą się nużącymi szczegółami. Może nawet

wyjadę do mojej willi w Marrakeszu, aby tam „tworzyć”...

Miło było tak pomarzyć, więc fantazjowała dalej, aż do rozpoczęcia pracy. I dobrze, że sobie na to pozwoliła, bo miał to być jedyny przyjemny moment w tym dniu.

O wpół do drugiej Finola jeszcze się nie pokazała – ani nie zadzwoniła. Paris nerwowo robiła na wieszaku poprawki na sześciu wieczorowych sukniach. Każda z nich była idealnie dopasowana do szczupłej, kościstej Finoli.

Paris uparła się, żeby wynająć tę modelkę, mimo że dziewczyna zażądała bardzo wysokiego honorarium. Finola miała długie nogi, szeroką w ramionach sylwetkę gwiazdy z lat trzydziestych i idealnie nadawała się do zaprezentowania tej kolekcji. Oprócz niej miały wystąpić cztery inne modelki, ale ponieważ planowała wynająć je przez agencję tylko na jeden dzień, wszystkie inne kreacje były w standardowych rozmiarach; drobne poprawki można będzie zrobić na dzień przed pokazem. Cztery dziewczyny to mało, Paris dobrze o tym wiedziała. Będą się musiały bardzo szybko przebierać, ale nie stać jej było na więcej modelek – z powodu gaży Finoli. A teraz ta małpa się spóźnia.

– Didi, gdzie ona się podziewa?

– Wspominała chyba, że może umówić się z kimś na lunch.

– Tak, ale w takim wypadku miała dzwonić.

Didi jeszcze raz wykręcił numer Finoli i chwilę trzymał słuchawkę przy uchu. Potem podszedł do drzwi.

– Dokąd idziesz?! – zawołała Paris i pobiegła za nim.

– Znajdę ją. Poczekaj tutaj.

I zbiegł po schodach do samochodu. A jak ją znajdzie, pomyślał ze złością, to skręć jej szyję.

Finola wyszła z lśniącego salonu młodego japońskiego projektanta, którego nowatorska, szokująca kolekcja odniosła oszałamiający sukces przed dwoma laty. Od tej pory Japończyk szedł od zwycięstwa do zwycięstwa. Modelka była z siebie bardzo zadowolona; zagrała na zwłokę, a teraz zaproponowali jej olbrzymią sumę za pokaz. Na to liczyłam, pomyślała, zbiegając po schodach. Jeśli otwarcie powiesz, czego chcesz, w końcu to dostaniesz. Była im naprawdę potrzebna. Cóż, Paris Haven nie ma po prostu farta, ale ona przygotowuje tylko malutką kolekcję i z łatwością kogoś znajdzie, choć oczywiście wszystkie najlepsze modelki są już od dawna poumawiane.

W tym momencie Didier złapał ją za rękę i pociągnął do zaparkowanego na jezdni samochodu.

– Zostaw mnie! – wrzasnęła – Co ty wyprawiasz?

– Co ja wyprawiam? Zabieram cię na spotkanie, o którym najwyraźniej zapomniałaś.

Finola popatrzyła na niego z poczuciem winy.

– Jakie spotkanie?

Didi puścił ją i wsadził ręce w kieszenie białej marynarki. Znowu zaczęło padać. Mokre włosy przylegały mu gładko do czaszki, ciemne oczy lśniły w bladej twarzy. Wyglądał obco i niepokojąco.

– Co ty kombinujesz, Finola?

Pospiesznie cofnęła się o krok.

– Ach, już sobie przypominam. Miałam zadzwonić do Paris... właśnie szłam do telefonu.

– I co zamierzałaś jej powiedzieć? Że rezygnujesz z pracy nad jej pokazem? O to ci chodzi? Mitsoko zaoferował ci rolę gwiazdy rewii i więcej forsy?

Finola gwałtownie wstrząsnęła głową, odrzucając do tyłu grzywę blond włosów. Cholera, zaraz będzie przemoczona do nitki!

– Tak jest, mój panie, i przyjąłem jego ofertę. Obawiam się, że nie dam rady wystąpić na pokazie Paris. Powiedz jej, żeby zadzwoniła do agencji i wzięła sobie kogoś innego.

Didier chciał ją spoliczkować; ręka sama mu się rwała do uderzenia, więc wepchnął ją głębiej w kieszeń i starał się opanować. Ta dziwka wykorzystała ich, żeby wymusić na Mitsoko wyższą gażę – i żeby zostać u niego gwiazdą. Z jednej strony trudno ją obwiniać, kariera modelki trwa krótko, ale na miły Bóg, zatłukłby ją za krzywdę wyrządzoną Paris!

– Pies cię trącał, Miss Teksas – rzucił i odwrócił się od niej. Finola poczerwieniała.

– Ciebie też, pedale jeden! – wrzasnęła na cały głos, nie zwracając uwagi na zdziwione spojrzenia przechodniów.

– Didi, co ja mam teraz zrobić! – jęknęła Paris rozpaczliwie, tonem Sary Bernhardt w Orłątku.

Berthe podniosła wzrok znad różowego zbluzowanego żakietu z satyny, na który naszywała w jednej linii drobniutkie diamentowe paciorki.

Zmartwiony Didier przestępował z nogi na nogę.

– Zadzwonimy do agencji i weźmiemy kogoś innego.

– Nie ma nikogo innego! Wszystkie paryskie modelki, co do jednej, są już poumawiane na dwa tygodnie pokazów. O Boże, Didi, zostały tylko „wieszaki”, czyli dziewczyny z przebieralni!

Berthe słuchała z zainteresowaniem. A więc ta nadęta Miss Finola zostawiła ich w końcu na lodzie, co? Berthe nie była tym wcale zdziwiona. Nieraz zastanawiała się, jak takiej młodej firmie na dorobku udało się zaangażować jedną z najlepszych modelek, ale myślała, że to pewnie przyjaciółka robi Paris przysługę.

Uważała, że bardzo dobrze się stało, bez Finoli wszystko pójdzie lepiej, chociaż to dobra modelka, a Bóg jeden wie, jak bardzo taka jest im potrzebna. Ze wszystkich czterech osób w tym pokoju, czyli pary projektantów i dwóch krawcowych, Berthe była najbardziej doświadczona i obyta zawodowo. Jej zdaniem młodzi popełnili kilka błędów, ale miała tu tylko szyć – nikt jej nie pytał o zdanie w innych sprawach. Ciekawa była, co oni teraz zrobią.

Paris upadła na stare łoże z zagłówkami i wybuchnęła płaczem.

– Didier, tego już za wiele, po prostu za wiele. Co mam teraz zrobić?

Didi przycupnął obok niej. Czuł się zupełnie bezradny. Po raz pierwszy w życiu nie wiedział, co począć.

– Paris, wszystko będzie dobrze, wszystko się ułoży, sama zobaczysz. Finola nie jest niezastąpiona.

– Jest, i ty o tym dobrze wiesz, akurat przez te dwa tygodnie nikt jej nie zastąpi.

Didi wiedział, że Paris ma rację.

– Zaparzę ci kawę – zaproponował. – A może wolisz brandy? Paris wtuliła twarz w poduszkę i zanosła się szlochem. Berthe nie mogła tego dłużej znieść. Odłożyła materiał i podeszła do nich.

– Przepraszam, mademoiselle, monsieur...

Didier wstał. Zawsze był ujmująco uprzejmy dla pracowników.

– Tak, Berthe?

– Słyszałam, co zrobiła ta modelka, monsieur, i muszę powiedzieć, że mnie to wcale nie zdziwiło. Bardzo państwu współczuję.

– Dziękujemy ci, Berthe, to miło z twojej strony.

– Jeśli pan pozwoli, chciałabym coś zasugerować. Pracuję w domach mody od dziecka... to już prawie czterdzieści lat. Mam doświadczenie, widziałam setki rewii, dobrych i złych, widziałam też afery i awantury przed rewiami. Mam pewien pomysł, monsieur. Myślę, że uda nam się uratować ten pokaz.

Oczy Didiera napotkały sceptyczny wzrok Paris, a potem oboje popatrzyli na Berthe.

– Usiądź, Berthe – Didier ujął ją pod ramię i podprowadził do krzesła. – I powiedz nam, co to za pomysł.

8.

Czerwone ferrari rzucało się w oczy na parkingu pod Studiem Paroli. Mokra karoseria lśniła w świetle padającym z okien salonu wystawowego. Dwaj młodzi mężczyźni opierali się o luksusowy pojazd, nie zważając na przenikliwie zimny, zacinający deszcz. Czekali, aż w drzwiach ukaże się Fabrizio Paroli. Aparaty fotograficzne pochowali pod wygniecionymi płaszczami przeciwdeszczowymi. Zaczęły krążyć plotki, że Paroli dość poważnie zaangażował się w romans z córką Jenny Haven. Już dwa razy udało się przyłapać tę parę, kiedy wychodziła z salonu. On podwoził ją pod dom i na tym koniec, wysiadła i sama szła do mieszkania. Ale plotka zapowiadała się sensacyjnie, a paparazzi, jeśli tylko trafili na ślad, byli nieustępliwi jak psy gończe i świetnie potrafili rozdmuchać każdą taką sprawę. Niewiele przecież potrzeba – dwie osoby oślepione fleszem zawsze wyglądają na zaskoczone – a zaskoczony to już prawie „winien”, jeśli zdjęcie opatrzy się odpowiednim komentarzem.

Fabrizio, wychodząc ze studia tylnymi drzwiami dla personelu, podniósł dla niepoznaki kołnierz płaszcza i zmieszał się z tłumem śpieszących do domu pracowników. Opuścił głowę i szybko przeciął ciemną uliczkę, zmierzając do czekającej za rogiem taksówki.

India otworzyła mu drzwi. Wsiadł, strąsając z włosów krople deszczu. Jego zimne usta dotknęły jej warg, a taksówka uniosła ich w anonimową czerń nocy.

Dziwne, pomyślała, gdy jego powitalny pocałunek stawał się coraz bardziej namiętny, a ręce zaczęły błądzić pod futrzaną kurteczką. Nagłe zainteresowanie dziennikarzy Indią, rozbudzone śmiercią Jenny, spotęgowało jego pożądanie. Bez przerwy chciał się z nią teraz kochać, wszędzie, w biurze, w samochodzie – nawet tu w taksówce nie potrafił się opanować. Wsunął jej ręce pod bluzkę i gładził piersi, aż westchnęła z rozkoszy. Fabrizio przerwał pocałunek. Oczy załśniły mu w ciemności, gdy wziął jej dłoń i położył na swym nabrzmiałym członku. Pieściła go machinalnie, czując ciepło jego ciała przenikające przez cienką wełnę.

– Przestań już, przestań, carina – szepnął, chwytając ją za rękę. India ukradkiem popatrzyła na taksówkarza, który szczęśliwie musiał się skoncentrować na prowadzeniu samochodu po nie oświetlonej, mokrej od deszczu drodze wyjazdowej z Rzymu. Fabrizio wtulił twarz w miękkie futro z lisa, schwycił w zęby jej sutek i zaczął go lekko pogryzać, aż krzyknęła. – Cśśś – mruknął. India nagle przypomniała sobie opowieść Jenny o tym, jak kochała się ze swoim Anglikiem w weneckiej gondoli – taksówka nie dorównywała romantyzmem łodzi, ale sytuacja była dość podobna. Dziewczyna zachichotała. Zirytowany Fabrizio podniósł głowę, przerywając pieszczoty.

– Czemu się śmiejesz, Indio? Coś zrobiłem?

– Nie, nic... nic nie zrobiłeś, to wszystko jest po prostu takie zabawne – odrzuciła w tył głowę i roześmiała się na całe gardło. Fabrizio odsunął się od niej, poprawił marynarkę i przyglądał włosy, urażony w swej męskiej ambicji.

– Dla mnie nie ma w tym nic zabawnego – powiedział z niepokojem. Jeszcze żadna kobieta nie śmiała się z niego w chwili, gdy ją pieścił.

Jego członek tak wyraźnie oklapł, że India znowu zaniósła się niepowstrzymanym śmiechem.

– Przestań natychmiast! – rozkazał Fabrizio. – Co się z tobą dzieje?

– Nie mam pojęcia – wydyszała między atakami śmiechu – po prostu coś mi przyszło do głowy.

– Ja cały czas myślałem o tobie – powiedział zimno – i wydawało mi się, że w takiej chwili ty myślisz tylko o mnie.

– Tak było, naprawdę... tylko... widzisz, przypomniało mi się coś, co opowiadała mi matka, i zdałam sobie sprawę, że jestem do niej bardziej podobna, niż myślałam.

– Ach, twoja matka – Fabrizio jak każdy Włoch głęboko przejmował się rodzinnymi tragediami i był pełen autentycznego współczucia. – Biedne kochane maleństwo. Nie martw się, rozpacz po pewnym czasie przemija. Czasami śmiech bierze się ze smutnych wspomnień.

India poprawiła futerko, przysłaniając piersi. W tych cholernych taksówkach jest zdecydowanie za zimno na uprawianie miłości. Znowu wybuchnęła śmiechem.

– Indio, tego już naprawdę za wiele. Wpadasz w histerię.

– Przepraszam cię, to nienaumyślnie. Po prostu tak wyszło. Poprawiła makijaż i wyjrzała przez okno.

– Strasznie ciemno na zewnątrz – zauważyła.

– Jak to na wsi – uciał Fabrizio.

Westchnęła. Wygląda na to, że dotknęła w nim najbardziej czułego punktu. Śmiać się, kiedy Włoch chce się z tobą kochać – nawet tak światowy Włoch jak Fabrizio – to duży błąd. Pewnie zadrasnęła jego poczucie męskości, chociaż jej zachowanie nie miało z tym nic wspólnego. Miał rację mówiąc, że on myślał tylko o niej i w takiej chwili ona powinna myśleć o nim. Było inaczej – i to nie po raz pierwszy. Ostatnio coraz częściej jej myśli odpływały gdzieś daleko, kiedy Fabrizio płonął z pożądania. Naprawdę nieładnie myśleć o czymś innym, oddając się mężczyźnie w eleganckim hotelowym pokoju. Czyżby wreszcie znudziło jej się ukrywanie tego romansu? Nie chodziło o umiejętności Fabrizia jako kochanka – na pewno nie – ale czegoś jej było brak. India ujęła jego dłoń i pocałowała ją; Fabrizio objął dziewczynę ramieniem.

– Tak już lepiej, cara – przytulił jej głowę do swego ramienia. – Już się

uspokoilaś.

– Dojeżdżamy na miejsce?

– Jeszcze pół godzinki. Zaraz będziemy sami we dwójkę.

O to właśnie chodzi, pomyślała. Brakuje mi kontaktu z ludźmi. Romanse z żonatymi mężczyznami oznaczają samotność – za wiele samotności. Na przykład ten weekend. Marisa pojechała do rodziny do Mediolanu i wraca dopiero w poniedziałek. Fabrizio udał, że ma dużo pracy i musi zostać w Rzymie, i zorganizował wyjazd do wiejskiej posiadłości przyjaciela, który przebywał za granicą. Mieli dwie noce dla siebie – tylko dwie, bo bał się, że Marisa może niespodziewanie przyjechać wcześniej, w niedzielę. Nie obawiał się, że coś podejrzewa – śmiała się z tego, co wypisywały gazety, i zdaje się mało ją to obchodziło – ale strzeżonego Pan Bóg strzeże.

India mocniej przytuliła się do niego. Lubiła jego towarzystwo, podobał się jej, był dobrym przyjacielem i wyrafinowanym kochankiem – i nawet ta atmosfera tajemniczości na początku jej się podobała. Pamięta, wtedy wszystko było prostsze: takie romanse zawsze zakwitają w zacisznych restauracyjkach, gdzie nie spotyka się żadnych znajomych. Potem przychodzi czas spotkań w pokojach wynajmowanych gdzieś w odległych hotelach, a w miarę rozwoju uczuć romans przenosi się do wynajętego w sekrecie mieszkanca. Tak, na początku kochankom niewiele trzeba. Ale czy uczucie może przeminąć tylko dlatego, że nie jest częścią normalnego życia?

– O czym myślisz, carat – Fabrizio pocałował ją w czubek zimnego nosa.

– Sama nie wiem – wyjrzała w ciemność.

Samochód minął kutą w żelazie bramę. Do willi prowadziła długa, prosta aleja wysadzana topolami, które kołysały się teraz na wietrze w strumieniach deszczu. Dom wyglądał ponuro i odpychająco. Wysiedli z taksówki, a India schowała się na ganku, czekając, aż Fabrizio zapłaci taksówkarzowi i umówi się, żeby przyjechał w niedzielę rano, by ich zabrać do Rzymu.

– Służba powinna tu na nas czekać – powiedział i zadzwonił do drzwi.

India wpatrywała się w światła odjeżdżającej taksówki. W miarę jak się oddalały, ogarniała ich coraz większa ciemność. Fabrizio zadzwonił jeszcze raz – i czekali dalej.

W ciszy deszcz uderzał o dach ganku ze zdwojoną siłą.

Fabrizio ujął ciężką żelazną kołatkę i załomotał w drzwi.

– Gdzie oni wszyscy się podziali, do cholery? – zdenerwował się. – Halo, jest tam kto?

– Tak, co najmniej z dziesięć osób – mruknęła ironicznie India. Co będzie, jeśli w środku rzeczywiście nikogo nie ma, a oni tu zostaną w tej głuszy, bez możliwości powrotu – i to w taki deszcz? Też mi romantyczny weekend!

– Poczekaj – powiedział rozkazującym tonem – pójdę poszukać służby.

– Fabrizio, a jeśli tu nie ma żadnej służby?

Zbiegł już ze schodów i prawie zniknął za rogiem budynku.

– Zawsze jest jakaś służba – w jego głosie brzmiała wściekłość.

India miała nadzieję, że on się nie myli. Z niepokojem wpatrywała się w ciemność. Delikatne szelesty w krzakach i szum wiatru w gałęziach drzew przypominały jej horrory, które ją zawsze tak bawiły – z tym że teraz jakoś nie było jej do śmiechu. Przytuliła się do drzwi i modliła, żeby Fabrizio już wrócił.

Minęło pięć minut. India mocniej otuliła się futrem; bardzo zmarzła, nie sposób było się skryć przed tym przenikliwym wiatrem. Cholera, gdzie ten Fabrizio? Przez tyle czasu chyba już kogoś znalazł? Trzask gałęzi gdzieś w alejce zabrzmiał jak wystrzał z pistoletu. Co to było? Gdzie jest Fabrizio? Czy są tu w ogóle jacyś ludzie? Nie wytrzyma już dłużej tego czekania, pobiegnie go poszukać. Poszedł chyba na prawo i skręcił za dom...

Trzymając się blisko ściany, ruszyła w ślad za Fabriziem, co krok wpadając na jakąś rzeźbę i ozdobną kamienną wazę. Wszystkie okiennice pozamykano, więc nawet jeśli w środku ktoś był, światło nie mogłoby przeniknąć na zewnątrz. Właściciele domu wyjechali. Fabrizio szukał zatem pomieszczeń dla służby. India dotarła do łukowatej bramy i z wahaniem popatrzyła na ścianę domu po drugiej jej stronie. Głupia jesteś, powiedziała sama do siebie, przecież tam jest pusto, nie ma czego się bać. Wyprostowała się, przeszła przez bramę i zrobiła parę kroków przed siebie. Panowały tam jednak jeszcze większe ciemności niż przed domem, więc zatrzymała się niepewnie.

– Fabrizio? – wiatr porwał jej słowa. Zaczęła nasłuchiwać, ale jedyną odpowiedzią był odgłos kropel deszczu bijących o ściany willi. – Fabrizio?! – tym razem zawołała głośniejszym głosem i wyteżyła słuch, czekając na odpowiedź. Coś mu się chyba stało. O Boże, zostawił ją tu całkiem samą, bez samochodu, a do najbliższej miejscowości jest pewnie spory kawał. Ogarnęła ją panika. Dopiero po kilku sekundach zdała sobie sprawę, że coś słyhać – zniekształcony, ale znajomy odgłos. Kroki na żwirowanej alejce. Stała jak sparaliżowana, wyteżając słuch. Tak, znów to samo. Przerazona zawróciła, znowu przebiegła pod bramą – i wpadła prosto w ramiona mężczyzny.

– India! Gdzie się, u diabła, podziewasz? – Fabrizio złapał ją za ramiona. – Szukałem cię wszędzie!

– Fabrizio! Bogu dzięki – odetchnęła z ulgą, a kolana się pod nią ugięły. – Myślałam, że coś ci się stało. Przestraszyłam się, bo cię tak długo nie było.

– Czego tu się bać? Gdybyś czekała na ganku, tobyś tak nie zmokła. Teraz oboje jesteśmy przemoczeni!

– Gdzie ta służba?

– Jaka służba? – spytał z goryczą w głosie.

– No ta, co jest zawsze na miejscu. Pamiętasz, co mówiłeś?

– Nikogo tu nie ma. Chyba zaszło jakieś nieporozumienie co do dat.

– Słucham? – India spojrzała na niego z niedowierzaniem. Deszcz spływał jej po twarzy za kołnierz. – Chyba żartujesz. Chcesz mi powiedzieć, że jesteśmy na tym pustkowiu sami bez samochodu i nawet nie mamy kluczy do tego domu?

– Tak właśnie jest – odpowiedział z urazą.

– Niech to szlag – tupnęła nogą z wściekłością. – To czemu, do cholery, nie wzięliśmy mojego samochodu?

– Wiesz dlaczego. Paparazzi już cię namierzili i przyjechaliby tu za tobą! Robiliby zdjęcia przez okna sypialni! Jeśli twoim zdaniem hollywoodzcy dziennikarze to dzicz, to tu jest o wiele gorzej, Indio, i ty o tym dobrze wiesz.

– To dlaczego tu przyjechaliliśmy? Mogłam się z tobą przecież spotkać w hotelu w Szwajcarii albo we Francji, ale nie, wynalazłeś to cholernie urocze gniazdko ledwie o godzinę jazdy od Rzymu. Niech cię szlag! – India dalej tupała nogą i w końcu kopnęła go w łydkę.

– Auu! – Fabrizio odskoczył, chwytając się za nogę. Jego wściekłe spojrzenie utkwilo w jej twarzy. – Brutalność do ciebie nie pasuje, Indio.

Jego pełna oburzenia reakcja na kopniak była tak zabawna, że India wybuchnęła śmiechem.

– Myślałam, że tylko neapolitańczycy są wybuchowi i stuknięci – zachichotała – ale do diabła, należało ci się to, Fabrizio.

Odwrócił się na pięcie i pokuśtykał za dom.

– Fabrizio, poczekaj! Poczekaj na mnie! Dogoniła go na ganku i złapała za rękę.

– Przepraszam, wybac mi, nie chciałam cię uderzyć, naprawdę nie chciałam.

– Dlaczego znowu się śmiejesz? Przez cały wieczór podśmiewasz się ze mnie, to mnie bardzo denerwuje, Indio.

– Po prostu cała ta sytuacja nagle wydała mi się śmiechu warta. Fabrizio, powinieneś się cieszyć, że nie płaczę, tylko się śmieję.

– Wiem. Masz rację – objął ją i pogłaskał mokre futro. – To moja wina, powinienem potwierdzić wszystkie ustalenia, ale czasem są z tym trudności.

– No dobrze, i co teraz?

– Włamujemy się – oświadczył ze spokojem. – Na tyłach domu jest małe okienko bez okiennicy, prawdopodobnie od spizarni przy kuchni. Wybiję szybę kamieniem, otworzę okno i będziesz mogła się dostać do środka.

– Ja? – oczy Indii były okrągłe ze zdumienia.

– Jasne, że ty, ja się przecież nie zmieszczę. Chodź, sama zobaczysz.

Okienko wydawało się za małe nawet dla niej. Przyjrzała mu się z powątpiewaniem.

– A nie ma jakiegoś innego sposobu? – spytała cichym głosem.

– Nie, chyba że wolisz iść sześć kilometrów do najbliższej miejscowości. Nie wygłupiaj się, to przecież nie takie trudne. W środku jest ciepło i wygodnie, suche ubrania, jedzenie i picie. – Modlił się, żeby to była prawda i żeby dom nie był od dawna opuszczony przez służbę. – W każdym razie jest tam telefon – dodał.

Telefon! Kontakt z cywilizacją!

– Masz kamień – odpowiedziała.

Dźwięk rozbijanego szkła ledwie można było dosłyszeć w ryku wiatru, który teraz szalał z gwałtownością huraganu. India przykucnęła, by się trochę ochronić przed porywami nawałnicy. Fabrizio wsunął rękę do środka i majstrował przy zamknięciu.

– Udało się – powiedział triumfalnie i otworzył okno. – Wchodź, tylko uważaj na szkło.

Okienko było wyżej, niż myślana; kurczowo trzymała się parapetu. Fabrizio podsadził ją i ostrożnie wsunęła głowę do środka. Ogarnęła ją ciemność.

– No dalej! – Fabrizio ją popchnął.

– Nic nie widzę! – zawołała stłumionym głosem.

– Znam ten dom! – odrzyknął w odpowiedzi. – Jestem prawie pewien, że to spiżarnia. Pod samym oknem powinien być zlew. Jeśli sięgniesz ręką w dół, to wymacasz kran. Sprawdź, czy się zgadza. Okno nie jest wysoko, nie ma się czego bać.

India ostrożnie macała w ciemnościach; tak, jest kran.

– Znalazłam! – odrzyknęła, wsuwając się bardziej do środka. Trochę zręczności i zaraz się tam dostanie.

– Jestem w środku! – zawołała z triumfem. – Stoję na zlewie.

– Dobrze, teraz ci powiem, co dalej. Jeśli się nie mylę, drzwi są dokładnie naprzeciw ciebie. Wychodzą na korytarzyk. Skręcisz nim w lewo, dojdiesz do samego końca i znajdziesz się przy wyjściu na kuchenne podwórko. Jeśli będziemy mieć szczęście, to klucz tkwi w zamku, bo te drzwi są rzadko używane, gospodarze wolą te wychodzące na warzywnik.

India wrzasnęła.

– Co się stało? – w jego głosie zabrzmiał strach. – Co z tobą?

– Uff, nic, już wszystko w porządku, to tylko kot. Otarł mi się o nogi w ciemności, o mało nie dostałam zawału.

Kot mrucał u jej stóp. India pochyliła się i wzięła go na ręce. Był ciepły i miły.

– Kociątko, zostań ze mną, dobrze? Znasz ten dom lepiej niż ja.

Zsunęła się na podłogę i stanęła, rozglądając się niepewnie i próbując zyskać orientację w nieznanym pomieszczeniu.

– Pewnie nie pamiętasz, gdzie jest kontakt?

– Poszukaj przy drzwiach! – odkrzyknął stłumionym głosem. Niespokojnie popatrzyła na wybite okno, wyglądające w ciemnościach jak blady kwadrat.

– Kotku, powiedz mi, co ja tu, do cholery, robię – szepnęła, a zwierzątko wdrapało jej się na ramię i rozkosznie mruczało. – Mogłam sobie siedzieć w jakiejś ciepłej, wesołej trattorii otoczona miłymi, rozbawionymi przyjaciółmi, popijałobyśmy wino i jadłabym moje ulubione spaghetti. A ja głupia jechałam taki kawał tylko po to, żeby z nim się przespać!

Przytrzymała kota jedną ręką, a drugą wyciągnęła przed siebie i ostrożnie obchodziła spiżarnię, trochę już rozróżniając kształty dzięki poświacie z okna. Przeciwna ściana była bliżej, niż jej się zdawało; uderzyła ręką o drewniane drzwi. Mógł mnie ostrzec, że to małe pomieszczenie, mruknęła niechętnie, rozcierając bolące palce. Pomacała ścianę po prawej i natrafiła na zimny metalowy kwadrat kontaktu. Wreszcie! Przycisnęła go i spiżarnię zalało jasne światło. Uśmiechnęła się, słysząc, jak Fabrizio wiwatuje na dworze.

Popatrzyła na kota, który wciąż siedział uczepiony jej ramienia. Czarne jak noc futerko aż lśniło – w odróżnieniu od jej lisków! Z przerażeniem obejrzała przemokniętą kurtkę. A jej „tweedy w stylu country” – komplet kupiony specjalnie na tę okazję? Wyglądały jeszcze gorzej! Dlaczego nikt jej nie powiedział, że mokry tweed się wyciąga?

Westchnęła, puściła kota na podłogę i otworzyła drzwi. Nie mogła znaleźć kontaktu, ale z otwartych drzwi do spiżarki padało dość światła, żeby można było poruszać się swobodnie po wyłożonym terakotą korytarzu. Kot pobiegł naprzód i czekał obserwując, jak dziewczyna majstruje przy kluczu, po czym podnosi wielki i ciężki drewniany skobel, który pełnił rolę zasuw.

– Udało się – powiedziała z triumfem i otworzyła drzwi.

Kot popędził w noc, a ociekający wodą Fabrizio wszedł do środka.

Długą chwilę wpatrywali się w siebie w milczeniu i India mimo woli znowu zaczęła się śmiać.

– Przepraszam, ale ty tak śmiesznie wyglądasz, jakbyś wpadł do stawu.

– Popatrz na siebie – odparł z uśmiechem. – Zupełnie jak zmokły pudel. Na Boga, zdejmij wreszcie tę kurtkę.

Trzymając mokre okrycia poszli korytarzem w głąb domu.

– Poczekaj! – zawołał. – Pozapalam światła.

W holu było chłodno. India dygotała. Oddałaby teraz wszystko za gorącą kąpiel. Pokoje zalało światło, wprawdzie przyćmione, a potem silniejsze, gdy Fabrizio

wyregulował ściemniacze. India podniosła wzrok w górę i ujrzała na suficie fresk – nagie nimfy unosiły się na puchatych chmurach płynących po błękitnym niebie.

– Te nimfy już dawno zamarzyły na kość! – zawołała. – Tu jest chyba poniżej zera.

– Sekundę – Fabrizio zniknął za drzwiami i po chwili pojawił się znów, z butelką brandy i dwoma kieliszkami. – Chodź, idziemy na górę – powiedział.

– A może by tak włączyć ogrzewanie? – India dzwoniła zębami, idąc za nim po szerokich zakręconych schodach, które w każdej innej sytuacji wzbudziłyby jej zachwyty.

– To jest ogrzewanie – odparł, wymachując butelką. – Nic się nie martw, zaraz ci się zrobi ciepło. Jesteśmy – otworzył drzwi na całą szerokość i pozapalał lampy o morelowych abażurach.

To najbardziej przytulny pokój świata, pomyślała India. Ściany lśniły bursztynowomiedzianym odblaskiem wytłaczanych obić, na podłodze leżały koralowe chodniki, a środek pokoju zajmowało ogromne, staromodne, rzeźbione i pozłacane łoże z miękkim, złotym baldachimem. W palenisku starego kamiennego kominka leżały przygotowane polana, a obok stała niewielka kanapa.

– Dzięki Bogu – westchnęła India. – A już mi się zaczynało wydawać, że trafiliśmy do zamku Draculi.

– To nie byłoby odpowiednie miejsce na spędzenie weekendu z taką dziewczyną – Fabrizio otoczył ją ramionami i przyciągnął do siebie. Poczula znajomy zapach wody kolońskiej. Podniosła dłoń i przyglądała jego wilgotną kędzierzawą czuprynę.

– Biedactwo, tak strasznie zmarzłaś – szepnął jej prosto do ucha. – Napalimy w kominku, wypijemy brandy i zaraz będzie ci ciepło.

Podpałka swojsko zatrzeszczała, suche polana szybko zajęły się ogniem i zaczęły jarzyć czerwonym blaskiem. Choć ogień jeszcze nie dawał ciepła, sam widok migocących płomieni rozgrzewał i podnosił na duchu. India rzuciła na podłogę zmoczone futerko, a Fabrizio podał jej kieliszek.

– Toż to raj – mruknęła i oparła się o kominek; popijając brandy rozgrzewała palce stóp przy ogniu.

– Mówiłem ci, że wszystko będzie dobrze – Fabrizio przyniósł jej z łazienki wielki puchaty ręcznik. – Masz, wytrzyj włosy – polecił.

India rozpuściła kok, potrząsnęła głową i energicznie wycierała włosy ręcznikiem, aż otoczyły jej twarz niby lśniąca aureola. Policzki miała rumiane od brandy i ognia. Wygląda czarująco – pomyślał Fabrizio.

– Będziemy kontynuować zajęcia od momentu, w którym je przerwaliśmy? – zasugerował, rozpinając jej koszulę w kratę.

– Wypiłabym jeszcze kieliszek.

– Później – zsunął wilgotną koszulę z jej ramion.

– A kolacja? – India z tęsknotą pomyślała o tagliatelle z parującym sosem pomidorowym przyprawionym bazylią.

Fabrizio rozpiął jej moką tweedową spódniczkę, ukląkł i zsunął ją poniżej bioder, a potem delikatnie ściągnął wzdłuż ud.

– Rajstopy to wróg rodzaju męskiego – mruknął z niechęcią, zdejmując je z nóg dziewczyny.

– A może najpierw gorąca kąpiel? – zaproponowała.

– Dobry pomysł – szepnął gardłowo i wtulił twarz w miękkie zagłębienie między jej udami.

India zaśmiała się.

– Zrobiłam to, nie da się ukryć – zamruczała.

– Co zrobiłaś? – jego język rozsyłał fale rozkoszy, rozchodzące się po całym jej ciele.

– Przejechałam taki kawał drogi tylko po to, żeby się z tobą przespać.

Płonące polana rzucały migotliwe blaski na zaciszny pokój. India siedziała po turecku przed kominkiem, mając na sobie tylko znaleziony w szafie wielki kaszmirowy sweter i pogryzała plasterki parmeńskiej szynki, które Fabrizio kroił ze znalezionej w spiżarni kawałka. Szynka razem z góralskim serem, sucharkami i paczką suszonych fig złożyła się na wspaniałą kameralną kolację, którą popili butelką Amarone Riserva.

– Może im to w końcu wybaczę – mruknął Fabrizio, odkroiwszy kolejny plasterzek szynki.

– Komu wybaczysz? – India odchyliła się do tyłu i zasypiając upiła łyk wina.

– Brandinim, o mały włos nie popsuli naszych planów.

– Jasne – ziewnęła – pod warunkiem że jutro uda nam się zorganizować samochód albo przynajmniej znaleźć tę mityczną służbę.

– Masz to załatwione – oświadczył wielkodusznie. – Musisz być bardzo zmęczona. Chodźmy do łóżka.

India wsunęła się do pościelonego łóżka. Gdy Fabrizio zaciągnął wokół firanki, wydało jej się, że unosi się na falach złotego morza. Rzadko udawało im się spędzić ze sobą całą noc. Obserwowała, jak kochanek zrzuca z siebie szlafrok frotte, i podziwiała jego muskularne, silne ciało, gdy wsunął się nago do łóżka i ułożył u jej boku.

– Wiesz co, Fabrizio, to jest właśnie ta wyśniona kraina bajek – zamruczała, opierając głowę na jego ramieniu i patrząc, jak po firankach pełza blask ognia płonącego w kominku.

W głowie huczał jej jakiś znajomy, przykry dźwięk, coś jakby syrena alarmowa. Niech ten Fabrizio wreszcie coś z tym zrobi. Obudziła się nagle, gdy drzwi do

sypialni zniecka otwarły się na oścież i ktoś zapalił światło.

– O mój Boże! – krzyknęła, a Fabrizio opiekuńczo otoczył ją ramionami.

– Połiział – wrzasnął stojący w drzwiach facet i wymierzył w nich pistolet. Za jego plecami stało jeszcze dwóch policjantów. India pośpiesznie podciągnęła kołdrę pod samą szyję.

– Policja?! – zawołał Fabrizio – Co tu robicie? Co się stało?

– Sam chciałem pana o to spytać, signore.

– Jestem przyjacielem rodziny i spędzam tu weekend.

– Aha – oczy policjanta spoczęły z niedowierzaniem na Indii. Czują się strasznie rozebrana pod kołdrą.

– Signora też spędza tu weekend? – spytał.

– O co wam chodzi? – odparł gniewnie Fabrizio.

– Jesteście oboje aresztowani za włamanie do tego domu. Czy zaprzeczacie, że wybiliście okno i weszliście przez nie do środka?

– Nie, naturalnie, że nie, ale mogę to wytłumaczyć.

– Będziecie mogli złożyć wszelkie wyjaśnienia na posterunku policji.

Upprzedzam, że moi ludzie przeszukują dom i znajdą wszystkich pozostałych.

– Pozostałych? – rozzłościła się India – Ty durniu, tu nie ma nikogo poza nami. Spędzamy spokojnie czas w domu przyjaciół. Jak śmiesz wdzierać się do mojej sypialni! – w złości mówiła po włosku z bardzo wyraźnym amerykańskim akcentem, więc policjant popatrzył na nią z nowo rozbudzonym zainteresowaniem.

– Aha, cudzoziemka... mam nadzieję, signora, że zabrała pani ze sobą paszport?

– O Boże – jęknął Fabrizio i złapał się rękami za głowę na myśl o skandalu. – To żałosne. Wyobrażasz sobie, co z tego zrobią dziennikarze?

India popatrzyła na niego ze zgrozą. Ledwie kilka godzin temu myślała sobie, że jest równie szalona jak matka, a teraz cała sprawa robi się coraz bardziej nieprzyjemna. Wcale sobie nie życzyła, żeby jej nazwisko znowu pojawiło się w gazetach, kojarzone z matką i jej grzeszkami. Wiedziała, że dziennikarze wszystko wyciągną na światło dzienne. Przerażona, opadła na poduszki.

– Ale skąd oni się dowiedzieli, że tu jesteśmy? – szepnęła do Fabrizia, gdy policjanci przeprowadzali inspekcję pokoju, umieszczając w papierach służbową notatkę o resztkach jedzenia i o winie na stoliku obok kominka.

– Alarm, signora – kapitan usłyszał jej słowa. – Dom jest zabezpieczony, pod każdym dywanem są podkładki reagujące na zwiększony nacisk. Normalnie zjawilibyśmy się natychmiast, ale burza utrudniła ruch drogowy. A teraz muszę poprosić, żeby państwo się ubrali i poszli za mną – wskazał swoim ludzom drzwi. – Poczekamy na zewnątrz.

Zamknęli za sobą drzwi. India i Fabrizio popatrzyli na siebie.

– Okno – powiedziała zduszonym głosem.

– Nie bądź śmieszna! – Fabrizio wstał i włożył koszulę. – Indio, wpadliśmy w duże kłopoty. Nie, nie ze względu na „włamanie”, to będzie łatwo wytłumaczyć, ale wybuchnie skandal. Zostaliśmy przyłapani. Muszę jakoś to ukryć przed Marisą.

– Ale jak? – India siedziała na brzegu łóżka i zastanawiała się, co jest gorsze: cela we włoskim więzieniu czy furia Marisy.

– Coś mi się wydaje – odpowiedział, wciągając spodnie – że będzie nas to kosztować bardzo duże pieniądze.

9.

Rory był przygnębiony. Bardzo przygnębiony. Tak bardzo, że ledwie mamrotał swoją rolę. Podrzucali mu tylko po parę linijek, więc wszystko wypadło fatalnie. Niecierpliwie wzdychał, gdy charakteryzatorka pudrowała mu czoło. Reżyser, Dirk Bonner, konferował w kącie z Shelly James, jego partnerką. Shelly kiwała głową, spuszczała oczy i słuchała z uwagą. Dirk pewnie mówił o nim coś złego i zapewniał dziewczynę, że to ona jest najlepsza!

Rory miał pierwszy atak panicznego strachu, gdy wszedł na plan Brudnej gry, którym było prawdziwe więzienie w centrum Los Angeles. Choć od dawna zamknięte i puste, i tak przyprawiało go o dreszcze. To pewnie Bill ich namówił, żeby tu przyszli, bo chciał mnie postraszyć i pokazać swoją przewagę. Kurwamać! Tak, jakbym to ja był wszystkiemu winien! – pomyślał.

– Powiedzcie Dirkowi, jak skończy, że jestem u siebie w garderobie – rzucił krótko i wyszedł.

Przygotował sobie porcyjkę kokainy i pograżył się w rozmyślaniach. Naprawdę miał farta, że wtedy spotkał Jenny na przyjęciu – przynajmniej tak mu się na początku wydawało. Była wciąż piękna, wciąż pełna seksu i na początku było mu z nią naprawdę obłądnie – zanim zaczął regularnie brać kokę. Jenny to się nie podobało. Jeszcze mniej spodobało jej się, gdy powiedział, że robi się z niej stara baba i już nie jest na czasie. W końcu używką jej pokolenia był alkohol – chociaż jej to nie dotyczyło, nie brała do ust ani kropli. No właśnie! Nie lubiła ani jego przyzwyczajień, ani jego kumpli. Siedział więc cicho i brał po kryjomu, żeby dała mu spokój i mogła całą energię poświęcić na to, by zrobić z niego gwiazdę. Swoją własną gwiazdę. Pewnie, łatwo się uczył i miał już podstawy, ale to ona sprawiła, że stał się po męsku czarujący, zadbała o to, by schudł, zmieniła mu kolor włosów i zgolila wąsy, żeby go nikt pomyłkowo nie wziął za homoseksualistę.

Potem zaczęła zawracać mu głowę swoimi problemami, opowiadała o tym, że sama zajmuje się swoimi inwestycjami. No to jej pomógł, dał jej parę dobrych rad, a sobie wziął z tego tylko tyle, żeby mieć za co kupić kokę. I cóż wielkiego? A skąd niby miał wziąć te pieniądze? Przecież jeszcze nie miał pracy. To był następny problem: ona chciała grać razem z nim, kiedy dostał tę rolę w serialu. Czy to jego wina, że reżyser chciał kogoś młodego? Myślała o tym, żeby wyreżyserować parę odcinków, ale Dirk nie chciał zrezygnować z tej pracy po to, żeby zrobić przysługę Jenny Haven – tylko tego mu brakowało, żeby zebrała wszystkie pochwały za sukces jego serialu!

Rory podniósł papierek z kokainą i hałaśliwie wciągnął proszek w lewe, a potem prawe nozdrze. Jezu, wreszcie poczuł się lepiej.

Zaczął wynajdywać „okazje”, by kupowała nieruchomości, i wmawiał jej, że są tak zyskowne, że uczynią ją bogaczką w jedną noc; bez skrupułów zawyżał cenę i zagarniał różnicę dla siebie. Ufała mu całkowicie – w końcu facet, który na głowie staje, żeby jej pomóc, nie może być oszustem, no nie? Rory uśmiechnął się na to wspomnienie – pewnie, że był oszustem, potrzebował pieniędzy, a ona nie chciała mu ich dawać! To samo było z akcjami. Na początku po prostu lubił grać. Trochę zarobił – a potem dużo stracił. W końcu to nie były jego pieniądze. Zyski zabierał do własnej kieszeni. Potem znęciły go większe stawki na giełdzie towarowej. Stracił poważną sumę i zgarnął dla siebie to, co zostało.

Rzucił ją, kiedy się zorientował, że jest bez grosza. Całą winą obarczył Jenny, oświadczył, że to wszystko były przecież jej decyzje, a on je tylko wykonywał, czyż nie? Za każdym razem, gdy ktoś dawał mu cynk, on jej proponował interes, a ona się zgadzała. Nie jego wina, że straty były wyższe niż zyski – to się może przecież zdarzyć każdemu. Zresztą i tak trzeba było z tym kiedyś skończyć – miał już dość. Była dla niego za stara, a poza tym otworzyły się wtedy przed nim dobre perspektywy, dali mu główną rolę w telewizyjnym serialu. Miał grać Chelsea w Brudnej grze.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie umarła w taki sposób... i gdyby nie ci skórkowańcy Kaufmann i Reubin! Szantażowali go! Inaczej się tego nie da nazwać. Kurwamać! Znają się na swoim fachu jak nikt. Kaufmann bierze sobie trzydzieści procent jako agent i menedżer, a Reubin zatrudnił się jako jego prawnik za potworne honorarium – im więcej Rory zarabia, tym więcej tamten dostaje. Rory, to uczciwy układ, powiedział ten gad swoim gładkim, wyćwiczonym na salach sądowych głosem, to uczciwy układ w takich okolicznościach.

Rory popatrzył na swoją przystojną twarz w lustrze. Wcale mu się nie podobała ani ta sytuacja, ani jej możliwe konsekwencje. Był młody i stał na progu kariery. Ale nie miał wyboru – musiał dać się wyzyskiwać Reubinowi i Kaufmannowi.

– Rory? – pomocnik reżysera zajrzał przez drzwi. – Dirk czeka za pięć minut, dobra?

– Jasne – jeszcze raz spojrzął w lustro, żeby sprawdzić, jak wygląda.

Cholera, spocił się, znowu musi upudrować czoło. Miał nadzieję, że dziś nie będą pracować do późna. Umówił się z kelnerką z Cafe Rodeo, z tą małą, której podobał się jego sweter. Była właściwie tancerką, ale zachorowała i straciła pracę w CBS. Pomyślał, że zabierze ją na przyjęcie do Sally Fox, powinno być ekstra. Będzie musiał zrobić sobie jeszcze parę pasemek – z przodu ma chyba trochę za ciemne włosy. Fryzjer Jenny to fachura, będzie wiedział, co z tym zrobić.

– Rory, jesteś gotowy?

Przesunął palcem po zwitku papieru, w którym była kokaina, i wtarł resztkę

proszku w wargę. Trzeba pamiętać, żeby dobrze zaakcentować to imię w następnym ujęciu...

Wyszedł przed kamery, objął Shelly i czekał, aż obsługa sprawdzi ciągłość zdjęć, a Dirk poprawi kąt obiektywu. Tym razem nakręcili wszystko od razu.

– Genialnie, Rory, genialnie! – zawołał Dirk. – Wiedziałem, że tym razem ci się uda.

10.

Venetia wiedziała, że nie powinna była przyjmować tego zlecenia. Posiadłość Lawten Hall leżała gdzieś na najodleglejszych krańcach hrabstwa Wilt, wśród zamrzniętych pól i nagich drzew. Krajobraz idealnie pasował do osobowości pani Fox-Lawten. W momencie kiedy pojawiła się w drzwiach i lodowatym tonem poinstruowała ją, że w przyszłości ma korzystać z wejścia dla służby, Venetia powinna była zorientować się w sytuacji, obrócić się na pięcie i niech to babsko samo sobie radzi. Ale przyjęła z agencji zlecenie na sobotnio-niedzielne przyjęcie dla czternastu osób, więc została. Miała dostać wynagrodzenie za trzy dni, co znacznie poprawiłoby jej sytuację finansową.

Problemy zaczęły się, zanim zdążyła zdjąć płaszcz i porozmawiać w kuchni z Sondrą Fox-Lawten o poszczególnych posiłkach. Nikt jej nie podał szklanki herbaty ani nie zaproponował, żeby zobaczyła swój pokój – i dobrze, bo wtedy już na pewno nie zdecydowałyby się zostać. Później okazało się, że pokój jest na strychu i że podczas remontu domu nie założono w nim grzejników. Taniutkie meble pochodziły z komisju ze starzyzną, a jedynym źródłem ciepła był piecyk elektryczny z jedną spiralą.

Pierwsza scysja dotyczyła menu, choć jego skład został drobiazgowo uzgodniony wcześniej przez telefon, tak by Venetia mogła zrobić zakupy i przygotować półprodukty. Pani Fox-Lawten jednak nagle zmieniła zdanie, a raczej Tony Fox-Lawten zdecydował, że koniecznie musi postawić na stół Haut Brion rocznik 1964 w niedzielę wieczorem – kiedy będzie sześciu dodatkowo zaproszonych gości – więc nie można w tej sytuacji podać kurcząt w szampanie i z winogronami. Niestety, właśnie te kurczaki zdecydowały o menu skomponowanym przez Venetię. Teraz trzeba je zastąpić bażantami, czyli należy podać przystawki lżejsze niż paszтет z dziczyzny, nad którego przygotowaniem spędziła wiele pracowitych godzin w domu. No i sałatki muszą być inne. Oznaczało to mnóstwo dodatkowej pracy, a ona i tak miała wystarczająco dużo zajęcia z podaniem śniadania, drugiego śniadania i kolacji dla tych wszystkich gości – nie mówiąc już o popołudniowej herbatce.

W piątek wieczorem, po powrocie z City, do kuchni zajrzał Tony Fox-Lawten, żeby się przywitać.

– Słyszałem, że narobiłem pani kłopotów – powiedział, zaglądając przez drzwi – i chciałem przeprosić.

Jego ruchliwe oczka obrzuciły dziewczynę spojrzeniem od stóp do głów.

– Ho, ho, ho, nasze kucharki zwykle nie wyglądają tak jak pani – z uśmiechem przeszedł przez kuchnię.

Venetia odgarnęła włosy z czoła, żałując, że zapomniała związać je w koński

ogon, i mocno splotła dłonie na brzuchu. Fox-Lawten był niskim tłuściochem o różowych policzkach. Niebieskawy podbródek świadczył o tym, że Tony należy do mężczyzn, którzy muszą się golić dwa razy dziennie, żeby nie wyglądać niechlujnie.

– Nie ma problemu, panie Fox-Lawten – powiedziała uprzejmie. A potem rozłościła się i wygarnęła mu prawdę. – Właściwie, szczerze mówiąc, to był straszny kłopot, przyczynił mi pan bardzo dużo pracy.

– Przepraszam, przepraszam, jakoś to wyrównamy. Mała dopłata do całości i wszystko będzie w porządku. A może kieliszeczek alkoholu? Na lepszy humor. Pewnie się przyda, jeśli Sondra wzięła swoje zwykłe tempo. Straszna z niej perfekcjonistka. To co, dzin z tonikiem?

To zdumiewające, pomyślała Venetia, jak oni wszyscy są do siebie podobni. Czy to ona ma takie parszywe szczęście, czy rzeczywiście cała angielska prowincja jest zamieszkała przez rozpustnych mężów, którzy na weekend wyrrywają się z City, tracą wszelkie hamulce i tylko rozglądają się za spódniczkami?

Tony Fox-Lawten zrozumiał jej odmowę właściwie, ale za to zaglądał do kuchni co jakiś czas, żeby „zobaczyć, jak ona sobie tam radzi”. Radziłaby sobie naprawdę świetnie, gdyby żadne z Lawtenów nie plątało jej się pod nogami.

Piątek minął w miarę spokojnie, chociaż tempo było zabójcze. Nie miała nawet chwili na normalny posiłek: musiała pojadać w czasie pracy. Goście zaczęli się zjeżdżać od trzeciej – i od tej pory aż do szóstej podawała herbatę. O ósmej przyszedł czas na drinki, a kolacja miała rozpocząć się pół godziny później – czyli że na przygotowanie posiłku dla czternastu osób zostały jej dokładnie dwie godziny. Dobrze, że krem z łososia i pudding zrobiła w domu i przywiozła ze sobą, bo inaczej nie dałaby sobie rady. I dobrze, że na sobotni lunch miała już przygotowany paszтет z indyka, bo śniadanie przeciągnęło się aż do pierwszej, no i trzeba było teraz podawać następny posiłek.

Do prawdziwej utarczki z Sondrą Fox-Lawten doszło zaraz potem. Poprzedniego dnia Venetia położyła się po północy i nie mogła spać, bo w pokoju było za zimno – mogła obserwować w świetle księżyca, jak z jej ust unosi się para. Zastanawiała się, czy nie wstać i nie zrobić sobie gorącej herbaty, ale doszła do wniosku, że to by z pewnością kogoś obudziło, a nie życzyła sobie spotkać Tony’ego Fox-Lawtena odzianą jedynie w szlafrok i koszulę. Wstała o wpół do siódmej, żeby przygotować bażanty z frytkami i podać śniadanie dla gości na tacach, które pani Jones, miejscowa pomoc domowa, poroznosiła wszystkim do sypialni. Później zabrała się za lunch. O trzeciej piętnaście wstawiła ostatni talerz do zmywarki i włączyła urządzenie. W drzwiach pojawiła się pani Fox-Lawten.

– Herbatę podamy o piątej, Venetio – poleciła – i chciałabym, żebyś zrobiła takie ładne małe kanapki do drinków.

– Trzeba było powiedzieć o tym wcześniej, pani Fox-Lawten – odparła spokojnie Venetia. – Obawiam się, że niema już na to czasu.

– Oczywiście, że jest – Sondra Fox-Lawten uniosła idealnie podmalowaną brew. – Teraz przecież nie masz już nic do roboty, prawda?

– Owszem, mam – odparła beznamiętnie dziewczyna. – Mam jeszcze coś do roboty. Siedzę w kuchni dokładnie od wpół do siódmej rano, a teraz zamierzam iść na to lodowate poddasze, które pani nazywa sypialnią, i położyć się dokładnie na półtorej godziny, do czasu kiedy będzie trzeba podawać herbatę. Potem zajmę się kolacją. Przykro mi, proszę pani, ale kanapek nie zrobię.

– No, coś takiego! – Sondra wybałuszyła zielonkawę oczy i nerwowo przyglądała świeżo ułożoną rudawą fryzurę; nikt się jeszcze nigdy nie zwracał do niej w taki sposób. – Muszę ci przypomnieć, że jesteś tu po to, żeby gotować, a nie żeby się wylegiwać!

– I będę gotować, pani Fox-Lawten – odparła Venetia i wyszła z kuchni, zostawiając Sondrę na środku. – Kolacja będzie na czas.

Później żałowała swoich słów. Pewnie milej byłoby jej pracować w kuchni przy kanapkach niż próbować się rozgrzać w ponurym pokoiku na górze.

Tony Fox-Lawten zajrzał do kuchni w porze herbaty, akurat gdy miała czas zjeść kanapkę z szynką.

– No, no, widzę, że się nie głodzimy – powiedział z naciskiem. – A co to za sprzeczka z Sondrą?

– Panie Fox-Lawten, gdyby na moim miejscu była tu India, moja siostra, to powiedziałaaby pani Fox-Lawten, gdzie może sobie wsadzić swoje kanapeczki i wszystkich swoich gości. Ja przynajmniej byłam uprzejma.

– Założę się, że tak – skrzywił się gospodarz. – Jesteś lepiej wychowana niż Sondra. Jej rodzina zrobiła pieniądze na rzeźnictwie i czasem mi się zdaje, że to przetrwało w genach.

Venetia właśnie doszła do wniosku, że może Tony Fox-Lawten nie jest taki najgorszy, kiedy znowu podjął próbę flirtu.

– To co, wypijemy sobie drinka pod wieczór, tylko we dwójeczkę? – zaproponował, biorąc ją za rękę.

– Nie, dziękuję – odpowiedziała z nieodmienną uprzejmością.

– Och, przestań się certować. Na korytarzu rozległy się kroki.

– Zobaczymy się później! – zawołał i wyniósł się pospiesznie. Pewnie z obawy, że geny Sondry mogą się znów odezwać, pomyślała złośliwie Venetia.

O siódmej trzydziści wieczorem, kiedy Venetia uwijała się przygotowując kolację, w kuchni pojawiła się Sondra Fox-Lawten w bładoniebieskiej szyfonowej sukni w kropeczki i zrzuciła ze stołu miskę z żurawinami, które miały być podane do

bażantów.

– Niech to nagły szlag – wrzasnęła – moja suknia! Kosztowała czterysta funtów w zeszłym miesiącu u Harveya Nicholasa. Dlaczego postawiłaś to naczynie na brzegu stołu, ty idiotko?

Venetia patrzyła z przerażeniem, jak na szyfonie rośnie czerwono-fioletowa plama. Czterysta funtów! Do wyrzucenia! Ale to nie jej wina, suknia była z tych powiewnych, co to zawsze w czymś się umażą, Sondra pewnie zrobiła jakiś nieostrożny gest i miska zaczęła o długi rękaw.

– Przykro mi z powodu sukni, pani Fox-Lawten – powiedziała – ale miska stała tam, gdzie powinna. Obawiam się, że to pani suknia była nie na miejscu.

– Porozmawiam na ten temat z agencją – zagroziła Sondra Fox-Lawten i w samą porę powstrzymała się, by nie powiedzieć, że nie zapłaci – z tym należało poczekać, aż dziewczyna przygotuje wszystkie posiłki. Nie chciała przecież zostać na lodzie, ale musi dostać rekompensatę za zniszczoną suknię. Po czym wyniosła się z kuchni, a pani Jones, która czyściła stołowe srebra, skomentowała:

– Ona jest trochę trudna, ta nasza pani, ale nie przejmuj się, kochanie, to nie była twoja wina.

– Wiem – w głosie Venetii brzmiało zmęczenie.

Pani Jones poszła nakrywać do stołu, a Vennie oparła się o lodówkę. Oczy miała pełne łez. Do diabła, musi jej się udać. Dlaczego zawsze pojawia się tyle problemów? Wizja firmy obsługującej ekskluzywne bankiety w całym Londynie, z nią samą u steru, zaczęła się rozwiewać.

W drzwiach stanął Tony Fox-Lawten z butelką dzinu w jednej ręce, a toniku w drugiej.

– Pomyślałem sobie, że może potrzebujesz kielicha, jak zobaczyłem tę sukienkę – powiedział. – Żurawiny przeszły nawet przez bieliznę, a Sondra przysięga, że ma plamy na skórze i musi się wykapać – tu zaśmiał się na myśl o fioletowej pani Fox-Lawten. Venetia zawtórowała mu mimo woli.

– Chętnie się czegoś napiję – zgodziła się – ale to naprawdę była jej wina. Miska stała na stole, a ona wsadziła do niej rękaw.

– Nic się nie martw – powiedział Tony, podając dziewczynie szklanę. Wolał nie wspominać, że Sondra nie ma zamiaru jej zapłacić. – No to w górę serca, nasze zdrowie!

Venetia popatrzyła mu w oczy. Aha, zaraz będzie się przystawiał, widać to jak na dłoni.

Odstawił szklanę i zaczął palcami o skrzyżowane na brzuchu dziewczyny paski fartucha.

– Chodź no tutaj – zamruczał – chcę cię o coś spytać.

– O co? – Venetia cofnęła się, gdy próbował objąć ją ramieniem i przyciągnąć do siebie.

– Wiesz, ja codziennie jestem w Londynie. Moglibyśmy się spotkać, może nawet umówić na kolację? Może u ciebie?

– Mojej rodzinie to się nie spodoba – odparła.

– No to gdzie indziej, wiesz, co mam na myśli. Może być fajnie... i Sondra wreszcie nie będzie przeszkadzać.

Jego oddech czuć było dżinem. Venetia odwróciła twarz, na próżno próbując wyrwać jego ręce zza pasków fartucha, podczas gdy on pochylał się nad nią coraz bardziej.

I wtedy w progu kuchni stanęła Sondra Fox-Lawten odziana w różową satynową podomkę; obserwowała, jak jej mąż zaleca się do pomocy kuchennej.

– Ty mała dziwko! – jej głos zabrzmiał przenikliwie, a Tony odskoczył od Venetii jak rażony gromem.

– Ależ Sondra, to nie było tak, jak myślisz. Coś jej po prostu wpadło do oka, to wszystko. Dziewczyna niczemu nie jest winna.

Sondra miała prawdziwy dylemat. Szlag by to trafił, pomyślała, muszę dać jej szkołę później – nie mogę jej teraz wywalić, bo co będzie z kolacją? I z jutrzejszymi posiłkami.

– Porozmawiamy o tym później – powiedziała lodowatym tonem – ale nie omieszkam poinformować agencji o twoim zachowaniu.

Venetia rozwiązała fartuch.

– Ależ proszę zadzwonić tam już teraz, pani Fox-Lawten – odparła, idąc w jej stronę. – I lepiej niech przyślą pani kogoś na zastępstwo. Ja odchodzę!

– Nie możesz tego zrobić! – zakrzuszyła się Sondra.

– A zakład, że mogę? – spytała i pospiesznie wyszła z kuchni.

11.

Fitz McBain był stale podenerwowany. Czy to ta obrzydliwa nowojorska pogoda? Czy długotrwały impas w negocjacjach dotyczących południowoamerykańskiej ropy? A może kaprysy i fanaberie Raymundy Ortiz?

Obrócił się na biurowym fotelu z szarej skóry, żeby zamiast na rozłożone papiery, popatrzeć na panoramę Manhattanu. Tego dnia był ledwie widoczny zza kurtyny deszczu padającego z ołowianych chmur. Niezbyt atrakcyjny widok, stwierdził Fitz. Rozsiadł się wygodnie, założył ręce za oparcie fotela i zaczął się zastanawiać nad kontraktem. Powinni dobić targu miesiąc temu – uzgodnili umowy licencyjne, dostęp do rafinerii był zapewniony, a dokumenty czekały na wymianę. Wszyscy partnerzy byli ujmująco mili i zapewniali o swym poparciu, a jednak ten cholerny kontrakt wciąż nie został podpisany. Trzeba będzie znowu pojechać do Brazylii – trzeci raz w ciągu trzech miesięcy – i znowu wysłuchiwać zapewnień o dobrej woli, odsiadywać długie godziny na kolacjach wydawanych przez przedsiębiorców i ich żony, ambitne panie z towarzystwa. Czy jednak doprowadzi to do celu, czyli do podpisania kontraktu? Musiał przyznać sam przed sobą, że tym razem nie był wcale tego taki pewien. Wiedział jedno: że zaczyna tracić cierpliwość.

Zaczęły go nachodzić przygnębiające myśli – czy to wszystko jest coś warte? Niekoniecznie akurat ten kontrakt, ale cała ta robota, handel, negocjacje, walka o pozycję w interesach i trzymanie konkurencji na dystans. Na początku całkowicie go to pochłaniało, bo musiał walczyć, żeby przetrwać. Później, kiedy zapewnił sobie solidne podstawy egzystencji, walczył i wygrywał dla satysfakcji. Tylko w którym momencie zniknęła satysfakcja, a zaczęło się uzależnienie? – spytał sam siebie.

Może powinien zrezygnować, przejść na emeryturę i przekazać firmę Morganowi. I co potem? Miał czterdzieści cztery lata, a pracował, od kiedy skończył trzynaście. Co się, do cholery, robi, gdy się nie pracuje? Aż się wzdrygnął na myśl o reszcie życia spędzonej na prowadzeniu Raymundy Ortiz z jednego szpanerskiego przyjęcia na następne. Jak by to było, gdyby żyła matka Morgana? Teraz zawsze myślał o Ellen jako o „matce Morgana”. Ich wzajemna miłość i romantyczne uniesienia wydawały mu się odległe o całe wieki. Może mieliby więcej dzieci i prawdziwy dom, a nie tę kolekcję atrakcyjnych nieruchomości rozsianych po całym świecie. Płacił tylko za ich utrzymanie, a bywał tam bardzo rzadko. Morgan zawsze twierdził, że jego prawdziwy dom jest w samolocie, i miał świętą rację: Fitz lepiej czuł się w samotności, w tym jednym jedynym pokoju wśród chmur, zawieszonym między strefami czasowymi i kontynentami, niż w jakimkolwiek miejscu na ziemi.

Dość tego! Pójdzie do klubu i pogra sobie w squasha, zwalczy tę depresję i zaraz poczuje przypływ energii. Praca to przecież najważniejsza część jego życia.

Emerytura? Nie zna takiego słowa, a wszystkie Raymundy Ortiz są gdzieś na końcu długiej listy priorytetów.

Przycisnął dzwonek na biurku i czekał, aż zgłosi się sekretarka. Panna Ciarke pracowała u niego od dziesięciu lat. Zawsze wierzył w równouprawnienie kobiet w swoim koncernie, więc była dla niego czymś więcej niż tylko zwykłą sekretarką: pełniła rolę osobistej asystentki i miała do pomocy dwie podwładne. Była częścią jego życia, powiernicą jego tajemnic i uważał ją za przyjaciółkę. Jednak niezmiennie zwracał się do niej „panno Ciarke”, a ona do niego „panie McBain”.

– Proszę nie łączyć żadnych rozmów, idę na salę gimnastyczną na partyjkę squasha. Wracam za trzy kwadransy.

Potrzeba mi innego spojrzenia na ten południowoamerykański kontrakt, pomyślał, gdy w łazience przylegającej do gabinetu przebierał się w szary dres. Wyśle do Brazylii Morgana; spodoba mu się tam, spojrzy na sprawy świeżym okiem i najprawdopodobniej szybko się zorientuje, co nie gra. Jedno jest pewne: Latynosi mu tego sami nie powiedzą. Rozmowy z nimi są równie zawikłane jak z Japończykami, bo nie potrafią powiedzieć „nie”. Jeśli uprzejmie kiwają głową i przekładają sprawę na „jutro”, to znaczy że nie do końca podzielają twoje zdanie.

Raymunda jest dokładnie taka sama; flirtuje, czaruje, zgadza się – a potem nagle robi się wyniosła i obojętna. To piękna i bardzo namiętna kobieta. Lubił jej towarzystwo – ale tylko wtedy, gdy była rozsądna, a nie zachowywała się jak rozpieszczona nastolatka. Lubił ją także w łóżku, i to bardzo, ale miał cały czas wrażenie, że ona tylko rozgrywa sprawę swojego małżeństwa. Ostatnio niechętnie rozmawiała z nim przez telefon, była sztywna i nieprzyjemna, gdy zapraszał ją na kolację, i posunęła się nawet do tego, że w ostatniej chwili odwołała dwa spotkania z nim, w dodatku nie podając żadnego powodu.

Dlaczego nie potrafi się cieszyć tym, co ma, pomyślał. Gdybyśmy się pobrali, byłaby równie nieszczęśliwa jak ja, sama o tym doskonale wie.

Patrzył na deszcz ze swej „wieży” na czterdziestym piętrze drapacza chmur. Bogu dzięki nie musi znosić tej okropnej pogody. U wybrzeża Barbadosu czeka „Fiesta” z całą załogą, chętną do nowej wyprawy. Do diabła ze squashem! Na Barbadosie niebo jest błękitne, a słońce gorące – w końcu należy mu się tydzień wakacji. Namówi Morgana, żeby się przyłączył. Będą mieli czas, żeby przedyskutować ten latynoamerykański kontrakt, i chłopak może lecieć prosto stamtąd do Brazylii. Fitz zdecydował też, że zabierze ze sobą Raymundę. Wszystkie dzisiejsze problemy ma więc z głowy. Przynajmniej tymczasowo, dodał w myśli i podniósł słuchawkę telefonu.

Kate Lancaster siedziała na łóżku Vennie. Trzymała w ramionach starego pluszowego miśka przyjaciółki i zajadała grzanek z dżemem, zupełnie jak w dawnych

szkolnych czasach.

– Są takie przysmaki z dzieciństwa, które smakują całe życie – oświadczyła w przerwach między kęsami. – Gdybym znalazła się na bezludnej wyspie, najbardziej tęskniłabym za grzankami z serem.

– A gdybyśmy tam byli razem, to pewnie bym ci robiła suflety z papai i pudding kokosowy – zaśmiała się Vennie. – Wiesz co? „Bezludna Wyspa” to całkiem niezła nazwa dla restauracji – dodała z namysłem.

– No i co z tą pracą w Café Laurent? Przyjmujesz ich skromną propozycję, czy czekasz na coś lepszego?

– Nie wiem – Venetia w różowym kostiumie gimnastycznym energicznie ćwiczyła pod dyktando poleceń płynących z wideo. – Jezu, to mnie wykończy – sapnęła, trzymając tempo narzucone przez taśmę.

– Nie wiem, po co sobie zawracasz tym głowę – Kate sięgnęła po następnego tosta. – Masz lepszą figurę niż te wszystkie panienki z nagrania. Ja tam poczekam do czterdziestki, aż się roztyję.

– Chodzi o to, żeby nigdy się nie roztyć i nie wyglądać na czterdzieści lat! – ciężko dyszała Vennie. – Ach... Starczy już, starczy – padła z jękiem na podłogę.

Kate przechyliła się, żeby popatrzeć na przyjaciółkę, która leżała na podłodze wyciągnięta jak długa i starała się wyrównać oddech.

– Zdaje mi się, że przy takim tempie ćwiczeń to ty nawet nie dociągniesz do tej czterdziestki. Chcesz grzanek?

– Dzięki – Venetia oparła się o łóżko i powoli, z namysłem żuła tost. – Kate, co ja mam zrobić? – spytała. – To znaczy: czy mam jakiś wybór?

Kate miała lśniące brązowe włosy i zielone oczy swojej matki. Pan Lancaster zawsze twierdził, że z buzi przypomina małego, ale dobrze odżywionego chuligana. Za tą nieco puciołowatą, ekspresyjną twarzą krył się jednak niebywały matematyczny talent. Kate studiowała informatykę w Cambridge, była mistrzynią analizy i miała duży zmysł praktyczny.

– Przyjrzyjmy się faktom, Vennie – powiedziała. – Po pierwsze: koniec z przygotowywaniem posiłków na te odrażające weekendowe orgie.

– Przyjęcia w wiejskich posiadłościach – poprawiła ją Venetia.

– Gdyby mężowie mieli wolną rękę, na pewno zmieniłyby się w orgie. Nie przerywaj, Vennie. Primo: koniec z orgiami w weekendy. Secundo: drugie śniadania dla biznesmenów to interes z przyszłością, ale jak dotąd nikt nie zaproponował ci pełnego etatu, a dorywcza praca nie daje wystarczająco dużo forsy.

– Może nie jestem dla nich dość dobra? – Venetia skończyła grzanek i z powrotem padła na dywan, wbijając spojrzenie w wysportowane, supersprawne, uśmiechnięte dziewczęta z ekranu, które nadal ćwiczyły w rytm muzyki.

– Nonsens, poza tym miałaś nie przerywać. A teraz punkt trzeci. Jedyną alternatywą w tym momencie jest praca na pełny etat w restauracji albo winiarni. Laurent proponuje coś lepszego: to nowa firma i jako szef kuchni będziesz mogła tam sobie wyrobić nazwisko. Jest tylko jedno zastrzeżenie, ale za to poważne. Dają ci grosze, bo jesteś młoda i niedoświadczona. To wyzysk i oni są tego świadomi. Mężczyźni z paroletnim doświadczeniem musieliby zapłacić pięć razy tyle, a i tak nie znaleźliby nikogo tak dobrego jak ty.

– Więc? – Venetia odwróciła się i popatrzyła przyjaciółce prosto w oczy – więc co mam zrobić?

– A żebym to ja wiedziała!

Zadzwonił telefon i Kate zeskoczyła z łóżka, żeby odebrać.

– Cały problem z wami, komputerowcami – krzyknęła za nią Vennie – tkwi w tym, że nie macie ludzkich odruchów.

Ściszyła telewizor, ciekawa, z kim Kate rozmawia. Sądząc po jej głosie, to chyba ktoś miły.

– Vennie! – zawołała Kate przez korytarz – to do ciebie.

– Kto dzwoni? – Vennie leniwie podnosiła się z podłogi.

– Morgan. Pośpiesz się, dzwoni z Barbadosu.

– Z Barbadosu? – Venetia skoczyła na równe nogi i popędziła do pokoju Lydii. Kate siedziała na łóżku matki i wesoło gawędziła z Morganem McBainem.

– O, jest Vennie. To cześć – powiedziała do słuchawki.

– Witaj, Morgan. Naprawdę dzwonis z Barbadosu? Serio? I niebo jest naprawdę niebieskie? I czy w ogóle na tym mokrym świecie jest jeszcze jakieś słońce? – Venetia usadowiła się wygodnie na łóżku, skrzyżowała nogi i uśmiechała się z zadowoleniem. – Tak... chyba tęsknię za tobą.

Kate wpatrywała się z zainteresowaniem w jej twarz. Nie miała wątpliwości, że Morgan bardzo interesuje się Venetią.

– Morgan, naprawdę? Nie żartujesz? Ale ja nie mogę, to niemożliwe... w przyszłym tygodniu chyba zacznę nową pracę. Co to znaczy jaką? Oczywiście będę gotować, w nowej restauracji i to jako szef kuchni.

Kate wpatrywała się w nią niecierpliwie.

– O co chodzi? – szepnęła. Vennie zasłoniła ręką mikrofon.

– Chce, żebym przyjechała na tydzień, dwa na Barbados, na jacht jego ojca. Ale nic z tego nie wyjdzie. Muszę iść do tej pracy.

– Ach, Venetio Haven, ty czasami tak ciężko myślisz, że trudno z tobą wytrzymać – jęknęła Kate, dramatycznie postukała się w głowę i opadła bezwładnie na dywan.

Venetia skrzywiła się z politowaniem.

– Nie, nie, Morgan, to tylko Kate się wygłupia. Znowu spojrzała na przyjaciółkę.
– Mówi, że też możesz przyjechać. Kate jęknęła jeszcze głośniejsze:
– Vennie, ja przez dwa następne tygodnie mam egzaminy, a ty nie.
– Morgan – powiedziała Venetia stanowczo – nie mogę. Propozycja jest kusząca, ale nic z tego. Naprawdę muszę dostać tę pracę. Co? Nie, znowu sobie żartujesz! Sprawdzisz i mi powiesz? Dobrze. Tak, tak. Jasne... ja też. Cześć.

– No i co?! – wykrzyknęła Kate. – Co sprawdzi?

– Powiedział, że kucharz z „Fiesty” chce wrócić do pracy w Nowym Jorku i muszą znaleźć kogoś na jego miejsce. Jest prawie pewien, że mogą mnie przyjąć na cały sezon zimowy na Karaibach – Vennie zatkała uszy, żeby nie słyszeć radosnych wrzasków Kate.

– Zdumiewające! – darła się przyjaciółka. – Fantastyczne! Rozwiązanie numer cztery! Zaraz, zaraz, ile ci będą płacić?

– Och, Kate, nie wiem – zaśmiała się Venetia. – Tak czy owak, nie sądzę, żebym mogła przyjąć taką propozycję.

– Przyjmij – powiedziała Kate twardo – i weź ze sobą duży słoik dżemu, na wypadek gdybyś trafiła na bezludną wyspę razem z Morganem. Poza paroma książkami Morgan to najlepsza partia naszych czasów i z tego, co widzę, strasznie mu na tobie zależy!

– To tylko jego kaprys – odpowiedziała Vennie, wspominając jego pocałunki i silne, muskularne ciało przytulone do niej w czułym uścisku.

– Bujdy na resorach – zapewniła ją Kate. – Ma wszystkie podręcznikowe objawy ciężko zakochanego faceta, a obiektem jego ukrytych uczuć jesteś właśnie ty!

Spojrzały sobie w oczy i wybuchnęły śmiechem, tarzając się po łóżku z radości.

– Wyobrażasz sobie mnie jako obiekt czyichkolwiek skrytych uczuć? – zaśmiewała się Vennie – ja jako femme fatale!

Lydia Lancaster zastanawiała się, co się dzieje. Dziewczęta kręciły się w pobliżu aparatu jak nastolatki, rzucając się na telefon, za każdym razem, gdy zadzwonił. Jak ciężko zakochane smarkule, którymi zresztą są, powiedziała do siebie, podniosła słuchawkę i zaczęła wykrecać numer.

– Mamusiu! Do kogo znowu dzwonisz?

Lydia popatrzyła na córkę ze szczerym zdumieniem.

– Do Jennifer Herbert, kochanie. A dlaczego?

– Mamusiu, proszę cię, nie teraz, zawsze gadacie całymi godzinami, a my w każdej chwili spodziewamy się telefonu. Ważnego telefonu – powiedziała Kate, kładąc palec na widelkach.

– Kate! Tego już za wiele! Rozłączyłaś mnie!

– Przepraszam, mamusiu, ale tylko ten jeden raz. To naprawdę ważne.

Kate z wyrazem uporu na twarzy wciąż trzymała palec na widełkach, a Lydia wpatrywała się w nią z irytacją.

– Kto...

W tym momencie zadzwonił telefon, a Kate podniosła palec.

– Halo? – powiedział jakiś głos.

Lydia spojrzała na telefon zdziwiona – oczywiście, w dalszym ciągu trzymała słuchawkę.

– Słucham? – odpowiedziała.

– Czy rozmawiam z panią Lancaster?

Głos był głęboki, sympatyczny i zupełnie nieznajomy.

– Tak, mówi Lydia Lancaster.

– Dobry wieczór pani. Z tej strony Fitzgerald McBain.

– Pan McBain! Wielkie nieba... miło pana słyszeć – Lydia z trudem ukrywała zaskoczenie. – Oczywiście, bardzo dobrze znamy Morgana, często do nas wpada z wizytą.

– Mówił mi o tym, proszę pani, i chciałbym państwu bardzo podziękować za gościnność. Osoby, które podróżują tyle co on, bardzo potrzebują kogoś, kto zaprosi je do domu i uchroni od wiecznej samotności hoteli i restauracji.

– Cała przyjemność po naszej stronie. Nie muszę dodawać, że jesteśmy wszyscy panu ogromnie wdzięczni za opiekę nad Venetią i jej siostrami.

Lydia popatrzyła na pełne oczekiwania twarzyczki kręcących się w pobliżu dziewcząt. Więc to był ten ważny telefon!

– Fitz McBain? – spytała szeptem Kate. Lydia przytaknęła.

– To Fitz! – Kate chwyciła Venetię w objęcia. – Chce ci osobiście zaproponować tę pracę!

– Rozumiem. Tak, jestem pewna, że pod pańską opieką będzie bezpieczna.

A poza tym Morgan ma rację, ona jest rzeczywiście świetną kucharką i ma twórczą wyobraźnię. Jestem pewna, że pan będzie z niej zadowolony. To więcej niż szczerą ofertą. Tak, ja się zgadzam, panie McBain, ale niech pan jeszcze porozmawia z nią samą. Naturalnie. Dziękuję serdecznie, i bardzo się cieszę. Do widzenia, panie McBain. – Lydia podała słuchawkę Venetii. – Fitz McBain dzwoni, żeby ci osobiście zaproponować pracę na swoim jachcie przez resztę sezonu, jeśli oczywiście zechcesz.

Venetia przywitała się z uśmiechem.

– Venetio, od jakiegoś czasu bez przerwy o tobie słyszę. Chyba wreszcie uda nam się spotkać, to znaczy, jeżeli przyjmiesz tę pracę – jego głęboki głos miał lekki akcent z Południa, choć trudno go było nazwać akcentem prowincjonalnym. Podobał się jej.

– Aż trudno uwierzyć w taką atrakcyjną propozycję – odparła.

– Nie wierz, że to będzie sama przyjemność. Praca to praca, chociaż od czasu do

czasu będziesz miała trochę wolnego. Nie bywam na jachcie tak często, jak bym chciał. Morgan poprosił mnie, żebym zadzwonił i przekonał cię, że to nie jest posada przez protekcję. Daję ci słowo, że nie. Nasz obecny szef kuchni dostał propozycję pracy w Nowym Jorku i uważa, że to otworzy przed nim drogę do dalszej kariery. Nie mogę mu utrudniać w realizacji zawodowych ambicji, więc się zgodziłem. To jak, Venetio, możemy na ciebie liczyć?

– Bardzo chętnie, obiecuję, że będę się starać. Naprawdę jestem niezła.

– Morgan zapewnia mnie, że jesteś świetna, i to samo mówi pani Lancaster.

Zobaczmy.

– Panie McBain?

– Tak?

– Napisałam do pana, żeby podziękować za wszystko, co pan dla mnie, dla nas, zrobił po śmierci mamy. Chciałam panu jeszcze raz podziękować.

– Dostałem list, Venetio. Cieszę się, że mogłem w czymś pomóc. Wobec tego – jego głos zabrzmiał energicznie – daj nam znać, kiedy możesz się zjawić, a moje biuro zorganizuje twój przelot. Do widzenia. Pozdrów ode mnie siostry.

Venetia odłożyła słuchawkę i odwróciła się, żeby spojrzeć na Kate i Lydię, które niecierpliwie czekały na rezultat rozmowy.

– Jak waszym zdaniem powinien się ubierać szef kuchni na luksusowym jachcie?

– spytała, uśmiechając się od ucha do ucha.

12.

Nowe modelki Paris fruwały po estradzie, jak stadko tropikalnych ptaków. Wrażenie potęgowały mini-sukienki – proste w kroju jedwabne tuniki na samych biodrach przechodzące w króciutkie, zalotne bombki z tiulowych falbanek w kolorach karmazynu, amarantu, różu, fioletu i szafiru. Paris wyśniła te sukienki poprzedniego popołudnia, zainspirowana szczupłymi ciałami i młodzieńczą urodą Naomi, córki Berthe, i jej przyjaciółek ze szkoły baletowej.

Pomysł Berthe okazał się genialny: nie tylko uratował pokaz, ale dodał mu jeszcze nowego, czysto fizycznego charakteru. Naomi, szczupła, długonoga brunetka o egzotycznych rysach, nawet w starym worku prezentowałaby się wspaniale, a w sukienkach Paris wyglądała zachwycająco. Jej przyjaciółki poruszały się z gracją, jakiej można nauczyć się tylko w balecie, wszystkie były średniego wzrostu, czarnowłose i niemal przerażająco chude. Były więcej niż idealne – po prostu jakby stworzone do tego pokazu. Rozpoczynając imprezę tym kolorowym, niezwykłym akcentem, Paris chciała od razu zachwycić widownię i dać jej do zrozumienia, że ta rewia będzie zupełnie odmienna od wszystkich i że w świat mody wkracza nowa, silna osobowość.

Jean-Luc też dał z siebie wszystko: zaprojektował maleńkie, przybrane pękami jedwabnych kamelii kapelusiki z woalką, noszone na bakier. Były w tych samych kolorach co sukienki. Jego młoda żona poświęciła się i ufarbowała wszystkie materiały w jedną noc – przy okazji barwiąc sobie ręce na karmazynowo.

Dziewczęta wyglądają fantastycznie, pomyślała Paris, patrząc, jak długie, muskularne nogi tancerek, odziane w proste czarne rajstopy i czerwone buty na niebotycznie wysokich obcasach, wybijają energicznie rytm na estradzie. Są trochę narwane, jak szalone, współczesne Cyganki wyciągnięte prosto z przedstawienia Carmen. Pokaz zyskał zupełnie nową, jakby teatralną oprawę – był owocem niepowtarzalnego natchnienia, które można rozwinąć w zupełnie nowy styl, kopiowany na całym świecie – jak styl narzucony przez futurystyczne garsonki Montany, te z szerokimi ramionami, albo smokingi St. Laurenta.

Paris patrzyła, jak dziewczęta nagle porzucają wyniosłe pozy zawodowych modelek i zaczynają improwizowaną sambę do karnawałowej muzyki, która płynęła zza sceny, z obsługiwaną przez Didiera konsoly.

Cholera, w dalszym ciągu słychać te trzaski, Didi jeszcze ich nie usunął! Zaczęła szukać wzrokiem elektryka, ale nie mogła go dojrzeć w panującym w sali chaosie. Jak my to wszystko zdążymy na jutro przygotować?, pomyślała. Tragarze w dalszym ciągu chodzili w tę i z powrotem, wnosząc niewygodne połączane krzeselka – nieodłączny element wszystkich paryskich rewii mody – elektrycy bez przerwy coś

majstrowali przy reflektorach, ktoś cały czas oślepił obecnych punktowcami i migającym dyskotekowym światłem. Bukieciarze ozdabiali boki wybiegu olbrzymimi kremowymi liliami, które zdaniem Paris świetnie podkreślały atmosferę lat trzydziestych. Didi natomiast twierdził, że takie kwiaty kojarzą mu się wyłącznie z pogrzebem i że oszaleje od kataru siennego.

Berthe i jej pomocnice usadowiły się w kącie, robiły zaszewki przy spódnicach i skracaly rękawy. Stroje wraz z dodatkami tkwiły na wieszakach opatrzonych imionami modelek. Zajmowały się nimi baletnice, które nie brały udziału w pokazie, ale zgłosiły się na ochotnika do pomocy. Dwie charakteryzatorki pracowały w obłokach pudru i blasku szminek, a fryzjerka z pomocnicą dwoiły się i troiły, starając się dokładnie uchwycić efekt, jakiego życzyła sobie Paris.

Karnawałowa muzyka z głośników zupełnie nie pasowała do tego, co się działo na scenie, i dziewczęta czuły się nieco zbite z tropu.

– Słuchajcie – zawołała Paris – chciałabym, żebyście wszystkie wbiegły na scenę, tak żeby było dużo ruchu i kolorów.

Patrzyła z aprobatą, jak już za pierwszym razem udało im się osiągnąć pożądany efekt. Zajrzała za kurtynę.

– Didi? Ta karnawałowa muzyka jest chyba do niczego. Chcę coś bardziej zmysłowego i modnego, na przykład jakiś ostrzejszy kawałek Stonesów albo Joe Jacksona.

Naomi tańczyła w rytm jakiejś własnej, wymaginowanej muzyki, dokładnie tak, jak sobie to wyobrażała Paris.

Didi miał za sobą ciężki dzień. Od szóstej rano nadzorował robotników w Hotel de l'Abbaye, zapobiegł strajkowi elektryków, którym Paris zapowiedziała, że z braku czasu nie będzie przerwy na kawę, nie dopuścił do wybuchu paniki, gdy do południa w sali nie było jeszcze ani jednego krzesła, cholerne lilie przyprawiły go bez przerwy o katar, a aparatura dźwiękowa w żaden sposób nie chciała działać jak należy. Było już wpół do pierwszej, a on pracował na głodniaka, o jednej filiżance kawy.

– Dlaczego nie zadowolisz się tym, co już jest – zasyczał z wściekłością.

– Bo możemy to zrobić lepiej! Didier de Maubert, nie zostawi mnie pan chyba teraz na lodzie?

Paris była w siódmym niebie. Bezsenne noce i ciężka praca tylko dodawały jej energii, a chaos i zamieszanie wzbudzały entuzjazm. Jeszcze jej takiej nie widział. Była tak naładowana, że niemal unosiła się nad ziemią, a jej zapał udzielał się wszystkim. Gdyby chodziło o kogoś innego, to przede wszystkim zastanawiałby się, na jakich prochach ten ktoś jedzie, ale w przypadku Paris w grę wchodziła tylko adrenalina i determinacja. Obawiał się jednak, że ani adrenalina, ani energia nie

wystarczą, żeby ta dziewczyna przetrwała jutrzejszy dzień w podwójnej roli: jako główna modelka zastępująca Finolę i jako szefowa całego zespołu i prezenterka pokazu.

– Przebioreę się – powiedziała. – Didi, ta muzyka to Avalon, prawda?

– Tak jest.

Berthe musiała porobić tylko nieznaczne poprawki, żeby suknie Finoli idealnie dopasować do sylwetki Paris. Didi pomógł przyjaciółce włożyć zakiet ze stalowoszarej satyny. Prezentowała się w tych sukniach o ascetycznym kroju i chłodnych kolorach równie dobrze jak Finola.

– W dalszym ciągu uważam, że jako główna modelka występować powinna Naomi albo dziewczyna z agencji – powiedział.

Paris ledwie dosłyszała jego słowa. Włożyła dobrane kolorem pantofle. Obserwowała dziewczęta stłoczone za kulisami, rzucając też szybkie spojrzenia w lustro.

– Najpierw płócienne spódnice i bluzki, a potem spodnie i zamszowe marynarki – zawołała, sprawdzając czas na zegarku i jednocześnie wygładzając spódnicę. – Macie na to dokładnie dziewięćdziesiąt sekund. Pamiętajcie o zmianie odcienia pudru i szminki, karmazynowy nie pasuje do brzoskwiniowobursztynowego zamszu. Didi, muzyka i lecimy dalej.

– Paris, jesteś pewna, że dasz sobie radę z tym wszystkim? Musisz dopilnować za kulisami, żeby wszystkie modelki wyglądały dokładnie tak, jak chcesz, a jednocześnie masz pokazywać się klientom i prasie na widowni.

– Czy sobie dam radę? – popatrzyła na niego z niekłamanym zdumieniem. – Naturalnie, pod warunkiem że nie zacznę się nad wszystkim godzinami zastanawiać! Dalej, Didi, trzeba przynajmniej raz przećwiczyć cały pokaz scena po scenie, żeby sprawdzić, jak stoimy z czasem, a potem przez resztę dnia możemy doszlifowywać szczegóły. Nie wyjdziemy aż do wieczora, jeśli nie obejrzę jednej idealnie dopracowanej próby kostiumowej – wystarczy jedna, dopiero wtedy będę pewna.

– Pewna czego? – Didi przekrzykiwał Bryana Ferry śpiewającego Avalon.

– Pewna sukcesu.

Paris kroczyła wzdłuż wybiegu, nadzwyczaj elegancka w stalowej satynie, wyobrażając sobie wrażenie, jakie wywoła kontrast tej sukni ze ślubnym strojem, który będzie prezentowany zaraz potem. Do ślubu również proponowała sukienkę o prostym kroju na górze, rozszerzającą się ku dołowi w tiulową bombkę, a do tego białe jedwabne pończochy, bardzo długi welon i tren z koronki przesywanej złotem. To będzie dopiero sensacja, cała rewia będzie sensacyjna – Paris czuła to każdym nerwem.

Didi miał już serdecznie dosyć tej muzyki – niech diabli porwą Roxy i Stonesów,

Jerome'a Kerna i całą resztę. W głowie mu huczało. Było już wpół do trzeciej. O pierwszej ktoś wyskoczył na chwilę do sklepu i przyniósł kanapki i mleko dla tancerek. O trzeciej powinno przyjść sześciu tancerzy, którzy mieli towarzyszyć dziewczętom na wybiegu, ubrani w wypożyczone białe smokingi i garnitury.

Do diabła z tym wszystkim, będą musieli jakoś sobie bez niego dać radę przez pół godziny. Musi strzelić sobie kielicha. Rozejrzał się, szukając Paris. Siedziała w kącie i wyklócała się z elektrykiem, który uparł się, żeby założyć na reflektory różową przesłonę, chociaż ona chciała czyste białe światło – nawet bez domieszki żółci, co dopiero mówić o różowym. Didi wyszedł bez słowa.

W barze Buenos Aires naprzeciw hotelu mieli staromodny cynkowy szynkwaz i przyzwoitą szkocką whisky, a z dobrze wyregulowanych głośników płynęły argentyńskie tanga. Akurat tanga nie były mu tak bardzo potrzebne do szczęścia, ale po paru szklaneczkach whisky poczuł się o wiele lepiej.

– Tu się chowasz, Didi! – nagle u jego boku pojawiła się Paris w efektownym scenicznym makijażu i zielonym futrze. – Chyba nie zamierzasz się urząnąć, co? – spytała podejrzliwie. – Tego tylko mi brakuje, żebyś się okazał alkoholikiem!

– Merde! Wypiłem dwie szklanki whisky i zastanawiam się, co wrzucić na ruszt. Tyram ciężko od świtu!

Didi z trudem pohamował wybuch. To ze zmęczenia, powiedział sobie. Narobiłem się i tyle. Kto by pomyślał, że ta cała Paris ma mentalność nadzorcy niewolników?

Paris zamówiła lampkę wina. Cholera, pomyślała z irytacją, chyba Didi nie pęknie właśnie teraz, kiedy mi jest najbardziej potrzebny. Czy w końcu wszystko spadnie na mnie?

– A co tu dziś dają do jedzenia?

– Ryż z fasolą po argentyńsku. Paris wybuchnęła śmiechem.

– Och, Didi, i oto ja, dobrze zapowiadająca się projektantka mody na drodze do sławy, o krok od sukcesu, siedzę przy szynkwazie i zajadam ryż z fasolą.

Didi uśmiechnął się.

– To znaczy, że chcesz ten ryż?

– Pewnie że tak, umieram z głodu. Właśnie sobie przypomniałam, że od rana nie miałam nic w ustach. Ty pewnie też, prawda? – poklepała go po ramieniu i pocałowała w policzek. – Przepraszam cię, Didi. Nie chciałam być wredna, po prostu czuję się... taka naładowana. Czekałam na to tyle lat, i teraz, kiedy realizujemy moje marzenie, uparłam się, że wszystko musi pójść bezbłędnie. Czy jestem zupełnie nie do zniesienia?

– Nie wtedy, kiedy mówisz tak jak teraz – odparł i z uśmiechem wytarł ślad szminki z policzka. – Wszyscy jesteśmy trochę zmęczeni, i tyle.

– Zmęczeni? – Paris zabrała się za swój ryż. – Ja nie. Mogę być na chodzie całą noc, i będę, jeśli się okaże, że tak trzeba.

– Dobra, dobra. Tylko pozwól nam, zwykłym śmiertelnikom, na chwilę odpoczynku od czasu do czasu, na dziesięć minut przerwy, na kanapkę, na kieliszeczek... wiesz, na normalne życiowe potrzeby.

– Dobrze! – Paris odłożyła widelec i zawołała barmana. – Chciałabym zamówić szampana – oświadczyła ku zdumieniu swojego towarzysza.

– Tak jest, proszę pani.

– Tuzin butelek waszego najlepszego rocznika – powiedziała z godnością – i do tego tace z zakąskami. Proszę to dostarczyć do hotelu naprzeciwko o ósmej wieczór.

– Dwanaście butelek najlepszego szampana... Paris, ty nas zrujnujesz! – jęknął Didi.

– I tak jesteśmy zrujnowani. Wydaliśmy wszystkie pieniądze, i nie tylko. Czy parę butelek szampana robi tu jakąś różnicę? Poza tym musi być dobry, bo nie chcę, żeby moje modelki nabawiły się bólu głowy przed samą rewią. Och, Didi, jutro będziemy ludźmi sukcesu i nie będziesz musiał się martwić o tuzin butelek szampana.

Zsunęła się ze stołka i skierowała w stronę drzwi.

– A póki pamiętam – powiedziała – czy przywieźli już alkohol na jutro?

– Jeszcze nie – Didi zapłacił i poszedł za nią – ale zaraz przywiozą. Zadzwoń do nich, gdy tylko przyjdziemy do hotelu.

Co za dziewczyna, nie zapominała o niczym.

Paris czuła dreszcz emocji, gdy tancerki sunęły po podeście w ślad za Naomi w szokująco krótkiej ślubnej sukni. Towarzyszyło jej sześciu przystojnych tancerzy w eleganckich frakach. Elektryk bezbłędnie prowadził ich reflektorem, a głośniki przestały wreszcie chrypieć. Piosenka Noc i dzień w wykonaniu Freda Astaire'a dodawała scenie romantyzmu. Naomi, z profesjonalnym uśmiechem na twarzy, przystanąła na skraju wybiegu. Nagle zabłyśły wszystkie światła, zabrzmiało nagranie Eurythmics, a zza kulis wybiegły inne modelki w kolorowych sukienkach, które miały na sobie na samym początku pokazu.

Boże, wyglądały bajecznie – po prostu bajecznie. Paris, która mierzyła czas i sprawdzała, czy wszystkie dziewczęta włożyły odpowiednie dodatki i mają właściwy makijaż i uczesanie, zerwała się z miejsca i zaczęła klaskać.

– Brawo, brawo! – wołała – jesteście fantastyczni. Chyba wreszcie wszystko zostało dopięte na ostatni guzik. Pewnie jesteście wykończeni.

Odpowiedzią były ciężkie westchnienia.

– No dobrze, już dobrze. Jak tylko pozdejmujecie te fatalaszki, podajemy szampana.

Z podestu rozległy się wiwaty i gwizdy, a Paris znów się roześmiała. Zapomniała,

że oni wszyscy są tacy młodzi i tak spontaniczni – w odróżnieniu od profesjonalnych modelek. Dawali z siebie wszystko, a ten szampan był tylko drobnym gestem podziękowania. Pojutrze, pomyślała, prostując obolałe plecy, będę mogła wszystkim wypłacić premię.

Butelki czekały w kubelkach z lodem już prawie godzinę, bo zgodnie z umową kelner przyniósł je o ósmej. Lód dawno się roztopił, ale wino było wciąż zimne. Didi poluzował korki i napełnił kieliszki.

– Pierwszy dla ciebie – powiedział do Paris. Ujęła go za rękę i uśmiechnęła się serdecznie.

– Nigdy bym tego nie dokonała bez ciebie.

– Nieprawda – odpowiedział – ale dziękuję za komplement. Uniósł kieliszek:

– Za sukces, Paris.

– Za sukces – powtórzyła jak echo.

Didi odwiózł Paris do domu prawie o dziesiątej, a i to niemal pod przymusem.

– Widzisz przecież, że wcale nie jestem zmęczona – powiedziała, zaglądając do samochodu przez opuszczoną szybę, by pocałować go na dobranoc. – Mogłabym jeszcze zostać, pomóc przy sprzątanii i upewnić się, że wszystko będzie gotowe na jutro.

– Nie trzeba – odparł wesoło. – Wrócę tam i jeszcze raz rzucę okiem, a poza tym wszystko jest zapięte na ostatni guzik.

– No... jeśli jesteś pewien... – znów go pocałowała i przeszła na chodnik. – Didi!

– Co jeszcze?

– Przyszło mi do głowy coś okropnego. A co będzie, jeżeli wybuchnie pożar?

– Daj spokój, Paris, nic nie wybuchnie – jęknął rozpaczliwie. – Przez tyle lat w Hotel de l'Abbaye nie było ani jednego pożaru, dlaczego miałby się spalić akurat dziś w nocy? Poza tym, mają tam strażników. Obiecuję ci, że nic złego się nie stanie.

– No, dobrze – popatrzyła niepewnie.

– Co znowu?

– Pamiętałeś o zaproszeniach, prawda?

– Oczywiście że tak, ty idiotko! Idźże wreszcie do łóżka, Paris Haven, prześpij się i przestań wreszcie denerwować!

– Dobra, dobra, już sobie idę – Paris poszła w kierunku domu. Didi pomachał jej na pożegnanie i odjechał w ciemną noc.

Dziwne, w ogóle nie czuję zmęczenia, pomyślała wbiegając na górę po dwa schodki naraz. I to mimo wczorajszej nie przespanej nocy, którą przesiedziałam szyjąc te tiulowe bombki. Jezu, te dziewczyny świetnie w nich wyglądają. Okazuje się, że to nie tylko dobry numer na wejście, ale po prostu autentyczna inspiracja.

Atelier wyglądało obco bez białych prześcieradeł i stosów na pół wykończonej

odzieży, bez wzorów obuwia, biżuterii i kapeluszy. Jak długo będę tu jeszcze mieszkać? Może parę miesięcy, dopóki nie znajdę czegoś większego i jaśniejszego. Chcę mieć w domu olbrzymie okna – na przykład z widokiem na park, pomyślała i z westchnieniem rzuciła się na łóżko. Rozejrzała się po całym pomieszczeniu. Znajome brudne okno w dachu, rury na suficie, własnoręcznie pomalowane na seledynowo, brzoskwiniowa kurtyna wyciągnięta z zaplecza jakiegoś starego smutnego teatru, wielkie lustro na ścianach, stół kreślarski – dostała go w prezencie od Jenny – używany stół krawiecki i empirowe łoże, które wynalazła dla niej India.

To śmieszne, będzie jej brakowało tego miejsca. Tyle się tu wydarzyło. No, ale nie ma co się nad tym zastanawiać. Dziś wieczór nie powinna się smucić. Poczula się osamotniona. Nie chciała być sama, poza tym naprawdę ją nosiło. Zapragnęła być wśród ludzi, śmiać się i tańczyć. Najlepiej zrobi, jeśli pójdzie gdzieś na przyjęcie. To jest pomysł! I tak przecież dziś w nocy nie zaśnie. Zaczęła kartkować notes. Do kogo by tu zadzwonić? Naturalnie do Julesa Santini, on przecież ciągle robi jakieś przyjęcia – a jeśli nie robi, to wie, do kogo warto się wybrać.

Olympe Avallon podobało się to przyjęcie u Henri'ego i to z wielu względów. Po pierwsze, uwielbiała jego dom – kamienny dworek w miniaturze, położony daleko za Laskiem Bulońskim, pełen uroczych drobiazgów i zazwyczaj także uroczych osób. Po drugie, jedzenie u Henri'ego było zawsze wyjątkowo dobre, a Olympe zwykle umierała z głodu na przyjęciach. Jakość podawanych win zależała od liczby gości – im mniej zaproszonych, tym lepsze napoje – a dziś było tu tłoczno, pewnie ze sześćdziesiąt albo siedemdziesiąt osób. To oznaczało, że podadzą białe z własnych winnic – całkiem niezłe, albo czerwone – okropne paskudztwo. Po trzecie, wyglądała dziś fantastycznie ze świeżą zimową opalenizną i w białej sukni z kolekcji Valentino. Była to prosta dżersejowa tunika, odsłaniająca kusząco jedno złociste ramię byłej modelki i w niemal wyzywający sposób opinająca jej piękne pośladki. Olympe pochwyciła kątem oka swoje odbicie w wielkich lustrach w holu i już – działa, że dziś wieczór będzie najlepiej ubraną kobietą w tym towarzystwie – biały kolor był nie do pobicia zimą, szczególnie jeśli ktoś miał takie wielkie szare oczy i gęste jasne włosy. Nagrodziła uśmiechem swoją lustrzaną podobiznę – obraz kobiety pięknej, atrakcyjnej i kosztownej.

Barbara Dumont też niezłe wygląda, ale wszyscy wiedzą, że właśnie przeszła poważną operację plastyczną – ani jednej zmarszczki na twarzy mimo czterdziestu dwóch lat, co najmniej. Olympe szybko skontrolowała w lustrze swoją twarz: nie, ona, dzięki Bogu, dalej wygląda jak należy, choć skończyła już trzydzieści cztery lata. Operacje plastyczne powinno się robić dopiero po czterdziestce – ma jeszcze mnóstwo czasu. Trochę jednak szkoda, że nie może znowu mieć dwudziestu sześciu lat i że jej twarz – i ciało – nie zachowa wiecznej świeżości. A oto i czwarty powód

do zadowolenia z tego przyjęcia: przyszło na nie dwóch mężczyzn, którymi się akurat bardzo interesowała, choć z odmiennych powodów.

Bendor Grünewald miał tytuł arystokratyczny – wprawdzie tylko papieski, ale za to bardzo stary i był to mimo wszystko tytuł książęcy. Niezmiernie bogaty człowiek – i poważnie nią zainteresowany, choć ona starała się swoich uczuć nie ujawniać. Bendor był doskonale znany wśród socjety i przez prawie trzydzieści lat miał opinię playboya – od momentu kiedy odziedziczył po swoich niemieckich przodkach rodzinne imperium przemysłowe. Pałił się do niej, widziała to wyraźnie. Miał już pod pięćdziesiątkę i zaczynał się liczyć na rynku kawalerów do wzięcia. Przyszedł na niego czas, by pomyśleć o założeniu dynastii – każdy bogaty pięćdziesięciolatek pragnie mieć syna.

Był tu dziś również Hugo Reresby, najbardziej seksowny facet, jakiego udało jej się spotkać w ciągu minionego roku. Nikt by się tego po nim nie spodziewał, sądząc z wyglądu, pomyślała; wygląd Anglików jest taki mylący – czerstwe policzki będące oznaką dobrego zdrowia i te błękitne oczy dobrze wychowanych uczniów. Dopiero w łóżku widać co to za numery!

Hugo pochwycił jej spojrzenie i z drugiego końca pokoju pomachał na powitanie. Olympe chwilę się zastanawiała, czy ma sama podejść, czy na niego poczekać, bo wreszcie i tak do niej w końcu przyjdzie. Czy przyszedł z żoną? Nie, dzięki Bogu nie.

Bardzo jej się podobał ten salon: wielkie kwadraty czarnego i białego marmuru na posadzce, a na nich kolorowo poubierani goście, jak egzotyczne figury rozstawione na gigantycznej szachownicy.

– Olympe! – odwróciła się na dźwięk swego imienia.

Stał za nią Henri, który strasznie pedałowato wyglądał w jedwabnej koszuli o karmelowym odcieniu i skórzanych spodniach wpuszczonych w kowbojskie buty.

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że przyszłaś bez towarzystwa? – spytał całując ją na powitanie. – Wszyscy wkoło wiedzą, że pod twoimi drzwiami wystaje bez przerwy co najmniej kilkunastu facetów, a paru z nich wolałbym widzieć w takiej kolejce pod moim domem!

Olympe wzięła go pod rękę i pozwoliła się poprowadzić korytarzem.

Z piwnicy dobiegało rytmiczne dudnienie muzyki dyskotekowej.

– Jestem sama – przytaknęła – na krótką chwilę...

– Ani słowa więcej – uśmiechnął się – powiedz mi tylko, o kogo ci chodzi, o Bendora czy o Hugona?

– To zależy, w jakim będę dziś nastroju... i od moich sekretnych pragnień – żartowała.

– Twoje sekretne pragnienia to zazwyczaj marzenia o steku i truskawkach – odpowiedział, prowadząc ją do jadalni i bogato zastawionego bufetu. – W duszy

pozostałaś prostą dziewczyną, Olympe.

– Dlaczego nikt oprócz ciebie nie potrafi tego dostrzec, Henri? Ja naprawdę jestem nieskomplikowana, najbardziej ze wszystkiego lubię jeść, pić wino, wylegiwać się na słońcu, tańczyć i się kochać, za tą egzotyczną fasadą kryje się prawdziwa bourgeoisie.

Bendor wypatrzył ją z drugiego końca sali i pośpieszył w jej stronę.

– Nie niszczyć moich złudzeń, Olympe – powiedział usłyszawszy ostatnie zdanie – ja pragnę tej drugiej kobiety, tej egzotycznej piękności, która żywi się świeżym powietrzem i różanymi płatkami.

– Zapewniam cię – odparł Henri – że ona zdecydowanie woli stek z frytkami. Bóg jeden wie, dlaczego się jeszcze nie roztyła. Ja bym na takiej diecie łapał dwa kilo w jeden wieczór.

– Za to tamta dziewczyna musi żyć wyłącznie płatkami róż – powiedziała Olympe wskazując na Paris otuloną zielonkawym futerkiem z norek. – Henri, kto to jest?

– Nie mam pojęcia – Henri jednym spojrzeniem otaksował Paris. – Ale ma przepiękne futro! – i skierował się w stronę dziewczyny.

– Olympe – powiedział błagalnie Bendor.

– Tak?

– Czy pozwolisz mi się zaprosić na kolację tylko we dwójkę? – uniósł palcem jej podbródek. – Może na stek z frytkami?

Olympe zastanawiała się. Jej przejrzyste szare oczy patrzyły na niego z namysłem. Bendor przysunął się bliżej. Takie usta każdy mężczyzna pragnąłby całować, może nawet gryźć... i on tak właśnie zrobi, jeśli uda mu się zostać z nią sam na sam. A potem każe jej chodzić po całym pokoju, jak wtedy gdy była modelką – bo wszyscy wiedzą, że Olympe porusza się w najbardziej seksowny sposób na świecie.

Olympe wzięła z półmiska laskę selera naciowego. Równe kwadratowe ząbki ze smakiem chrupały warzywo, a jemu aż dreszcze przechodziły po krzyżu.

– Wiesz – powiedziała, odgryzając następny kęs – jest takie jedno jedyne miejsce na świecie, gdzie naprawdę chciałabym zjeść dzisiaj kolację.

– Gdzie? Powiedz – nalegał Bendor.

– Ach, to taka sobie restauracyjka – Olympe wzięła ostrugany słupek marchewki i zanurzyła go w czosnkowym sosie – nic wielkiego, ale jedzenie... ach, Beny, co za wspaniałe jedzenie.

– No więc?

– Oczywiście – westchnęła – to niemożliwe...

– Merde, Olympe, gdzie to jest? – upierał się Bendor. – Chodźmy tam.

Olympe popatrzyła na niego z powątpiewaniem.

– To miejsce nazywa się Julie’s. Podają tam homary ze świeżym czosnkowym majonezem, steki ze świeżych krabów i z ryby miecz, prosto z morza. Z Morza Karaibskiego... u wybrzeży Barbadosu.

– Pojedziemy tam razem, Olympe, ty i ja – Bendor chwycił ją mocno za rękę. – Jeśli chcesz, wyruszmy dziś w nocy.

Olympe wybuchnęła śmiechem.

– Ach, Beny, jakie to nudne! Byłam pewna, że tak odpowiesz. Nie widzisz, że sobie stroję z ciebie żarty? Słuchaj, tu jest mi całkiem dobrze, lubię szparagi i selera, a do tego dwie-trzy truskawki – wędrowała wzdłuż stołu, wybierając przysmak za przysmakiem.

– Olympe, kiedy pójdziesz ze mną na kolację?

– Chyba już dziś na ten temat rozmawialiśmy, prawda? Bendor jest naprawdę strasznie napalony, pomyślała z zadowoleniem.

Hugo uśmiechnął się do niej – odpowiedziała mu uśmiechem, ale tak, by Bendor nie zauważył.

Przy drzwiach Henri ujął w dłonie zimne palce Paris.

– Czy ja panią znam? – spytał i podniósł w górę palec, nie dopuszczając jej do głosu. – Nie, nie, proszę nic nie mówić. Po prostu miło mi, że się pani zjawiała na moim przyjęciu. Jestem Henri Santier. A pani?

– Mam na imię Paris.

– Bardzo odpowiednie imię, czyżby przebłysk geniuszu ze strony pani matki? Paris, a dalej?

– Paris Haven. Jestem znajomą Julesa Santini, miałam tu się z nim spotkać.

Henri pomógł jej zdjąć futro, rozkoszując się jego miękkością.

– Jeszcze go nie widziałem – odparł, rzucając norki na wielką skrzynię w holu. – Ma pani najpiękniejsze futro świata.

– To po matce – wyjaśniła Paris machinalnie, i zaraz pożałowała swoich słów.

Henri zauważył wyszyte na podszewce inicjały JH.

– Ach, rozumiem – uśmiechnął się. – Stąd to imię, Paris. Twoja matka była genialna, kochanie – otoczył ją po przyjacielsku ramieniem. – A teraz proszę ze mną. Przedstawię panią paru osobom, które z pewnością pani chętnie pozna.

Paris chciała uniknąć spotkania z Olympe Avallon. Naturalnie zauważyła ją, gdy tylko stanęła w drzwiach. Olympe wyglądała tak cholernie elegancko, że nie sposób było nie zwrócić na nią uwagi – powinno być prawnie zabronione, żeby kobieta latami mogła tak fantastycznie wyglądać. Zdjęcia Olympe można było bez przerwy oglądać w europejskich czasopismach. „HOLA”, „OGGI” i „TATLER” zamieszczały jej fotografie w skąpym bikini, jak opala się na pokładzie jachtu w Saint-Tropez – półnaga, bez makijażu, z włosami ściągniętymi w koński ogon; albo jak z kimś

rozmawia na wyścigach w szykownej czarnej sukience a la St. Laurent i w fantastycznym kapeluszu o dyskretnej linii i uroczej dekoracji; albo na jakimś dobroczynnym balu w Londynie, jak przyćmiewa prostą elegancją wszystkie Angielki w bufiastych sukniach. Nic dziwnego, że Amadeo Vitrazzi po ich „małym przerywniku” pognął na łeb, na szyję, by się spotkać z Olympe. Żaden mężczyzna nie chciałby stracić takiej kobiety.

– Paris – powiedział Henri – chciałbym, żebyś poznała Olympe Avallon i księcia Bendora Grünewalda, nazywaj go Beny. To jest Paris Haven.

Niezwykle interesująca twarz, pomyślała Olympe witając się z nią, fantastyczne rysy i przepiękne włosy... ciało zresztą też – szczupłe i gibkie.

– Czy pani jest modelką? – spytała. – Jeśli nie, to powinna pani nią zostać.

– Jestem projektantką – odparła Paris sztywno – choć muszę się przyznać, że jutro będę także występować w roli modelki.

– Tak? A u kogo?

Dlaczego ta dziewczyna jest w stosunku do mnie taka chłodna, zastanawiała się Olympe. Czy powiedziałam coś złego?

– Wystąpię u siebie samej. Jutro prezentuję moją pierwszą kolekcję.

– To bardzo interesujące – odpowiedziała Olympe, zastanawiając się jednocześnie, kto przyjdzie oglądać ten pokaz, skoro wszyscy wybierają się na rewię Mitsoko, który w ostatniej chwili zmienił datę, bo mu gwiazdy przepowiedziały pecha. O bilety do niego walczył cały Paryż; nawet Olympe z trudem załatwiła sobie wstęp.

– To pani jest córką Jenny Haven – powiedział Bendor. – Mam takie wrażenie, jakbym dobrze znał pani matkę. Można powiedzieć, że dorastałem razem z nią, tyle że widywałem ją tylko na kinowym ekranie.

– Ostrożnie, kochany – skomentował Henri – przyznajesz się do swego wieku. Chodźmy, Paris, chcę panią przedstawić jeszcze paru osobom.

Henri poprowadził ją do bufetu, gdzie goście próbowali zakąsek i plotkowali o wspólnych przyjaciółach i znajomych miejscach. Wyczuł napięcie między Olympe i Paris – co to mogło być takiego? Czyżby już się gdzieś wcześniej spotkały?

Intrygujące... może uda mu się je trochę bardziej poróżnić?

– Hugo – zawołał – jest tu ktoś, kogo chcę ci przedstawić.

Hugo Reresby mocno uściśnął dłoń Paris. Ma takie bezpośrednie, sympatyczne spojrzenie i gładką czerstwą cerę kogoś, kto dużo przebywa na świeżym powietrzu, pomyślała dziewczyna.

– Paris Haven, prawda? – powiedział Hugo. – Widziałem pani zdjęcia w gazetach.

Paris uśmiechnęła się do niego. Tym razem nie przeszkadzały jej aluzje ani do

prasy, ani do matki.

– Zalicza mi to pan na plus, czy na minus?

– Ależ oczywiście na plus – ujął jej rękę. – Czy zatańczy pani ze mną, Paris? – poprowadził ją schodami do piwnicy, gdzie po dzikim boogie-woogie z głośnika popłynęła łagodniejsza muzyka. Gdy otoczyły ją męskie ramiona, Paris wreszcie uświadomiła sobie, czego naprawdę potrzebuje tego wieczoru – a Hugo Reresby idealnie nadawał się do tej roli.

Olympe była niespokojna. Bendor ją znudził, a Hugo gdzieś zniknął. Przechodziła z pokoju do pokoju, a Bendor włókł się za nią i marudził, żeby pojechała teraz do niego. Jeszcze czego! Na tym etapie Olympe nigdy nie pozwalała sobie na przypadkowe schadzki. Musiała mieć wszystko dokładnie zaplanowane, przemyślane i zorganizowane. Wtedy czuła się dobrze – przyjemnie i bezpiecznie. Niełatwo było prowadzić takie życie jak ona. Musiała opłacać mieszkanie i samochód. O stroje naturalnie nie musiała się martwić, bo projektanci lubili ją ubierać, ale mężczyźni w jej życiu pojawiali się – a raczej bywali zdobywani – po to, by przyczynić się co nieco do jej materialnego komfortu. Ten system funkcjonował nie najgorzej i mając tak niewiele pieniędzy, przez kilkanaście lat – od kiedy skończyła dwudziestkę – udało jej się zebrać całkiem niezły majątek, naturalnie z myślą o starości. Takich jak Hugo wybierała wyłącznie dla przyjemności. To Bendor był kandydatem do małżeństwa – jeśli uda się go w to wmanewrować – chociaż przeczuwała, że on i tak w końcu poślubi jakąś zdrową, silną osiemnastolatkę, która będzie mu rodzić dzieci i przymykać oko na kochanki. To nie dla niej.

– Henri, czy widziałeś Hugona?

– Oczywiście, kochanie. Jest na dole, tańczy z Paris Haven... spędzili tam całą noc – w oczach zamigotały mu złośliwe iskierki. – Przyłącz się do nich – zaproponował.

Olympe wzięła truskawkę ze srebrnego półmiska i powoli ją smakowała.

– Zimowe truskawki zawsze smakują inaczej – oświadczyła – nie mają aromatu.

A więc Hugo wypatrzył Paris! Albo raczej Henri mu ją znalazł. Może rzeczywiście powinna zejść na dół i zobaczyć, co się dzieje. Jak to się mówi? Jeśli ktoś jest nie do pokonania, to należy się do niego przyłączyć. Skierowała się w stronę schodów.

– Beny, idę „poprawić makijaż” – powiedziała pretensjonalnym tonem – nie możesz mi towarzyszyć.

– Dlaczego nie? – zamruczał, przesuwając dłonią po jej nagim ramieniu.

– Bo czynności fizjologiczne wykonuje się w odosobnieniu – ucięła, odpychając jego rękę. A teraz idź się czegoś napić, wracam za parę minut.

Paris siedziała na stosie poduszek w niszy na drugim końcu piwnicy. Hugo ją obejmował, a ona go całowała. Całowali się tak już od godziny – nic poza tym, tylko trzymał ją i całował. Było jej jak w raju: ciało, naładowane w ciągu dnia potężną dawką adrenaliny, nie potrzebowało dodatkowego pobudzenia, by reagować właściwie.

Olympe uniosła suknię, siadła po turecku przed nimi na poduszkach i obserwowała. W ściennych lichtarzach migotały świece – zdaniem Henri’ego bardzo egzotyczne oświetlenie dla dyskoteki urządzonej w podziemiach wieży. W długich włosach dziewczyny tańczyły migotliwe pomarańczowe odblaski płomieni. Hugo chyba zburzył jej fryzurę, bo wcześniej nie zauważyła, żeby włosy Paris były tak długie. Trzymał jedną dłoń na plecach dziewczyny, a drugą na jej szyi. Dobrze im było ze sobą, bez wątplenia – nawet nie zauważyli, że się im przygląda. Albo zauważyli, ale zupełnie się tym nie przejmowali. To interesujące, myślała Olympe, tak patrzeć, jak Hugo całuje kogoś innego... i wiedzieć dokładnie, co ten ktoś odczuwa. Przez skórę na jej brzuchu przebiegł dreszcz podniecenia i przysunęła się bliżej.

Hugo przestał całować delikatne wargi dziewczyny.

– Jak wspaniale – zamruczał – cudowna, urocza Paris. – Leciutko pogładził ją po twarzy samymi czubkami palców, a ona westchnęła z zadowoleniem.

Hugo obrócił głowę i uśmiechnął się do Olympe, która obserwowała ich, oparłszy podbródek na dłoni. Uśmiechnęła się w odpowiedzi.

– Hugo – powiedziała – spotkałam w holu twoją żonę. Szuka cię wszędzie.

– Czyżby? – odpowiedział leniwie, bez śladu zainteresowania. W dalszym ciągu prawą ręką obejmował Paris, a lewą gładził ją po włosach.

Po jedwabistych włosach, pomyślała Olympe. Wyciągnęła ku niemu gładkie, opalone ramię. W świetle świec błysnął pęk srebrzystych kluczy.

– Przydadzą ci się? – spytała z uśmiechem. – Nikogo u mnie nie ma. Możesz zabrać tam Paris.

Dziewczyna odwróciła się w stronę Olympe, która uśmiechała się przyjaźnie... porozumiewawczo. Paris popatrzyła z wahaniem na Hugona, który uśmiechnął się z podziękowaniem.

– Myślę – powiedział miękko – że to bardzo dobry pomysł. A ty co o tym sądzisz, Paris?

Objął ją mocniej i leciutko przyciągnął do siebie. Chciała, żeby ją znów całował, chciała czegoś więcej niż pocałunki.

– Cudowny – szepnęła.

Hugo wyciągnął rękę po klucze, które mu podawała Olympe, i spojrzał jej w oczy.

– Paris, podziękuj Olympe – powiedział. – Nawet sobie nie zdajesz sprawy, jaka ona jest dziś dla nas dobra.

– Hugo, pamiętasz, gdzie jest barek – Olympe rozprostowała nogi i wstała z poduszek. – Poczęstuj Paris, czym tylko będzie chciała – i z uśmiechem wróciła do Bendora, który cierpliwie czekał na nią w holu.

Olympe miała ogromne łoże w stylu amerykańskim. Paris czuła się w nim zupełnie zagubiona, gdy tak leżała na środku – naga i samotna. Hugo strasznie się grzebie z tymi drinkami. Powiedział, że przygotuje szampana, bo to taka świąteczna okazja. Miała dziś strasznie dużo różnych świątecznych okazji, cały czas czuła się jakby wypełniona bąbelkami. Rzeczywiście wydawało się jej, że jest tak lekka jak powietrze – pewnie z powodu jointa, którego wypaliła do spółki z Hugonem, korzystając z zapasiku Olympe, która zawsze miała doskonałą trawkę. Tak w każdym razie twierdził Hugo, a wyglądało na to, że się zna na rzeczy. On w ogóle bardzo dużo wiedział o Olympe. Wiedział, gdzie chowa trawkę, że zawsze ma w lodówce butelkę szampana na wszelki wypadek i że koc na łóżku jest z kaszmiru. Ale jeśli, snuła przypuszczenia Paris, Olympe i Hugo są kochankami, to dlaczego dostał od niej te klucze?

Przekręciła się na bok i włączyła magnetofon. Richie Havens zaczął śpiewać „Nie, nie jestem zakochany”. Melodia i jego gardłowy głos poruszyły jakiś czuły punkt w jej duszy; poczuła, że muzyka ją otacza i pochłania bez reszty.

Cicho zadzwieczyły kieliszki; to Hugo wszedł do sypialni, niosąc ze sobą butelkę i trzy wysokie szampanki. Jaki on piękny w swej nagości, pomyślała sennie: ma ciemniejszą skórę, niż można by sądzić po tych jasnych włosach, mocne nogi, umięśnione, zgrabne pośladki i fantastyczny „aparacik”. Przeciągnęła się z zadowoleniem i uśmiechnęła do niego. W dodatku posługiwał się tym „wyposażeniem” z niezwykłą sprawnością i sądząc po wyglądzie, znowu był gotów.

– Po co aż trzy kieliszki? – spytała i pogładziła go po udzie, gdy usiadł na łóżku. Hugo pocałował ją w czubek ciemnej głowy.

– Przyszła Olympe – odparł lekkim tonem. – Powiedziała, że chętnie się z nami napije.

– Olympe?

– Widzisz, skarbie, to w końcu jej mieszkanie – Hugo udzielił jej łagodnego napomnienia. – Paris, trzęsą ci się ręce.

Kilka kropli alkoholu spadło na jej pierś. Schylił głowę, by je zlizać.

– Czy już ci mówiłem, jak wspaniale smakuje twoje ciało? – zapytał.

Pochylił się i wylał kilka kropli szampana na ciemny trójkąt jej włosów.

Pogładził go lekko, a Paris westchnęła z rozkoszy. Wypił łyk wina i pieścił ją dalej.

– Jaka gładka – powiedział – jesteś taka gładka i delikatna, i kusząca...

Paris nie chciała szampana, chciała Hugona, chciała znów poczuć go w sobie, tak jak przed chwilą. Potrafił się idealnie dopasować do jej rytmu; wyczuwali się intuicyjnie tak dobrze, jakby kochali się już przedtem setki razy.

Cóż za urocza scena, pomyślała Olympe, zatrzymując się w progu. Przyćmione światło, wielkie łóżce z szerokim zagłówkiem malowanym w cherubinki i girlandy kwiatów, cicha, ale zmysłowa muzyka i tych dwoje pięknych ludzi, nagich, o cudownej skórze, która w świetle lamp wydawała się aż brzoskwińowa. Lekko podeszła do łóżka i pocałowała Hugona. Paris leżała nieruchomo, jak skamieniała, choć palce mężczyzny nadal ją pieściły.

– Oboje jesteście tacy piękni – szepnęła gardłowo Olympe. – Nie chciałam wam przeszkadzać, tylko nagle poczułam się bardzo samotna... i skusił mnie obiecany kieliszek szampana.

Zsunęła pantofle i przycupnęła na łóżku u nóg Paris.

– Można? – wyjęła jej z ręki kieliszek, spoglądając jej w oczy z nieznacznym uśmiechem. – Nie sądzisz, że Hugo to najbardziej romantyczny mężczyzna na świecie? – szepnęła. – On po prostu wie, co czujesz, wie, czego pragniesz, słowa są mu niepotrzebne... jest takim wspaniałym kochankiem. Dobrze jest być kochaną przez kogoś, kto wie, jak to się robi.

Olympe odstawiała kieliszek, złożyła długi pocałunek na ustach Hugona i lekko musnęła dłonią jego brzuch. Paris poczuła, jak mężczyzna zaciska dłoń – pieści jej ciało, jednocześnie całując się z Olympe! Zafascynowana patrzyła, jak Olympe pochyla się nad Hugonem i smakuje jego ciało szybkimi ruchami różowego języczka. Hugo z uśmiechem popatrzył jej w oczy.

– Myślę, że Olympe mogłaby z nami zostać, prawda?

Paris poczuła niezwykły przypływ emocji – alkohol, trawka, adrenalina i erotyczna scena podnieciły ją jak jeszcze nigdy dotąd. Chciała, żeby Hugo robił to z nią i z Olympe, chciała się nim dzielić, chciała widzieć to, co robi on i co robi ta druga kobieta...

Olympe wyśliznęła się z białej sukni, położyła przy Paris i przesunęła dłonią wzdłuż jej ciała. Dziewczyna zadrżała i jęknęła, gdy delikatne palce modelki okrężnym ruchem przesunęły się po jej sutkach i powędrowały w dół, aż natrafiły na rękę Hugona, zaplątaną w trójkącie czarnych, sprężystych włosów. Paris przymknęła oczy w ekstazie, a potem otworzyła je, by popatrzeć na kochankę. Hugo leżał przy jej boku, a Olympe po drugiej stronie. Paris otoczyła oboje ramionami, podczas gdy Olympe wycisnęła na jej ustach pocałunek. Pragnęła, by ten pocałunek trwał bez końca.

Olympe uparcie krążyła po dzielnicy Marais swoim maleńkim Citroënem w poszukiwaniu ulicy de l'Abbaye i dziękowała Bogu, że nie dała się skusić na kupno

dużego samochodu. Była najgorszym kierowcą na świecie – fakt ten potwierdzał chór klaksonów, towarzyszący jej, gdy zmieniała po dwa pasy naraz, a potem zawracała na skrzyżowaniu i wlokła się w ślimaczym tempie jeszcze raz tą samą ulicą. Było już wpół do czwartej – a ona prawie od godziny szukała hotelu. Paris miała rację mówiąc, że Hotel de l'Abbaye jest „wciśnięty w kąt na tyłach Hal”. Rzeczywiście, był tak cholernie dobrze wciśnięty, że w ogóle nie można go było znaleźć.

Olympe niecierpliwie bębniła po kierownicy dłonią w eleganckiej rękawiczce, czekając, aż zmienią się światła. Zegar na wystawie jubilera wskazywał trzecią czterdzieści, a pokaz Paris zaczął się o trzeciej. Jeśli szybko nie znajdzie tego miejsca, to nie warto będzie w ogóle wchodzić. Cholera, przecież dla Paris nie poszła na rewię Mitsoko. Trudno, słowo się rzekło, a Paris jest taka kochana. Uśmiech rozjaśnił jej twarz na wspomnienie poprzedniej nocy. Było cudownie, Hugo potrafił wydobyć z każdej z nich to, co najlepsze. Boże, ci idioci znowu zaczynają trąbić. Wrzuciła pierwszy bieg i ostrożnie przejechała skrzyżowanie. Ten cholerny hotel musi być gdzieś blisko, trzeba się naprawdę pośpieszyć i wreszcie go znaleźć.

Znalazła go o czwartej i przez następne pięć minut usiłowała zaparkować samochód, ale w końcu zostawiła go z dwoma kołami na chodniku i dwoma na jezdni. Otuliła się sięgającym kostek futrem z lisa, by ochronić się przed dokuczliwym chłodem, i przebiegła przez jezdnię, ignorując ruch uliczny i gwizdy robotników z pobliskiej budowy. Dzięki Bogu, wreszcie dotarłam na miejsce, westchnęła, otwierając ozdobne szklane drzwi.

W korytarzu dźwięki Avalon w wykonaniu „Roxy Musie” mieszały się z zapachem lilii i dymu papierosowego. Uśmiechnęła się na myśl, że Paris gra jej melodię. Na połączonych krzeselkach siedzieli nieliczni widzowie – najprawdopodobniej znajomi i przyjaciele.

W pierwszym rzędzie kilka dziewcząt plotkowało popijając szampana. Olympe znała wszystkich redaktorów i przedsiębiorców z branży, od Rzymu po Nowy Jork, ale nie zauważyła na sali żadnego z nich. Doszła zatem do słusznego wniosku, że te dziewczęta to asystentki młodszych redaktorów z działów mody wielkich czasopism i dzienników, a może nawet sekretarki, które dostały zaproszenia na ten pokaz, bo ich szefowe miały ważniejsze sprawy – na przykład rewię Mitsoko i wydawane przez niego bajeczne przyjęcie na zakończenie wieczoru, tym razem zorganizowane w Wersalu. Olympe żałowała, że nie zdecydowała się tam pójść. Pokaz Paris był bez wątpienia zupełną pomyłką.

Gdy zamknęły się za nią drzwi, zjawił się ciemnowłosy młody człowiek w białym garniturze i z wymuszonym uśmiechem poprosił by zajęła miejsce.

Didi naturalnie ją rozpoznał i sam siebie pytał, co, u licha, robi tu sama Olympe Avallon.

– Czy napije się pani szampana? – spytał, gdy usiadła przy drzwiach, z uwagą wpatrując się w jasno oświetlony wybieg.

To nawet nie są modelki, stwierdziła, gdy na podium pojawiła się Naomi, a za nią pozostałe dziewczęta w zwiewnych szalach zarzuconych na szare suknie. Bez względu jednak na to, skąd się te małe wzięły – były fantastyczne. Tak samo jak sukienki. Cholera, szkoda że się spóźniła. Na wybieg wyszła Paris w szarostalowej, oszłamiającej sukni – naprawdę szalowej! Olympe fachowym okiem oceniła krój, styl zakietu, rewelacyjną falbanę przy rozcięciu spódnicy. Sama Paris też była piękna – idealnie wyglądała w swojej własnej kreacji.

Z tylnych rzędów błysnęły flesze. Olympe szybko się odwróciła, żeby sprawdzić, co się dzieje – na początku nie zauważyła żadnych fotografów.

Didi, żywo gestykulując, siłą wyprowadzał z pokazu trzech młodych mężczyzn. Oczywiście, dziennikarze z brukowych magazynów, którzy będą się rozpisywać o klęsce pokazu zorganizowanego przez córkę Jenny Haven. Olympe niespokojnie poruszyła się na krześle. Nie była wcale pewna, czy chce zostać na stypie.

Paris zeszła z estrady z płonącymi policzkami i ustami zaciśniętymi z wściekłości. Trzy śliczne tancerki, przebierające się właśnie w kolorowe sukienki, popatrzyły na nią niespokojnie. Naomi w ślubnej sukni minęła je płynnym krokiem, wychodząc na scenę w towarzystwie przystojnych modeli. Dziewczęta wsunęły stopki w szkarłatne pantofle na obcasie i wybiegły na scenę w ślad za „panną młodą”, tworząc dynamiczną feerię kolorów – dokładnie tak, jak uczyła je Paris.

Dziewczyna ściągnęła zakiet i spódnicę i rzuciła je na ziemię.

– Boże, Boże – powtarzała – gdzie popełniłam błąd? Co się stało? Dlaczego nikt nie przyszedł?

Wciągnęła czarny golf, dzinsy i długie buty. Już po wszystkim – to koniec. Przegrała – w dodatku nawet nie wie dlaczego!

Olympe wymknęła się z sali, mijając w drzwiach Didiera.

– Świetny pokaz – szepnęła mu do ucha – bajeczny... Powiedz Paris, że do niej zadzwonię wieczorem.

Didi patrzył, jak Olympe odchodzi w pośpiechu. Nie wiedział, dlaczego przyszła, ale była jedyną znaczącą osobistością, która się zjawiała – reszta to pieczeniarze, którzy chodzą tam, gdzie rozdaje się drinki za darmo. Właśnie, on też by się czegoś napił! Przy wtórze wątych brawek dziewczęta pozowały na wybiegu, uśmiechając się do nielicznej widowni. Już po wszystkim. Wskoczy teraz na chwilkę do baru Buenos Aires naprzeciwko, wypije szybką whisky, a potem będzie musiał stawić czoło Paris. Ma pięć minut, żeby obmyślić, co jej powie.

Olympe naprawdę chciała zadzwonić do Paris, ale okazało się, że nie ma na to czasu. Kiedy wróciła do domu, czekały na nią kwiaty – cała masa jaśminów

i wczesnych wiosennych kwiatów z Południa. I bilecik od Bendora. Wynajął willę na Barbadosie i planuje polecieć tam z kilkoma przyjaciółmi wyczarterowanym odrzutowcem. Bez niej wyprawa nie ma sensu. Czy zechciałaby do nich dołączyć?

Dobrze wiedzieć, że mam nad nim taką władzę, pomyślała Olympe wrzucając wakacyjne kreacje w zniszczoną torbę od Vuittona. Przecież tylko zasugerowała kolację w Julie's – a on złapał się na haczyk. Zrozumiał, że jest między nimi obszar, na który nie ma wstępu, i zorganizował dyskretnie wyjazd w towarzystwie. I bardzo dobrze, pomyślała, zamykając torbę, w której było ledwie kilka sukienek – zawsze można przecież coś dokupić, jeśli zajdzie taka potrzeba. W ten sposób będzie się mogła najlepiej zorientować, czy Bendor ma względem niej szlachetne zamiary. Miała nadzieję, że tak.

13.

Myra Kaufmann wydawała niedzielne śniadanie i trochę się niepokoiła, bo od rana chłodny wiatr gnał po niebie chmury. Miała nadzieję, że panowie skończą grać w tenisa, zanim się rozpada.

Na wielkim okrągłym stole w salonie stały półmiski z wołowiną, salami, żółtym i topionym serem, wędzonym łososiem i jesiotrem, z bagietkami, białymi bułeczkami i żytnim chlebem. Bill mieszał szampana z sokiem pomarańczowym – mówił na to „koktajl Mimoza” – a w ekspresie parkotała dobra mocna kawa. Na kredensie czekała gorąca jajecznica z łososiem i racuchy, a obok stał olbrzymi dzban klonowego syropu.

Szlag ich wszystkich trafi od tej ilości cholesterolu, pomyślała, oceniając wiek i kondycję zaproszonych gości. Wyobraźmy sobie tylko: ona, Myra Kaufmann, może własnoręcznie, dzięki niedzielnemu śniadanku, sprzątnąć z tego świata połowę ludzi liczących się w przemyśle rozrywkowym: producentów, szefów studia, prawników, agentów; przy życiu zostaliby jedynie autorzy scenariuszy i reżyserzy, bo Bill nie tolerował obecności „artystów” w niedzielne poranki. Twierdził, że ma ich dosyć przez cały tydzień.

Weszli Jessie i Stan Reubinowie. Frontowe drzwi były otwarte ze względu na gości, więc po całym przedpokoju hulał wiatr; trzeba je zamknąć albo tylko uchylić, żeby wchodzący nie dzwonili bez przerwy.

– Cześć, Jess, jak się masz?

Pocałowały się w policzek. Jessie była szczupła i jak zwykle bardzo elegancko ubrana. Pewnie w domu głodziła biednego Stana – dlatego tu zawsze tyle jadł. Zresztą wszyscy się obżerali na jej przyjęciach, włączając Billa. Pewnie tylko przy tej okazji żony pozwalały swoim mężczyznom na chwilę zapomnieć o diecie i przestawały uskarżać się, że przedwcześnie owdowieją i będą skazane na samotność w Palm Springs albo Palm Beach.

– Czuję się fantastycznie, Myra. W przyszłym miesiącu Stan zabiera mnie do Paryża, jak zwykle o tej porze roku. On lubi jedzenie, a ja zakupy, więc oboje jesteśmy zawsze zadowoleni z takich wyjazdów – w odróżnieniu od innych urlopów. Wiesz, że lubię spędzać wakacje na słońcu, najlepiej nad brzegiem basenu, naturalnie nie u siebie w domu. Stan tego nienawidzi. Robi się niespokojny i nerwowy, twierdzi, że w tych wczasowych miejscowościach nie można nawet dobrać porządných partnerów do kart.

– Doskonale cię rozumiem – odpowiedziała Myra, podając jej kieliszek z koktajlem. – Sama lubię Mauna Kea albo Kahala. Na Hawajach zawsze jest przyjemnie.

Jessie westchnęła.

– Może powinniśmy tam razem wyjechać i zostawić tę dwójkę tutaj, niech sobie sami radzą przez jakiś czas. Nie uważasz, że przydałaby im się taka nauczka?

Myra roześmiała się na myśl o Billu zdanym tylko na siebie.

– Nic z tego – powiedziała. – Ja wyjadę na dziesięć dni, a on przytyje pięć kilo. Jak tylko spuszczę go z oka, zaraz rozsiada się przed telewizorem, pije piwo, zajada orzeszki i prażoną kukurydzę i pali po dwie paczki dziennie. Jessie, ty też pilnuj Stana, zaczyna tyć. Próbowalaś już sera?

Stan napełnił talerz salami i serem, dołożył dla równowagi nieco ziemniaczanej sałatki oraz ostrej musztardy i słuchał wywodu Billa.

– Tak że chyba najlepiej będzie ugłaskać tego smarkacza. Obaj wiemy, co się dzieje, kiedy gwiazdorzy się ziryтую: cała praca idzie na marne, a studia nie chcą już o nich słyszeć. Rozmawiałem z Myronem, powiedział, że może zapłacić jeszcze maksimum pięćdziesiąt więcej za odcinek, to podwyższa stawkę do trzydziestu pięciu tysięcy, Stan, a to już są niezłe pieniądze. Zgodziłem się, ale napomknąłem jeszcze o jakichś wziętkach, wiesz, coś na osłodę, może nowy samochód, a może wypad za granicę? Myron mówi, że planują nakręcić coś niecoś za granicą – mają dobry trzyczęściowy scenariusz i każdy odcinek dzieje się gdzie indziej: w Nowym Jorku, w Londynie i na wyspach – pewnie na Barbadosie. Jest skłonny wziąć się za to w miarę szybko i zacząć od tych zagranicznych planów – żeby Rory mógł stąd się wyrwać. Wiesz, Stan, jeśli chłopak wyjedzie, będzie mógł porobić za gwiazdę w nowym otoczeniu, gdzie ludzie nie są tak przyzwyczajeni do aktorów – Bill podał Stanowi koktajl.

– Niezły pomysł – Stan skończył jeść salami i nabrał sobie jajecznicy z łososiem.
– A jak szybko Myron chce to zrobić?

– Wyjazd na Barbados ma być za parę tygodni, dopóki jest ładna pogoda. Potem Nowy Jork i Londyn.

– To dobrze. Urabiaj Rory'ego, Bill. Kontaktował się ze mną w sprawie zakupu tej dużej posiadłości w Benedict Canyon, ale powiedziałem mu, że na to jeszcze za wcześnie. Musi poczekać przynajmniej z rok, przekonać się, czy serial zostanie na ekranie, a potem będzie miał wszystko, czego dusza zapragnie. Naturalnie, w granicach rozsądku. I po opłaceniu moich honorariów, twojego procentu i podatków...

Jeszcze się zaśmiewali, gdy podeszły do nich żony.

– Chłopcy, dość tego – przerwała im Myra. – Powinniście porozmawiać także z innymi gośćmi, a nie tylko dyskutować o interesach.

– Przecież rozmawiamy – mruknął Stan i z zalem odwrócił się od racuchów i klonowego syropu. – Czy Jessie już ci mówiła, że w przyszłym miesiącu wybieramy

się do Paryża? Oczywiście wydam na nią fortunę, jak zwykle.

– Ona jest tego warta, Stan – odparła Myra lojalnie; w końcu żony muszą się trzymać razem w tym mieście. Za dużo tu młodych ślicznych podlotków, żeby móc pozwolić sobie na wojny. – Proszę państwa, kto ma chęć na tenisa? – niespokojnie popatrzyła w niebo, mając nadzieję, że pogoda jej nie zawiedzie.

14.

Marisa Paroli była stałą bywalczynią paryskich pokazów mody. Zawsze sadzano ją w jednym z pierwszych rzędów pozłacanych krzesłek, tak by była widoczna na zdjęciach, po pokazie zawsze obcałowywał ją osobiście Yves, Karl czy też Marc – a ona składała zamówienia u każdego z nich. W tym roku przyjechała ze swoją młodziutką kuzynką Renatą, co jeszcze przydało jej popularności, gdyż Renata od razu wydała krocie na nowe stroje. Dysponowała niezłą sumką, po raz pierwszy dano jej wolną rękę w takich zakupach – a poza tym była w towarzystwie Marisy, która miała dużą praktykę w traceniu fortuny na stroje. Bawiły się świetnie, nawet na rewii Mitsoko, chociaż zaprojektowane przez niego bezkształtne worki, wiszące jak włosienica na ponurych modelkach, wydały się im okropne – same szarości, czernie i ani krztyny innego koloru, by rozjaśnić ponury efekt. Marisa była zdegustowana – jej włoska dusza zupełnie nie mogła zrozumieć tego, że kobieta może chcieć ukryć swoją sylwetkę pod tymi bezkształtnymi ubiorami o surowych, przygnębiających barwach.

Właśnie jadły z Renatą śniadanie w swoim apartamencie w Bristolu, popijały poranną kawę i przeglądały gazety, szukając zdjęć z pokazu Mitsoko i ploteczek o przyjęciach, sławnych osobach i ciekawych wydarzeniach. Renata wypatrzyła wzmiankę o Paris Haven – króciutki akapit na szarym końcu kolumny.

– To musi być siostra tej Indii Fabrizia! – wykrzyknęła.

– A o co chodzi? – Marisa wzięła gazetę i przeczytała krótki „nekrolog” opisujący nieudany pokaz.

Autorem był felietonista znany z niesłychanej złośliwości i zamiłowania do skandali:

Hollywood próbowało pokonać mistrzów haute couture, gdy Paris Haven – córka niedawno zmarłej, słynącej z szalonych wyskoków Jenny Haven – zaprezentowała wczoraj swoją kolekcję w Hotel de l'Abbaye, gdzieś z dala od centrum, ale dokładnie tego samego dnia i o tej samej porze co nasz niezrównany Mitsoko. Biedna Paris, jej kolekcja, z braku widzów i aplauzu, przepadła ze szczerem, jak kamień rzucony w wody Sekwany. Mamuśka powinna była ją nauczyć, że nie należy porywać się na gigantów, nie sprawdzwszy wpierw terminów... a młoda dama mogłaby zainwestować troszkę więcej mamusinej fortuny w lepszego szampana i lepszy hotel...

Ze zdjęcia poniżej idąca po wybiegu Paris mierzyła widzów wyniosłym spojrzeniem.

Renata nie grzeszyła pięknnością, ale w miarę dorastania stawała się tak atrakcyjna, jak tylko można to było osiągnąć z pomocą rodzinnej fortuny. W wieku

trzynastu lat zrobiono jej uroczy nowy nosek w miejsce rodzinnego długiego nocha, od kiedy skończyła czternaście była na ostrej diecie, ze względu na rodzinne skłonności do tycia, a troskliwa opieka najlepszych fryzjerów i wizażystów uczyniła z niej jedną z najbardziej zadbanych i eleganckich młodych dam we Włoszech. Kosztowało to wiele pracy. Teraz wpatrywała się z napięciem w fotografię Paris.

– Jest rzeczywiście piękna – stwierdziła. Renata była miłą dziewczyną, a jej szczerść czasami denerwowała Marisę.

– Chyba tak – wzruszyła ramionami. – W każdym razie jest lepsza niż siostra.

Dlaczego Marisa musi być taka wredna?, pomyślała Renata. Zawsze się kogoś czepiała, a do niej nikt nie potrafił się przyczepić.

– Niż India? Mariso, India jest przecież bardzo atrakcyjna. Nieraz zastanawiałam się, dlaczego pozwalasz jej być tak blisko z Fabriziem... To znaczy, nigdy nie wydawało ci się, ani trochę, że ona może się mu podobać?

– Fabrizio z Indią? Renato, kochanie, nie bądź śmieszna. Gdybyśmy rozmawiali o Lucianie albo o Grazielli... Fabrizio zna przecież tyle atrakcyjnych, wyrobionych kobiet. Co, u licha, mógłby widzieć w Indii Haven?

– Jest młoda, w moim wieku, prawda? – Renata spostrzegła lodowaty wyraz twarzy Marisy na wzmiankę o wieku i pośpiesznie dodała: – Wiesz, te młode Amerykanki są tak energiczne i pełne życia. Nie wyobrażam sobie, żeby India potrafiła objąć się tak jak ja, w nadziei że coś się wreszcie wydarzy. I musisz przyznać, że ona ma bardzo seksowną sylwetkę, popatrz na nią z punktu widzenia mężczyzny, a nie pod kątem mody.

– Głupstwa opowiadasz, Renato. Fabrizio nawet w najmniejszym stopniu się nią nie interesuje jako kobietą. Mówi, że dobrze pracuje i ma talent, oczywiście, jeśli do takiej pracy potrzebny jest talent. Poza tym Indii wyraźnie wpadł w oko Aldo Montefiore. Naturalnie położyłam temu kres, ze względu na ciebie! Nie, jestem przekonana, że się mylisz.

Renata chytrze popatrzyła na starszą kuzynkę. Marisa była niegłupia, ale nazbyt się koncentrowała na sobie i swoim wyglądzie. Nie zwracała uwagi na osoby spoza swojego środowiska – ale jej mąż był inny. Fabrizio Paroli, pociągający neapolitańczyk z temperamentem, własnym wysiłkiem dochrapał się wysokiej pozycji społecznej. India Haven reprezentowała dokładnie typ dziewczyny, która byłaby w stanie rozbić to małżeństwo. Co za frajda wytrącić Marisę ze stanu samozadowolenia.

– A więc Fabrizio jest ci całkowicie wierny, tak, Mariso? – Renata uśmiechała się przekornie.

– Oczywiście, że tak! Co ci znowu tym razem przyszło do głowy?

– No, bo jeśli tak, to on jest jedynym znanym mi mężem, który rzeczywiście

dochowuje wierności.

– Renato, ty w ogóle nie wiesz, o czym mówisz. Kiedy już uda mi się wreszcie doprowadzić do twojego ślubu z Aldo Montefiore, to wszystko zrozumiesz. Kobiety wiedzą, kiedy mężowie są im wierni, uwierz mi – w głosie Marisy dźwięczała pewność siebie, ale nie patrzyła kuzynce w oczy, tylko znowu zabrała się za przeglądanie gazet.

Renata z uśmiechem popijała kawę. Ciekawe, czy udało jej się zachwiać przekonaniem kuzynki, że świat istnieje tylko dla jej przyjemności. Dziewczyna nie miała pojęcia, czy między Indią a Fabriziem coś jest, ale to bez znaczenia – nareszcie udało jej się poruszyć tę cholerną Marisę, zasiał ziarno podejżenia! Z przyjemnością popatrzy, co kuzynka teraz z tym robi.

Swoje luksusowe biuro Mario Tomasetti, prywatny detektyw, stworzył dzięki namiętnościom, cudzym, grzesznym namiętnościom. Mario kochał ostentacyjny luksus – szare dywany, w których nogi zapadały się aż po kostki, kryształowe żyrandole, niskie i głębokie krzesła obite szkarłatną skórą... i swój własny olbrzymi fotel kryty ciemnozielonym zamszem. Te kolory są jak światła uliczne, mówił zawsze klientom. Czerwone, czyli stop, jest dla was, a zielone, czyli naprzód – dla mnie.

Jego ulubionym meblem było niezwykle biurko – trzynastowieczny stół przeznaczony do poboru dziesięciny, ze skrytką na jednym końcu. Do tej skrytki dzierżawcy wrzucali niegdyś pieniądze należne dziedzicowi. Mario patrzył z nieodmienną satysfakcją, jak klienci wsuwają do niej czeki – opiewające zawsze na poważne kwoty i zawsze płatne z góry – które później wyjmowała sekretarka.

Dyskrecja była jego cechą zawodową, jeżeli nie osobistą, a wszystkie te luksusy miały mówić klientom, że usługi Maria Tomasettiego bynajmniej nie są tanie. Mimo to przychodziło do niego więcej klientów, niż mógł ich obsłużyć ze swoim trzydziestoosobowym zespołem. Taak, namiętność to złotodajna żyła, myślał, obserwując zaciśnięte usta Marisy Paroli – ale tylko wtedy, gdy ktoś potrafi z niej czerpać.

– Jej fotografia – powiedziała Marisa, kładąc zdjęcie ostrożnie na blacie – i fotografia mojego męża.

Mario zatrzymał na chwilę wzrok na zdjęciach, ale nie zdradził nawet najmniejszym gestem, że chce je wziąć do ręki. Marisa popatrzyła na detektywa niepewnie. Czy nie powinien się im dobrze przyjrzeć? I zacząć zadawać pytania?

– Jeśli potrzebne są panu powiększenia – zaczęła – albo nazwy ulubionych restauracji...

Mario uniósł do góry tłustą dłoń ozdobioną oryginalnym sygnetem z herbem wyciętym w granatowym kamieniu.

– Ani słowa więcej, signora, mamy adres biura pana Parolego i adres panny

Haven. Nie trzeba niczego więcej. Ach... a może jednak... Pani nazwisko rodowe, signora?

– Moje nazwisko rodowe? – powtórzyła, zaskoczona.

– Tak... potrzebne jest nam do akt. To jedynie formalność.

– Russardi – odparła i wyjęła książeczkę czekową.

– Ci z Mediolanu i Turynu? – uśmiech Maria był pełen autentycznej sympatii.

– Tak – Marisa wypisała czek i chciała mu go podać przez stół.

– Proszę go wsunąć w ten otwór. Nawet nie dotykam pieniędzy, a ten stary stół mi to umożliwia. Wolę myśleć o sobie jako o przyjacielu, który ofiarowuje pomoc w trudnej sytuacji.

Ale przyjaciel! – Marisę przeszedł dreszcz, gdy Mario prowadził ją do drzwi. – Niech Bóg broni od takich.

Mario zatonął w zielonym fotelu, położył łokcie na oparciach i zetknął palce obu dłoni. Russardi, tak? To może być niezła klientka. Mario chętnie myślał o sobie jako o tajnym agencie, takim Jamesie Bondzie uwikłanym w małżeńskie gry wojenne. Starał się nawet odpowiednio ubierać, choć niestety był za niski. Nosił rzucające się w oczy jedwabne garnitury, buty z brązowej cieniowanej skóry i drogie, szyte na miarę koszule – może tylko nieco zbyt ostentacyjnie wystawiał na pokaz nieskazitelne mankiety. Był przekonany, że ubiera się o niebo lepiej niż Bond i w odróżnieniu od niego nie miał nic przeciwko prowadzeniu podwójnej gry tam, gdzie jego zdaniem było to obustronnie zyskowne. A małżeństwo Paroli – Russardi było potencjalnie bardzo zyskowne.

Mario nie wahał się ani chwili – podniósł słuchawkę, połączył się z Fabriziem Parolim i oświadczył, że znalazł się w posiadaniu informacji od jego żony, która być może okaże się interesująca. Na spotkaniu, które odbyło się tego samego dnia, bez najmniejszych skrupułów wyjawiał, że Marisa zleciła mu wybadanie, jakie stosunki łączą Fabrizia z panną Indią Haven – oczywiście powiedział to dopiero w momencie, gdy w wyslizgany od ciągłego używania otwór skrytki w starym stole wpadła bardzo wysoka sumka.

Jest taka rzecz, która bez trudu potrafi ochłodzić męskie żądze: pieniądź, pomyślała India. A raczej rozstanie z dużą kwotą. Fabrizio nie był bynajmniej skąpy – wręcz przeciwnie. Płacił jej świetną pensję, kupował kosztowne prezenty – wprawdzie głównie bardzo osobistą bieliznę i perfumy – ale dostała od niego także ten cudowny dywan, który teraz pokrywał podłogę w jej mieszkaniu, krzesła i kanapy z salonu wystawowego, parę skrzynek dobrego wina. Może po prostu nie potrafił dawać praktycznych prezentów, niby dlaczego kochanek ma być praktyczny? India nie potrafiła znaleźć na to odpowiedzi, więc usiadła wygodniej na krzesło i w zamyśleniu patrzyła przed siebie.

Nadszedł czas, by podsumować swoje życie. Od tego katastrofального weekendu na wsi romans z Fabriziem tracił z dnia na dzień na uroku. Fabrizio dobrze ocenił sytuację: ukrycie skandalu i ich nazwisk przed prasą kosztowało go masę pieniędzy. Musiał zapłacić potężną łapówkę sierżantowi i przekazać sporą sumę na fundusz opieki nad wdowami i sierotami po miejscowych carabinieri. A do tego doszedł jeszcze ten oślisły prywatny detektyw nasłany na nich przez Marisę. W pewnym sensie było to zabawne, pomyślała z gorzkim uśmiechem: ten człowiek powiedział, że Marisa zapłaciła mu za to, by miał ich oboje na oku, i że zamierza dokładnie wykonać jej polecenie. Pod koniec tygodnia przekaze Marisie szczegółowe informacje na ich temat; natomiast im daje szansę zachowywania się w sposób nie budzący żadnych podejrzeń. W końcu, jaki mężczyzna nie ma maleńkich romansów na boku – dodał detektyw – co w niczym nie osłabia jego miłości do żony i rodziny. Najdziwniejsze ze wszystkiego było to, że India w zupełności zgodziła się z tym punktem widzenia, kiedy Fabrizio powtórzył jej tamtą rozmowę.

Z irytacją tupnęła bosą stopą w dywan, bo jakoś nie mogła się na nic zdecydować. Jest rzeczą oczywistą, że jeśli coś nie może posuwać się do przodu, to staje w miejscu – a jej romans z Fabriziem właśnie stanął w miejscu. Fabrizio zaproponował, żeby sobie trochę odpuścili i przez jakiś czas (naturalnie!) zachowywali większą dyskrecję. Niech to szlag! Tu właśnie tkwiło sedno problemu: dyskrecja nie leżała w jej naturze. Kiedy była zakochana, nie starała się ukrywać swoich uczuć, a od ukochanego oczekiwała, że przedstawi ją znajomym, poda ramię przy wejściu do restauracji, a na przyjęciach będą występować jako para. Po prostu nie nadawała się do roli „tej drugiej”. Żałowała tylko, że mu tego nie powiedziała. Bóg świadkiem, że myślała w ten sposób od tygodni. Ostry świergot telefonu rozległ się w całym mieszkaniu, wyrywając ją z zamyślenia.

– Halo? – rzuciła do słuchawki.

– India? Wszystko w porządku? – dzwonił Fabrizio.

– W porządku, trochę się martwię, i tyle.

– Indio – powiedział kojącym tonem – nie chcę, żebyś się martwiła. Dlatego właśnie dzwonię. Zastanawiałem się, jak by tu nam obojgu ułatwić życie przez kilka następnych tygodni, i przypomniałem sobie to zamówienie rodziny Montefiore. Idealna okazja, żebyś na trochę wyrwała się z miasta.

– Z miasta? Fabrizio, ja nie zamierzam uciekać tylko dlatego, że Marisa...

– Nie, nie chodzi o ucieczkę. Nie rozumiesz, co ci chcę powiedzieć, kochanie. Posłuchaj mnie spokojnie przez chwilę: ich rodzina chce przebudować część pałacu i urządzić tam hotel dla bogatych amerykańskich turystów. A kto lepiej od ciebie zna potrzeby Amerykanów? Montefiore chcą zachować tyle dawnego stylu, ile się da, jednocześnie zapewniając wszystkie nowoczesne udogodnienia. Niestety, muszą

sprzedać część obrazów i mebli, żeby zapłacić za renowację. Z twoją znajomością rynku sztuki, Indio, jesteś idealną kandydatką. Będiesz umiała doradzić im, co mają sprzedać i za jaką cenę. Dowiesz się, o jakie przeróbki im chodzi, zrobisz wizję lokalną i przedstawiś mi raport. Chcę wiedzieć, co twoim zdaniem koniecznie należy przebudować, i chcę mieć rysunki techniczne tych propozycji. No i co o tym myślisz, carie? Dasz sobie radę?

– Czy dam sobie radę? – India aż piała z emocji. – Fabrizio, jesteś cudowny! Oczywiście, że sobie poradzę, marzyłam o takiej pracy!

– To dobrze, cara, to dobrze. W takim razie spotkamy się rano w biurze i porozmawiamy szczegółowo o tym projekcie. Zaplanuj wyjazd zaraz potem, Indio. Będiesz mieszkać w Palazzo Montefiore. Myślę, że ich polubisz.

Skąd ja znam to nazwisko? pomyślała India.

– Czy to rodzina Aida Montefiore? – spytała.

– A tak. Znasz ich?

India uśmiechnęła się na wspomnienie zdumienia malującego się na przystojnej twarzy Aida.

– Kiedyś spotkałam kogoś z nich, ale już jakiś czas temu.

– To dobrze – odparł Fabrizio, zadowolony, że jego plan znalazł uznanie. – Czyli do zobaczenia jutro, cara. Muszę kończyć. Ciao.

Gwałtownie przerwał rozmowę, gdy ona jeszcze trzymała słuchawkę przy uchu. Odłożyła ją z westchnieniem, domyślając się, że do pokoju pewnie weszła Marisa. To się już nieraz zdarzało. Ale na tym koniec, pomyślała z nagłym przyływem optymizmu. Nigdy więcej. Fabrizio właśnie zwrócił jej wolność; miała przed sobą poważne zadanie i pierwszą szansę zrobienia czegoś samodzielnie. To wielkie, fascynujące wyzwanie. To jest to, mówiła, tańcząc z radości. Od dzisiaj koncentruję się na karierze zawodowej. Od dzisiaj jestem Miss India Haven, specjalistka od wystroju wnętrz pracująca nad przekształceniem Palazzo Montefiore w luksusowy hotel.

Popędziła do sypialni i wyciągnęła ze schowka walizkę. Ile czasu ma tam spędzić? Parę tygodni? Miesiąc? Może dwa? Nie miała czasu spytać o to Fabrizia, ale zakład, że to będzie co najmniej miesiąc. Ciekawe, czy Aldo Montefiore będzie w pałacu. Zaraz, minutkę, on zdaje się zamierza żenić się z pieniędzmi, prawda? Marisa przestrzegła, że rezerwuje go dla swojej kuzynki Renaty. No i dobrze, odpuszczamy go sobie. Zdecydowanie nie miała zamiaru przestać być kochanką Fabrizia tylko po to, by grać tę samą rolę u boku kogoś innego. Nie, zajmie się teraz pracą zawodową, koniec z seksownymi czarnymi koszulkami nocnymi i z randkami. Z tym postanowieniem spakowała tylko zwykłe fatałaszki nadające się do wyjazdu na wieś: spódnice, dzinsy, swetry, kilka eleganckich sukienek na wieczór, garsonkę do

pracy, jedwabne bluzki. A na wypadek, gdyby życie chciało przetestować jej stanowczość, wzięła ze sobą tylko najzwyczajszą bawełnianą bieliznę. Nie można przecież uwodzić dziewczyny, która ma na sobie majteczki z wizerunkiem psa Snoopiego, pomyślała z kwaśnym uśmiechem i zamknęła walizkę.

15.

Idylliczna willa wznosiła się nad piaszczystą różowawą plażą St. James, położoną w najelegantszej części wyspy. Rano Olympe lubiła przesiadywać nad brzegiem owalnego basenu, skąd widziała po prawej plażę należącą do ekskluzywnego hotelu, a po lewej willowe osiedle. Bendor wybrał idealne miejsce. Ich willa była najdroższa ze wszystkich, ale znajdowała się w centrum życia towarzyskiego. Trzeba było tylko podejść nad sam brzeg albo pozwolić się kołysać jedwabistym błękitnym falam tuż przy plaży, a zaraz spotykało się jakiegoś znajomego, znajomego znajomych lub po prostu kogoś bardzo miłego.

Odgłosy rozmowy i dźwięki gregoriańskiego chorału z taśmy oznaczały, że reszta towarzystwa już wstała. Bendor uwielbiał ten typ muzyki i słuchał jej bez przerwy, choć wszystkich innych te mnisie pienia doprowadzały do szału – szczególnie z rana. Olympe przeciągnęła się leniwie i narzuciła na siebie białą męską koszulę, która zastępowała jej zwykle strój plażowy, po czym spacerkiem wróciła do ogrodu i na werandę. Gości było dwanaścioro – sześć pań i sześciu panów. Dziewczęta miały najwyżej około trzydziestki i były albo bardzo atrakcyjne, albo wręcz piękne. Panowie zaś – starsi, zadbani, niektórzy przystojni, a wszyscy bardzo bogaci. Przyjaciele Bendora musieli być bogaci – taką miał zasadę. Sam nigdy nie był biedny, więc biedacy wydawali mu się nie tyle nieszczęśliwi, co nudni.

Szybko wychylano szklanice chłodzonego soku pomarańczowego i filiżanki mocnej kawy, raczono się świeżymi owocami – papają, mango i melonem. Doskonałe śniadanie.

Olympe zmarszczyła brwi, całując Bendora. Stała przed nim puszka piwa – pierwsza tego dnia; chyba jest od tego uzależniony. Wciągnęła powietrze nosem. Jeśli Bendor okaże się piwoszem, to koniec z nimi. Czy picie piwa to przypadkiem nie jest niemiecki zwyczaj? Zresztą, może to tylko wakacyjny relaks, ale nie bardzo jej się to podobało, o, nie.

Nie zwracając uwagi na rozmowy toczące się wokół, Olympe popijała sok i obserwowała olbrzymi jacht wpływający powoli do zatoki Carlisle. Widziała go już kilka razy i niezmiernie jej się podobał.

– Beny, co to za jacht?

– Wygląda jak „Fiesta”, niewiele jest już takich dużych jednostek – Bendor wziął lornetkę i popatrzył na rufę. – Tak, to rzeczywiście „Fiesta”. Fitz McBain zwykle pływa zimą po tych wodach.

Olympe nastawiła uszu.

– Fitz McBain? – Zabrała lornetkę Bendorowi i dokładnie obejrzała statek. – Piękny, naprawdę piękny – szepnęła. – Bardzo, bardzo ładny. Beny, czy on jest może

na pokładzie?

– Mogę się dowiedzieć, jeśli chcesz. A dlaczego?

– Moglibyśmy dziś wydać małe przyjęcie i zaprosić sąsiadów, wszystkich z Sandy Lane i Glitter Bay. Trzeba im się zrewanżować. Fitz McBain pewnie też ma paru gości, zaprosimy wszystkich! Możemy urządzić sobie barbecue nad basenem, nic zobowiązującego. I co wy na to, robimy dziś wieczorem przyjęcie?

Bendor uśmiechnął się przyzwalająco, a reszta gości zaczęła wiwatować. Za takie radosne spojrzenie zrobiłby dla niej wszystko.

Fitz siedział za sterami małego odrzutowca, a Morgan zajmował fotel obok. Mimo złości na ojca podziwiał spokojną precyzję, z jaką ten sprowadzał samolot do lądowania na jednym z pasów zatłoczonego lotniska w Miami. Już jako dziecko przekonał się, że Fitz potrafi wszystko – od nurkowania na głębinię po pilotowanie samolotu. Nie miał pojęcia, jak, u diabła, ojciec znalazł czas, żeby się tego wszystkiego nauczyć. Fitz po prostu taki był: każdy wolny dzień wykorzystywał na naukę. Jego głód wiedzy wykraczał daleko poza tematykę potrzebną do prowadzenia interesów – zresztą negocjowania nie musiał się uczyć, miał je i tak we krwi. „To z winy moich braków w wykształceniu”, powiedział tłumacząc się z jakiegoś błędu, a Morgan do tej pory pamięta, jak bardzo go te słowa zdziwiły: Fitz nigdy nie sprawiał wrażenia niewykształconego. A jednak była to prawda: jego kontakt z systemem edukacyjnym był nie tylko krótki, lecz także bardzo pobieżny. Morgan zdawał sobie sprawę, do jakiego stopnia to ojca gnębi. Fitz stawiał sam sobie różne samokształceniowe zadania; zawsze bardzo dużo czytał, a w wieku trzydziestu lat narzucił sobie żelazną dyscyplinę i znalazł czas na naukę trzech języków, by móc nawiązywać lepszy kontakt z kontrahentami i obywać się bez pomocy tłumacza. „Wiadomo, że jeśli ktoś dokładnie nie rozumie tego, o czym jest mowa, to wiele szczegółów negocjacji może ująć jego uwagi – powiedział Morganowi, kiedy ten zżymał się na dodatkowe lekcje niemieckiego, hiszpańskiego i francuskiego, które Fitz organizował mu w wakacje. – A te szczegóły mogą cię później kosztować duże pieniądze, a nawet zerwanie negocjacji.”

Mimo braku formalnego wykształcenia Fitz był człowiekiem kulturalnym i autentycznie interesował się wieloma dziedzinami sztuki. Nigdy nie szedł do teatru tylko dlatego, że grano akurat modne przedstawienie; oglądał to, co wzbudzało jego ciekawość. Lubił opery Mozarta, balet, a malarstwo było jego pasją. Miał to szczęście, że mógł kupić sobie wszystko, co mu się podobało, ale korzystali z tego i inni: amerykańskie muzea znały go jako szczodrego opiekuna, fundował też anonimowe stypendia dla młodych, utalentowanych malarzy i rzeźbiarzy na dorobku.

Niełatwo jest doskoczyć do poziomu tego faceta, pomyślał Morgan, odpinając pasy.

Fitz nie był w stanie się zrelaksować nawet na pokładzie „Fiesty”. Prawie cały dzień zszedł mu na rozmowach telefonicznych z Nowym Jorkiem i różnymi południowoamerykańskimi krajami. Raymunda opalała się samotnie i z ponurą miną, a ponura Raymunda zdecydowanie nie była osobą, której towarzystwa Morgan pragnął. Pojechał więc do Bridgetown kupić powitalny prezent dla Venetii; miała przyjechać tego wieczoru. Kiedy wrócił, ojciec oświadczył, że wysyła go do Rio de Janeiro natychmiast, a nie za tydzień, jak poprzednio planowali. Rozumiał niezadowolenie syna, który wykroił kilka wolnych dni ze swego napiętego harmonogramu podróży i chciał je spędzić z Venetią, ale był nieugięty. Sam by pojechał, ale jego obecność może spowodować, że partnerzy zorientują się, jak bardzo zależy mu na tej rafinerii. Natomiast jeśli wyśle Morgana w roli swojego przedstawiciela, negocjacje zejdą na nieco niższy poziom, który jednak w dalszym ciągu będzie sugerował, że Fitz przywiązuje do nich dużą wagę. Poza tym, Morgan spojrzy może na kontrakt innym okiem i impas w rozmowach zostanie przerwany. Młody człowiek upierał się, że to nie są żadne argumenty, ale w głębi serca wiedział, że ojciec ma rację – jak zwykle.

W Miami było parno i wilgotno. Gdy szli do odprawy paszportowej, Morgan tęsknie pomyślał o Barbadosie. Do odlotu zostało ledwie piętnaście minut.

– Pamiętaj, masz dziś wieczór odebrać z lotniska Venetię – zawołał, idąc w stronę celników. – Powiedz jej, że zadzwonię.

– Nie martw się, zaopiekuję się nią. Morgan, poczekaj no... – syn odwrócił się i popatrzył pytająco – ...dziękuję.

Ojciec i syn uśmiechnęli się do siebie po przyjacielsku.

– Nie ma za co.

Fitz odwrócił się. Poczł nagłe zmęczenie i z przyjemnością pomyślał, że spędzi spokojny wieczór na pokładzie „Fiesty”, zje niewyszukaną kolację i posłucha sobie Mozarta. Zamelduje się zaraz w kontroli lotów i wraca na statek. Miał nadzieję, że Raymunda przestała się dąsać.

Raymunda mruzczała pod nosem melodię bez słów, przeglądając zawartość wielkiej szafy zajmującej całą ścianę kajuty. Trzymała w niej wszystkie stroje kupione specjalnie na ten wyjazd – większość była jeszcze nie noszona. Podśpiewywała sobie z radości, a powodem do niej było wieczorne przyjęcie, na którym wreszcie zaprezentuje którąś ze swoich nowych kreacji. Księżę Bendor Grünewald zrobił jej ogromną, uroczą niespodziankę swoim zaproszeniem na nieformalne barbecue w willi Ozyrys. Właśnie tego potrzebowała, by się rozerwać. Siedzieli z Fitzem na tym jachcie od czterech dni i ani razu nie zeszli z pokładu – nie zabrał jej nawet na kolację do jednej z tych ślicznych restauracji albo do dobrego hotelu, gdzie na pewno byli jacyś znajomi, którzy – co do tego nie miała wątpliwości

– bawili się dużo lepiej niż ona. Wiedziała, że Fitz chce wypocząć, ale ona się nudziła. „Po co mieć taki olbrzymi jacht, jeśli się na niego nie zaprasza tłumu gości? – wykrzyzczała mu w twarz trzeciego wieczoru. – Powinniśmy wydawać przyjęcia, kolacje, koktajle, cokolwiek”!

I co jej na to odpowiedział? „Czasem przestrzeń zaspokaja potrzebę samotności.”

A ona wcale nie życzyła sobie samotności – pragnęła towarzystwa.

Raymunda narzuciła żółtopomarańczową jedwabną suknię wyciągniętą z przepelnionej szafy i przejrzała się w lustrze. Tak, teraz doskonale. Suknia była wiązana na jednym ramieniu i rozcięta aż do uda – trochę jak toga. Wyspiarski szczyt elegancji. Uczestniczyła już w niejednym takim „nieformalnym” przyjęciu i wiedziała, że należy się ubrać z wyszukaną elegancją, ale nie sztywno.

Włosy do góry czy rozpuszczone? Może rozpuszczone. A biżuteria? Bransoleta z kilku sznurów naturalnych pereł i takie same kolczyki? A może po prostu kwiat we włosach? Tak, świetnie, żadnych kolczyków. Zadzwoni do głównego stewarda Mastersa i każe mu kupić orchideę – a może lilię albo gardenię?

Spojrzała na zegarek: była już dziewiąta. Gdzie się ten Fitz, u diabła, podziewa? Zaproszenie było właśnie na dziewiątą. Naturalnie na myśl by jej nawet nie przyszło, żeby wybrać się na przyjęcie przed wpół do jedenastej, ale i tak wolałaby, by się pospieszył. Szczotkując włosy wyobrażała sobie, jak to wkroczy na przyjęcie wsparta na ramieniu Fitz'a McBaina i wszystkie kobiety będą jej zazdrościć. A później, pomyślała z satysfakcją, należałoby zrewanżować się za gościnność – i ona wyda przyjęcie na „Fieście”. Dzięki temu zdobędzie pozycję społeczną; nikt nie ośmieli się odrzucić jej zaproszenia.

Fitz wylądował na lotnisku Grantley Adams i kołował w stronę hangarów. Akurat zdąży przed przylotem Venetii Haven z Londynu, chociaż kontrola w Miami mówiła, że mają tam jakieś opóźnienia spowodowane mgłą w Europie. Miał nadzieję, że nie będzie musiał zbyt długo czekać; chciał jak najszybciej odetchnąć ciszą i spokojem na jachcie. Zdarzały się takie chwile, kiedy najbardziej ze wszystkiego lubił tam właśnie nocną ciszę, gdy nie było słycać żadnego dźwięku poza szumem fal. Czasem, kiedy nie mógł spać, chodził boso po pokładzie, wdychał świeży zapach morskiej bryzy i słuchał morza.

Małeńkie lotnisko na Barbadosie było wyjątkowo zatłoczone. Lądowały samoloty z St. Vincent, Trynidadu i z północnych wysp, ale lot z Londynu miał w dalszym ciągu opóźnienie – według urzędnika z informacji co najmniej trzygodzinne ze względu na silne, niesprzyjające wiatry.

Wygląda na to, że dziś czeka go długi wieczór. Nie może przysłać po Venetię Mastersa – obiecał Morganowi, że odbierze ją osobiście. Ale kolację chętnie by zjadł.

Raymunda czekała na niego i wyglądała wyjątkowo pięknie. Zrobiło mu się miło:

widocznie przeszła jej depresja i zniechęcenie i zadbała o swój wygląd. Była rzeczywiście prześliczna.

– Podoba mi się ta sukienka – powiedział, całując ją delikatnie – ładny kolor, przypomina słońce na wyspach.

Raymunda przeszła przed nim jak modelka i obróciła się powoli, wygładzając suknię na biodrach.

– Naprawdę ci się podoba? – spytała z kuszącym uśmiechem.

– Bardzo – Fitz objął ją i poszli do salonu. – Przepraszam, że byłem dziś taki zajęty, ale wyniknęła pewna sprawa, którą musiałem natychmiast rozwiązać. Boże, jaki jestem zmęczony.

– Po prysznicu poczujesz się lepiej – powiedziała kojącym tonem. – Przyniosę ci drinka, burbona z wodą i dwiema kostkami lodu, tak jak lubisz.

Fitz popatrzył na Raymundę z nie ukrywanym zdumieniem. Co się z nią dzieje? Dlaczego tak nagle zmieniła taktykę? Bo to musi być jakaś taktyka, za dobrze ją znał, żeby w to wątpić. W zasadzie, pomyślał, namydlając się pod prysznicem, łączące ich stosunki najbardziej przypominają pole walki. Ona zbiera siły i stosuje różne taktyki przeciwko niemu, a on ma swoją nieugiętą technikę obronną: pracę, i swoją piętę achillesową – potrzebę bliskości ładnej kobiety, potrzebę nie ograniczającą się do samego seksu. Oczywiście, seks był niezbędny, ale Fitz po prostu lubił kobiety, ich towarzystwo sprawiało mu przyjemność. Może damskie kaprysy, zalotność i zapach perfum tworzą niezbędną przeciwwagę dla surowej rzeczywistości świata interesów? Trudno powiedzieć, wiedział natomiast jedno: nigdy żadna kobieta nie stanie między nim a jego prawdziwym światem. Był tego zupełnie pewien.

Gdy wyszedł spod prysznicza, ociekając kropelkami wody, Raymunda podała mu drinka.

– Pozwól, że ja cię wytrę – osuszyła jego plecy dużym białym ręcznikiem. – No, teraz chyba ci lepiej.

– Mniej więcej o pięćdziesiąt procent – przyznał. – Do szczęścia potrzebna mi jeszcze kolacja.

– Kolacja? Fitz, chyba zapomniałeś, że nie mamy kucharza.

– Rzeczywiście, zapomniałem. Ale zjadłbym kanapkę. A może wolisz omlet? Całkiem nieźle mi wychodzą. W lodówce powinien być wędzony łosoś i coś tam jeszcze. Sami musimy sobie radzić aż do przyjazdu naszej nowej kucharki.

– Wcale nie musimy – uśmiechnęła się Raymunda. – Fitz, udało mi się zorganizować coś innego... idziemy na przyjęcie.

– Chryste! Co za przyjęcie?

Fitz stał nago ze szklanką burbona w ręce i patrzył na nią rozwścieczony.

– Złożył nam dzisiaj wizytę książę Bendor Grünewald, mieszka w willi Ozyrys.

Zaprosił nas dziś na barbecue. Kochanie, to zupełnie nieformalne przyjęcie – uspokajała, widząc jego zdenerwowanie.

– Zupełnie nieformalne – powtórzył, obrzucając wymownym spojrzeniem jej elegancką jedwabną suknię. – Raymundo, do diabła, jestem kompletnie skonany. Poleciałem do Miami, przed chwilą wróciłem, a w dodatku przez cały dzień załatwiałem różne sprawy przez telefon. Całe to przyjęcie i banda obcych ludzi, z którymi trzeba będzie rozmawiać, są mi potrzebne jak dziura w moście.

– Do diabła z tobą, McBain – wściekła się Raymunda – cztery dni już tkwię na tej cholernej łodzi, przez ten czas nie widziałam żywego ducha i dostaję szału z nudów. Ty cały czas gdzieś telefonujesz... nie można nawet zjeść kolacji, bo nie przyjechała kucharka!

– A ty oczywiście nie jesteś w stanie ukroić paru kromek chleba, wyjąć łososia z lodówki, zrobić jakiejś sałatki i otworzyć butelki wina?

Kusiło go, żeby jej powiedzieć, że nigdzie nie idzie. Naprawdę mu się nie chciało – przed wyjazdem uprzedzał ją, że jada wypoczywać, i to naprawdę wypoczywać, zgodnie z radami lekarza. Ale miała też trochę racji: może rzeczywiście ją zaniedbywał przez tych parę dni, chociaż sam tego nie zauważył. Tylko że Raymunda zaczynała go nużyć swoimi wymaganiami, nastrojami i wybuchami złości.

Teraz też, nachmurzona, odwróciła się do niego plecami.

– No dobrze – rzucił w jej stronę. – Pójdę. Ale żadnych przyjęć więcej, Raymundo. Przyjechałem tu, żeby odpocząć. Poza tym nie ma tu nikogo, z kim zyczyłbym sobie spotkania, szczególnie wśród gości księcia Bendora Grünewalda.

– Fitz – Raymunda odwróciła się z triumfującym uśmiechem i otoczyła go ramionami – jeśli chcesz, jesteś taki słodki. Gdybyś nie był taki mokry, pokazałabym ci, jaki możesz być słodki – odsunęła się, strzepując z togi wymaginowane kropelki wody.

Fitz opróżnił szklankę. Mogłaby zdjąć z siebie tę suknię. I zdjęłaby ją, gdyby chciał – Raymunda wiedziała, jak grać swoją rolę – ale nie miał na to ochoty. Chociaż pomarańczowa jedwabna toga pięknie podkreślała jej jedwabistą, brązową cerę i czarne włosy, Fitz wolałby teraz samotność albo co najwyżej towarzystwo Mozarta.

Taras Willi Ozyrys był pełen gości. Olympe przeciskała się między nimi, witała nowo przybyłych, obserwowała, kto z kim tworzy parę w tym sezonie, i przyglądała się kreacjom pań, które w pełni korzystały z tego, że noc jest ciepła, i eksponowały opaleniznę, narzuciwszy na siebie króciutkie suknie, odsłaniające całe ramiona, plecy i zgrabne nogi. Olympe bardzo by się zdziwiła, gdyby któraś z nich miała na sobie stanik; tego wieczoru jędrne piersi i twarde sutki były w gotowości – to rzucało się w oczy dużo bardziej niż w dzień na plaży.

Nic w tym dziwnego, pomyślała. Nagość na plaży nie ma wiele wspólnego

z seksem, w odróżnieniu od półnagości na przyjęciach. Zakład, że połowa tych kobiet przyszła szukać podniet – i to nie z myślą o własnych mężach albo partnerach. Wakacyjne przygody, morskie przygody – zawsze chodziło o to samo: by się wyzwolić z codziennego otoczenia, nawet jeśli jest ono luksusowe i atrakcyjne, i zakosztować urlopowego lenistwa. Kiedy już kobiety się trochę opala, czują się ładniejsze, bardziej podniecające i zdecydowanie bardziej sexy. Ona przeżywała to samo i to wcale nie ze względu na Bendera.

– Czy to nie Fitz McBain tam przy drzwiach? A to musi być Raymunda Ortiz, jego obecna partnerka. Jeszcze zobaczymy, jak to z tobą będzie, Raymundo.

Kiedy Olympe Avallon się uśmiechała, mężczyzna czuł się jakby otoczony magicznym kręgiem, liczył się tylko on i tylko on był gwiazdą na firmamencie. Fitz nie był wyjątkiem. Na flirtowaniu znał się jak mało kto, ćwiczył to z najlepszymi – ale Olympe była uwodzicielką pierwszej klasy. W jej oczach migotały iskierki śmiechu, jakby mówiła: słuchaj, wiem, że flirtujemy, ale to przecież takie miłe, prawda?

– Raymundo! – wykrzyknęła. – Mais tu es ravissante, chérie... co za wspaiała suknia. Przeuroczy kolor. Muszę cię przedstawić Beny’emu, bardzo chciał się z tobą zapoznać. – Wzięła Raymundę pod ramię i poprowadziła ją w głąb domu, uśmiechając się do Fitz’a porozumiewawczo na znak, że zaraz wraca.

Przy basenie grała orkiestra jazzowa. Znad grilla dochodził zapach węgla drzewnego i ostrych przypraw.

– Czy ja coś już dzisiaj jadłem? – zastanawiał się na głos Fitz. – Chyba nie.

– Wyglądasz na bardzo głodnego – przy jego boku pojawiła się Olympe. – Albo na bardzo znudzonego.

Uśmiechnął się, napotkawszy jej wzrok.

– I jedno, i drugie – przyznał. Olympe wsunęła dłoń pod jego ramię.

– Jednej z tych bolączek na pewno potrafię zaradzić – i z uśmiechem powiodła go w stronę stolików ustawionych wokół basenu. – Jedzenie jest wyśmienite. Co do drugiej, mogę mieć tylko nadzieję, że ją nieco złagodzę.

Jej szczerze spojrzenie było równie serdeczne jak uśmiech. Wyglądała olśniewająco z grzywą jasnych włosów, w krótkiej czarnej sukience odsłaniającej ramiona. Fitz poczuł się dużo lepiej.

Bendor i Raymunda mieli wielu wspólnych znajomych; bardzo dobrze im się o nich gawędziło i Bendor zaprosił ją – ich – na windsurfing i lunch następnego dnia. Chciała spytać Fitz’a, czy może zaprosić Bendora z przyjaciółmi na kolację na „Fieście”, ale jej towarzysz gdzieś się zapodział. Z niespokojnym drgnieniem serca przypomniała sobie o Olympe Avallon. Czy ona przypadkiem nie za szybko ich rozdzieliła? W dodatku sama też gdzieś przepadła. Ach, co tam – Raymunda

wzruszyła ramionami – wszyscy wiedzą, że Bendor szaleje za Olympe i wkrótce pewnie uczyni z niej księżniczkę. Olympe na pewno nie zaryzykuje utraty takiej pozycji. Nie, o madame Avallon nie trzeba się martwić.

– Raymundo – Bendor ujął ją pod ramię – znasz Salty Majorsa? Wiesz, Salty pochodzi z Newport i jest zamiłowanym żeglarzem...

Raymunda odpowiedziała olśniewającym uśmiechem na wyrażające podziw spojrzenie Salty'ego; jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma.

Fitz McBain dokładnie odpowiada mojemu wyobrażeniu o mężczyźnie, który byłby inwestycją długoterminową, pomyślała Olympe, siedząc w jego towarzystwie przy stoliku i popijając wyspiarski koktajl.

Był bardzo pociągający – wyróżniał się wśród wszystkich przybyłych na przyjęcie mężczyzn. Jego urok był mniej ostentacyjny niż na przykład uroda Salty Majorsa, który cały epatował męskością – spalona słońcem skóra macho, mięśnie macho, antyfeministyczne słownictwo i mini-mózg macho, naturalnie jeśli ktoś chciał się do niego zbliżyć na tyle, by stwierdzić, czy ten człowiek ma w ogóle coś w rodzaju mózgu, czy tylko rodzinne miliony. Fitz otaczała legenda trudnej przeszłości – po prostu było widać, że te mięśnie ukształtowała praca, a nie sala gimnastyczna.

– Mam nadzieję, że będziemy się częściej spotykać, teraz kiedy już wiesz, gdzie nas szukać – jej dłoń lekko spoczęła na jego ręce.

Fitz uniósł ją i złożył na niej delikatny pocałunek.

– Chciałbym, ale muszę wypocząć... z zasady nie chadzam na przyjęcia...

– Masz jakieś zasady? – Olympe z rozbawieniem uniosła brwi. Fitz odrzucił w tył głowę i zaśmiał się na całe gardło.

– Jasne, że tak, a jedna z nich nakazuje spożywać dziennie co najmniej jeden posiłek. Może sprawdzimy, co dają do jedzenia na tym twoim przyjęciu?

Na dźwięk śmiechu Fitz Raymunda odwróciła głowę. Od bardzo dawna nie słyszała, żeby zaśmiewał się w ten sposób. Wypatrzyła go wśród tłumu gości – siedział nad basenem w towarzystwie Olympe.

– Chyba jesteś głodny – powiedziała do Salty Majorsa, ujmując go pod ramię – Może coś przekąsimy?

Siedząc przy stoliku nad basenem – z Salty Majorsem i dwiema parami mieszkającymi w willi razem z Bendorem – Raymunda rzucała ukradkowe spojrzenia na Fitz i Olympe, pogrążonych w rozmowie. Gawędzili tak już od ponad pół godziny i właśnie zaczęła się zastanawiać, jak im przerwać, żeby nie wyjść na idiotkę, kiedy spadły pierwsze krople deszczu. Błyskawica przecięła niebo i na chwilę zawisła nad morzem, rzucając purpurowe blaski. Pośpiesznie sprzątno krzesła, a goście ze śmiechem biegli w stronę domu. Salty po dżentelmeńsku otoczył Raymundę

ramieniem i pośpiesznie poprowadził ją na werandę. Obejrzała się i zobaczyła, jak Fitz okrywa swoją marynarką Olympe, która stoi w strugach deszczu i zanosi się śmiechem. Do diabła, popełniłam błąd, skarciła się w myśli.

– O Boże, już dwunasta – jęknął Fitz.

– Czy to znaczy, że twoja karetka zmieni się zaraz w dynię? – Olympe odrzuciła w tył włosy i uśmiechnęła się przekornie.

– Gorzej, pewnie zaraz zgubię szklany pantofelek! Ktoś czeka na mnie na lotnisku, samolot przyleciał godzinę temu. Muszę jechać.

Olympe ujęła jego dłoń i zamknęła ją w serdecznym uścisku, splatając palce z jego palcami.

– Wrócisz jeszcze? – szepnęła.

Fitz zawahał się. Podobało mu się tutaj. Miło było poflirtować z inteligentną i dowcipną Olympe, ale musiał zająć się Raymunda – w końcu to z nią przyszedł na to przyjęcie.

– Obawiam się, że nie, ale dziękuję za przyjemne towarzystwo – odpowiedział.

– Tę przyjemność możesz mieć zawsze, kiedy tylko zechcesz – szepnęła.

Spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Fitz pocałował ją lekko w policzek.

– Będę o tym pamiętał – odparł.

Salty Majors niechętnie rozstawał się z Raymunda.

– Przyjdiesz jutro, prawda? – uśmiechnął się do niej. W opalonej twarzy błysnęły równe białe zęby. Pomyślała, że jest naprawdę bardzo podobny do Roberta Redforda.

– Jeśli obiecasz, że nauczysz mnie windsurfingu – odparła i pożegnali się.

Wściekle strząsnęła z ramienia rękę Fitz, kiedy prowadził ją przez tłum gości na podjazd. Niecierpliwiła się, czekając, aż parkingowy przyprowadzi samochód.

– Dlaczego wychodzimy tak wcześnie? – narzekała. – Impreza dopiero się rozkręca.

– Zostań, jeśli chcesz.

Parkingowy otworzył drzwi i Fitz usiadł za kierownicą.

– Wsiadasz czy nie? – zapytał niecierpliwie. Raymunda rzuciła się na siedzenie.

– Pewnie jesteś wykończony – westchnęła. – Olympe Avallon musiała cię wymęczyć.

Fitz popatrzył w bok, zjeżdżając ze stromego podjazdu. Aha, teraz dla odmiany jest zazdrosna. Może i ma rację, ale sama wyglądała na całkiem zadowoloną z towarzystwa tego faceta z Newport, który wyglądał, jakby zamiast matury zdawał egzamin na sternika jachtowego. Fitz nagle uświadomił sobie, jak bardzo nużą go te ciągle rozgrywki z Raymunda. Życie jest wystarczająco skomplikowane i bez nich.

Skreślił na drogę w kierunku lotniska. W dalszym ciągu lało, chociaż burza już się

oddalała. Horyzont przecinały jeszcze błyskawice, a po niebie przetaczały się głucho grzmoty.

Raymunda zamknęła oczy i zastanawiała się, jak mądrze rozegrać sprawę jutrzejszego dnia – pójdą na lunch do willi Ozyrys, będą pływać i żeglować na deskach... wiedziała, że lekarz kazał Fitzowi odpoczywać, ale przecież nie miałby nic przeciwko takiej rozrywce! A potem jeszcze wieczorne przyjęcie. Otworzyła oczy, gdy Fitz zatrzymał się przed lotniskiem.

– Po co tu przyjechaliśmy?

– Obiecałem odebrać stąd przyjaciółkę Morgana. Zaraz wracam. Fitz zatrzasnął drzwi, a Raymunda popatrzyła za nim, gotując się ze złości. Wyszli z przyjęcia, żeby odebrać stąd przyjaciółkę Morgana? Do licha, na jachcie jest przecież tyle załogi. Chyba mógł to zrobić któryś z jej członków?

Venetia spoglądała na nocną ulewę przez olbrzymie szyby w oknach. Rynsztokami płynęły strumienie wody, a światło latarni i błyskawic wydobywało z ciemności tumany mgły unoszącej się z parującej gleby. Z Londynu wyjechała we mgle, a tu przybyła w deszcz; może to jakiś znak, może żywioły chcą jej coś przekazać. Może nie powinna była przyjeżdżać – Morgan zdaje się o niej zapomnieć. Jeszcze raz popatrzyła na wielki zegar. Czeka tu już od ponad godziny, lotnisko jest prawie wyludnione. Przyglądała się, jak uśmiechnięci przyjaciele witają innych pasażerów i zabierają ich do różnych willi i hoteli. Czy coś się stało? Może pomyliła daty? A może im się coś poplątało?

Fitz szedł ku niej przez pustą halę. W poczekalni była tylko ona jedna, ale poznałby ją natychmiast nawet w gęstym tłumie. Była wyższa od Jenny, miała trochę ciemniejsze włosy, gładko uczesane i sięgające ramion. Odwróciła się, słysząc jego kroki, i spojrzała na niego niespokojnie błękitnymi oczyma, całkiem jak Jenny grająca bezdomną włóczkę w Dziewczynie z wielkiego miasta. Dobry Boże, nie myślałem, że będzie do niej aż tak podobna, powiedział sobie w duchu.

– Ty jesteś Venetia, prawda? – spytał. Miała bladą cerę osoby, która spędza zimę w Londynie, a jej dłoń była bardzo zimna, ale uśmiechała się z równym wdziękiem co matka. – Morgan, niestety, nie mógł po ciebie wyjść i przysłał mnie w zastępstwie. Jestem Fitz McBain.

Stała tak z dłonią w jego dłoni i patrzyła w jego ciemnoniebieskie oczy. Naturalnie, przypominała sobie z rozmowy telefonicznej ten głęboki głos z lekkim południowym akcentem.

– Och, ale ja nie... – przerwała, zakłopotana – Co nie?

– No... nie myślałam, że pan tak będzie wyglądał... zawsze wyobrażałam sobie pana w garniturze, w drodze z jednego spotkania na następne, a poza tym...

Fitz uśmiechnął się.

– Poza tym co?
Venetia zarumieniła się.
– Chyba chciałam powiedzieć coś niezbyt grzecznego.
– Więc mów.
– Jest pan młodszy, niż myślałam. Fitz roześmiał się i puścił jej dłoń.
– To złudzenie. Mam czterdzieści cztery lata, niedługo zacznę czterdziestkę piątkę, to poważny wiek w porównaniu z tobą. Ile masz lat? Siedemnaście?
– Dwadzieścia – odpowiedziała z urazą. – W każdym razie niedługo będę tyle miała.
– Musisz być bardzo zmęczoną dwudziestolatką. Masz za sobą cholernie długą podróż. Jedziemy do domu, trzeba cię położyć spać – Fitz wziął jej jedyną walizkę i zdumiony zapytał: – Tylko to masz ze sobą?
– Tak, ja dużo nie potrzebuję... tylko szorty i takie tam...
Wszystkie kobiety, z którymi się do tej pory zetknął, podróżowały z co najmniej sześcioma walizkami pełnymi ubrań na każdą okazję. Venetia Haven zdecydowanie się od nich różniła. Zresztą, może to tylko kwestia jej młodego wieku.
Raymunda siedziała sztywno wyprostowana. Fitz wrócił z dziewczyną. Tylko kto to, u diabła, jest?
– Venetio, poznaj Raymundę Ortiz – powiedział i przytrzymał drzwi samochodu.
– Raymundo, to jest Venetia Haven, przyjaciółka Morgana.
– Ach, przyjaciółeczka Morgana – ze wzroku Raymundy zniknęło zainteresowanie. Uśmiech zamarł na wargach Venetii.
Fitz ponuro zacisnął zęby i włączył silnik. Pogarda w głosie Raymundy nie uszła jego uwagi. Brazylijka popatrzyła na prosty strój Venetii: niebieskie płócienne spodnie, koszulkę i espadryle, po czym uznała, że ta osoba nie zasługuje na jej uwagę.
– Venetia będzie naszą nową szefową kuchni – dodał, przerywając milczenie.
Raymunda spojrzała na niego z nie ukrywanym zdumieniem. Wyszli wcześniej z przyjęcia u Bendora, żeby pojechać po kogoś ze służby? Dobry Boże, przecież za coś takiego ona tego Fitz'a powinna zabić – po prostu go zamordować.
– Więc z pewnością będzie mogła zająć się przygotowaniami do naszego jutrzejszego przyjęcia – powiedziała lodowatym tonem.
Fitz popatrzył na nią z oburzeniem.
– Jakiego naszego przyjęcia?
– No właśnie, kochanie. Zaprosiłam Beny'ego z przyjaciółmi do nas na jutro na kolację. Chodzi o księcia Bendora Grünewalda – rzuciła Venetii przez ramię. – Pewnie do tej pory nie miałaś okazji gotować dla książąt. Mam nadzieję, że potrafisz sprostać takiemu zadaniu.
– Mam dyplom pierwszej klasy – odpowiedziała Venetia nerwowo.

– Raymundo, dlaczego ja nic nie wiem o tym przyjęciu? – rozzłoszczony Fitz ostro wziął zakręt.

– Myślałam, że ci to sprawi przyjemność – odparła ze słodyczą. – Przecież przyjdzie Olympe.

Venetia oparła się o poduszki. O co idzie gra między tymi dwójkiem? Tak czy siak, wolałaby znaleźć się gdzieś z dala od nich.

Gdy zaparkowali samochód w porcie i przesiedli się na motorówkę, by popłynąć na pokład „Fiesty”, deszcz już ustał. Venetia patrzyła ponad wodą na feerię świateł zdobiących olbrzymi jacht, który wyglądał całkiem sympatycznie – w odróżnieniu od tej milczącej pary.

Masters czekał na nich. Fitz przedstawił mu Venetię i poprosił, by się nią zaopiekował, a Raymunda gdzieś zniknęła, nie powiedziawszy nawet dobranoc.

– Jestem pewien, że będzie ci wygodnie w kabinie – powiedział Fitz łagodnie. – Morgan prosił, żeby ci powtórzyć, że zadzwoni. To z mojej winy nie mógł sam po ciebie wyjść na lotnisko, ale wróci już w przyszłym tygodniu. A teraz wyśpij się porządnie, odpocznij sobie przez parę dni i powoli zacznij wciągać do pracy. Masters ci jutro wszystko pokaże.

– Dziękuję – popatrzyła na niego z powagą. – Jest pan bardzo dobry, panie McBain.

– Ten przymiotnik jest rzadko stosowany w odniesieniu do mnie – odparł, nie wiadomo czemu czując przypływ zadowolenia. – A teraz uciekaj spać. Przyjemnych snów.

Venetia była tak zmęczona, że niemal nie zwróciła uwagi na otaczający ją luksus i na urocze wnętrze swojej kabiny na śródkręciu górnego pokładu, w pobliżu kambuza. Obejrzy to wszystko jutro. Zrzuciła ubranie i wsunęła się nago do koi. Tropikalna noc była ciepła; burza już całkiem ucichła. Ostatnim obrazem, jaki zarejestrowała Venetia tuż przed zaśnięciem, były ciemne, głębokie, wpatrzone w nią oczy Fitz'a McBaina.

Raymunda wróciła z willi Ozyrys o czwartej i poszła szukać Fitz'a. Siedział na pokładzie rufowym w szortach i koszulce i przygotowywał sprzęt wędkarski.

– Nie wiesz, ile straciłeś – powiedziała, rzucając się na niebieski fotel obok niego.

– Miło mi, że się dobrze bawiłaś – odpowiedział uprzejmie.

– Wszyscy będą u nas dziś wieczór – poinformowała i czekała na reakcję.

– Dobrze. Rozmawiałem z Mastersem, zajmie się wszystkimi przygotowaniem.

– A więc ta mała nie da sobie jednak rady? Fitz, dlaczego ty musisz ciągle spełniać jakieś miłosierne uczynki? Na tym jachcie jest potrzebny prawdziwy szef kuchni, a ciebie naprawdę na to stać.

– Raymundo, ja mogę mieć wszystko, czego chcę. Widocznie chcę mieć Venetię

Haven jako szefa kuchni. Zapamiętaj to sobie, dobrze?

Spojrzeli na siebie ze złością. Raymunda pierwsza spuściła oczy.

– Mam nadzieję, że będziesz się dobrze bawił dziś wieczór – powiedziała łagodniejszym tonem.

– Pewnie, że tak – Fitz skoncentrował się na oliwieniu kołowrotka, zwolnił blokadę i pokręcił. – Choć naturalnie nie będzie mnie tutaj. Zamierzam zjeść kolację gdzieś w spokoju, na mieście. Chyba zaproszę na nią pannę Haven.

– Nie zrobisz tego! – wyrzuciła z siebie zduszonym głosem. – Wszyscy spodziewają się, że będziesz gospodarzem przyjęcia.

– Raymundo – powiedział spokojnie – nikt nie będzie mi rozkazywał, co mam robić. To także musisz sobie zapamiętać.

– Olympe będzie za tobą tęsknić – Raymunda mówiła już tylko do pleców Fitz'a, oddalającego się ze śmiechem w kierunku gabinetu. Do diabła z tym wszystkim, do diabła!

Rory czuł się tu jak w niebie. Po prostu jak w niebie. Wyspa Barbados przywitała dziś cały zespół kręcący Brudną grę przemówieniami, koncertem orkiestry dętej i z całym osobliwym ceremoniałem dla ważnych osobistości. A szczególnie serdecznie przyjęto właśnie jego. Nie ma wątpliwości – on, Rory, jest wielką gwiazdą, znali go nawet brytyjscy goście hotelowi, bo BBC zaczęła nadawać pierwsze odcinki serialu jesienią tego roku. Bill miał rację, właśnie czegoś takiego było mu potrzeba. Podstępne Los Angeles wywiera na człowieka zły wpływ, tak że nawet nie zauważasz ogarniającego cię zmęczenia. Zawsze trzeba się mieć na baczności, żeby ktoś cię nie wyślizgał i nie podkopywał twojej pozycji – a tym kimś może być na przykład partnerka z serialu.

Zauważył ostatnio, że Shelly dostaje coraz większe partie mówione i że jej rola staje się równie ważna jak jego. Trzeba było zmusić Billa do walki z producentami i scenarzystami, by temu przeciwdziałać. Ale teraz zostawił za sobą te wszystkie troski. Tu, na Barbadosie, można się naprawdę odprężyć.

– Hej, Shel – powiedział, biorąc ją pod ramię, gdy wysiedli z samochodu i szli w stronę dyskoteki Rockley's Resort Rendez-vous – zabawmy się. Dirk, Roger, chodźcie z nami – zawołał do reżysera, scenarzysty i innych członków zespołu, którzy szli nieco z tyłu za nimi. – Ja i Shel pokazemy tej wyspie, jak się bawią supergwiazdy z Los Angeles!

– Chryste Panie – mruknął Dirk pod nosem – niestety będę musiał na to patrzeć.

Dirk był wściekły. Dopiero gdy już przeszli przez odprawę celną i paszportową, Rory powiedział mu, że podłożył prochy do jego walizki. Dzięki Bogu, przepuszczono ich bez żadnych formalności, bo zamiast w dyskotecce siedziałby teraz w pudle. Drugi raz do tego nie dopuści. Jeśli Rory Grant musi wozić ze sobą kokainę,

niech trzyma ją w swoim bagażu.

W Rendez-vous Rory zrobił natychmiast furorę. Wszyscy znali serial, dziewczęta zaczęły się tłoczyć wokół niego po autografy i pocałunki, które z przyjemnością rozdawał między jedną a drugą szklaneczką rumu. Tak, Rory wreszcie poczuł się jak gwiazda... ale po godzinie go to znudziło.

– No, chłopaki – zawołał – idziemy dalej.

– Urznął się już i w dodatku jest naćpany – skomentował Dirk, kiedy posłusznie wychodzili za nim z klubu.

Cholera, niby mógł wrócić do hotelu i przespać się trochę, ale nie był pewien, co Rory jeszcze może wymyślić. Jutro będzie musiał dać mu nauczkę. Guzik go obchodziło, co ten smarkacz robi, kiedy nie pracuje, ale gdy jest tutaj i pracuje, trzeba go mieć na oku, trzymać go krótko, bo inaczej zawałą terminy, a cała odpowiedzialność spadnie na niego – na reżysera.

Venetia włożyła jakąś bezkształtną, jakby o dwa numery za dużą bawełnianą sukienkę z dekoltem, za szeroką w talii i za długą – a mimo to wyglądała uroczo.

– Projekt mojej siostry – powiedziała z uśmiechem. – Trochę awangardowy, ale strasznie mi się podoba. Od kiedy Paris pracuje u Mitsoko, jest pod wielkim wpływem japońszczyzny, w związku z tym ubieram się prawie wyłącznie w kimona! Co za fantastyczna dziewczyna! Mama zawsze mówiła, że ona jedna z rodziny naprawdę ma talent.

Siedzieli naprzeciw siebie przy oświetlonym świecami stoliku w Bagatelle Great House, jednej z najprzyjemniejszych restauracji na wyspie. Kamiennie ściany budynku były świadkami kolonialnych czasów. Fitz wybrał tę restaurację bez żadnych konkretnych powodów i instynkt go nie zawiódł. Venetia była zauroczona, a jego zachwyciły jej radość i zaciekawienie. Chciała wiedzieć wszystko, poczynając od historii wyspy, poprzez dzieje tej właśnie plantacji, aż po początki tradycyjnej wyspiarskiej kuchni. Fitz całkowicie się odprężył w jej towarzystwie; niemal zapomniał, że to córka Jenny. Wprawdzie fizycznie były do siebie bardzo podobne, ale diametralnie różniły się typem osobowości. Przypomniawszy sobie zrozpaczoną twarzyczkę dziewczyny na ekranie telewizora.

– A co słyhać u siostr? – spytał.

– Teraz chyba już wszystko w porządku. Wiesz, Paris tak ciężko pracowała przygotowując własny pokaz mody, sama wszystko zaprojektowała i praktycznie sama uszyła wszystkie modele, a potem nikt nie przyszedł, tylko dlatego że Mitsoko w ostatniej chwili przeniósł swoją rewię na ten sam dzień. A Paris włożyła w to wszystkie swoje pieniądze. Teraz musi pracować jako modelka. Jest niewiarygodnie piękna.

– Wszystkie swoje pieniądze? – spytał obojętnie Fitz. – To musiała być niezła

suma.

Venetia zapatrzyła się w swój kieliszek – wino rzucało rubinowe iskry w blasku świec.

– Tylko dziesięć tysięcy dolarów. Wszystko, co miałyśmy, wiesz, to co zostało po matce.

Fitz słuchał, osłupiały.

– Tylko tyle wam zostawiła? Venetio, ale przecież wasza matka musiała być bardzo bogata.

Venetia czuła się zakłopotana; nie powinna mu o tym opowiadać. Ale on nie był tak całkiem obcy – znał Jenny, a im okazał tyle dobroci i tyle pomógł...

– Matka, zdaje się, nie najlepiej gospodarowała pieniędzmi. Jej prawnik Stan Reubin powiedział nam, że nic po niej nie zostało, źle inwestowała w nieruchomości i popełniała błędy w grze na giełdzie towarowej. Tłumaczył, że w ten sposób w krótkim czasie można stracić bardzo duże pieniądze. Na początku trudno nam było w to uwierzyć, ale Bill – to znaczy Bill Kaufmann, jej agent i menedżer, pracował dla niej od zawsze, jeszcze zanim się urodziłam – więc Bill zasugerował, że martwiła się o swoją przyszłość zawodową i że miała kilku... no, kilku kochanków... którzy ją wykorzystywali. Tak że w końcu zostało jej bardzo niewiele. Wiesz, mnie tam nie zależało za bardzo na pieniądzach, w odróżnieniu od Paris – ona ich potrzebowała, żeby wystartować w zawodzie. Tylko że Stan i Bill w pewnym sensie rzucili cień na naszą matkę. A poza tym, mimo że byli jej przyjaciółmi przez te wszystkie lata, nie zrobili nic, żeby jej pomóc. Przecież chyba zauważyli, co się dzieje, jak myślisz?

Fitz z przykrością patrzył, jak błękit jej oczu szarzeje pod wpływem smutku. Nie podobało mu się to, co właśnie usłyszał. Mocno podejrzana historia, szczególnie w kontekście gwałtownej śmierci Jenny. Chyba zleci Ronsonowi, żeby się tym zainteresował: chłopak ma dobre kontakty w Los Angeles i szybko się zorientuje w sytuacji.

– Na pewno wiedzieli, co się dzieje, ale nie można wydawać sądów nie znając okoliczności. A druga siostra? Ma na imię India, prawda?

– India z każdej sprawy wyjdzie z uśmiechem na ustach. Nie zależało jej na pieniądzach, tylko na dobrym imieniu matki. Mieszka w Rzymie i pracuje u Fabrizia Paroli, dekoratora wnętrz, ale kiedy z nią ostatnio rozmawiałam, wybierała się na wybrzeże w pobliżu Positano, ma tam nadzorować przebudowę jakiegoś obiektu. Rodzina Montefiore chce przerobić swój pałac na hotel.

India była zachwycona tą pracą, ale zdaje mi się, że jeszcze bardziej ucieszyło ją, że na jakiś czas wyrwie się z Rzymu – od śmierci Jenny paparazzi stali się strasznie natrętni. Moim zdaniem to dla niej wielka ulga, że może oderwać się od tego wszystkiego... i od Fabrizia też.

– Ach tak? – Fitz uniósł brwi, a Venetia poczuła, że się czerwieni.

– Jenny zawsze twierdziła, że za dużo mówię – zaśmiała się – ale słowo honoru, że z nikim w ten sposób nie rozmawiałam o mojej matce. Nawet z Morganem.

Tak był nią zafascynowany, że zupełnie zapomniał o Morganie.

– Starczy smutków na dzisiaj – powiedział z ożywieniem. – Najpierw zamówię dla ciebie jakiś deser, a potem... – spojrzał na zegarek. Jedenasta. Goście Raymundy pewnie bawią się w najlepsze. – Poszłabyś potańczyć?

Twarz jej się rozjaśniła.

– Potańczyć? Cudowny pomysł.

Dlaczego czuję się tak, jakbym właśnie sprawił jej jakiś wspaniały prezent, pomyślał Fitz. Ta dziewczyna ma rzadki dar sprawiania, że ktoś, kto zrobił jej drobną uprzejmość czy przysługę, czuje się, jakby uczynił jakiś królewski gest. To z pewnością przysparza jej przyjaciół. Rezultat angielskiego wychowania? Pewnie tak. Wszystko jedno, bardzo mu się to podoba.

Kiedy weszli do klubu Caribbean Pepperpot, dyskoteka była pełna gości, a zabawa już się rozkręcała. Fitz złapał Venetię za rękę i poprowadził ją przez ledwie oświetloną salę do stolika w kącie. Wiedział, że to głupie, ale nie chciał puścić jej ręki, taka była drobna i delikatna.

Kelner przyniósł im drinki. Z głośników leciał wolniejszy kawałek, a kolorowe światła zamigotały do wtóru muzyce. Fitz ujął dłoń dziewczyny i skłonił się głęboko, muskając ją ustami.

– Czy zatańczy pani ze mną, Venetio Haven? – spytał. Wiedziała, że to głupie, ale nie chciała, żeby puścił jej dłoń – właściwie pragnęła jeszcze jednego pocałunku. Trzymając się za ręce poszli na mały parkiet, on otoczył ją ramionami, a ona objęła rękami jego szyję, tak jakby obejmowała Morgana.

To śmieszne, mówił sobie Fitz, przytulając Venetię. To przecież jeszcze dziecko, no i dziewczyna Morgana. Wiedział o tym doskonale, więc dlaczego jego serce było szybciej? I dlaczego czuł nieprzeparte pragnienie, by zasypać jej jasną główkę pocałunkami?

Czuł pod palcami jej szczupłe ramiona, a gdy spoglądał w dół na jej twarz, widział złociste rzęsy i przymknięte powieki. Była jakby we śnie, czuł, że jej ciało zupełnie się rozluźniło. To pewnie ta powolna uwodzicielska muzyka zrodziła w nim szaleńcze pragnienie, szaleńcze pragnienie, by kochać się z Venetią. Oddałby za to wszystko. Naturalnie, to wpływ gorącej tropikalnej nocy, wina, muzyki i wspomnień o Jenny Haven. Pewnie nadal był zakochany w Jenny.

Muzyka umilkła. Poprowadził dziewczynę do stolika. Patrzyła mu w oczy i nie puszczała jego ręki; z palców Fitz'a płynęły lekkie elektryczne prądy i wędrowały wzdłuż jej ramienia. Czuła, jak te palce drżą, kiedy zacisnęły się na jej dłoni, i chciała

to wszystko czuć na nowo, chciała, by objął ją w tańcu ramionami, chciała być przy nim jak najbliżej.

Zatańczyli znowu, powoli, wtuleni w siebie. Nie mówili ani słowa – świat wokół przestał istnieć. Jej włosy pachną letnią łąką. Nie powinien dopuszczać do siebie takich uczuć! Trzeba wracać na „Fiestę”, zanim popełni jakieś głupstwo.

– Czas do domu – powiedział łagodnie.

Jej cichutkie westchnienie wyrażało nieskończenie głęboki żal, ale Fitz nie mógł sobie pozwolić na uległość. Poprosił kelnera i zapłacił rachunek.

Gdy Rory i jego towarzystwo weszli do Caribbean Pepperpot, panował tam spory tłok. Rory był w swoim żywiole, czuł się naprawdę ekstra. Właśnie pomyślał sobie, że w życiu tak się dobrze nie zabawiał, i wtedy to się stało. Zobaczył Jenny Haven. I obleciał go strach.

Dirk patrzył na twarz chłopaka, nagle szarą jak popiół, i zastanawiał się, co się stało. Czy ten skurczybyk chce jeszcze zafundować im atak serca?

Rory złapał go za ramię drżącą ręką.

– To ona, Dirk, o mój Boże, to ona! O Boże, co ja mam teraz robić, co robić? Dirk, to Jenny. Widzisz ją, prawda... czy tylko ja ją widzę? To duch, będzie mnie teraz straszyć, o Jezu!

– Zamknij się, Rory – syknął Dirk. – Robisz z siebie idiotę. Ona nie żyje. Nie poznajesz kto to? Czy może nie miałeś czasu, żeby pójść na pogrzeb Jenny? To jej córka, Venetia Haven.

– Jej córka? – Rory zaśmiał się fałszywie, wysoki brzydki dźwięk kontrastował z wesołą muzyką i roześmianymi twarzami ludzi stojących przy wejściu. Chryste, nie wiedział, że jest aż tak podobna do matki.

– Ano tak, to rzeczywiście ona.

Wziął się w garść, poprawił marynarkę, przygładził włosy. Gest wywołał entuzjazm gości: rozpoznano go.

– Pójdę się tylko przywitać – powiedział nonszalanckim tonem do Dirka – wiesz, ze względu na Jenny... i na dawne dobre czasy.

– Jasne, Rory, idź – odpowiedział Dirk – ze względu na dawne dobre czasy.

Fitz poczuł, że Venetia zeszywniała, gdy podszedł do nich elegancko wyglądający młody człowiek. Jakiś jej znajomy?

– Cześć, Venetia – Rory wyciągnął do niej rękę. – Jestem dawnym przyjacielem twojej matki.

– Wiem, kim pan jest – dziewczyna jakby nie widziała wyciągniętej dłoni.

Rory, czując się jak idiota, uniósł rękę do góry i swobodnym gestem przygładził włosy.

Fitz spojrział na nią bystro; coś tu było nie tak. Odpowiedziała temu człowiekowi

lodowatym tonem, a jej głos lekko drżał.

– Chciałem tylko powiedzieć, wiesz... że mi przykro ze względu na biedną Jenny, to musiał być straszny szok dla waszej trójki.

– Rzeczywiście. Dla całej naszej trójki. Dobranoc, panie Grant. Venetia przeszła obok, nie zwracając na niego uwagi. Kurwa, co za twarda dziwka, pomyślał Rory, zupełnie jak jej matka.

– Jazda, chłopaki – zawołał – trzeba zrobić tu ruch. Gwiazdy Brudnej gry przyćmią wszystkich! – gwałtownie pociągnął Shelly do tańca przy wtórze zachęcających okrzyków rozentuzjzmowanego tłumu.

Fitz siedział w samochodzie obok Venetii i czekał, aż się odezwie. Nie płakała, po prostu siedziała bez słowa, ale widział, że jej drżą ręce.

– Przepraszam – powiedziała w końcu – ale nie spodziewałam się tego... to znaczy, spotkania z Rorym Grantem.

– Znasz go? – Fitzowi wydawało się, że ta dwójka spotkała się po raz pierwszy.

– Nie. Tylko o nim słyszałam. Był kochankiem mojej matki. Jej ostatnim kochankiem. Zdaje się, że dała mu całą swoją miłość i troskliwość, i pieniądze. Zrobiła z niego gwiazdę. Bill Kaufmann mi to powiedział. A potem Grant ją porzucił.

Fitz przypomniał sobie to, co usłyszał od niej wcześniej – jak to prawnik i agent zostawili Jenny na łasce losu. A teraz jeszcze ten facet. Cała ta sprawa wyglądała bardzo niedobrze. Naprawdę niedobrze.

– Nie wiem czemu, ale mam przeczucie, że Rory Grant ponosi większą winę za trudności finansowe matki, niż Bill Kaufmann chciałby przyznać – szeptała Venetia.

– Przysięgał, że to dobry chłopak. W życiu nie słyszałam, żeby Bill wyrażał się o kimś w ten sposób. Wszystko to kłamstwa, dobrze o tym wiem. Po prostu wiem.

– Venetio, pozwolisz mi się przyjrzeć bliżej tej sprawie, w twoim imieniu i w imieniu twoich sióstr? Macie prawo wiedzieć, co się stało z pieniędzmi waszej matki.

– Nie ma żadnych pieniędzy.

– Poczekaj – pocieszył ją. – Pozwól mi się tym zająć, dobrze? Jeśli ich nie ma, to chcę wiedzieć, dlaczego zniknęły. Chcę znać szczegóły. Czy mam na to twoje pozwolenie?

Kiwnęła głową.

– Zrobiłbyś to dla nas?

Zmusił się, by nie patrzeć w jej oczy, pełne uczucia.

– Masz to załatwione – odparł i włączył silnik.

Powrotną drogę do portu przebyli w milczeniu. Za bardzo zawróciła mi w głowie, myślał Fitz, za bardzo zawróciła mi w głowie ta córka Jenny, ta dziewczyna Morgana.

„Fiesta” lśniła galowymi światłami, które odbijały się w wodzie jak diamenty.

Podpłynęli do jachtu motorówką. Gdy Fitz wyłączył silnik, Venetia popatrzyła na niego tklivie błękitnymi oczyma, a on po raz pierwszy w życiu stracił nad sobą kontrolę i nic nie mógł na to poradzić: objął dziewczynę i pocałował ją w sposób bynajmniej nie ojcowski.

Venetia nie miała już żadnych wątpliwości – zawsze wiedziała, że tak właśnie powinno być: wreszcie poznała to gwałtowne, zapierające dech w piersiach uczucie ekstazy, oby trwało wiecznie.

Fitz w końcu się od niej oderwał. Na co on sobie pozwala? Zmusił się, by powiedzieć beznamiętnie:

- Przepraszam. Nie powinienem tego robić.
- Ale... Fitz... ja... Wyciągnął rękę.
- Chodź, pomogę ci wejść.

Czy on sobie nie zdaje sprawy, co ja czuję? zastanawiała się Venetia. Jak wobec tego wyznać miłość mężczyźnie, którego się ledwie poznało?

Pomyślała, że Fitz znowu ją pocałuje, była tego pewna. I zrobił to, gdy się żegnali: ucałował jej palce tak, jak zrobił to na początku wieczoru: lekko przytrzymując je w dłoni.

Uśmiechnęła się do niego, a on powiedział:

– Venetio, jesteś bardzo podobna do matki. Śpij dobrze... i zapomnij o Rorym Grancie.

Patrzyła za nim, jak szedł w stronę rufy, skąd w dalszym ciągu dochodziły głosy i dźwięk muzyki. Zakochałam się wreszcie, pomyślała radośnie. To miłość; zawsze wiadomo, kiedy nadchodzi. Przesunęła dłonią po wargach, przypominając sobie dotyk jego ust. Oddałaby życie za jeszcze jeden taki uścisk, za jeszcze jeden taki pocałunek.

To nie był ostry dźwięk, lecz zaledwie ciche terkotanie i chwilę potrwało, zanim Venetia zorientowała się, że dzwoni telefon. Wyrwał ją z drugiego snu: leżała w ramionach Fitz'a na jakiejś egzotycznej plaży, na miękkim piasku, w cieniu palm i czuła powiew lekkiej, chłodnej bryzy. Usiadła gwałtownie, otrząsnęła się niechętnie z marzeń sennych i podniosła słuchawkę.

– Vennie?

Głos Morgana podziałał na nią jak zimny prysznic.

– Vennie? Jesteś tam?

– Morgan, to ty... Myślałam, że jesteś w Rio.

– Jestem, kochanie, i przykro mi, że nie mogłem wyjść po ciebie na lotnisko. Czy tata mnie usprawiedliwił?

– Tak... tak, powiedział, że...

– Dobrze. Mam nadzieję, że się tobą opiekuje?

– Och... tak...

– Niech cię za bardzo nie obciąża praca, wiesz, sam jest pracoholikiem i myśli, że wszyscy są tacy. Tęsknię za tobą, Venetio.

– Tak... – Venetia nerwowo nawijała na palec sznur telefonu. – Też za tobą tęsknię. Kiedy wracasz, Morgan?

– Mam nadzieję, że w przyszłym tygodniu i że będę mógł wtedy spędzić z tobą parę dni, Vennie. Już się tego nie mogę doczekać.

– Och, Morgan – Venetia nagle zdała sobie sprawę z dylematu, w jaki się uwikłała, i nie bardzo wiedziała, co powiedzieć.

– Kochanie, dobrze się czujesz?

– Wiesz, jest szósta rano, obudziłeś mnie. Morgan roześmiał się.

– Dobrze, wobec tego śpij dalej. Zadzwoń jeszcze w ciągu tygodnia. Dbaj o siebie, Vennie, i nie pozwól, żeby Fitz cię wykorzystywał.

– Na pewno nie będzie tak źle. Uważaj na siebie, Morgan.

– Do usłyszenia. Kocham cię.

– Do usłyszenia. Też cię kocham...

Venetia odłożyła słuchawkę i opadła na poduszki, wpatrując się w sufit. Dobry Boże, i co teraz? Wszystkie jej myśli krążyły wokół Fitz, jej ciało pamiętało jego ciało przytulone do niej w tańcu, na ustach wciąż czuła jego pocałunek, a kiedy zadzwonił Morgan, śniła o miłości pod palmami. Kochała Morgana, była tego pewna – ale kochała go tylko w pewnym sensie. Za to w jego ojcu zakochała się nagle, szaleńczo i całkowicie. Może dziś wieczór, pomyślała z uśmiechem, może dziś wieczór pójdą do jakiejś innej restauracji, żeby patrzeć sobie w oczy w blasku świec, a potem trochę potańczyć. Nagle przypomniała sobie o Raymundzie. Naturalnie! – wzdrygnęła się. Nie będzie żadnych kolacji we dwoje, przy świecach. Fitz jest z Raymundą. A ona – z Morganem.

Przygnębiona poszła do łazienki, żeby wziąć prysznic. Stała pod łagodnym strumieniem wody ściekającej po włosach i zastanawiała się, jak tu rozwiązać problem z Raymundą. To nie moja sprawa, stwierdziła w końcu; jeśli Fitz będzie chciał coś z tym zrobić, to zrobi. Poczekamy, zobaczymy.

Bob Ronson jest dobry, pomyślał Fitz, odkładając słuchawkę. Można na nim polegać – zrobi to, o co prosisz, nawet jeśli prośba jest trochę niecodzienna. Ale człowiek o tego typu ambicji jest dobry tylko wtedy, kiedy działa dla ciebie, a nie przeciw tobie.

Ronson jako przeciwnik byłby zimny i bezlitosny. Nic go nie powstrzyma od wspinania się coraz wyżej po szczeblach kariery. Takich właśnie ludzi zatrudnia się w wielkich firmach; Ronson będzie szedł coraz wyżej w Korporacji McBaina; zawsze znajdzie się miejsce dla dobrego „psa gończego”.

W tej sprawie Ronson obiecał oddzwonić jeszcze w tym tygodniu – ze wszelkimi informacjami na temat Jenny Haven, jakie uda mu się zdobyć. Powiedział, że krążą o niej liczne plotki, a parę osób patrzy podejrzliwie na Reubina i Kaufmanna. Sprawdzi to.

I dobrze, pomyślał Fitz. Zrobię co się da, żeby wyjaśnić sytuację Venetii i jej siostr, i na tym koniec. Poprzedni wieczór to pomyłka. Venetia była taka urocza, taka młoda, a on poddał się pokusie. Ale to przecież dziewczyna Morgana. Ma na razie dosyć kłopotów z Raymundą, która wczoraj po wyjściu gości urządziła koszmarną awanturę, oskarżając go o chamskie zachowanie w stosunku do nich i do niej, dlatego że zjawił się na przyjęciu tylko po to, by powiedzieć wszystkim dobranoc i iść spać. Wśród gości była Olympe, która z leciutkim uśmieszkiem obserwowała jego i Raymundę. Wyglądała naprawdę atrakcyjnie: miała czerwoną suknię i usta umalowane szminką w tym samym odcieniu, ale on myślał o Venetii... o Venetii...

Zdaje się, że dziś jest dzień rozliczeń z przeszłością – zapomni o epizodzie z Venetią, no i chyba rozstanie się z Raymundą. Była na dole i się pakowała. Nigdy jej nie zwodził nadzieją wspólnej przyszłości – to był zawsze tymczasowy układ, na początku nawet miły, tylko że ona szybko zaczęła żądać coraz więcej.

Jakby w odpowiedzi na jego myśli do gabinetu wsunęła się Raymunda.

– Wiedziałam, że cię tu znajdę – powiedziała z przekąsem. – Zdaje się, że słowo „praca” nie chodzi u ciebie w parze ze słowem „wypoczynek”... zawsze wymawiasz się pracą, gdy mamy iść na przyjęcie albo się zabawić, albo kiedy powinieneś się trochę mną zająć.

– Raymundo – odparł ze spokojem – z przyjemnością spędzałem czas tu na łodzi sam na sam z tobą. Poświęcałem ci wtedy całą uwagę.

Raymundą, ubrana w elegancki płócienny kostium i pantofle na wysokim obcasie, chodziła nerwowo po pokoju.

– Oczywiście – mówiła, nie zwracając uwagi na jego słowa – o mnie nie musisz się martwić, to znaczy, gdyby ci to w ogóle przyszło na myśl. Salty Majors był tak miły, że zaofiarował się towarzyszyć mi do Nowego Jorku. Potem pojedę z nim na regaty w Newport.

To miało być wyzwanie! Raymunda grała va banque. Uśmiechnął się w odpowiedzi.

– To bardzo uprzejmie z jego strony. Oczywiście, że martwiłbym się o ciebie, Raymundo. Nie chcę, żebyś czuła się nieszczęśliwa. Nigdy nie chciałem cię zranić. Po prostu nie wyszło nam razem, i tyle.

Raymunda wiedziała, że Fitz ma rację. Postawiła wszystko na jedną kartę – i przegrała.

Fitz wziął ją pod rękę. Wyszli na pokład. Wyładowana bagażami motorówka już

czekała przy trapie, a młody marynarz, sztywnie wyglądający w białej koszuli, szortach i nieco przekrzywionej czapce, czekał przy sterze. Raymunda zawahała się i spojrzała na Fitzę.

– Czy nie moglibyśmy spróbować jeszcze ten jeden, ostatni raz? – szepnęła.

Fitz pocałował ją delikatnie w oba policzki.

– Skończyło się, maleńka – powiedział i odsunął od niej. – Rozstańmy się jak przyjaciele, Raymundo.

Wzruszyła ramionami.

– Jak przyjaciele! – rzuciła, wsiadając do łódki. – Nigdy nie byliśmy przyjaciółmi.

Chyba ma rację, pomyślał, patrząc, jak motorówka odpływa w stronę portu.

Venetia spędziła poranek w towarzystwie Mastersa w Bridgeport, myszując po sklepikach i bazarach, podziwiając kosze zielonych i złocistych owoców tropikalnych, czerwone strączki chili i srebrzyste stopy dziwnych ryb, świeżo wyłowionych z morza. Wszędzie witały ją uśmiechnięte, wesołe twarze, więc udało jej się na jakiś czas zapomnieć o swoich problemach. Przyjechała tu do pracy i nie może zawieść Morgana – przynajmniej nie w tej dziedzinie.

Motorówka z „Fiesty” właśnie cumowała, kiedy Venetia i Masters, objuczeni zakupami, pojawili się na przystani. Raymunda wysiadła na brzeg i wydawała przez ramię polecenia młodemu załogantowi, który rozładowywał jej bagaże. Rzuciła im lodowate spojrzenie, zadarła podbródek i poszła do czekającego na nią samochodu.

– To nie dama, od razu widać – skomentował Masters. – Zdaje się, żeśmy się jej pozbyli.

Pozbyli się? Venetia podążyła za nim do motorówki. Na nabrzeżu leżał stos bagaży, które przenoszono do samochodu. Raymunda już w nim siedziała i sztywno patrzyła przed siebie. A więc zrobił to! Skończył z Raymunda i odesłał ją! Zrobił to! Ze względu na mnie!

Kolana ugięły się pod nią, gdy wsiadała do motorówki. Cekał na nią teraz – och, życie jest mimo wszystko takie piękne!

Dopłynęli do „Fiesty”, Masters pomógł Venetii rozładować zakupy i odesłał motorówkę, żeby poczekała na załoganta i przewiozła go na jacht.

Dziewczyna rozpakowywała produkty w dobrze wyposażonym kambuzie. Poprzedni kucharz zostawił sporo notatek. Zamierzała je przeczytać i zacząć się zapoznawać z wyposażeniem kuchni, ale teraz była zbyt podekscytowana. Wykąpie się pod prysznicem, przebierze i postara się oczarować Fitzę.

Fitz nie mógł się skupić. Już trzeci raz czytał ten sam akapit i nadal treść do niego nie docierała. Ze złością odłożył książkę. Dlaczego nie chce się sam przed sobą przyznać, że nie może się doczekać jej widoku, łązi z kąta w kąt jak zadurzony

uczniak, marząc, by obdarzyła go uśmiechem? Chyba oszalał – trzeba coś z tym zrobić, zanim będzie za późno i zwariuje na jej punkcie do reszty. Złapał za telefon i zadzwonił do agencji turystyczno-wędkarskiej. Wyjedzie na parę dni z Pete'em, jej właścicielem, swoim starym kumplem, zapolują na marlina albo barakudę. Musi znaleźć sobie jakieś zajęcie! W przyszłym tygodniu przyjedzie Morgan i wszystko wróci do normy.

Fitz wyjechał na trzy dni – na całe trzy dni. Dla Venetii każdy z nich był stracony. Przeżyła szok, gdy zorientowała się, że wyjechał bez słowa pożegnania, i starała się znaleźć jakieś racjonalne wytłumaczenie jego zachowania, ale zawsze dochodziła w końcu do tego samego wniosku. Fitz zamartwiał się z powodu odejścia Raymundy – może wcale się z nią nie chciał rozstać, może to ona go rzuciła. Może on w ogóle nie myślał o niej, o Venetii? Możliwość było mnóstwo, więc gdy Venetia opalała się na pokładzie albo pracowała w kuchni, pitrasząc wciąż nowe przysmaki dla załogi, cały czas dręczyła ją myśl, że może jemu wcale na niej nie zależy – po prostu pocałował ją tylko po przyjacielsku, bo uważał, że jest ładna, i był rozgrzany tańcem i winem. Mój Boże, no i co ona ma teraz zrobić?

Wrócił wreszcie, wieczorem trzeciego dnia, około dziesiątej. Upał tego dnia od rana dochodził do trzydziestu paru stopni. Powietrze było aż ciężkie od wilgoci, a cisza i bezwietrzna pogoda zapowiadały burzę.

Venetia już leżała w łóżku, kiedy usłyszała przybliżającą motorówkę. Szybko wstała, odrzuciła włosy do tyłu i wybiegła z kajuty. Ze swego punktu obserwacyjnego na górnym pokładzie widziała, jak Fitz rozmawia z Mastersem, a potem idzie do swojej kajuty, nie spojrzawszy nawet w jej stronę.

Wróciła do siebie, usiadła na koi i zaczęła się zastanawiać, co robić. Nie, jemu musi na niej zależeć. Mężczyzna nie całuje w ten sposób kobiety, na której mu nie zależy. Unikał jej ze względu na Morgana – i miał rację. Tylko że ona nie zamierzała być szlachetna. Postanowiła przejąć inicjatywę.

Pośpiesznie, żeby nie zmienić zdania, wskoczyła w obszerne szorty khaki oraz luźną białą bluzeczkę, szybkimi, niecierpliwymi ruchami przeczesła włosy i wybiegła na pokład. Zawahała się na chwilę, wróciła, rozpyliła solidną porcję perfum za uszami i między piersiami, po czym znowu skoczyła do drzwi.

Zatrzymała się na chwilę w kambuzie, złapała półmisek z zimnym kurczakiem, koszyk bułek i butelkę schłodzonego białego wina. To będzie dobra wymówka, gdyby ktoś zobaczył ją wchodzącą do kabiny Fitz'a. Idąc korytarzem słyszała muzykę, ale salon był pusty. Zapukała lekko do drzwi jego sypialni i czekała. Nikt nie odpowiedział, więc ostrożnie uchyliła drzwi. W kabinie paliło się światło, a z głośników płynęła delikatna muzyka Vivaldiego. Fitz nigdy nie włączał hałaśliwej klimatyzacji, gdy słuchał muzyki, więc zostawił okna otwarte, by wpuścić do kabiny

wilgotne nocne powietrze. Venetia usłyszała szum prysznica – niepewnie stanęła w progu, przyciskając koszyk i półmisek. A może źle postępuje? Dobrze wychowane dziewczęta nie narzucają się w ten sposób mężczyznom. Ciekawe, co by jej teraz doradziła Jenny. „W miłości zawsze trzeba ryzykować” – powiedziała im kiedyś. Ona postępuje właśnie według tej zasady.

Otworzyły się drzwi do łazienki i stanął w nich Fitz – włosy miał wilgotne i owinięty był mokrym ręcznikiem. Na morzu jego opalenizna nabrała miedzianego odcienia. Zeszczupłał i wyglądał na zmęczonego. Zauważyła siwe pasemka wśród czarnych włosów na jego piersi i głęboką bliznę na ramieniu – pewnie pozostałość po wypadku. Potem spojrzała mu w oczy.

Fitz był zadowolony z siebie. Wrócił do normy. Pete zabrał go na ryby, spędził na morzu trzy dni, co wieczór pił tyle whisky, że walił się spać jak kłoda, ale wstawał o świcie, gotów do nowych sportowych wyczynów. Wmówił sobie, że o niej zapomniał, całe to wydarzenie uznał za bzdurne i wyrzucił z pamięci – wszystkiemu winien był tropikalny wieczór i jego dawne romantyczne marzenia o Jenny Haven. A teraz Venetia stanęła w drzwiach i wszystko zaczęło się od nowa.

– Pomyślałam sobie, że pewnie jesteś głodny – wyjąkała dziewczyna, stawiając jedzenie na stole. – W końcu jestem tu kucharką, czyż nie?

– Dziękuję, Venetio.

– Właściwie, to nie do końca prawda... – podeszła bliżej i stanęła z rękami w kieszeniach obszernych szortów, jak dziecko, które coś zawiniło. Tylko że ona nie była już dzieckiem. Przez cienki materiał bluzki wyraźnie było widać twarde sutki. – Przyszłam, żeby ci powiedzieć coś zupełnie innego.

Fitz podszedł do stołu i wziął do ręki butelkę – Napijesz się ze mną wina, Venetio?

Wzięła kieliszek, próbując wyczytać z jego oczu, jak zareagował na jej niespodziewane przyjście.

– Chcesz coś przegryźć? – spytał uprzejmie. Upiła łyk wina.

– Fitz – powiedziała – Fitz... Boże, to okropne. – Odstawiła kieliszek, nerwowym ruchem przeczesła włosy i podeszła do niego. – Fitz, ja się chyba w tobie zakochałam. Nie chyba. Jestem pewna, że się w tobie zakochałam. Pewnie myślisz, że zgłupiałam, że ledwie cię znam... ale ja cię bardzo dobrze znam, czuję się tak, jakbym znała cię tak jak siebie – odetchnęła głęboko. – No, odważyłam się ci to powiedzieć.

Łzy paliły jej powieki, więc spuściła oczy i wpatrywała się w złocisty perski dywan, który pieścił jej bosc stopy jak jedwab.

Fitz chciał ją najpierw poprosić, żeby sobie poszła, chciał być łagodny i uprzejmy, ale patrzyła nań oczyma Jenny, a ustami Jenny wyznała mu miłość. To był szczyt jego marzeń. Otoczył ją ramionami i całował namiętnie jej uniesioną do

góry twarzyczkę. Całował Jenny i całował jednocześnie Venetię, te złociste piersi i delikatne różowe sutki, które przeżyły się pod dotykiem jego palców, te pachnące jasne włosy, to jedwabiste ciało. Chłopieca tęsknota za nieosiągalną kobietą z ekranu została wreszcie ugaszona jedwabistym, pieszczotliwym dotykiem ciała jej córki.

Venetia przesunęła dłońmi po plecach Fitz'a i kochała go, kochała dotyk jego ciała i mięśni pod palcami. Rozgniatał jej usta pocałunkami, piersi aż bolały od jego pieszczot, a kiedy w nią wszedł, krzyknęła z namiętności i rozkoszy, oplótła go nogami i przyciągała bliżej, coraz bliżej, aż osiągnęła niebosiężny szczyt. Słyszała, że on także coś woła, ale zatraciła się w namiętności, oszołomiona i opętana... na pewno powtarzał jej imię, a nie imię Jenny.

Obudził ją grzmot niosący się echem nad wodą. Błyskawica rozjaśniła ciemności panujące w pokoju. Zorientowała się, że jest sama. Zsunęła się z łóżka i poszła do łazienki – nie było go tam. Znalazła biały szlafrok frotte, owinęła się nim i wyszła na pokład. Fitz stał w strumieniach deszczu i patrzył na szalejący żywioł.

– Niebezpiecznie być na dworze w taką burzę – szepnęła. Odwrócił się i napotkał jej wzrok. Wyglądał dziwnie, jakby był oddalony o miliony kilometrów.

– Venetio – uniosła twarz, a on delikatnie i czule pocałował ją w usta – dziękuję.

Przez chwilę patrzyli sobie głęboko w oczy, a potem Fitz wziął ją za rękę i razem wrócili pod dach.

– Musisz się trochę przespać – powiedział. – Jest późno.

– Nie mogę zostać u ciebie?

– Zobaczymy się jutro. Idź już, zmykaj do łóżka.

Pozostał u stóp schodków wiodących na górny pokład i całował jej palce i dłoń wyślizgującą się z jego dłoni, gdy dziewczyna powoli wchodziła na stopnie. Stał tam, aż usłyszał, że zamyka drzwi do kabiny, a potem wrócił na pokład i dalej patrzył na burzę, wsłuchując się w suchy trzask gromów.

Venetia, pełna ciepła i miłości, wsunęła się do łóżka i jeszcze raz przeżywała miłosne uniesienia. Jej szczęście i piękno tego wspomnienia zakłócała tylko jedna natrętna myśl: dlaczego, kiedy powiedział „dziękuję”, zabrzmiało to jak pożegnanie? Zupełnie jakby mówił „do widzenia”.

Fitz wyjechał przed świtem. Do brzegu dopłynął małą motorówką, a potem podjechał na lotnisko i złapał pierwszy poranny samolot do Nowego Jorku.

Venetia przeczytała jego list w jasnym, realistycznym świetle słonecznego poranka. Wszystko się skończyło, między nimi nic nie było. Chciał, żeby o nim zapomniała – jest młoda i piękna, a jego poniosły zmysły. Pragnął jej podziękować, nie chciał, by poczuła się zraniona. Była taką piękną i szczodłą kochanką – on sobie nie zasłużył na coś takiego. A więc niech mu wybaczy i wymaże tę noc z pamięci, on też to zrobi. Kiedy się znów spotkają, będzie tak, jakby nic między nimi nie zaszło.

Ale dlaczego? Dlaczego? Wszystko przecież tak się idealnie ułożyło. Czyżby ze względu na Morgana? Venetia zamknęła na klucz drzwi do kabiny, rzuciła się na koje i utonęła we łzach. Boże, dlaczego życie musi być takie poplątane? Dlaczego? I dlaczego nie spotkała Fitz'a, zanim poznała Morgana?

Morgan zdziwił się, kiedy pilot należący do McBainów odrzutowca powiedział mu, że Fitz wrócił do Nowego Jorku. Myślał, że ojciec w dalszym ciągu wypoczywa na pokładzie „Fiesty”, tym bardziej że namawiał go na to doktor Walden – i to namawiał z dużym naciskiem. Fizycznie Fitz jest w świetnej formie, powiedział, ale nie sposób zrozumieć, jak człowiek w wieku czterdziestu pięciu lat może wytrzymać takie tempo na dłuższą metę. Czas nieco zwolnić, zacząć smakować uroki życia, nie można rzucać się w wir interesów na łeb, na szyję. Innymi słowy, dodał z uśmiechem, trzeba zejść do poziomu zwykłych śmiertelników. A Fitz jak zwykle robi, co chce. Swoją drogą, to dziwne, że nie zadzwonił do niego do Rio. Tak mu zależało na tych brazylijskich negocjacjach. Mniejsza o to, skontaktuje się z nim dzisiaj i powie, że już wszystko się wyjaśniło – podpisują umowę w przyszłym tygodniu, kiedy skończą papierkową robotę.

A teraz, pomyślał Morgan, mogę się wreszcie odprężyć i cieszyć towarzystwem Venetii.

Nie przysłała na lotnisko, choć był prawie pewien, że będzie tam na niego czekać. Poczul się tym trochę rozczarowany. Ale za to była na molo, siedziała na kamiennym pacholku, opalona i śliczna – właśnie taka, jak sobie wyobrażał.

– Jak miło cię tu zobaczyć – powiedział i przytulił ją do siebie. – Czułem się bez ciebie strasznie samotny... tak tęskniłem, że przywiozłem ci z pół tuzina prezentów.

– Och, Morgan...

– Co „och, Morgan”? Czy już nie można kupić paru drobiazgów dziewczynie, którą się kocha?

Spojrzała na niego pustym wzrokiem. Wszystko szło coraz gorzej i gorzej, a to ledwie początek.

– A przy okazji – powiedział, biorąc ją pod rękę i sadzając przy sobie w motorówce – panno Haven, dostaje pani urlop na tydzień. Jutro zabieram cię do najładniejszej, najbardziej zacisznej restauracji na całej wyspie. Wiem, jacy wy, szefowie kuchni, jesteście wybredni, i mogę cię zapewnić, że jedzenie będzie wyśmienite... wino też i świece też. W Bagatelle znają się na rzeczy. A potem pójdziemy na tańce.

– Bagatelle... tańce... och, Morgan... – w jej oczach malowała się bezradność.

– Tyle tylko potrafisz powiedzieć? Mówisz „och, Morgan” do faceta, który przejechał tysiące kilometrów, żeby się znaleźć przy tobie? Och, Venetio – przytulił ją znowu – czy ty się nie cieszysz z naszego spotkania tak jak ja? – Venetia prawie się

ucieszyła, ale dlatego że nie czekał na jej odpowiedź. – A jutro – szarżował dalej – udowodnię ci, że lepiej niż ty ślizgam się na nartach wodnych. Czy ty kiedykolwiek łowiłaś ryby na pełnym morzu? No to spróbujemy, jak sobie dasz radę z barakudą na końcu spinningu. I co ty na to?

Venetia roześmiała się wbrew sobie.

– Morgan, jesteś szalony. Po tak długiej podróży powinienes być chyba wykończony i mieć wszystkiego dość?

– Jestem zakochany – odpowiedział po prostu.

Próbowała przekonać go, żeby nie szli do Bagatelle, ale się uparł. Będzie jej się tam strasznie podobało, był tego pewien.

W każdym innym przypadku miałby rację, ale tego wieczoru po prostu nie mogła tam wysiedzieć. Musi mu o wszystkim powiedzieć, po prostu musi.

– Morgan – odłożyła widelec i przestała udawać, że skubie delikatne kaski latającej ryby. – Morgan, muszę ci coś powiedzieć.

– Wiem, nie smakuje ci ryba – zazartował. – Pewnie nie dorasta do twojego standardu.

Nie była w stanie się roześmiać.

– Nie, nie o to chodzi. Morgan, to poważna sprawa. Spojrzał na nią, zaskoczony.

– Dobrze, więc co cię gryzie, kochanie? Teraz trzeba wszystko wygarnąć.

– Morgan, muszę opuścić „Fiestę”. Wyjeżdżam do Londynu. Był jak ogłuszony.

– Ale dlaczego? Nie jesteś tu szczęśliwa?

– Chodzi o to, że jestem tu... w fałszywej roli. Morgan ujął jej rękę przez stół.

– Ale dlaczego, Vennie? Jesteś świetnym szefem kuchni, aż za dobrym jak na „Fiestę”. Czy mój ojciec stwarzał jakieś trudności, o to chodzi?

– Nie! Och, nie, nic z tych rzeczy – poczuła, jak zapłonęły jej policzki. Nie mogła spojrzeć mu w oczy. Nie może mu tego zrobić, nic mu nie powie o Fitzu. Byłoby to dla niego zbyt ciężkie do zniesienia, zbyt bolesne. Jest taki słodki, taki kochany. – Chodzi o to, że tu nigdy nikogo nie ma. Nie mam dla kogo gotować.

– To po prostu ciesz się życiem, kochanie. Pływaj, opalaj się, odpoczywaj. Tu jest lepiej niż w Londynie o tej porze roku, nieprawdaż? A poza tym, tu mam szansę się z tobą widywać.

– Morgan, to jest następna sprawa. Nie jestem pewna, czy powinniśmy się widywać... to znaczy, nie wiem, czy jestem odpowiednią dziewczyną dla ciebie. Nie chcę, żebyś tracił na mnie czas, który mógłbyś spędzić z kimś innym.

– Hej, poczekaj. To dla odmiany jest poważna sprawa – mocniej ścisnął jej drżącą rękę. – Co się stało? Myślałem, że między nami wszystko się układa nie najgorzej. Dlaczego parę dni spędzonych na „Fieście” tak cię odmieniło?

Venetia nic nie mówiła, wpatrywała się tylko w swój kieliszek napełniony

rubinowym winem, takim samym, jakie wtedy pili z Fitzem.

– Czy to o mnie chodzi, kochanie? Czy nie czujesz się przy mnie bezpiecznie? A może jesteś osamotniona? Nie chciałem... Zależało mi, żebyś miała dużo czasu, żebyś się przyzwyczaiła do mojego ciągłego podróżowania. Jeśli za mnie wyjdiesz, będziesz musiała nauczyć się z tym żyć.

Venetia podniosła dłoń i położyła mu ją na ustach. Wiedziała, co Morgan chce powiedzieć – miesiąc temu skakałaby z radości z tego powodu. Miesiąc temu, pomyślała, byłam jeszcze dzieckiem.

– Morgan, przestań. Proszę cię, przestań.

Łzy potoczyły się po jej policzkach, wytarła je szybkim ruchem ręki.

– No, Vennie, uspokój się, kochana.

Morgan był taki słodki, dobry i troskliwy – i taki przystojny. Każda dziewczyna oddałaby wszystko, by zdobyć jego miłość. Każda, tylko nie ona.

– Może za bardzo się pośpieszyłem, Vennie. Przepraszam. Chcę dać ci dużo czasu, jesteś jeszcze taka młoda.

Venetia rozpaczliwie chwyciła się tego słowa, jak tonący brzytwy.

– Tak, to jeden z powodów. Morgan, ja jestem jeszcze za młoda na małżeństwo. Za młoda, by przyjąć tę odpowiedzialność. Dlatego właśnie powinnam opuścić „Fiestę” i być dalej od ciebie. Nie chcę cię oszukiwać. Widzisz, może ja nigdy nie będę chciała wyjść za mąż... nigdy, rozumiesz, Morgan?

Poprawił się na krześle. Wszystkiego by się spodziewał, ale nie takich słów. Venetia przeżywała ogromny stres i czuła się zagubiona. Może za bardzo się pośpieszył, może był zbyt niecierpliwy?

– Uspokój się, kochanie – powiedział kojącym tonem. – Słuchaj, nie musisz przede mną uciekać. Obiecuję, że nie będę natrętny, nie będę nic robił na siłę. Jak chcesz, to jutro wyjadę. Posiedzisz tu sobie sama i będziesz miała czas wszystko przemyśleć. Czy jest na to lepsze miejsce niż „Fiesta”? Vennie, nie wyjeżdżaj, proszę cię. Jeśli wyjedziesz, poczuje, że cię straciłem na zawsze. Zostaniesz?

Powinna wyjechać jak najszybciej, wiedziała to.

– Vennie, proszę cię, zostań.

„Vennie”. Pamiętała, jak Fitz powtarzał jej imię w miłosnym uniesieniu. Tej nocy kochał ją, była tego pewna, a jeśli opuści teraz „Fiestę”, to nigdy więcej go już nie zobaczy i wszystko między nimi się skończy. Jeśli zostanie, Fitz w końcu wróci na jacht, nie może przecież wiecznie trzymać się z dala. Będzie musiał się z nią zobaczyć – a więc jest cień szansy, że zmieni zdanie.

– Dobrze, Morgan, zostanę – na jego twarzy odmalowała się ulga. – Ale...

– Wiem, wiem – odparł. – „Ale”. Zgadzam się tymczasowo na to „ale”. Umowa stoi?

Z powagą uścisnęli sobie ręce.

– Umowa stoi – odrzekła.

Ty Judaszu, powiedziała sama do siebie.

16.

Zdaniem Stana, George V był najlepszym hotelem w Paryżu. Reubin rozumiał tych, którzy woleli zatrzymywać się w Lancasterze, ale tam panowała zbyt sztywna atmosfera, jak na jego gust. W George'u zawsze coś się działo, ciągle zdarzało się coś nowego – trochę jak w Sherry Netherland w Nowym Jorku, jego „drugim domu”, gdzie stale się zatrzymywał. Właściwie, gdyby nie Jessie, mógłby mieszkać w Sherry i byłby bardzo szczęśliwy, naprawdę bardzo szczęśliwy. Hotel świetnie położony, wygodny, posiłki w pokoju, wieczorem spotkania w barze ze znajomymi z Los Angeles, a więc perspektywa dobrej zabawy – czego jeszcze chcieć?

– Jessie? – zawołał – chcę zadzwonić do Paris Haven. Porozmawiasz z nią?

W sypialni Jessie przymierzała kupioną poprzedniego dnia kreację od Diora, którą właśnie dostarczono jej do numeru – włoży ją dziś na kolację.

– Do jakiej Paris?

– Haven... wiesz, do córki Jenny.

– Aha. Do tej Paris. Jasne, przywitam się... Zaraz, zaraz, Stan, czy ty chcesz ją dzisiaj zabrać na kolację?

– No wiesz, obiecałem tej małej, kiedy była w Los Angeles, że zabiorę ją na kolację... ona pewnie bardzo na to liczy, Jessie.

Jessie była wściekła. Po pierwsze, nigdy nie przepadała za Jenny, a po drugie nie chciała iść do Lasserre w towarzystwie Paris Haven, która była zbyt francuska i zbyt wymuskana jak na jej gust.

– Zaprosiłam Johnsonów – warknęła. – Mieszkają w Ritzu, spotkałam ich dziś u Givenchy. Nie chcę, żeby Paris się koło nas pętała z ponurą miną. Pewnie będzie chciała rozmawiać tylko o matce.

– Gówno prawda – odparł Stan, podniósł słuchawkę i zdumiewająco dobrą francuszczyzną zamówił rozmowę.

Zapalił cygaro i czekał, a Jessie gotowała się ze złości. Smród tych cygar zawsze przenika cały pokój.

Paris wyglądała pięknie. Była chuda jak wieszak, romantycznie blada, a krótko ostrzyżone włosy podkreślały śliczny owal jej oblicza. Tak, z chudością było jej do twarzy, ale z wycieńczeniem z głodu – zdecydowanie nie. Bieda zajrzała Paris w oczy po klęsce pokazu, gdy jej ambicje legły w gruzach, a konto w banku stało się zerowe. I to nie tylko jej konto: straciła także pieniądze sióstr. Gdyby nie poczucie odpowiedzialności, które nakazywało jej spłacić dług wobec nich, może by się nawet tamtej nocy zabiła – szczególnie że nie zadzwoniła Olympe. Olympe była jedynym jasnym akcentem tego ponurego wieczoru, jedynym pomostem między klęską i szansą na sukces. Znała przecież wszystkich: ludzie ze świata mody słuchali jej rad,

szanowali jej zdanie. Kiedy Didi powiedział, że Olympe przyszła na pokaz, widziała jego końcówkę i powiedziała, że jest fantastyczny, Paris zaczęła mieć nadzieję, że sławna modelka jej pomoże. Szczególnie po tamtej nocy. Zadrzała na samo wspomnienie... Lepiej o tym zapomnieć, ale przecież każdy ma coś, czego się wstydzi całe życie, powtarzała sobie, kiedy myślała o tamtych chwilach, zwykle w środku nocy, leżąc samotnie w łóżku i nie mogąc zasnąć.

Zmęczona wspinała się po schodach na poddasze. Modelki miały dziś ciężki dzień. Praca u Mitsoko była jedyną możliwością, gdy okazało się, że projektowanie jest nie dla niej. Cała ironia tkwiła w tym, że to Mitsoko dał jej pracę, a jednocześnie to on był odpowiedzialny za jej klęskę – a może i tak by przegrała? Wsunęła klucz w zamek, nie przestając myśleć o swoim pracodawcy. To na jego polecenie obcięła włosy – wszystkie musiały to zrobić, takie uczesanie proponował na wiosnę. Zamknęła drzwi, rzuciła torbę na stół rysunkowy, gdzie zamiast projektów leżały teraz książki i czasopisma, i podniosła z podłogi białego kotka, który wybiegł jej na powitanie, miaucząc, jakby chciał powiedzieć coś ważnego. Dostała go na pocieszenie od Didiego.

– Oczywiście, malutka – zamruczała w ciepłe futerko i przytuliła zwierzątko do siebie; teraz przynajmniej miała do kogo wracać.

Jedyną satysfakcją z całej tej historii z Mitsoko było to, że Finola mimo uprzywilejowanej gwiazdorskiej pozycji w zespole też musiała dostosować się do polecenia szefa i obcięła włosy. Bez rozwianej blond grzywy wyglądała niczym przerośnięta uczennica, a rysy miała równie oryginalne jak Barbie – cała ekspresja zniknęła z jej twarzy. A Mitsoko pragnął ekspresji: eleganckich cienkich nosów, długich szyj, wyrazistych ust, ostro zarysowanych policzków – chciał widzieć kości, a tu nagle się okazało, że twarz Finoli jest ich pozbawiona. Od tego czasu ani razu jej nie zatrudnił – a wyhodowanie z powrotem takiej grzywy zajmuje bardzo, bardzo dużo czasu...

Paris ucałowała kota w czubek białego łebka, wyjęła z torby kawałek kurczaka, zaniósła go do kącika kuchennego i pokroiła na małe kawałeczki, by nakarmić swojego głodnego przyjaciela.

– No, masz, Alicjo – postawiła miskę na podłodze, a kotka przycupnęła i jadła z apetytem.

Trudno powiedzieć, dlaczego nazwalają Alicją, chyba ze względu na Alicję w Krainie Czarów, gdzie też był jakiś kot – Jenny kiedyś czytała im tę książkę i wszystkim trzem strasznie się ona podobała. Paris nie chciała myśleć o Jenny, nie ma sensu na nowo rozpamiętywać tego wszystkiego. Przynajmniej nauczyłam się realistycznie patrzeć w przyszłość, a nie rozpaczać z powodu przeszłości, pomyślała, zrzucając buty i nalewając sobie kieliszek białego wina z lodówki.

Zadzwonil telefon. To moze byc albo Didi, ktory co wieczor meldowal sie, zeby z nia chwile pogadac i upewnic sie, ze wszystko w porzadku, albo Alain Marcus, mlody i utalentowany fotograf – obiecala, ze bedzie mu towarzyszyc na otwarciu galerii i moze pozniej na kolacji.

– Paris? No jak sie czujesz, starszko?

Glos Stana Reubina podzialal na nia jak kropelki lodowatej wody splywajace wzdluz kregoslupa. Nie spodziewala sie, ze tego wieczoru dopadnie ja przeszlosc pod postacią prawnika matki i przez chwile poddala sie przygnębieniu.

– Stan? Dziękuję, świetnie.

– To fantastycznie. Słuchaj, przyjechaliśmy tu razem z Jessie i przypomniałem sobie, że obiecałem ci kolację w Lasserre. No więc dziś spotka cię to szczęście, Paris. Włóż co tam masz najlepszego, zbieraj się i przyjeżdżaj. Jesteśmy tu, w George Cinq, i czekamy, żeby ci zafundować najlepszą kolację, jaką w życiu jadłaś – rozanielony Stan zaciągnął się cygarem. Zawsze lubił dotrzymywać obietnic.

Paris milczała, walcząc ze wzbierającym gniewem – dlaczego to wszystko jej się przytrafiło? Dlaczego poniosła porażkę? Buntowała się przeciwko powodowi tej porażki i przeciwko sposobowi, w jaki Bill i Stan potraktowali ją i jej siostry. Ukrywała ten gniew starannie i długo, ale w końcu nie była w stanie go pohamować i wyładowała się na prawniku. Mówiła spokojnie, cichym, równym tonem:

– Słuchaj, ty skórkowany złodziejaszku, jeśli myślisz, że fundujesz mi straszną frajdę, bo chcesz zabrać mnie do drogiej restauracji i postawić mi kolację za pieniądze mojej matki, to się bardzo mylisz. Zarobiłeś na Jenny tyle forsy, że do końca życia będziesz za nią mógł dostatnio żyć, a jak sprawy zaczęły się trochę komplikować, puściłeś ją w trąbę. Miałeś w dupie i ją, i nas. Twoim zadaniem było powstrzymać ją od popełniania błędów... jesteś przecież Stan Reubin, najcwańszy prawnik z Beverly Hills, może nie? Więc dlaczego taki cwany prawnik nie zauważył, że jego klientkę ktoś oskubuje z pieniędzy, i nie zrobił najmniejszego ruchu, żeby zatroszczyć się o nią i o jej własność? Miałeś nas wtedy wszystkie w nosie, co, Stan? Wątpię, czy pomyślałeś o nas chociaż raz – do momentu gdy Jenny umarła, bo wtedy musiałeś. Na rękę ci była ta śmierć, co, Stan? Ciekawe, co by się stało, gdyby matka żyła dalej? Pewnie trzeba by było złożyć jakieś wyjaśnienia, he? I to publiczne wyjaśnienia! Wiesz, że ona kochała występy publiczne!

Stanowi opadła szczęka, zgasło też cygaro w zeszywniałych palcach. Jessie przyglądała mu się ze zdumieniem.

Co za diabeł wstąpił w tę dziewczynę, zastanawiał się, kiedy ostre słowa, jedno za drugim, docierały do jego uszu. Groziła mu, groziła procesem sądowym – chce mu wytoczyć proces w imieniu sióstr! Jezu Chryste! Stan z trudem przełknął ślinę.

– Słuchaj, Paris, wiem, że jesteś trochę przygnębiona...

A ona znowu swoje. Czyżby się czegoś dowiedziała? Ale w jaki sposób? Nie, to niemożliwe.

– No już, Paris, daj spokój, zjemy razem kolację i porozmawiamy. Stale jeszcze to przeżywasz.

Paris poczuła się lepiej; raz w życiu ona wygrywa, a potężny przeciwnik się poddaje. Zaraz, zaraz, w momencie kiedy zagroziła procesem, on nagle się ożywił i starał się ją ułagodzić. A może powinna wytoczyć sprawę, może ten skurczybyk naprawdę coś ukrywa?

– To dotyczy także Billa Kaufmanna – podniosła głos z emocji. – Proszę się spodziewać procesu, panie Reubin. A tak przy okazji, może pan powtórzyć Jessie, że jutro w Chloe jest wyprzedaż – może tam iść i przepuścić parę tysiączków należących do Jenny, póki jeszcze je macie!

Rzuciła słuchawką i pociągnęła łyk wina. Boże, jak jej to dobrze zrobiło, od dawna się tak nie czuła.

Lasserre w zupełności zasługiwała na wszystkie pochwały, które o niej słyszeli. Taka właśnie powinna być dobra restauracja, pomyślał Stan, powoli smakując pasztet z gęsich wątróbek podany z winogronami. Więc dlaczego nie czuje się tu tak dobrze, jak powinien? Jessie z zapalem gawędziła z Johnsonami – miłym małżeństwem z Nowego Jorku – z którymi Stan od czasu do czasu spotykał się na gruncie zawodowym. Frank Johnson zadziwił go nieco stwierdzeniem, że właśnie w tej restauracji należy zamawiać kaczkę.

– Wszystkie kaczki są tu numerowane – powtarzał – jak butelki dobrego wina. Czy to nie fantastyczna sprawa?

Stan próbował mu wytłumaczyć, że kaczka to nie specjalność Lasserre, lecz Tour d'Argent, ale Frank się uparł. Stan poddał się bez walki i w rezultacie wszyscy musieli zamówić to cholerne ptaszysko.

Tego wieczora nie był w bojowym nastroju, pozwolił Jessie i Frankowi prowadzić rozmowę, a sam się nie mieszał. Jezu, ta mała Haven go zdenerwowała, naprawdę; ona jemu grozi procesem! Czy to się mieści w głowie? Oczywiście nie zrobi tego, nie będzie jej na to stać. Ciekawe, czy jest na tyle cwana, żeby iść z tą sprawą do jakiejś wielkiej kancelarii prawniczej i zatrudnić kogoś na procent od uzyskanej rekompensaty. To byłby głośny proces, podpowiadało mu prawnicze doświadczenie. Nawet jeśli nie wygra, to zniszczy jego reputację. Po powrocie trzeba koniecznie zadzwonić do Billa. Stan pociągnął następny łyk Meursault, które zamówił do pasztetu – tak, dobre winko. Bez sensu, powiedział sobie, nie wiadomo dlaczego przejmuję się jakąś tam Paris Haven. Z moją pozycją? Poradzę z nią sobie jednym palcem u nogi. Psiakrew, mam się dobrze bawić, przyjechałem tu z tak daleka dla przyjemności!

Kelner przyniósł kaczkę, ale Stan odsunął tacę.

– Nie chcę tego. Zmieniłem zdanie. Wolę przepiórkę.

– Ależ, Stan – zaprotestowała Jessie – my chcemy jeść. Będziemy czekać godzinami na nowe zamówienie.

– Piętnaście minut, madame – sprostował kelner.

– W porządku – Stan poprawił się w fotelu i wymacał w kieszeni pudełko z cygarami. – Jedzcie swoją kaczkę, ja poczekam na przepiórkę. A potem pewnie wszyscy chętnie spróbujemy mrożonego musu z mango – mrugnął do pani Johnson. – Obiecuję, że będzie wam smakował, trochę was ochłodzi po tej „płonącej” kacce.

Do chwili gdy kelner zrealizował zamówienie, Stan opróżnił dwa kieliszki Leoville Las Cases. Przepiórki i pasztet, ułożone na grzance, pachniały zachęcająco.

– Jesz dwa razy pasztet – skarciła go Jessie, przyjrzawszy się podanej potrawie.

– No to co? – odpowiedział Stan i zabrał się do jedzenia. – Umieram z głodu.

Skończywszy kaczkę – Jessie w myśli przyznała rację mężowi: trzeba było zamówić coś innego – popijali wino i przyglądali się, jak Stan je ze smakiem. Nagle jego twarz spurpurowiała i zaczął ciężko dyszeć, jakby zaczęło mu brakować powietrza – po chwili już nie żył.

17.

Wejście w środowisko, w którym obracał się Rory Grant, zajęło Ronsonowi mniej czasu, niż się spodziewał; właściwie niewiele było trzeba, żeby się tam wkupić: odpowiednie ubranie, odpowiedni samochód, niewyczerpany strumień pieniędzy w kieszeni i nazwisko dobrego handlarza narkotyków.

Rory był w zasadzie prostoduszny – jego umysłowe zalety pozostawały daleko w tyle za fizycznymi – i z natury przyjacielski. I nie zadawał pytań. Oświadczałeś, że masz takich, a takich znajomych, którzy z kolei mają innych znajomych, bywałeś odpowiednio często we właściwych miejscach, a on natychmiast traktował cię jak starego znajomego. Ten facet jest naprawdę tak wysportowany jak postać, którą gra w serialu, myślał Bob, zawiązując sznurowadła sportowych butów przed meczem tenisowym. Rory miał ciało atlety i rzeczywiście był wysportowany – na pewno dołoży Bobowi na korcie. Grant poruszał się z kocią lekkością, czy to w tańcu, czy na spacerze, a dzięki prostodusznemu wyrazowi twarzy i szczeremu uśmiechowi zawsze wyglądał jak naiwny, uroczy chłopak. To znaczy, do momentu kiedy nie przyćpał za mocno, bo wtedy popadał w obłąd. Ataki zawsze przychodziły niespodziewanie – starzy przyjaciele w jednej chwili zmieniali się we wrogów, Rory oskarżał pracowników w studio o szpiegowanie albo spiskowanie przeciw niemu, jego błękitne oczy zwężyły się i rzucały niespokojne spojrzenia na boki, szukając wrogów, wyimaginowanych, a nowi przyjaciele byli obdarzani największym zaufaniem. Uzależnienie aktora od kokainy bardzo ułatwiło Ronsonowi zadanie.

Złapał torbę tenisową od Gucciego i sprawdził, czy wszystko spakował: rakietę, ręcznik, daszek przeciwsłoneczny, czysta koszulka, szorty, a między nimi malutka, ładnie zapakowana paczuszka. Nadszedł czas, by się wziąć za Granta.

– Ekstra gra, Bob – zawołał Rory, podbiegając do siatki, by wymienić z przyjacielem uścisk dłoni.

Bob pochwalił go w myśli za to, że nie przeskoczył przez siatkę.

– Ograłeś mnie z rękami w kieszeni – uśmiechnął się szeroko – nie mam z tobą szans, Rory.

– Po prostu musisz więcej ćwiczyć, to wszystko – Rory wycierał spocone włosy ręcznikiem. Usiedli na chwilę na ławce przy korcie, by złapać oddech po meczu. – Idziemy popływać dla ochłody?

– Chyba pójdę do klubu i rozgrzeję w saunie moje zbolące mięśnie – Bob wsadził raketę do torby i zapiął suwak. – Masz jakieś plany na wieczór?

– Nic specjalnego, może byś wpadł? Zadzwonimy po dziewczyny i zrobimy małą imprezkę.

– Fajnie. O, właśnie – Bob znowu rozpiął torbę – mam coś dla ciebie. Powiesz mi

dziś wieczór, jak ci się podobało.

Wstał, zarzucił na ramiona biały sweter, z równą swobodą jak Rory, i uśmiechając się poszedł do wyjścia.

– Hej! – zawołał Rory i z wyrazem zadowolenia na twarzy zaczął oglądać ślicznie zapakowaną, przewiązaną wstążką paczuszkę. – Hej, to naprawdę miło z twojej strony. Co to jest?

Bob pomachał mu ręką.

– Otwórz i sam zobacz! – odkrzyknął.

Cholera, myślał Rory, nikt jeszcze nie dał mu żadnego prezentu ot tak sobie; to, co dostaje na Gwiazdkę, to nie są przecież prezenty, tylko łapówki od ludzi, którzy na nim zarabiają pieniądze. Rozdarł opakowanie i gapił się na fiolkę pełną białego proszku. Chyba ze trzy deko! Aż gwizdnął ze zdumienia. Cholera, ten Bob to dopiero facet – zakład, że to dobra koka. Pewnie najlepsza. Wsadził fiolkę do kieszeni i poszedł na parking, do czarnego ferrari. Ten Bob to porządny gość i dobry kumpel. Dziś się naprawdę nieźle zabawią. Już ja się o to postaram, pomyślał, zadzwonię do Margie – nie widziałem jej od lat – i może do Joannę... tak, tak będzie dobrze. Z radosnym uśmiechem rzucił torbę na tylne siedzenie i wsiadł do samochodu. Czy facetowi trzeba do szczęścia coś więcej niż dobry samochód i parę deko proszku?, pomyślał i nacisnął pedał gazu.

Siedzieli we czwórce na poduszkach wokół wielkiej płyty z czarnego marmuru wspartej na czterech kamiennych lwach, która zastępował Rory'emu stół. Wielkie weneckie okna wychodzące na małą werandkę z widokiem na plażę i przystań w Newport były teraz zamknięte, bo nadciągająca mgła przyniosła nagły spadek temperatury. Światło było tak przyćmione, że ledwie mogli dojrzeć swoje twarze. Wszyscy popijali białe wino z olbrzymich kryształowych kielichów i od czasu do czasu zaciągali się białym proszkiem podanym jak kawior na srebrnej miseczce obłożonej dwudziestodolarowymi banknotami – Rory zawsze twierdził, że tak jest elegancko. Zaciągali się wszyscy – z wyjątkiem Boba.

Margie była już na haju. Leżała wsparta na poduszkach, a wyraz jej ładnej dziewczęcej twarzyczki stał się oziębiały. Oczy dziewczyny błyszczały, a z ust płynął nieprzerwany potok bezsensownych słów. Miała świeżą cerę, proste blond włosy uczesane starannie w warkoczyki, nosiła koszulę od Ralpa Laurena i modne dzinsy. Ma chyba jakichś rodziców, myślał smutno Bob, pewnie miłych porządnym ludzi z Encino, którzy starali się dać jej wszystko – karty kredytowe na niedzielne zakupy w Galerii, samochód na szesnaste urodziny, bo wszystkie dzieciaki wokół też miały samochody, inaczej mamusie musiałyby je wozić do szkoły, a to byłby problem! Margie miała dużo swobody, ale do niej nie dorosła.

Joannę dołała wszystkim wino i zaciągnęła się marlboro. Była w zupełnie innym

typie, starsza, miała chyba ze dwadzieścia cztery lata. Powiedziała mu, że jest aktorką i traktuje to poważnie. W przyszłym tygodniu wyjeżdża z tego zadupia i wraca do Nowego Jorku grać Szekspira w Central Parku przez cały letni sezon. Woli rolę niani Julii niż drugo – i trzecioplanowe rólki w serialach telewizyjnych, które przemijały tak szybko, że oprócz samych zainteresowanych nikt ich nie zauważał. Do kinowych filmów trzeba mieć większą siłę przebicia. Jest zwykłą aktorką z Broadwayu i wie, czego chce: światła rampy i braw.

– Rzeczywiście, tego chcę – powiedziała z naciskiem. – Mam dosyć tutejszych brudów i fałszu, Rory. Ach, tobie to odpowiada ty jesteś inny, jakby stworzony do pokazywania się na ekranie! Moja twarz nie jest taka fotogeniczna, jest zbyt niesymetryczna.

– A ty, Bob – Rory przygotował fachowo cztery porcje koki – czym się zajmujesz?

Bob wzruszył ramionami:

– Niczym specjalnym. Rodzina ma różne firmy tekstylne na Wschodzie, chcieli, żebym tu rozkręcił ich interesy, ale mam za dużo pokus – uśmiechnął się szeroko. – Marnuję za dużo czasu na grę w tenisa z takimi jak ty i za często chodzę na przyjęcia. Muszę się jednak sprężyć, bo zaczną się mnie w końcu czepiać.

– Jeśli z tego są pieniądze, to trzeba się brać za robotę – powiedział Rory, podając Margie działkę. – Uwierz mi, sam byłem kiedyś biedny i mogę cię zapewnić, że to żadna przyjemność.

– Co, znowu czas na historyjkę o tym, jak to Rory był biedakiem? – spytała beczelnie Margie. Zaciągnęła się i wybuchnęła śmiechem na widok złości w oczach aktora. – Ty nigdy nie byłeś w biedzie – powiedziała i pogłaskała go po policzku. – Zawsze trafiała się jakaś starsza pani i troszczyła się, żebyś przypadkiem nie przymierał głodem. Na przykład Jenny.

– Gówno prawda! – w zwięzonych oczach Rory'ego lśnił gniew. – I ani słowa o Jenny.

– A co? Czujesz się winny? – Śmiech dziewczyny dźwięczał jak sypiące się po podłodze perełki, a Bob z zainteresowaniem obserwował narastającą furię Rory'ego.

– Spokój tam, wy dwoje, przestańcie się handryczyć. Lepiej podajcie mi proszek – Joannę zaciągnęła się i przekazała miseczkę Bobowi. Bob ostrożnie popchnął ją po marmurowym blacie w stronę Rory'ego.

– Słuchaj, Bob, a ty czego nie bierzesz? Kupujesz mi najlepszy sort, ale jeszcze nie widziałem, żebyś sam go tknął – nagle go olśniło i Rory z przerażeniem popatrzył na Boba. – Słuchaj no ty – pochylił się nad nim i ściszył głos – nie ćpasz przypadkiem czegoś innego... no wiesz, tych twardych?

Bob wzruszył ramionami i popatrzył na niego.

– Jezu, Bob, źle robisz, to cię może zabić! Daj spokój, stary, to nie dla ciebie. Trzeba wyznaczyć sobie granicę... to jest jedyny bezpieczny proch, wszystkie inne wysuszą ci mózg i rozwalą całe ciało. Popatrz na nas, Bob, jesteśmy trochę na haju, w dobrym humorku, i tyle.

– A oczyszczana koka?

– Właśnie, co z tym? – zaśmiała się Margie, rozciągnięta w poprzek poduszek.

– No wiesz, już tego nie biorę, od...

– Od października? – spytała Margie sennym głosem.

– Zamknij się, Margie, bo odeślę cię do domu – postraszył ją Rory.

Zachichotała i ucichła.

– Umieram z głodu – stwierdził Bob. – Może byśmy coś zjedli?

– Popieram – Joannę zaczęła szukać torebki po podłodze – też jestem głodna.

– Chodźmy do La Scali – Rory nie czekając na ich reakcję złapał za telefon.

Lubił La Scalę, na pewno dostaną stolik – restaurator wie, jak należy traktować Rory'ego Granta, a poza tym ma prawo wypisać czek na rachunek studia. No i może tam być ktoś ważny, a on, Rory, powinien się pokazywać w różnych miejscach. Ale nie z Margie, mała wygląda jak naćpana kukła.

– Ty zostajesz tutaj – oświadczył. – Przywieziemy ci pizzę, jak wrócimy.

Margie poturlała się po podłodze w stronę stereo; ryknęła muzyka.

– Nie ma sprawy – oświadczyła – pod warunkiem że zostawicie mi to – wsadziła palec w srebrną miseczkę i oblizała go z błogim uśmiechem.

– Margie przegina – mrucał z niezadowoleniem Rory, gdy wsiadali do ferrari. – Muszę się jej pozbyć. Odeślę ją z powrotem do Valley.

Śmiali się jeszcze, gdy samochód pędził przez mgłę w kierunku bulwaru Santa Monica.

Margie siedziała w zacisznym kącie kawiarenki Du Par na bulwarze Ventura i pochłaniała spiętrzony na jej talerzu stos racuchów pływających w maśle i syropie klonowym. Podwójna porcja boczku i koktajl truskawkowy uzupełniały jej lekki wieczorny posiłek, a Bob odwracał głowę, żeby nie patrzeć, jak dziewczyna bierze w palce paski boczku, zanurza je w syropie i pochłania z pogodnym wyrazem twarzy.

– Nawet nie czułam, że umieram z głodu – mówiła zadowolona. – Ten łajza Rory powinien pamiętać o mojej pizzy.

– Jest zapracowany – odparł Bob – nie może o wszystkim pamiętać.

– No. Pewnie masz rację – jej śmiech zadźwięczał w całej sali, w której panował duży tłok, jak na tę porę nocy. Przychodzili tu zwykle po ostatnich seansach kinomani i zmęczeni samotnicy, by wypić filiżankę kawy, przegryźć kanapkę albo właśnie racucha. – Moim zdaniem on zapomina o różnych rzeczach tylko wtedy, kiedy mu na tym zależy – odparła, chrupiąc drugi plasterek boczku i podając Bobowi talerz

z trzecim. – Masz, spróbuj, to dobre.

Bob przełożył boczek na swój talerz, obok nie tkniętej szarlotki, którą zamierzał wepchnąć w Margie – w charakterze deseru. Chciał zatrzymać tu dziewczynę tak długo, jak tylko się da. Była na tyle naćpana, żeby mleć językiem bez zastanowienia, ale powoli przytomniała. Gdy ją tu przywiózł od Rory’ego, była zupełnie bezwolna.

– Jak to zapomina, kiedy mu na tym zależy?

Margie lepkimi palcami odrzuciła do tyłu blond warkoczyki i dobrała się do następnego racucha.

– No wiesz... kiedy mu z tym wygodnie.

– Na przykład? – podrzucił.

– No, jak z tą dzisiejszą pizzą... wcale o niej nie zapomniał, chciał mnie tylko ukarać za wzmiankę o Jenny. Jest strasznie wrażliwy na jej punkcie, szczególnie od kiedy...

Margie wsadziła do ust duży kawał racucha, żuła i zastanawiała się.

– Znaczy dlatego że był z nią tamtej nocy? – zablefował Bob, żeby zobaczyć, jak zareaguje.

Dziewczyna przestała żuć i wpatrywała się w niego ze zdumieniem.

– Znaczy powiedział ci to? Bob wzruszył ramionami:

– Jesteśmy kumple.

Margie przypomniała sobie o kokainie.

– No jasne, jasne. Nie wiem, co między nimi zaszło, ale wrócił kompletnie skasowany. Jechał do niej porządnie zaćpany, ale kiedy wrócił, był przytomny jak cholera.

Zaśmiała się na to wspomnienie.

– O której to było? – spytał, podsuwając jej szarlotkę. – Pewnie około wpół do czwartej?

– No, pewnie jakoś tak... pamiętam, że dzwoniła około wpół do pierwszej, bo byłam na nią wściekła. Tak było ekstra, aż tu Rory wstaje i mówi, że musi do niej jechać – siorbała koktajl przez przygryzioną słomkę. – Kurwa, wiesz jak ja się wtedy poczułam? Byliśmy w łóżku, a on nagle wstaje i idzie na spotkanie z jakąś starą babą! Jezu, Bob, w dodatku pojechał moim samochodem... powiedział, że jego ferrari zbyt łatwo rozpoznać. Myślałam, że właśnie po to sobie kupił tę maszynkę.

Prawda przemawia przez usta dziecięcia, pomyślał Bob, i poprosił o rachunek. Margie powiedziała mu wystarczająco dużo. Teraz wiedział, jak podejść Rory’ego.

– Chodź – rzucił, sięgając do kieszeni po kluczyki – zawiozę cię do domu. Chyba musisz trochę odpocząć.

– Do domu? – oczy Margie ze zgorzeniem wpatrywały się w niego spod dziecięcej grzywki. – A ja myślałam...

– Daj spokój – odparł i skierował się do drzwi – wolę starsze kobiety.

– Aha.

Margie wzięła torebkę i szybko wyszła za nim. Do domu! A jest dopiero wpół do drugiej. Boże, ale nudna noc! A tak się dobrze zapowiadała.

18.

Wioska Marina di Montefiore była położona w Kampanii, w skalistej zatoczce między piaszczystą plażą na południu a małym naturalnym portem na północy. Cienka wstążka szosy wspinała się z wioski na porośnięte sosnami i kasztanowcami wzgórze, łącząc ją z widoczną w dali główną autostradą nadmorską. Ten cichy zakątek był zbyt odległy dla wycieczek grupowych i indywidualnych turystów. Tylko nieliczni szczęściarze, którzy zdołali wypatrzeć z drogi przepiękną piaszczystą zatokę, rybackie łódki w porcie, wyblakłe żółtawe ściany i czerwoną dachówkę starodawnego pałacu, co przycupnął na szczycie wzgórza, jakby wpatrzony w morze, albo ci, których ciekawość przygnała tu zdradliwą wąską drogą, mogli w spokoju odkrywać uroki tego miejsca.

India od pierwszego wejrzenia zakochała się w tej wiosce. Czas stał tu w miejscu, a ocieniony drzewami rynek, fontanna i stare bielone wapnem rybackie domki były takie jak przed wiekami. Dziewczyna pokochała chłodny półmrok i intensywny zapach małych sklepików, gdzie sprzedawano salami, kiełbasę, wina, sery i świeży chleb, lubiła też zaglądać do salonu mody, który od początku tego stulecia nie zmienił wystroju. Były tu przepiękne kapelusze plecione ze słomy o kremowozłotym odcieniu. Kilka z nich leżało na półkach od sześćdziesięciu lat. Te dla pań zdołyły pęki powiewających wstążek, męskie – szeroka taśma. Na zapleczu stały przeszklone gabloty pełne bielizny: olbrzymich białych i różowych majtek z elastycznym klinem, koszulek – burasów z pogniecionej bawełny, przeznaczonych na solidne biusty, i całe półki czarnych nylonowych rajstop – obowiązkowy element stroju wszystkich kobiet we wsi, nawet w najgorętsze dni. Tylko przyjezdni i dzieci nie zasłaniali nóg. W błękitnozielonym cieniu pod arkadami kryły się stoliczki licznych kafejek, wszystkie poprzykrywane czerwoną ceratą, każdy z obowiązkową popielniczką reklamującą Cinzano. Rybacy pospołu z turystami popijali cappuccino i piwo Peroni, rozkoszując się słońcem i spokojem.

Kłopot w tym, pomyślała India, że miłość zawsze jest pułapką – niezależnie od tego, czy pokocha się jakieś miejsce, czy osobę. Zaparkowała fiacika w cieniu przy fontannie i niespiesznie poszła w stronę kafejki Ricardi. W ciągu miesiąca spędzonego w Marina di Montefiore India przyzwyczaiła się wpadać tu codziennie na poranną kawę i kromkę chrupiącej bułki maczanej w oliwie, smażonej na gorącej patelni, a potem smarowanej pastą anchois. Było to jednocześnie jej pierwsze i drugie śniadanie, i jedna z atrakcji dnia. Możecie sobie zabrać wszystkie wasze fikuśne francuskie restauracje, myślała, wgrzyzając się z apetytem w bułkę, mnie tam wystarcza moja kafejka.

Rybacy przy stoliku obok kiwnęli głowami na powitanie. Przysłuchiwała się ich

rozmowie o prognozie rybackiej, o tym, jaka jest pogoda dalej na północy i czy dziś w nocy jest szansa złapać homara. Czula się tu jak w domu, chociaż nikogo nie знаła osobiście. Nagle zdała sobie sprawę, że jest tu szczęśliwa i nie przypomina sobie, żeby kiedykolwiek przedtem było jej tak dobrze. Po przyjeździe do Palazzo Montefiore dowiedziała się, że Aldo Montefiore wyjechał w sprawach rodzinnych do Mediolanu. Miał wrócić w tygodniu, ale do tej pory się nie pojawił. Indię przywitała jego matka, Paola, contessa di Montefiore, drobna, delikatna dama, której głęboki, donośny głos szokował wszystkich, co spotykali ją po raz pierwszy.

– Czuj się tu jak u siebie, kochanie – powiedziała. – Możesz robić wszystko, co twoim zdaniem jest potrzebne. Mój syn proponuje, żebyś najpierw obejrzała meble i obrazy. Potem, kiedy już dobrze poznasz budynek, zorientujesz się, jakie zmiany trzeba będzie wprowadzić. Obawiam się, że nie będę ci mogła wiele pomóc. Trudno mi wyobrazić sobie jakieś zmiany, ale zdaje mi się, że trzeba będzie dobudować kilka łazienek. Może mimo wszystko uda się utrzymać koszty w granicach rozsądku? – popatrzyła na Indię, która zorientowała się, że contessa będzie boleśnie przeżywać rozstanie z każdym przedmiotem, dużo boleśniej niż jej syn, on żyje w zupełnie innym świecie. Z tym miejscem contessa di Montefiore związała się na całe życie, od chwili kiedy w wieku siedemnastu lat wyszła za mąż.

Pałac Montefiore wyglądał jak klejnot w oprawie zielonego wzgórze nad morzem. India marzyła, by namalować te podwórce otoczone ścianami z kremowego kamienia, te łuki i fontanny, rozpadające się rzeźby, jaśminy i kwitnące pnącza nigdy nie przycinanej bugenwilli, które opanowywały każdą wolną przestrzeń. Pałac nie tylko z zewnątrz był klejnotem; jego sale także skrywały rozmaite skarby. Naturalnie, nie bezcenne – te sprzedano dawno temu, o czym świadczyły ciemniejsze miejsca na wyblakłych jedwabnych draperiach. Ale w jadalni zachowały się dwa duże olejne płótna malowane, jeśli się nie myliła, ręką jednego z pomniejszych dawnych mistrzów, a we „francuskim salonie” we wschodnim skrzydle stało parę naprawdę wartościowych mebli. Rodzina Montefiore będzie się musiała zdobyć na poświęcenie, ale pieniędzy jej starczy.

India zamówiła jeszcze jedną kawę z ekspresu i zagłębiła się w rozłożone na stole plany. Pałac wybudowano wokół centralnego dziedzińca. Najpierw należało przebudować dwa skrzydła, a potem, jeśli przedsięwzięcie się uda, zabrać się za trzecie. Południowe skrzydło zostanie dla rodziny. Przebudowa nie powinna nastęrczać większych problemów technicznych: stary budynek miał wysokie, przestronne pomieszczenia, które można pięknie przystosować do wymogów współczesności. Jedynym problemem będzie chronienie prywatności rodziny. Wpatrywała się w plany, próbując znaleźć najlepsze miejsce, gdzie powinno się znaleźć wejście do prywatnych apartamentów. Wszystkie rozwiązania wymagały

jednak przedłużenia podjazdu aż pod południowe skrzydło. Trochę to będzie kosztować, ale nie można zmuszać państwa Montefiore, by parkowali przed pałacem, a potem obchodzili go dookoła, prawda? To by zniszczyło całą koncepcję oddzielenia gospodarzy od gości.

Przejeżdżając przez wioskę Aldo Montefiore wypatrzył Indię przy stoliku kafejki. Pochyliła głowę i wpatrywała się w jakieś papiery, ale te wspaniałe włosy poznałby na końcu świata. Koński ogon przerzuciła sobie przez ramię, a w loczki nad uchem wetknęła jakiś żółty kwiat. Objechał rynek i zaparkował przy fontannie obok jej fiata.

– Signorina Haven?

Zaskoczona India podniosła głowę i spojrzała prosto w brązowe oczy Aida, otoczone długimi, podwiniętymi rzęsami.

– Och, Aldo... Signore... Conte... – była zaskoczona jego nagłym pojawieniem się.

Roześmiał się:

– Wystarczy Aldo, jeśli pozwolisz mówić na siebie India.

– Umowa stoi, pod warunkiem że pozwolisz zafundować sobie drinka.

– A to nie ja powinienem ci postawić?

Kąciki pełnych warg uniosły się do góry w serdecznym uśmiechu, który tak dobrze pamiętał.

– Następnym razem będzie twoja kolej – obiecała. Aldo oderwał wzrok od jej ust i popatrzył na szkice.

– Więc jak, Indio, pracujemy razem?

– Pałac Montefiore to taka piękna budowla, zakochałam się w nim. Kiedy chodzę po pokojach, wyobrażam sobie, jak romantyczni młodzi Montefiore wyjeżdżali stąd, by podbijać serca księżniczek z sąsiednich posiadłości.

Aldo roześmiał się:

– Jesteś zupełnie jak moja matka, ona za bardzo kocha to miejsce, by je wyrwać z siedemnastego wieku i zaadaptować do nowych potrzeb. Ale obawiam się, Indio, że jeśli tego nie zrobimy, to zamek po prostu rozsypie się w gruzy i twój romantyczny Montefiore nie będzie go mógł przekazać w spadku swoim wnukom.

Wnukom! India odwróciła wzrok od jego twarzy i spojrzała w papiery.

– Czasem udaje mi się połączyć romantyzm ze zmysłem praktycznym – powiedziała zdecydowanie – i pewnie w twoim zamku będzie trzeba zastosować takie samo rozwiązanie.

Z jej oczu zniknęła tęsknota za poetyczną przeszłością; nagle zaczęła się zachowywać jak prawdziwy fachowiec. Szkoda, pomyślał Aldo.

– Obejrzymy dziś razem wszystkie pokoje? – spytał. – Możesz mi opowiedzieć o swoim projekcie.

India pochyliła się lekko, w jej oczach malował się entuzjazm.

– Najpierw musimy porozmawiać o meblach i obrazach. Widzisz, Aldo, sędzę, że powinniśmy zastąpić tę część mebli, którą trzeba będzie sprzedać, nowoczesnymi wzorami Parolego. Fabrizio specjalizuje się w łączeniu starego z nowym. Tylko ostrzegam od razu: będę okrutna. Musimy się pozbyć tych wszystkich wyblakłych tapet i zetlałych starych draperii. Dywany też straciły całe swe piękno ze starości. Na korytarzach na górze trzeba położyć wykładzinę, a w sypialniach dywaniki Parolego. I oczywiście w każdym apartamencie musi być łazienka.

– Apartamencie? – On wyobrażał sobie, że w zamku będą pokoje, jak w hotelu.

– Tak, to wszystko muszą być apartamenty, niektóre całkiem małe, ale jednak nie pojedyncze pokoje. Możemy podzielić niektóre większe komnaty, żeby wygospodarować małe saloniki, ale duże apartamenty muszą mieć prawdziwe salony i kąpiki jadalne.

Aldo słuchał ze zdumieniem. Właściwie nie wierzył, że India da sobie radę – była za młoda i za ładna. Uważał ją za córkę gwiazdy filmowej, która tylko bawi się w pracę u modnego dekoratora wnętrz, a poza tym jest bogatą, beztroską, rozrywaną towarzysko panią. Zrobiła na nim duże wrażenie, więc kiedy Fabrizio zaproponował, że ją wyśle do Montefiore, natychmiast się zgodził, w nadziei że znowu ją zobaczy.

– Indio – zaczął – ja nie...

– Nie przerywaj, pozwól mi najpierw wszystko powiedzieć... Jej oczy, równie brązowe jak jego i z równie ładnymi rzęsami, błyszczały entuzjazmem, gdy dalej opisywała proponowane przeróbki. Aldo słuchał, zauroczony jej zaangażowaniem. Po kilku spokojnych tygodniach, które spędził w nudnym towarzystwie Marisy i Renaty, India działała na niego jak powiew świeżego powietrza.

– Aldo, to taki świetny pomysł – powiedziała na koniec – pałac jest wymarzonym miejscem dla wybrednego turysty: unikatowym i zacisznym, pełnym dawnego wdzięku i uroku. My tylko musimy dodać dwudziestowieczne wyposażenie i odrobinę luksusu. Nie, poprawka: duży luksus. Robione na miarę materace na zabytkowych łóżkach, odpowiednia instalacja elektryczna – mam pomysł na oświetlenie: światło powinno tworzyć atmosferę i jednocześnie być na tyle jasne, żeby goście mogli czytać. Aha, do tego najlepszej jakości bielizna pościelowa i największe ręczniki, jakie będzie można dostać – Amerykanie to uwielbiają – i zostawimy te śmieszne stare wanny z kurkami z brązu, tylko trzeba je będzie odświeżyć. To jest naprawdę genialny pomysł, Aldo!

– Szkoda że nie mój – uśmiechnął się – tylko Marisy Paroli.

– Marisy?

– Kiedy była tu ze swoją kuzynką parę miesięcy temu, powiedziała, że to wstyd, iż takie piękne miejsce rozpada się w gruzy, i że jedyną dobrą stroną mojej sytuacji

jest brak problemów ze służbą. Poradziła, żeby przerobić ten pałac na hotel. Widzisz, wiele kobiet we wsi lubi pracować w pałacu; niektóre rodziny od wieków nam usługują. Wymyśliłem sobie, że taka przeróbka może przynieść korzyści nam wszystkim: ludziom da zatrudnienie, a mojej rodzinie wpływy finansowe.

– Rozumiem – odparła India. A więc to nie Fabrizio wpadł na pomysł, żeby ją tu przysłać, to Marisa chciała się jej w ten sposób pozbyć! – Mniej więcej coś takiego chciałabym osiągnąć. Jeśli znajdziesz czas po południu, możemy porozmawiać o szczegółach – powiedziała, pospiesznie składając papiery.

Aldo nie mógł zrozumieć, dlaczego po tym, co powiedział, jej entuzjazm tak nagle zgasł.

Poszli razem do samochodów.

– Wracam około czwartej, możemy wtedy porozmawiać, jeśli ci to będzie odpowiadało – zaproponował.

Cholera, dlaczego on ma takie miłe śmiejące się oczy, pomyślała India. Nie był przystojny jak Fabrizio, ale musiała przyznać sama przed sobą, że mimo zmienionej scenerii wydał jej się tak samo pociągający jak na tamtym zimowym przyjęciu. Szybko wzięła się w garść. Nie zauroczą jej romantyczne brązowe oczy Aida; ma już dość kochliwych Włochów!

– Świetnie. Zatem do zobaczenia.

– Dzięki za drinka – pomachał ręką, wsiadając do samochodu. – Widzimy się o czwartej.

Z uśmiechem patrzył, jak odjeżdża. Niespożyta energia Indii Haven z pewnością sprawi, że paru członków rodu przewróci się w grobach, ale jednemu Montefiore na pewno się podoba.

Marisa obserwowała Fabrizia bawiącego się z dziećmi. Pięcioletni Giorgio, w żółtej pizamce i ulubionych kowbojskich butach, których nie pozwalał sobie zdjąć, póki nie zasnął, wspinał się po skomplikowanych czerwonych drabinkach, które Fabrizio dla niego zaprojektował, a potem zaczął huśtać się na rękach na najwyższym szczeblu. Miał długą szczupłą twarz Marisy, błękitne oczy Fabrizia i przewrotne poczucie humoru, które nieodmiennie bawiło oboje rodziców. Fabiola, sześciolatka, była puciołowatą dziewczęcą kopią Fabrizia, miała takie same blond loki i florencki nos ojca, ale za to więcej powagi od brata. Była poza tym pieszczoszką: jeśli widziała, że ktoś siedzi beczynnie, wspinała mu się na kolana, jeśli miał wolne ręce, zaraz wtulała mu się w ramiona. Teraz przytulała się do Fabrizia, obejmując jego kolana pulchnymi łapkami. Idealna scenka rodzinna, pomyślała Marisa. Idealny moment, by przeprowadzić następne posunięcie.

Ciągle nie mogła się zdecydować, czy ją niepokoi, czy cieszy fakt, że Mario Tomasetti nie znalazł nic podejrzanego w zachowaniu Indii i Fabrizia. Śledził ich

oboje przez dwa tygodnie, a potem przedstawił jej pisany na maszynie raport, ze szczegółowym opisem tego, co robili – dzień po dniu i godzina po godzinie. W biurze przebywali razem, ale oczywiście tam nic nie mogło między nimi zajść – za dużo ruchu i za dużo ludzi. Nie było żadnych długich intymnych lunchów – w zasadzie ani razu nie poszli razem na lunch, nie wychodzili nawet na kawę ani na drinka. India prowadziła bardzo spokojne życie; większość posiłków jadła samotnie w małej trattorii w pobliżu swojego domu, a potem szła prosto do siebie i nie wychodziła aż do rana.

Fabrizio często bywał wieczorami poza domem, ale to było zupełnie normalne – przedtem też wychodził bez niej na oficjalne przyjęcia i kolacje, jeśli chciał załatwić jakieś interesy. Za to późne popołudnia spędzał przeważnie w domu na zabawie z dziećmi, żeby z nimi trochę pobyc, zanim pójda spać – tak jak dziś.

Marisa westchnęła, walcząc ze sprzecznymi uczuciami. Nie chciała wierzyć, że mąż ją zdradza, a szczególnie z Indią Haven. Jednak od czasu gdy Renata podsunęła jej tę myśl, miała paskudne przeczucie, że Fabrizio nie dochowuje jej wierności, mimo że raport Tomasettiego dowodził jego całkowitej niewinności. Z tego względu postanowiła zasugerować – a raczej oświadczyć – że dobrze byłoby powierzyć Indii projekt przebudowy Pałacu Montefiore. Zaskoczyło ją, że tak chętnie się na to zgodził; właściwie wyglądał na uszczęśliwionego tym pomysłem. Wszystko to było bardzo dziwne. India wyjechała przed dwoma miesiącami. Gdyby coś tam było między nimi, Fabrizio szukałby chyba pretekstu, żeby pojechać do Montefiore? Jednak wszelkie kontakty między tą parą miały czysto służbowy charakter. Ludzie Tomasettiego nadal śledzili Fabrizia, ale wyglądało na to, że jest on najwierniejszym mężem w całych Włoszech.

A zatem czas na poważniejszy sprawdzian. A jeśli, zgodnie z jej podejrzeniami, coś jest między nimi, będzie to także coup de grace dla panny Haven.

– Fabrizio – musiała przekrzykiwać zachwycone piski Fabioli, którą ojciec huśtał wysoko nad głową, jednocześnie obracając się w kółko – Fabrizio, postaw ją, proszę cię. Jeszcze zwymiotuje.

Fabrizio opadł na podłogę, ściskając Fabiolę w ramionach.

– Ojej – jęczał – jesteś strasznie ciężka, popatrz, co zrobiłaś biednemu staremu tatusiowi. Oj, oj, nie mogę się ruszyć – leżał rozciągnięty na podłodze, rozłożywszy ramiona, a Fabiola podskakiwała radośnie na jego piersi i zaśmiewała się w głos.

– Fabrizio, może dobrze byłoby wyjechać z dziećmi z miasta na weekend? Pogoda jest taka piękna, może zabierzemy je gdzieś na wieś na świeże powietrze?

– Świetny pomysł – zgodził się z nią. – Chciałabyś wyjechać, co, Fabiola?

– Dokąd jedziemy? – spytała dziewczynka, wtulając się w jego ramiona.

– Moglibyśmy odwiedzić Montefiore – zaproponowała niezobowiązująco Marisa.

– Zabrałibyśmy ze sobą Renatę, wiesz, ona kocha się w Aldo, a on ją też lubi. To by była świetna partia dla obojga... a poza tym chyba już czas, żebyś porozmawiał z Indią o pałacu? Na pewno macie wiele spraw do przedyskutowania.

Fabrizio gwałtownie usiadł, przytulając do siebie córeczkę.

– Wcale nie muszę tam jechać. Trzy dni temu posłałem do niej architekta. Potwierdził, że pomysły Indii są realistyczne, i nie znalazł błędów w rysunkach technicznych. Przesłała mi projekty wystroju wnętrz, a teraz pracuje nad szkicami. Robi świetną robotę i nie potrzeba, żeby szef się przy niej pętał i tylko przeszkadzał...

– Tak, caro, tylko że oni płacą za usługi Parolego, a nie Indii, prawda? – popatrzyła na niego chytrze. – Chyba nie ma żadnych powodów, by India nie życzyła sobie spotkania ze swoim... szefem, prawda?

– Oczywiście że nie! – głos Fabrizia brzmiał trochę zbyt ostro. – Chodzi o to, że pracuje wystarczająco dobrze bez mojego nadzoru.

– A więc uzgodniliśmy. Zaraz zadzwonię do Paoli i się z nią umówię.

Marisa teatralnym krokiem poszła do telefonu w sypialni. Ucieszyła się, kiedy odebrał Aldo. Zgodził się natychmiast i dodał, że bardzo się cieszy z ich odwiedzin. Indii też na pewno będzie miło. Strasznie ciężko pracuje, mała przerwa dobrze jej zrobi.

– Och, Aldo – poprosiła słodko Marisa – proszę cię, nie mów jej, że przyjeżdżamy, niech to będzie niespodzianka.

– Niespodzianka? Oczywiście, jak sobie życzysz, Mariso.

– A więc do zobaczenia w piątek. Renata bardzo się ucieszy, Aldo.

– Nam wszystkim też będzie miło, Mariso – zapewnił ją.

To jest to, powiedziała do siebie, odkładając słuchawkę. Będzie mogła się dobrze przyjrzeć zachowaniu tej małej, a jednocześnie jest to dobry pretekst, żeby przyspieszyć trochę sprawy między Aldem a Renatą – czas, żeby coś się między nimi zaczęło na dobre dziać. Dwie pieczenie przy jednym ogniu, pomyślała z zadowoleniem.

Aldo oderwał się od projektów, papierów, kontraktów i rachunków zawałających ogromne rozsuwane biurko w jego pokoju należącym kiedyś do jego prapradziada, jednego z najlepszych przedsiębiorców w historii rodu, który zbił całkiem niezłą fortunę w początkowym okresie rozwoju przemysłowego Włoch. Niestety nie miał szczęścia w sprawach rodzinnych: obie córki były rozrzutne, syn Enzo też uważał, że dobra rodzinne to worek bez dna, i w trójkę trwonili pieniądze na ekstrawaganckie zabawy. Enzo Montefiore, którego portret celowo powieszono w nie uczęszczanym korytarzyku na drugim piętrze, zdobył złą sławę oraz stracił wszystkie pieniądze w kawiarniach i kabaretach dziewiętnastowiecznego Paryża, rywalizując z brytyjskimi księżętami i amerykańskimi milionerami, nuworyszami, o względy

najpiękniejszych kurtyzan miasta. Jednakowoż, myślał Aldo, wkładając lekką płócienną marynarkę, w której miał zamiar zejść na kolację, Enzo, jak wszyscy z rodu Montefiore, nie robił nic połowicznie. Jego kobiety były najpiękniejszymi, najmodniejszymi kurtyzankami Paryża, a jego ekstrawagancje przyprawiały o zawrót głowy. Roztrwoniał fortunę – i to był właśnie jeden z powodów, dla których ten pomysł z hotelem musi się udać. Poszły na niego wszystkie pozostałe rodowe pieniądze. Nie ma już odwrotu. Zamek albo na siebie zarobi, albo rozpadnie się w proch – jak jego dawni mieszkańcy.

India Haven ma głowę na karku, fenomenalną energię i jest taka pomysłowa. Potrafi nie tylko sporządzić projekt przebudowy pałacu – i to rewelacyjny, Bóg świadkiem – ale także doradzić organizację obsługi i, co najważniejsze, podpowiedzieć, jak poinformować świat o istnieniu Palazzo Montefiore. Pałac będzie miał dwanaście luksusowych apartamentów i dwanaście małych apartamentów na trzecim piętrze. Dom zarządcy, od dawna nie wykorzystany, bo rodzina nie miała żadnych majątków do zarządzania, zostanie przerobiony na willę do wynajęcia za grube pieniądze dla osób, które pragną całkowitej samotności; będzie miała osobny personel: sprzątaczkę, kucharkę i lokaja.

Olbrzymi hol i główne salony praktycznie nie wymagają przebudowy, a India właśnie pracuje nad wystrojem, który podkreśliłby przygasły nieco urok tych pomieszczeń i zapewnił gościom wszelkie wygody. Ta dziewczyna bez wątpienia robi doskonałą robotę, a on chyba będzie w stanie pokryć koszty zmian, jeśli sprzeda sporo części pałacowych mebli, obrazów i cennych drobiazgów.

Kierując się sugestiami Indii zatrudnił dobrą firmę reklamową i skontaktował się z Włoskim Biurem Turystyki, które udzieliło mu ogromnej pomocy, podobnie jak American Express, Thomas Cook i większość znanych linii lotniczych. O pałacu już rozpisywały się działy turystyczne różnych czasopism i gazety wydawane przez linie lotnicze, określając go jako miejsce dla „turysty, który ma więcej niż przeciętne wymagania”. Poprawiając krawat w lustrze Aldo modlił się, żeby takich turystów było dużo. Popatrzył w lustro jeszcze raz, myśląc o swoich przodkach. Wszyscy z rodu Montefiore żenili się z miłości, z wyjątkiem Enza, który zmarł w ramionach prześlicznej blondynki, zabity w pojedynku w Lasku Bulońskim. Conti di Montefiore byli szeroko znani z urody i uroku osobistego i mieli reputację wspaniałych kochanków. Ani jeden nie ożenił się dla pieniędzy. Trudno, pomyślał Aldo, z uśmiechem patrząc na swój lekko spłaszczony nos, na urodzie trochę mi zbywa, ale za to ta reszta... roześmiał się i odwrócił od lustra.

Marmurowe schody były nieco po wyszczerbione, ale Aldo znał na pamięć najbardziej zdradliwe miejsca, więc szybko zbiegł na dół do małego salonu.

India stała samotnie, opierając się o framugę weneckiego okna. Wpatrywała się

w ogród. Na tle intensywnej zieleni, oświetlona z tyłu łagodnym światłem lampy, wydawała się jakby wyjęta z obrazu Renoira: miękkość linii, delikatne kształty. Na jej twarzy malował się cień smutku.

– Indio – powiedział cicho Aldo.

Na dźwięk jego głosu drgnęła i gwałtownie się obejrzała.

– Wyglądasz, jakbyś była o tysiące kilometrów stąd. I jesteś taka smutna.

– Myślałam o matce. Tęsknię za nią – odparła. – To chyba głupio brzmi w ustach dorosłej kobiety, ale bardzo mi jej brakuje. Zawsze gdy potrzebowałam pomocy, miałam świadomość, że znajdę w niej oparcie, zawsze była na drugim końcu linii telefonicznej.

– Czy dzieje się coś złego? – spytał zatroskany. – Może mógłbym ci pomóc?

– To nie tylko o mnie chodzi, to dotyczy całej naszej trójki – odparła z wymuszonym uśmiechem. – Zdaje się, że córki Jenny, jak dotąd, nie odnoszą w życiu większych sukcesów.

Pomyślała o listach, które przychodziły od Venetii zakochanej w niewłaściwym mężczyźnie i nieszczęśliwej na pokładzie luksusowego jachtu na Barbadosie.

Bardziej jednak martwiła ją Paris.

– Kłopoty naszej rodziny zaczęły się ze śmiercią Jenny i coraz bardziej narastają. Paris obciąża się winą za czyjąś śmierć, a ja nie wiem, co mam robić.

Zdaje się, że to poważna sprawa i że India musi się przed kimś wygadać, pomyślał Aldo. Wziął ją pod rękę.

– Chodź, przejdziemy się po ogrodzie przed kolacją – zaproponował. – Jest taki piękny w tym oświetleniu. Opowiedz mi o Paris.

Pod osłoną szybko zapadającego zmierzchu łatwo było zwierzać się Aldo ze wszystkich kłopotów. Bez komentarza wysłuchał długiej listy nieszczęść, które rozpoczęły się od tajemniczej, nie wyjaśnionej śmierci Jenny. Mówiła o zniknięciu jej fortuny, o klęsce pokazu mody, o tym, że Paris czuje się winna, bo straciła pieniądze całej trójki, a teraz jeszcze zaczęła się obwiniać o śmierć Staną Reubina. Aldo domyślał się, co niepokoi Indię; bała się powiedzieć wprost, że jej siostra może popełnić samobójstwo.

– Paris nie powinna być teraz sama – odparł. – Czy ma jakichś przyjaciół?

– Nie. Mieszka sama w kawalerce, a właściwie na przebudowanym strychu, i mówi, że to miejsce jest teraz pełne złych wspomnień.

– India, a może ją zaprosimy do nas? Sama wiesz, że mamy mnóstwo pokoi.

Twarz dziewczyny aż pojaśniała na te niespodziewane słowa.

– Aldo, naprawdę mogłabym ją zaprosić?

– Naturalnie. Jej przyjazd sprawi mi dużą przyjemność, a poza tym, Indio...

-Tak?

– Jeśli ona tu nie przyjedzie, to ty nie wytrzymasz i pojedziesz do niej. A ja wolałbym cię nie utracić... po raz wtóry.

– Utracić mnie?

W ciemnym ogrodzie unosił się ciężki zapach jaśminu. Aldo pochylił się i zajrzał z bliska w jej ciemne oczy.

– Już raz cię straciłem. Spotkaliśmy się na krótką chwilę i uciekłaś ode mnie. Nie chcę, żeby to się znowu zdarzyło.

Jej usta kusily go bez przerwy i już dłużej nie mógł się im opierać. Przyciągnął ją blisko i pocałował. India otoczyła ramionami jego szyję i zatraciła się w tym pocałunku.

Myślała, że ten słodki dźwięk narodził się w jej myślach, a to był gong wzywający na kolację. Czuła, jak Aldo drży; pocałował ją znowu. Westchnęła, gdy w końcu niechętnie wypuścił ją z objęć.

– Czekałem na ten pocałunek od tamtej nocy – powiedział, całując ją w czubek nosa. – Może kiedyś mi powiesz, dlaczego uciekłaś przede mną tak nagle? – Otoczył ją ramieniem i poszli do domu.

India dokładnie pamiętała, dlaczego wtedy uciekła – Marisa powiedziała jej wyraźnie, że Aldo ma się ożenić dla pieniędzy, bo winien jest to swojej rodzinie. A panny Haven nie miały pieniędzy. Uciekła też ze względu na Fabrizia. Przypomniała sobie o swoim postanowieniu, żeby nigdy więcej nie być kochanką żonatego mężczyzny. Nie wolno jej całować Aida, nie wolno jej całować żadnego mężczyzny, który nie zamierza jej traktować jako części swojego życia, tylko jako dodatkową rozrywkę. Obiecała to sobie przecież, prawda? Ale żaden facet, który planuje zenić się dla pieniędzy, nie powinien być taki miły i, cholera, taki pociągający! Chyba mi brakuje jakiegoś genu... tak, genu zdrowego rozsądku, myślała, gdy zatrzymali się na werandzie i znów znalazła się w jego ramionach. Ale tak mi strasznie dobrze... Jak można... przestać się kochać w niewłaściwym facecie i natychmiast się zakochać w następnym, też niewłaściwym?

Zaraz po kolacji zadzwoniła do siostry. Paris była sama w domu. Powiedziała, że miała ciężki dzień w pracy, jest zmęczona i nie ma ochoty się z nikim spotykać. India wyczuwała, że jest w depresji, chociaż Paris na nic się nie skarżyła. Jej pierwszą reakcją na zaproszenie do Włoch był protest: nie może przerwać pracy, będzie tylko przeszkadzać, do niczego nie jest Indii potrzebna...

– Właśnie że jesteś mi potrzebna – odparła India. – I to bardzo. Proszę cię, przyjeźdź.

W końcu już same nie wiedziały, kto kogo bardziej potrzebuje, ale Paris się zdecydowała: złapie poranny pociąg i wpadnie na weekend.

Contessa di Montefiore miała siedemdziesiąt dwa lata. Pochowała dwóch synów

i męża, a Aldo, najmłodszy, jedyny, który pozostał przy życiu, zawsze uroczy – nawet z tym złamanym nosem, którego nie chciał operować, choć bracia się z niego śmieli – był jej oczkiem w głowie. Tommaso, najstarszy, był najprzystojniejszy; w dzieciństwie jego wielkie brązowe oczy patrzyły tak rozczulająco, a później, kiedy poszedł na uniwersytet, łamał serca wszystkim napotkanym dziewczynom. Paolo, rok od niego młodszy, też siał w kobiecych sercach spustoszenie. Nie był aż tak przystojny, ale bardzo atrakcyjny. Aldo urodził się o wiele później, starsi chłopcy mieli szesnaście i siedemnaście lat. Jego przyjście na świat było sporym zaskoczeniem dla Paoli i jej męża, a okazał się tak wielką pociechą, gdy obaj starsi synowie zginęli w wypadku samochodowym pod Neapolem... Od tego czasu minęło dziesięć lat, lecz ona nigdy nie zapomni tego dnia. To było gorsze nawet od śmierci jej męża – bo tej się spodziewała i chociaż napełniła ją smutkiem, musiała pogodzić się z wolą Bożą.

Został jej tylko Aldo. No i nie była już młoda. Paola di Montefiore chciała mieć wnuki – im szybciej, tym lepiej. Czas, żeby Aldo się ożenił. Tylko z kim? Ostatnio częstym gościem bywała tu Renata, to znaczy do chwili, gdy zamieszkała z nimi India Haven. Paoli dało to trochę do myślenia. Zauważyła, jak syn patrzył na Indię w czasie kolacji. Bardzo to interesujące i pewnie coś z tego w końcu wyniknie. Ona chciała tylko, żeby Aldo był szczęśliwy. I żeby dał jej wnuki, zanim będzie za stara, żeby się nimi nacieszyć.

Zapowiada się męczący weekend. Przyjeżdża Renata z tą wiecznie spiskującą żoną Fabrizia. Marisa jest nie do zniesienia – ale z jej matką też nie dawało się wytrzymać. Na szczęście zrekompensuje to obecność dzieci – są takie rozkoszne. No i jeszcze przyjedzie Paris, siostra Indii. Właściwie to dobrze, że dom się zapełni gośćmi, przynajmniej będzie wesoło. Porozmawia z kucharką o wydaniu uroczystej kolacji w sobotę i powie jej, żeby na weekend wzięła sobie kogoś z wioski do pomocy. I trzeba się zastanowić, kto ma mieszkać w którym pokoju.

Fabrizio siedział za kierownicą wielkiego chryslera. Jechały z nim dzieci, niania i tyle bagażu, jakby ich było co najmniej dwanaścioro. Renata wiozła Marisę swoim małym mercedesem.

– Niech Fabrizio weźmie dzieci – śmiała się Marisa – zawsze się uskarża, że ma dla nich za mało czasu. Parę godzin w samochodzie i z przyjemnością odda je niani pod opiekę.

– Mariso, ale one są takie słodkie, to naprawdę dobre dzieciaki – broniła ich Renata.

– Naturalnie że tak, ale nawet najlepsze dzieci po godzinnej jeździe samochodem zmieniają się w prawdziwe potwory. Sama się przekonasz, kiedy będziesz mieć swoje. A propos, spróbuj spędzić trochę czasu ze starą hrabiną. Contessa pragnie

wnuków, Renato, i marzy o tobie w roli synowej.

– Problem w tym, czy Aldo marzy o mnie w roli swojej żony. Marisa popatrzyła na nią z irytacją.

– Oczywiście że tak. To idealny mariaż, Renato.

– Chodzi mi o to, czy on marzy o mnie, czy o moich pieniądzach?

– Co za pytanie! Lepiej zastanów się, czego ty chcesz: Aida czy jego tytułu?

Oczywiście jednego i drugiego. A niby dlaczego nie? Małżeństwo to sprawa praktyczna i trzeba o nim myśleć w tych kategoriach.

– Naprawdę? W takim razie dlaczego wyszłaś za Fabrizia? Nie miał ani tytułu, ani pieniędzy.

Marisa uśmiechnęła się:

– Dobre pytanie. To bardzo proste. Fabrizio miał to, czego mi było potrzeba: był bardzo przystojny i bardzo wesoły, i towarzyski. Był artystą, a ja mogłam mu pomóc w zdobyciu pozycji w świecie. Mam zacięcie do kierowania ludźmi, a on dał mi cel w życiu.

– Mariso, powiedz mi prawdę. Czy ty się w nim zakochałaś? Tak naprawdę?

Renata mówiła takim przekornym tonem. Ta głupia dziewczyna chyba nie chce zaprzepaścić takiej szansy, kiedy ona, Marisa, włożyła tyle pracy w budowanie jej przyszłości? W ten weekend wszystko musi się rozstrzygnąć. Aldo poprosi Renatę o rękę – jest tego pewna. Ostatnim razem powiedziała mu nieomal wprost, że dziewczyna jest jego, trzeba się tylko zdeklarować – Aldo wprawdzie jest młody, ale przecież zna swoje obowiązki. Poza tym, przecież ona, Marisa, nie może przyznać się tej małej, że wyszła za Fabrizia, bo opętała ją namiętność do niego. Niestety, ta namiętność nie przetrwała próby czasu.

– Wszystkie kochamy swoich mężów i nasze dzieci, Renato – odparła w końcu. – W życiu są ważniejsze rzeczy niż namiętność.

Renata popatrzyła w bok z lisim uśmieszkiem. – Rozumiem. I będę o tym pamiętać przez ten weekend. Dodała gazu, chcąc jak najprędzej znaleźć się w Marina di Montefiore.

India, jak zwykle spóźniona, pędziła przez szósty peron wielkiego neapolitańskiego dworca. W mieście były potworne korki, ale pociąg też się, dzięki Bogu, spóźnił. Paris, wiotka jak trzcina, króciutko ostrzyżona według wskazań Mitsoko, szykowna w starym kremowym żakiecie safari od St. Laurenta, czekała przy stosie bagaży, przyciskając do siebie wiklinowy koszyk, z którego dobiegało żalosne miauczenie.

– Indio, tak strasznie się cieszę, że cię widzę, sama nie wiesz, ile to dla mnie znaczy.

Ze łzami w oczach objęły się jak małe dziewczynki, a kot dalej skarżył się na

swój los.

– Och, pozwól, że ci przedstawię Alicję – Paris pokazała jej zwierzątko. India wsunęła palec do koszyka, a kotka otarła się o niego z przyjaznym mruczeniem. – Lubi dominować – poskarżyła się Paris. – To ona rządzi w domu. Indio, ostrzegam, ona sypia na moim łóżku i jada normalne jedzenie, nie jakieś tam kocie świństwa z puszek. To prawdziwa osobowość.

India najpierw spojrzała na niebieskooką kotkę, a potem na siostrę.

– Osobowość zastępcza – skomentowała, wzięła koszyk i zawołała bagażowego.

– Jest jak przyjaciółka... i była mi bardzo potrzebna. Czułam się taka samotna – wyznała Paris.

India wzięła siostrę pod rękę.

– Nie musisz już się bać samotności – powiedziała stanowczo. – Jesteś teraz ze mną. Porozmawiamy sobie o naszych kłopotach i popłaczymy, a może się pośmiejemy, zależnie od nastroju.

– Problem w tym, że jesteśmy za bardzo podobne do Jenny – odparła Paris. – Tego, co mamy w genach, nie mogły zmienić żadne zagraniczne szkoły.

India pomyślała o Aldo i przyznała siostrze rację.

Niski, dobrze zbudowany neapolitańczyk załadował bagaże na wózek i zawiózł je do wyjścia, gdzie India zaparkowała samochód – jak zwykle nieprawidłowo. Dziś jednak nie było mandatu za wycieraczkę.

– To dobry znak – zawołała. – Widzisz, Paris, bogowie wreszcie wzięli nas w opiekę. – Z troską popatrzyła na wiotką sylwetkę siostry. – Słuchaj, mała – powiedziała w końcu – tam podają fantastyczne jedzenie, a ty masz zjadać wszystko, co przed tobą postawią: makaron do ostatniej nitki, sos do ostatniej kropli, wszystko, słyszysz? Parę śniadanków u Ricardiego i zaraz dojdiesz do formy!

Śmiały się jeszcze, gdy India wyjechała z neapolitańskich korków i skierowała wóz na południe, do Marina di Montefiore.

Olbrzymie drewniane drzwi pałacu były otwarte na oścież na powitanie gości, a wpadający przez nie blask słońca kładł się na posadzce. Paola di Montefiore, ubrana w płócienną suknię koloru lawendy, zatrzymała się na chwilę w holu, by poprawić bukiety kwiatów w olbrzymich wazonach stojących na masywnych konsolach. Przejrzała się w lustro, przyglądała włosy i wyszła przed budynek, akurat w momencie kiedy chrysler z Fabriziem i dziećmi zatrzymał się na podjeździe.

– Witajcie, witajcie – pomachała im ręką – tak się cieszę, że was widzę. No no, aleście wyrosli! Fabrizio – pocałowała go z sympatią – to nie do zniesienia. One są coraz większe, to mi przypomina, że się starzeję.

– Nigdy się nie zestarzejesz, Paolo – odparł Fabrizio z galanterią.

Jego córka złapała contessę za rękę i uśmiechała się do niej, przejęta.

– Możemy iść teraz popływać? – spytała, przytulając główkę do ręki Paoli.
– Oczywiście że nie – odparł Fabrizioo. – Dopiero co przyjechaliśmy. Popływacie po lunchu, jak już dobrze odpoczniecie.

Oczy Fabioli rozszerzyły się z rozpaczy na myśl, że jeszcze tyle trzeba będzie czekać.

– Tatusiu, jesteś okrutny – jęknęła – przecież to za tysiąc lat. Paola roześmiała się.

– Masz słuszość, Fabiola. Wobec tego może pójdziecie zobaczyć szczeniaczki? Są takie słodkie.

– Szczeniaczki! – Fabiola i Giorgio już byli w pałacu. Zniknęli w holu, a niania pobiegła za nimi. Na podjeździe pojawił się samochód Renaty. Marisa jak zwykle wygląda nieskazitelnie. Jak ona to robi, że nigdy nie jest na luzie? Nawet w letniej sukience i sandałach wygląda, jakby wybierała się na wyścigi w Ascot, pomyślała Paola.

– Ciao, Marisa, ciao, Renata. Dziękuję, że przyjechałyście z dziećmi. Nie zdajecie sobie sprawy, jaka jestem wtedy szczęśliwa. Tylko one potrafią obudzić te stare mury.

– Lepiej korzystaj z ciszy i spokoju, póki możesz – poradziła jej Marisa, gdy weszli do holu. – Kiedy skończy się przebudowa i hotel zacznie działać, hałas i ruch mogą ci obrzydnąć.

– Chyba jednak to mi się spodoba – odparła Paola. – Jestem pewna, że te stare pałace były kiedyś czymś w rodzaju hoteli, no bo po co by było tyle pokoi? Fabrizioo, słuchaj, India robi tu wspaniałą robotę. Aldo twierdzi, że powinieneś być z niej dumny.

Marisa nastawiła uszu i bystro popatrzyła na męża.

– Cieszę się, że mam okazję zobaczyć, jak posuwają się prace – odpowiedział spokojnie.

– A gdzie Aldo? – Marisa rozsiadła się na fotelu w salonie, patrząc krytycznym okiem na wynajętą na tych parę dni pomoc z wioski, która wniosła tacę z kawą. Zmieszana jej wzrokiem dziewczyna drżącymi rękami postawiła ciężką tacę na stole. Z jednej filiżanki wylała się kropelka kawy i splamiła nieskazitelnie białą serwetkę. Dziewczyna zarumieniła się, przeprosiła i wyszła.

– Paolo, musisz solidnie przeszkolić te panny – powiedziała Marisa, krzywiąc się na widok plamy. – Twoi goście będą oczekiwać perfekcyjnej obsługi.

– Nie wątpię, Mariso, że przyszli goście uznają, iż nasi ludzie z wioski są bardzo sympatyczni, przyjacielscy i zawsze chętni do pomocy. Jeśli dobrze sobie przypominam mój zeszłoroczny wyjazd do Nowego Jorku, będzie to dla nich miła niespodzianka.

Dlaczego w towarzystwie Marisy wszyscy czują się nieswojo? Ona chyba ma niespotykany talent w tym kierunku, pomyślała Paola.

– Nie powiedziałaś nam, gdzie jest Aldo – przypomniała jej Renata.

– Pojechał dziś rano do Neapolu. Wróci na lunch. India też pojechała. O, chyba słyszę samochód.

– To znaczy że Aldo pojechał z Indią do Neapolu? – Renata była zazdrosna.

– India pojechała na dworzec po jeszcze jednego gościa, po swoją siostrę...

Znajomy amerykański akcent Indii zabrzmiał w holu: rozmawiała ze służącym, który pomagał przy wnoszeniu bagażu. Marisa z napięciem wpatrywała się w drzwi. Teraz z twarzy Indii, zaskoczonej niespodziewanym spotkaniem z Fabriziem, dowie się prawdy.

India weszła do salonu w towarzystwie swojej siostry i gwałtownie zatrzymała się na widok Renaty, Marisy i Fabrizia.

– Mamo, mam – roześmiany Giorgio przebiegł obok niej, starając się utrzymać wyrywającego mu się z rąk szczeniaka – popatrz, co ja tu mam.

India pochyliła się, by mu pomóc przytrzymać zwierzątko – okazja była stracona.

Niech to szlag, pomyślała Marisa. Niech to jasny szlag.

– Giorgio, odnieś psa z powrotem do kuchni – poleciła. – To nie jest miejsce dla niego.

– Ale, mam...

– Natychmiast, Giorgio.

– Pójdę z tobą – Fabrizio odebrał synkowi szczeniaka i uśmiechnął się do Indii na powitanie.

– Jak się masz – pocałował ją w policzek. – Wszystko w porządku?

– Tak, tak... w najlepszym porządku, Fabrizio. Cieszę się, że przyjechałeś. Aldo uważa, że powinniśmy przedyskutować dwie sprawy.

– Świetnie. Zrobimy to po lunchu.

Paris czekała z koszykiem w ramionach, aż India ją przedstawi. Jej prosty zakiet i spódnica, bynajmniej nie nowe, uderzały swobodną elegancją, której Marisie nie udawało się osiągnąć za żadne pieniądze. A z tą zwracającą uwagę fryzurką i zdecydowanie zarysowanymi kośćmi policzkowymi wygląda po prostu zdumiewająco pięknie, pomyślała Marisa. India się nie liczy, to Paris jest potencjalną rywalką!

India przedstawiła siostrę zebranych.

– Contesso, mam przyjemność przedstawić moją siostrę. Mariso, to jest Paris – kobiety pocałowały się w policzki. – Renatę pamiętam z przyjęcia. Co za niespodzianka spotkać was wszystkich tutaj! I dzieci też.

– Tak. Spora niespodzianka, jak sądzę – Marisa bacznie lustrowała Paris i nie

mogła znaleźć nic dyskwalifikującego. – Pani z pewnością jest tą projektantką – powiedziała w końcu. – Czytałam recenzję z pani pokazu. Szkoda że odbył się o tej samej porze co rewia Mitsoko. Czy to było przyczyną niepowodzenia?

India poczuła, że się czerwieni. Marisa jest taka wredna!

– Można i tak powiedzieć – odparła beznamyślnie Paris.

– Zapewniam panią, że żaden model nie może być gorszy niż projekty Mitsoko. Boże, te straszne bezkształtne szmaty – Marisę przeszył ledwie dostrzegalny dreszcz.

– Ktoś, kto wygląda tak jak Paris, musi dobrze znać się na modzie – wtrąciła pojednawczo Renata. – Jestem pewna, że pani kolekcja była świetna. To straszny pech, że oba pokazy odbyły się tego samego dnia. To Mitsoko w ostatniej chwili zmienił datę, prawda?

Marisa popatrzyła na Renatę wyraźnie zaskoczona, a dziewczyna odpowiedziała jej spokojnym uśmiechem. Miała już dość wiecznej złośliwości kuzynki.

Contessa w milczeniu obserwowała tę krótką scenkę. Tyle niedomówień i podtekstów w jednym salonie; weekend będzie niewątpliwie zabawny. Bardzo, bardzo zabawny, pomyślała z uśmiechem.

India nie mogła się doczekać, by pomówić z Paris na osobności.

– Boże, co za szok! – wykrzyknęła, zamykając za sobą drzwi. – Nie spodziewałam się tu Fabrizia z Marisą. A jeszcze do tego kuzynka Renata! No i co ty na to? – Usiadła na łóżku i niecierpliwie spoglądała na Paris. – Jak ci się podoba Fabrizio?

– Rzeczywiście bardzo atrakcyjny, ale miałam zbyt mało czasu, żeby się zorientować, jaki jest naprawdę.

India westchnęła:

– Skończyło się, naprawdę się skończyło. Moje serce nie drgnęło, nawet kiedy mnie pocałował w policzek.

– No i bardzo dobrze – odparła Paris, wypuszczając Alicję z klatki. – Moim zdaniem Marisa bardzo podejrzliwie na was patrzyła, gdy cię całował.

– Naprawdę tak sądzisz? Też się zastanawiałam... – India zmarszczyła brwi. – Teraz i tak nie ma już czego podejrzewać. Jeśli przyjechała tu sprawdzać mnie i Fabrizia, to zobaczy, że jestem całkowicie poza podejrzeniami. Och, Paris, wiem, zawsze uważałaś, że jestem stuknięta, ale jak sądzisz: czy to jest możliwe, żeby się odkochać w jednym i natychmiast zakochać w innym? Chodzi o Aida. To znaczy... starałam się, żeby łączyły nas tylko sprawy służbowe, bo on musi poślubić kuzynkę Renatę... wiesz, jego rodzina potrzebuje pieniędzy, muszą utrzymać tę posiadłość... dla wnuków.

Paris wpatrywała się w nią ze zdumieniem.

– Aldo ci to wszystko powiedział?

– No, nie, w każdym razie nie tak szczegółowo. Chyba najpierw usłyszałam to wszystko od Marisy, a potem Aldo powiedział coś o swoich wnukach...

– Indio, poznałam już tysiące kobiet takich jak Marisa. To co mówią, to nie jest prawda, tylko informacje odpowiednio spreparowane na twój użytek. Nie wiedziałaś o tym?

India westchnęła. Dobrze by było, gdyby Paris miała rację. Poza tym zachowanie Aida w ciągu minionego tygodnia wcale nie wskazywało, że jest zakochany w kuzynce Renacie. Starał się spędzać jak najwięcej czasu z nią, z Indią, rezygnując ze swoich przyzwyczajzeń. O świcie biegali po plaży, codziennie jedli razem drugie śniadanie u Ricardiego, wieczorami przy kolacji był zawsze w dobrym humorze i ujmował ją uprzejmością, a później, kiedy contessa szła do swoich apartamentów, przechadzali się po przesyconych wonią kwiatów ogrodach i Aldo ją całował... i nie tylko... nie tylko. Ale nie chciała być tylko kolejnym przelotnym „epizodem” w życiu Aida Montefiore przed jego ślubem z Renatą. Tego by nie zniosła.

– Paris, nie wiem, co mam robić, naprawdę nie wiem. Może powinnam po prostu przekazać komuś tę robotę i wyjechać stąd.

– Oczywiście że nie. Żaden mężczyzna nie powinien nigdy zagrażać twojej karierze zawodowej! Indio, wykonujesz poważną pracę i dobrze ci idzie. Musisz to zawsze cenić.

Mój Boże, zmitygowała się India, ja tu jęczę o moich kłopotach, a to przecież Paris potrzebuje pomocy.

– Powinnam się martwić o ciebie, a nie o siebie – i łzy potoczyły się jej po policzkach. Potem przypomniała sobie nieprzyjemną uwagę Marisy. – Paris, nie pozwól Marisie na niemiłe komentarze na temat twojego pokazu. Ona jest po prostu wredna. Twoje modele były fantastyczne, sama o tym dobrze wiesz... uwierz mi, trafi ci się jeszcze następna szansa. Znajdziemy jakiś sposób.

Paris przyglądała się kotu, który węsząc zapoznawał się z nowym otoczeniem.

– Nie ma sprawy – powiedziała w końcu. – Pogodziłam się z tym jakoś. Tylko że pracując u Mitsoko ciągle muszę się stykać z modą i jej fanatykami. Jak to dobrze, że mogłam się wyrwać z miasta i pobyć z tobą. Alicja jest tego samego zdania, popatrz tylko.

Kotka rozłożyła się na łóżku i rozkoszowała się słonecznym ciepłem wpadającym przez okno. India poweselała:

– Doskonale wiem, jak Marisa się czuje. Dobra, Paris, weźmiemy się obie za to babsko, co?

– A Fabrizio? Dalej mu na tobie zależy? India zastanowiła się nad tym pytaniem.

– Zawsze będzie nam na sobie zależeć – odparła zdecydowanym tonem – ale tak naprawdę, to wszystko między nami skończyło się już dawno temu. Po prostu byłam

za głupia, żeby to zrozumieć.

Było już późno. Mały volkswagen Aida podjechał przed pałac na pełnym gazie i zahamował ostro. Aldo wbiegł po schodach skacząc po dwa stopnie, przygładził włosy, poprawił marynarkę i wszedł prosto do salonu.

– Wybaczenie, proszę – uśmiechnął się na powitanie – zeszło mi trochę czasu u stolarza w Neapolu. Indio, nowe okiennice będą gotowe w przyszłym tygodniu – pocałował ją, ujmując jej dłoń.

India zaczerwieniła się, gdy wszyscy zebrani popatrzyli na nią.

– Chciałabym ci przedstawić moją siostrę Paris – powiedziała, zabierając rękę.

Co za piękność, pomyślał Aldo, i do tego ma chyba z metr osiemdziesiąt!

– Bardzo mi miło – powiedział. – Wiedziałem, że India ma piękną siostrę, ale nie myślałem, że jesteś aż tak śliczna. Witaj w Montefiore – Paris górowała nad nim wzrostem, gdy całował jej dłoń.

– Mariso, Renato – musnął pocałunkiem ich policzki. – Fabrizio, miło cię zobaczyć. India robi tu fantastyczną robotę, nie da się tego streścić w dwóch słowach... właściwie nic nie będę mówił, tylko ci pokażę. Po południu zrobimy razem obchód.

– Fabrizio, chyba nie zamierzasz mieszać pracy z wypoczynkiem – wtrąciła się ostro Marisa. – Myślałam, że chcesz spędzić czas z dziećmi.

– Ależ, cara, sama powiedziałaś, że przyjazd tutaj będzie okazją do zapoznania się z postępem prac – odparł łagodnie. – A co teraz robią dzieci?

– Zjadły drugie śniadanie – ucięła – i odpoczywają, żeby móc potem pobyć ze swoim ojcem.

Usiedli za długim stołem. Aldo posadził Indię naprzeciw Fabrizia, Renatę między Fabriziem a swoją matką, która zajęła główne miejsce przy stole, Marisę po swojej lewej stronie, a Paris po prawej. W odpowiedzi na zdumione spojrzenie Marisy, która spodziewała się zająć honorowe miejsce po prawej gospodarza, zwrócił się do Paris z ciepłym uśmiechem:

– Jestem bardzo szczęśliwy, że mogłaś do nas przyjechać. Czasem dobrze jest wyrwać się z miasta. India powiedziała mi, że pracujesz u Mitsoko. To musi być bardzo nużące zajęcie dla kogoś takiego jak ty.

Aldo idealnie wczuł się w trudną sytuację Paris, której brakowało twórczego, fascynującego zajęcia, jakim było dla niej projektowanie. Praca polegająca na spacerowaniu przed widownią zachwyconą jej wyglądem zupełnie jej nie pociągała.

Paris z łatwością znalazła wspólny język z Aldem i toczyła z nim ożywioną rozmowę, podczas gdy Marisa w milczeniu jadła melona, ignorując Indię siedzącą po jej lewej stronie. Renata rozmawiała z contessą. W pewnym momencie Fabrizio pochwycił wzrok Indii.

– Jak tam, wszystko w porządku? – zapytał cicho.

– Jest naprawdę świetnie... to, że mnie tutaj przysłałeś, było najlepszą rzeczą, jaką można było zrobić. To był twój pomysł, a nie Marisy, prawda, Fabrizio? – zniżyła głos.

– Trochę mój, trochę jej – przyznał. – Niemiałem wyboru, Indio. India zdała sobie sprawę, że Marisa zaczyna się przysłuchiwać ich rozmowie.

– Dzięki, Fabrizio, dzięki za wszystko.

– To ja ci dziękuję.

Dziwny koniec romansu: przy lunchu, w towarzystwie pięciu osób. W dodatku jedna z nich to nowa miłość. Ale tamto skończyło się dawno temu, jeszcze zanim Fabrizio przysłał ją tu, do pałacu. Teraz dopełniali tylko formalności.

– Indio, za co dziękujesz Fabrizioowi? – głos Marisy wytrącił ją z zadumy.

– Dziękowałam mu za to, że zaufał mi i powierzył to zadanie, dał mi wolną rękę i okazję do pobytu tutaj, w Pałacu Montefiore.

– To raczej my powinniśmy ci dziękować – włączył się Aldo. – Twoja praca prawdopodobnie odmieni losy rodu Montefiore.

– A więc powinnaś korzystać z tego pobytu, póki możesz, Indio – powiedziała złośliwie Marisa. – Nie będzie cię stać na zatrzymywanie się tutaj, kiedy Aldo już otworzy swój hotel, a on sam będzie zbyt zajęty, żeby się z nami spotykać, szczególnie gdy już się ożeni.

– Aldo, zamierzasz wkrótce się ożenić? – spytał Fabrizio niewinnie.

Aldo uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Tak – odpowiedział z niezachwianą pewnością – tak, mam nadzieję, że ożenie się już wkrótce.

W sali zapanowała cisza, a wszystkie oczy skierowały się w jego stronę.

Fabrizio w końcu przerwał milczenie:

– No, Aldo, jak już nadejdzie właściwy moment, zdradzisz nam imię szczęśliwej wybranki, dobrze? – uśmiechnął się do siedzącej obok Renaty. – Chyba nie będziemy musieli jej daleko szukać, prawda?

– Nie bardzo daleko – zgodził się Aldo.

Paris pochwyciła triumfujące spojrzenie Marisy i szybko obróciła głowę, by popatrzeć na Indię, która udawała całkowicie pochłoniętą jedzeniem. Co to wszystko miało znaczyć?

Po lunchu India i Aldo oprowadzili Fabrizia po pałacu; chodzili z pokoju do pokoju i opisywali mu szczegółowo wszystkie planowane zmiany. Obejrzeni nowy wykop pod basen pływacki i pokazali projekty planowanego patio i baru nad brzegiem basenu. Wszystko było w porządku.

– Oczywiście, potrzeba na to czasu – podsumował Fabrizio po powrocie do domu

– co najmniej pół roku do zakończenia prac. India jeszcze tu trochę posiedzi.

– Tym lepiej dla mnie – Aldo popatrzył na nią z radością. India zmusiła się do grzecznego uśmiechu.

– Jeśli już skończyliśmy, to pójde poszukać Paris – powiedziała.

Znalazła siostrę na trawniku, zajęta zabawą z dziećmi. Kopała razem z nimi piłkę i śmiała się w głos, widząc zachwyty na ich buziach. Na szczęście była wesoła: India naprawdę bała się o nią, gdy dostała tamten list.

– Śmierć Staną przepelniała czarę – opowiadała Paris, gdy szły bosy wzdłuż plaży – bo przedtem było jeszcze tyle innych rzeczy... to znaczy, wiesz, o niektórych po prostu nie mogę ci opowiedzieć, Indio, ale wyglądało na to, że wszystko, czego się tylko dotknę, obraca się przeciwko mnie. Od śmierci Jenny nic się nie układało – Paris zamoczyła czubki palców w spokojnej wodzie. – Gdyby nie Didi, to nie wiem, co bym zrobiła. I gdyby nie Alicja. Indio, dopóki nie odniosę sukcesu w branży, nigdy nie będę szczęśliwa. To coś więcej niż napęd twórczy, to coś, bez czego nie można żyć, to radość ze zwycięstwa, z tego, że się jest kimś. To właśnie tkwiło w Jenny. Rozumiem ją teraz dużo lepiej niż przedtem. Indio, ja muszę to osiągnąć, po prostu muszę.

– Jeśli czujesz aż taką potrzebę sukcesu, to na pewno dopniesz swego. Paris, ciebie nic nie powstrzyma. To, co się zdarzyło, to tylko drobne opóźnienie. Pewnego dnia ci się uda. Posiedź tu trochę, nabierz zapału i energii... i będziesz gotowa do następnego podejścia.

Paris wzięła siostrę pod rękę.

– A co z tobą? Podoba mi się ten twój Aldo, jest wrażliwy, ma otwartą głowę, i nie da się prowadzić za rączkę głupim babom w rodzaju Marisy.

– Aldo pewnie ożeni się z Renatą – India wzruszyła ramionami, starając się, by jej słowa zabrzmiały swobodnie. – Widziałas, co się działo podczas lunchu.

– Jeśli się z nią ożeni, to nie dla pieniędzy. To nie ten typ człowieka, Indio. Po co sprzedawałby rodzinne skarby, żeby sfinansować przebudowę zamku? Przecież mógłby poczekać i zrobić to za jej pieniądze.

To prawda, Renata mogłaby pokryć koszty przebudowy. Nie musiałby wtedy sprzedawać tych wszystkich rzeczy, które tyle znaczyły dla jego matki.

– Zauważyłam, że najpierw przywitał się z tobą i twoją rękę trzymał długo w dłoni, a Renatę potraktował dokładnie tak samo jak Marisę; po przyjacielsku, ale bez zaangażowania.

– Może czeka z tym do ślubu.

– Indio, do diabła! Kiedy oświadczył, że chce się żenić, Marisa wyraźnie zrozumiała, że chodzi o Renatę. A ja myślę, że on chce ciebie. To prawdziwy mężczyzna i nie da sobą manipulować. Zdaje się, że ma własne zdanie i potrafi

wprowadzić je w czyn. I co, zamierzasz się teraz schować w mysią dziurę i zostawić go Renacie? Co się stało z bojową Indią Haven?

– Ale co ja powinnam zrobić? Przecież go o to nie spytam wprost, prawda?

– Powiedz mi prawdę. Czy ty się w nim zakochałaś? Jeśli cię poprosi o rękę, to się zgodzisz?

India zamilkła na chwilę, słysząc te bezpośrednie pytania. Czy wyszłaby za niego? Tak, bez zastanowienia. Ale gdy zaczynała romans z Fabriziem, czy nie wyszłaby za niego, gdyby był wolny? Tak, wyszłaby, ale ich związek zakończył się rozstaniem, a życie potoczyło się dalej. Tamten romans nie miał nic wspólnego z jej uczuciem do Aida.

– Tak – odparła w końcu. – Tak, zgodziłabym się. Ale mi się nie oświadczył.

– Renacie też nie, idę o zakład. Wiesz, co by na to powiedziała nasza matka, prawda? Że jest tylko jeden sposób, by się dowiedzieć.

– Trzeba go zapytać – niemal niedosłyszalnie dokończyła India.

– Otóż to. Jenny nie czekałaby na próżno na nikogo. Albo jazda, albo wysiadka. Jeśli go nie interesuje małżeństwo z tobą, trudno, jego strata, i po wszystkim. A jeśli interesuje? Indio, nie masz nic do stracenia.

India zebrała spódnicę w garść i popędziła przez fale, przeskakując je ze śmiechem.

– Strasznie cię kocham, Paris! – zawołała. – Z tobą wszystko jest takie proste!

Paris uparła się, że India musi na kolacji wyglądać niezwykle wyrafinowanie i że żadna z jej sukienek nie da pożądanego efektu.

– Czy ty sobie zdajesz sprawę, jaką masz konkurencję? – spytała, zepchnęła niezadowoloną Alicję ze swojej otwartej walizki i zaczęła buszować w tym, co przywiozła. – No, a co myślisz o tym?

India krytycznie przyjrzała się wąskiej jasnoszarej sukience z koronki.

– Jest o wiele za długa, a ja w dodatku okropnie wyglądam w szarościach.

– Nie wtedy gdy ja się za ciebie wezmę – Paris rozłożyła sukienkę na łóżku i oglądała szwy.

– Uszyłam ją na miarę Naomi, więc jest większa niż moje inne modele; jest bardziej konwencjonalna, z tych, co się zawsze dobrze sprzedają.

– Czyli jest dla takich jak ja, co nie urodziły się z sylwetką modelki?

Paris roześmiała się:

– Dokładnie tak. Jeśli tu odpuszczę zakładkę, obniżę dekolt i obetnę z piętnaście centymetrów od dołu... może więcej, powinna być bardzo krótka, dokładnie nad kolano, inaczej proporcje się nie zgodzą... podaj mi nożyczki.

Pewne ręce Paris rozcięły koronkę.

– W życiu nie zdążysz z tym na czas – protestowała India.

– To drobiazg – odparła pewnym głosem Paris. – Godzina starczy. Idź pod prysznic, tylko się nie maluj. Ja się tym zajmę.

Dotrzymała słowa. W trzy kwadransy rozszerzyła stan brytami z koronki, odciętej z dołu sukienki, skróciła spódnicę bez obrębiania, tnąc koronkę po linii wzoru i pośpiesznie dopasowała taftową halkę.

Posadziła Indię przed toaletką, wzięła jej kosmetyki i zabrała się do pracy. W dziesięć minut zmieniła ładną dziewczynę w egzotyczną piękność. A kiedy pomogła jej przełożyć suknię przez głowę i zapięła suwak, wiążąc szary, jedwabny pasek z tyłu, India nagle zdała sobie sprawę z wielkiej mądrości swojej siostry. Sukienka była dopasowana, uwydatniała szczupłą talię i pełne piersi, miała głęboki dekolt, a zamiast rękawów przymarszczoną koronkę. Idealny strój na oficjalną kolację – a jednocześnie na tyle zalotny, by oświadczyć się w nim ukochanemu!

India nagle uświadomiła sobie, która godzina.

– Paris, zostało ci tylko dwadzieścia minut!

– Zdażę w piętnaście – odrzyknęła siostra, biegnąc pod prysznic. Contessa i Aldo czekali na gości w salonie. Paris, wchodząc, zauważyła, że twarz Aida aż pojaśniała na widok Indii, i pomyślała, że przynajmniej jedna z jej sukienek na coś się przyda.

Marisa, która wkroczyła do salonu zaraz za dziewczętami, ze zdumieniem zmierzyła je wzrokiem. Paris, w białym wieczorowym zakiecie o prostym kroju, uszytym z satyny, i w czarnej spódnicy, wyglądała fantastycznie – Marisa poczuła się jak przebieraniec w długiej, fałdzistej sukni od Valentina, uszytej z niebieskiej organdy. A jeszcze niedawno, kiedy ją kupowała, wydawała jej się tak niesłychanie kobieca. Do diabła. A India wygląda przeuroczo!

Do diabła i do cholery, myślała Marisa. Nie przywykła, żeby ktoś ją przyćmiewał wyglądem.

Syn Ricardiego z kafejki, który przechodził przeszkolenie przed objęciem stanowiska starszego kelnera w hotelu, podał szampana. Marisa uważnie przyglądała się, jak Fabrizio rozmawia z Paris i z Indią... nie, pomyliła się. Jego uśmiech był po prostu swobodny, a jej – niewinny. Ulga była dużo większa, niż się spodziewała.

Niania przyprowadziła dzieci w piżamkach. Dostały po kropelce szampana i po czekoladce, a potem Aldo i Fabrizio zanieśli je do łóżek.

Rozmowa przy kolacji toczyła się wartko i wesoło, tym razem bez żadnych krepujących przerw. Marisa darowała sobie kąśliwe uwagi, a Aldo, siedzący między Indią a Renatą, nie wyróżniał żadnej z dziewcząt szczególnymi względami. Po kolacji przeszli do saloniku na kawę. Noc była ciepła i cicha – okna otwarto na oścież, by wpuścić świeże wieczorne powietrze. Wszyscy wyszli na dwór, by popatrzeć na

księżyc w pełni, odbijający się w spokojnych wodach zatoki. Renata wzięła Aida pod rękę i czekała, żeby się pierwszy odezwał. Jeśli chce się jej oświadczyć, ta noc jest po prostu idealna, pomyślała.

– Gdzie się wybierasz na lato? – spytał. – Na Sycylię czy na południe Francji?

– Jeszcze nie wiem – zdziwiła się; nie to pytanie spodziewała się usłyszeć. –

Bohanowie zaprosili mnie, żebym do nich przyjechała do Antibes, ale jeszcze się nie zdecydowałam.

– Powinnaś jechać, Renato. Na pewno będzie przyjemnie.

– Tak. Być może pojedę – odpowiedziała pokornie. – A ty, Aldo?

– Ja? Obawiam się, że przez długi czas nie będę miał żadnych wakacji... dopóki hotel nie zacznie sprawnie funkcjonować. Mam nadzieję, że zamiast sam wypoczywać będę pracował nad tym, by inni się dobrze bawili na urlopie. Popatrz, India i Paris idą na plażę. Przyłączymy się do nich?

– Nie – odpowiedziała gwałtownie. – Czuję się zmęczona. Chyba pójdę się położyć.

– A zatem dobranoc. Śpij dobrze, Renato. – Aldo pocałował ją lekko i patrzył, jak dołącza do Marisy i jego matki, które zostały na tarasie.

Dogonił Paris i Indię przy schodach prowadzących na plażę.

– Idę z wami, też chcę popatrzeć na księżyc – zawołał. – Renata poszła spać, jest zmęczona.

Paris ziewnęła demonstracyjnie.

– Miałam ciężki dzień. Jeśli nie macie nic przeciw temu, też bym sobie poszła.

Aldo wziął Indię pod rękę – wsparła się na nim, schodząc po kamiennych schodkach.

– Zdaje się, że tylko my dwoje jesteśmy prawdziwymi romantykami, którzy lubią wpatrywać się w księżycową ścieżkę na wodzie – powiedział.

– Chyba tak.

Otoczył ją ramieniem i poszli wzdłuż brzegu po ubitym przez fale piasku.

– Indio, przez cały dzień nie byłem z tobą sam na sam. Stęskniłem się za tobą.

– Naprawdę?

– A ty za mną?

India nie odpowiedziała. Spojrzał na nią, zdziwiony.

– Tak czy nie?

Wzięła głęboki oddech, zebrała się na odwagę i spytała:

– Aldo, czy ty się ożenisz z Renatą?

– Dlaczego mnie o to pytasz? – popatrzył na nią osłupiały.

W świetle księżycy oczy Aida były zupełnie czarne. Nie sposób było odgadnąć jego myśli.

– Czy to Renata sugerowała, że mamy się pobrać?

– No, nie...

– A więc to Marisa! Indio, czy w takim razie przyszedłbym tu z tobą? Czy gdybym był zakochany w Renacie, to spędziłbym minione tygodnie w twoim towarzystwie?

– Marisa nie powiedziała, że jesteś zakochany. To znaczy... no, chodzi o to, że Renata ma mnóstwo pieniędzy, a ty ich potrzebujesz, żeby odbudować swoje posiadłości.

– Jezu Chryste, Indio – rozzłościł się – co ty sobie w ogóle wyobrażasz? Naprawdę myślisz, że ożeniłbym się z Renatą, albo z jakąś inną babą, dla jej pieniędzy? Po co w ogóle słuchasz tej idiotki Marisy? – złapał ją za ramiona i potrząsnął ze złością. – Ty jej uwierzyłaś!

Tak się zdenerwował, że India wpatrywała się w niego z niepokojem.

– Nie wiedziałam, co mam myśleć... bałam się, że może tylko flirtujesz... że może jestem dla ciebie przelotnym „romansikiem”.

Aldo był zszokowany.

– Jak mogłaś coś takiego pomyśleć? Słuchaj, Indio, coś ci powiem. Jeszcze nigdy żaden Montefiore nie ożenił się dla pieniędzy. My jesteśmy rodem kochanków, a nie finansistów.

India słuchała, oszołomiona, a Aldo rozkręcał się coraz bardziej.

– Nie sądziłem, Indio, że będziesz na tyle głupia, żeby wierzyć komuś takiemu jak Marisa Paroli.

– Nie chciałam w to wierzyć. Tak naprawdę to chciałam wierzyć, że zakochałeś się we mnie.

Aldo znowu złapał ją za ramiona.

– Oczywiście, że się w tobie zakochałem. Od chwili kiedy wylałaś mi szampana na rękaw, tylko że ty ciągle trzymałaś mnie na dystans. Chodź no tutaj – przyciągnął ją bliżej i ciasno otoczył ramionami. – Ty wariatko – szeptał całując jej usta – oczywiście, że się w tobie zakochałem.

Wszystkie postanowienia Indii stopiły się w ogniu tych pocałunków. Przesunęła dłońmi po gęstej czuprynie Aida, tuląc się mocniej do niego.

– Och, Aldo, też cię kocham, ale nigdy nie zostanę twoją kochanką.

– Kochanką? Dobry Boże! Indio, nie proszę cię, żebyś była moją kochanką. Proszę cię, żebyś wyszła za mnie za męża.

Wpatrywali się w siebie w świetle księżyca.

– Żebym za ciebie wyszła? Dlaczego?

– Dlaczego? Z tysiąca powodów. Od którego mam zacząć? Że bez ciebie nie dam sobie rady z prowadzeniem hotelu? Ty władca Amerykanico!

India zaśmiała się, odrzucając w tył głowę.

– Całkiem rozsądnie. Nie jestem pewna, czy Jenny by to się podobało, ale brzmi rozsądnie.

– Następne powody pewnie by zaakceptowała. Nie mogę bez ciebie żyć, Indio Haven. Dałaś mi radość życia. Chcę cię zawsze kochać, chcę mieć z tobą dzieci, chcę się z tobą zestarzeć. Proszę, powiedz, że wyjdiesz za mnie.

To jest równie romantyczne jak filmy Jenny Haven, pomyślała India: elektryk uchwycił idealnie kąt padania księżycowego światła, dźwiękowiec dodał cichy, rytmiczny podkład fal bijących o brzeg, a ona doskonale знаła swój tekst.

– Tak. Och, tak, Aldo, chcę wyjść za ciebie – odpowiedziała. Gdy dotknął jej ust, wiedziała, że Jenny zaakceptowałaby takie zakończenie: para kochanków... odjazd kamery... przebitka na opromienione księżycem morze i spienione fale.

Tylko że rzeczywistość była wspanialsza niż Hollywood.

19.

Nikt nie jeździ do Nowego Jorku w czerwcu, ale Olympe uznała, że warto się poświęcić. Wsiadła z klimatyzowanego wnętrza komfortowej limuzyny i weszła do równie chłodnego foyer hotelu Helmsley Palace na Madison Avenue. Rozejrzała się z upodobaniem. Dobry hotel: to zawsze widać po kwiatach i po gościach we foyer. Szybko dopełniła formalności i pojechała na dziesiąte piętro do swego apartamentu. Czekały tam owoce i kwiaty – dowód atencji ze strony dyrekcji. Podniosła słuchawkę i zamówiła do pokoju dużą butelkę schłodzonego Perriera i kanapki. Olympe nigdy nic nie jadła ani nie piła w samolotach – nawet gdy leciała concorde'em; to tylko odwadnia i potęguje objawy przesunięcia czasowego. Umierała więc z głodu. Zrzuciła pantofle, zadzwoniła do centrali i poprosiła o przełączenie na miasto. Otworzyła kalendarzyk pod literą M, wykręciła numer i czekała, aż zgłosi się Fitz McBain. Dzwoniła pod prywatny numer – wtedy on osobiście odbierał; przez dłuższy czas nikt nie odpowiadał.

Do licha. Czyżby wyjechał za miasto? Na pewno nie. Wspominał, że niemal przez cały czerwiec będzie załatwiał sprawy służbowe w Nowym Jorku, a później wybiera się do Europy. Olympe miała nadzieję, że postawiła na dobrą kartę – ta podróż kosztowała ją majątek. Weźmie prysznic i spróbuje jeszcze raz.

W pół godziny później, kiedy już się wykapała i przegryzła kanapkę, zadzwoniła do niego ponownie. Odebrał od razu. Jeśli był zdziwiony jej telefonem, to nie dał tego po sobie poznać. Efektem rozmowy była randka w Le Cirque o wpół do dziewiątej, tego samego dnia.

Fitz siedział naprzeciw Olympe przy dyskretnym stoliku w kącie, a kelnerzy tańczyli wokół nich skomplikowany balet, podsuwając mu butelki do akceptacji, przypalając jej papierosy i podając kolejne karty dań. Olympe promieniała.

– A więc wybrałem dobre miejsce – powiedział – pomyślałem sobie, że tu będziesz się czuła w swoim żywiole.

– Tu jest uroczo, Fitz. Ładne wnętrze, doskonała obsługa i tak tu... intymnie.

Fitz sączył szkocką z lodem. Zwykle niechętnie pił whisky przed winem, ale Olympe zamówiła campari, więc i on coś musiał wybrać.

– Olympe, akurat tego nigdy bym nie powiedział o tej restauracji.

– Oczywiście, że to intymne miejsce, dla pewnego rodzaju ludzi. Spójrz na nich – wskazała papierosem na gości przesiadających się od stolika do stolika, żeby porozmawiać ze znajomymi albo nawiązać nowe kontakty. – Oni stwarzają nastrój intymności dla takich jak my, którzy przyszli tu, by zjeść kolację we dwójkę. Nawet nas nie zauważyli.

Fitz roześmiał się z jej pokrętej logiki.

– Pewnie masz rację, a sądziłem, że sama należysz do takich ludzi.

Olympe obdarzyła go swym najbardziej powściągliwym uśmiechem.

– Tylko gdy okoliczności mnie do tego zmuszają, Fitz. Nigdy z własnej woli. Nie ma dla mnie nic miłszego niż kolacja we dwoje z kimś miłym, z kimś, kogo lubię. No, może jest jedna rzecz, którą wolę... – zaśmiała się wesoło, wymachując trzymanym w ręku papierosem, który służył jej prawie wyłącznie jako rekwizyt. – Ach, mój drogi, nie wiem, czy ty jesteś przyzwyczajony do bezpośredniości, z jaką my, Francuzki, traktujemy różne sprawy.

– Na pewno nie przed zakąskami – mruknął Fitz na widok kelnera, który przyniósł szparagi dla Olympe i wędzonego łososia dla niego.

Po raz pierwszy od wielu tygodni był w dobrym nastroju, przypominało mu to poprzednie spotkanie z Olympe, na przyjęciu wydanym przez Bendora na Barbadosie. Wtedy też dobrze się bawił; jak rzadko kto potrafiła sprawić, że mężczyzna czuł się swobodnie w jej towarzystwie. Jeśli flirtowała, robiła to wprost, a nie grała jak Raymunda. Ale mimo wszystko to nie Venetia, pomyślał z bolesnym ukłuciem w sercu. No i bardzo dobrze! Położył plasterek łososia na ciemnym chlebie i podał go Olympe. Nie wzięła go w rękę, tylko pochyliła się i schwyciła kasek ustami, delikatnie oblizując jego palce różowym językiem.

– Delicje – powiedziała. – Muszę przyznać, panie McBain, że kocham dobrze jeść. To jedna z moich słabości.

– Jak tam Beny? – spytał Fitz nie dając się sprowokować. Olympe najpierw skończyła ostatniego szparaga, delikatnie wytarła serwetką jaskrawoczerwone usta i wreszcie odparła:

– Bardzo dobrze. Siedzi w Australii, a nie jest to miejsce, które by mnie pociągało. Ci wszyscy hodowcy owiec, to ciągle picie piwa. Wiesz, biedny Beny chyba jest uzależniony od piwa – udała, że wstrząsa nią dreszcz – mam nadzieję, że ty nie jesteś piwoszem, Fitz.

– Wszyscy wiedzą, że nie – stwierdził z uśmiechem. – Nie zapominaj, że wyrosłem na pustkowiach Teksasu. Rozmawiasz z nieokrzesanym włóczęgą.

– Naprawdę?

Jak ona to robi, że tyle potrafi powiedzieć samymi oczyma? – Fitz był zafascynowany. Jeśli Olympe chciała go oczarować swoją zalotnością, nieźle jej to wychodziło.

– Cóż cię sprowadziło do Nowego Jorku? – spytał, gdy kelnerzy zmieniali naczynia.

– Chcę zrobić trochę zakupów. A poza tym przyjechałam... z ciekawości.

– Czy Francuzka może kupić w Nowym Jorku coś, czego nie znalazłaby w Paryżu?

– Więc może przyjechałam tylko z ciekawości. Fitz pochylił się ku niej z uśmiechem:

– A właściwie czego jesteś tak bardzo ciekawa?

– Między innymi tego, jak też może wyglądać mieszkanie nieokrzesanego teksańskiego włóczęgi.

Olympe była równie piękna nago, jak w ubraniu – Fitz doskonale wiedział, że to rzadka cecha u modnie ubierających się pań. Piękno jej ciała niemal go oślepiło: stała dumnie wyprostowana i spoglądała na niego bezwstydnymi, rozbawionymi oczyma. Właśnie to oczy sprawiały, że tak bardzo mu się podobała: ona rzeczywiście jest bezwstydną, to prawda, zdawały się mówić, ale to może okazać się bardzo zabawne. A dlaczego by nie zaznać tego bezwstydu we dwójkę? I zaznali go, jeszcze jak zaznali! Olympe uwodziła go najpiękniej i najskuteczniej, jak tylko kobiety potrafią, doprowadzała go do szaleństwa i umykała, i pozostawiała drżącego z podniecenia, aż nie mógł już dłużej tego znieść – dopadł ją i wdarł się w jej ciało. Odpowiadała na jego pieszczoty, mrużąc z rozkoszy, równie jak on roznamiętniona. A później opadła na poduszki i leniwie zapaliła papierosa, uśmiechając się do niego przewrotnie, jak kot. Była elegancka, panowała nad sytuacją, ale była gotowa na każdą jego propozycję. Nie miał pojęcia, jak ona potrafi przekazać to wszystko samym wyrazem twarzy, ale bez wątpienia takiej właśnie kobiety potrzebował.

– Lubisz Morze Śródziemne o tej porze roku? – zapytał.

Ciepłe, błękitnoczarne noce doprowadzały Venetię do szaleństwa. Były jeszcze gorsze niż te gorące, słoneczne dni, gdy opalała się na rufie „Fiesty”, a lekki ciepły wiaterek swą pieszczotą drażnił jej nagie ciało. Była samotna. Powinna dawno wrócić do Anglii, dobrze to wiedziała. W domu nie czułaby się tak... tak rozpalona cielesnie. Z westchnieniem usiadła na łóżku. Źle, że jest tu tak zupełnie sama – nie ma nawet Kate do towarzystwa, a listy od przyjaciółki, choć takie długie, to jednak nie to samo co zwierzenia w cztery oczy. Poza tym powinna wprost powiedzieć Morganowi, że na pewno za niego nie wyjdzie. Bardzo starała się to zrobić, ale on po prostu nie przyjmował do wiadomości jej odmowy. Przyjeżdżał do niej co tydzień, kiedy tylko miał wolną chwilę. Pewnego razu przyjechał z Fitzem.

Nie zapowiedzieli się wcześniej, ale z zachowania załogi domyśliła się, że Fitz musi być na pokładzie – w jego obecności wszyscy nabierali energii i zapału. Morgan wsunął głowę w drzwi kambuza, żeby się przywitać, i zaprosił ją na wspólną kolację w mieście, ale odparła, że jako szef kuchni wreszcie ma szansę zapracować na swoją pensję i chciałaby się wykazać. Nie zniosłaby spotkania z Fitzem w towarzystwie Morgana. Trzymała się z dala od salonu, a później, po kolacji, widziała, jak ojciec i syn spacerują razem po pokładzie, dyskutując o spotkaniu w Caracas, na które właśnie mieli jechać. Wiedziała, że wyruszają bardzo wcześnie następnego dnia, więc

była na nogach już o bladym świetle, w nadziei że Fitz do niej zajrzy, że wciąż czuje to samo, co ona.

Zaparzyła sobie kawę, wyszła na pokład i obserwowała wschód słońca, kiedy pojawił się Fitz. Był ubrany w służbowy nieskazitelny beżowy garnitur. Ciemne, gęste włosy były dobrze wyszczotkowane, jeszcze wilgotne po kąpieli pod prysznicem. Rozpiął pod szyją niebieską koszulę i rozluźnił nieco krawat. Czują jego płyn po goleniu o orzeźwiającej cytrynowej woni. Nie uśmiechnął się, tylko patrzył na nią długo i uważnie, a potem odwrócił się i obserwował wybrzeże.

– Piękny poranek, Venetio – powiedział obojętnie. Zaciśnęła palce na kubku, niezdolna wymówić ani słowa. Wtedy odwrócił się do niej i spytał:

– Jak się miewasz, Venetio?

Miał zawsze taki zagadkowy wyraz oczu – bez przerwy starała się odgadnąć jego znaczenie. Wpatrywał się w nią tak, jakby widzieli się po raz pierwszy i jakby przeglądał w pamięci wszystkie twarze, zanim sklasyfikuje ją jako nową znajomą.

W odpowiedzi wyrzuciła z siebie:

– Tęskniłam za tobą, Fitz.

Wyraz jego twarzy zmienił się natychmiast, tak jakby przykryła ją maska: oficjalna, uśmiechnięta, uprzejma.

– Zbyt dużo czasu spędzasz tu w samotności – odpowiedział – ale zamierzam dostarczyć ci zajęcia przez następne parę tygodni. Kilkunastu moich przyjaciół przyjedzie tu na trochę, więc będziesz miała robotę... no i towarzystwo młodych ludzi. Morgan też będzie częściej wpadał. Pewnie oboje będziecie wtedy o wiele szczęśliwsi. – Spojrzał na zegarek. – Piąta trzydzieści – zmarszczył brwi – musimy jechać. Morgan na pewno przyjdzie się z tobą pożegnać.

Patrzyła na niego bezradnie, dalej ściskając w dłoniach nieszczęsny kubek.

– Aha, Venetio, jeszcze jedno. Nie zapomniałem... – serce jej drgnęło: teraz powie, że nie zapomniał tej nocy i o niej też nie zapomniał... – nie zapomniałem o tym, że obiecałem zapoznać się z finansową sytuacją Jenny. Dam ci znać, gdy tylko będę miał coś konkretnego.

Jakoś udało jej się ukryć drżenie głosu, gdy mu za to dziękowała.

W chwilę później na pokład wyszedł Morgan, pogodny i wesoły, i przerwał ich krótkie sam na sam.

Widziała się z Fitzem tylko ten jeden jedyny raz w ciągu całych dwóch miesięcy, a jednak ciągle tkwiła na pokładzie „Fiesty”, jak chrząszcz uwiązany na cieniutkiej nitce, której drugi koniec trzymał McBain.

Było jej trochę łatwiej, kiedy na jachcie zjawiało się mnóstwo ludzi, którzy przysporzyli jej więcej pracy, niż się spodziewała. Cieszyła się z tego, bo przyjaciele Fitz'a byli młodzi, weseli, po amerykańsku serdeczni i mogła dołączać do ich

towarzystwa zawsze, kiedy tylko miała na to ochotę. Ale wreszcie nadszedł moment prawdy.

Wczoraj kapitan powiedział jej, że „Fiesta” płynie na lato na Morze Śródziemne. W związku z tym pan McBain zostawił dla niej następującą wiadomość: będzie zachwycony, jeśli Venetia zechce pozostać na „Fieście” w czasie tego sezonu, ale zrozumie ją, jeśli będzie chciała odmiany. W takim przypadku biuro zorganizuje jej przelot do Londynu lub Nicei, w zależności od jej wyboru.

Siedziała na łóżku, otaczając kolana ramionami i wpatrywała się w miękką ciemność. Oczywiście powinna wyjechać; teraz już wie, że postanowił się z nią rozstać na zawsze, że zapomniał o tamtej nocy i ona też powinna zapomnieć. Tylko czy to się uda?

Zsunęła się z łóżka, włożyła szlafrok i wyszła na pokład. Powietrze było nieco chłodniejsze teraz, w najciemniejszej nocnej godzinie. Zawahała się na moment, a potem cicho zeszła na dolny pokład. Oprócz warty na mostku wszyscy już spali, więc udało się jej niezauważenie dostać do głównego salonu. Zamknęła za sobą drzwi, weszła do łazienki, wzięła z półki wodę po goleniu Fitz'a i wtarła odrobinę płynu w skórę na szyi i na piersiach – a potem nieco więcej na brzuchu i udach. Weszła do sypialni, zrzuciła szlafrok na podłogę, wsunęła się między chłodne prześcieradła na jego łóżku i wtuliła twarz w poduszkę. Wdychając zapach wody kolońskiej oszukiwała się, że leży u boku Fitz'a. Już nie pierwszy raz tak robiła: jakoś ją to do niego zbliżało...

Jasny słoneczny poranek przywrócił jej poczucie rzeczywistości. Musi podjąć decyzję – doskonale wiedziała, co powinna zrobić. Nie zniesie dłużej życia w takim zawieszeniu. Fitz wyraźnie nie życzy sobie mieć z nią nic wspólnego. Trzeba wracać do domu. Ale najpierw musi porozmawiać z Morganem, wyjaśnić mu wszystko, powiedzieć prawdę: między nimi nie ma miejsca na miłość. Powinna uczciwie postawić sprawę, z kolei od Morgana uczciwość wymaga zaakceptowania jej decyzji. Muszą się od siebie uwolnić. On nie może już czekać na spotkanie – napisze mu to wszystko w liście.

Ale przedtem przyszedł list od Indii i postanowienia Venetii się rozwiały, bo znalazła wygodną wymówkę.

India pisała, że bierze ślub z uroczym włoskim szlachcicem imieniem Aldo i że po ślubie zamieszka w cudownym palazzo nad brzegiem Morza Śródziemnego. Na tę wieść po raz pierwszy od bardzo dawna Vennie poczuła wielką falę czystej radości. Przynajmniej jedna z córek Jenny wreszcie ułożyła sobie życie, myślała dziewczyna, czytając list pisany dużym, zaokrąglonym pismem Indii. Siostra zaprosiła ją i Paris jako drużny na wesele, które ma odbyć się w kościółku w wiosce Marina di Montefiore.

Venetia bez trudu wytłumaczyła sobie, że Marina di Montefiore leży nad Morzem Śródziemnym, więc najłatwiej będzie dostać się tam z pokładu „Fiesty” – co oznacza przedłużenie umowy na lato. W końcu zawsze można spróbować jeszcze raz...

20.

Mieszkańcy Mariny di Montefiore wychodzili ze skóry, by jak najgodniej uczcić ślub młodego hrabiego. Cała wioska świętowała: ulice udekorowano kwiatami, wstążkami i kolorowymi lampkami, a na rynek powystawiano stoły na krzyżakach; tego wieczoru conte Aldo i jego przyszła żona wydawali dla wszystkich świąteczną kolację. Później miał się odbyć pokaz ogni sztucznych przed pałacem, solidna popijawa dla starych rybaków i tańce na rynku dla młodych. Miejskowa orkiestra ćwiczyła pośpiesznie utwory, którymi miała powitać młodą parę po wyjściu z białego kościołka. Potem Aldo i India, w bryczce udekorowanej kwiatami i wstążkami, ciągniętej przez dwa osiołki tej samej maści, mieli wrócić do pałacu na przyjęcie weselne.

India była przepiękną panną młodą. Wydawała się taka drobniutka w sukni z kremowego jedwabiu zaprojektowanej przez Paris, z kwiatem pomarańczy we włosach i wyrazem szczęścia w oczach. Przytulona do Aida, jadąc zabawnym powozikiem ciągniętym przez osły, uśmiechała się i machała do tłumu zgromadzonego przy placu, rzucała kwiaty dziewczętom i radosnym śmiechem powitała krótki postój przy fontannie, kiedy to osiołki postanowiły posilić się soczystą trawą.

Było to prawdziwe wiejskie wesele, proste, nieoficjalne i pełne żywiołowego ciepła charakterystycznego dla Włochów; India cieszyła się każdą chwilą. Na moment ogarnął ją smutek i żal, gdy wchodziła do kościoła wsparta na ramieniu brata contessy – nie dlatego, że nie miała ojca, który poprowadziłby ją przed ołtarz, bo do braku ojca była przyzwyczajona, ale dlatego że na ślubie nie było jej matki. Jenny świetnie by się bawiła na weselu – piłaby z gośćmi szampana, tańczyłaby tarantelę z rybakami i cieszyła się szczęściem córki.

Krewni rodziny Montefiore zjawili się tłumnie. Wyglądało na to, że Aldo jest spowinowacony z połową Italii i że większość jego bliskich postanowiła przyjechać na ślub. We wszystkich wielkich, połączonych ze sobą salach przewijali się ludzie, witając się nawzajem gorącymi pocałunkami i głośnymi okrzykami zaskoczenia i zachwytu. Szampan lał się strumieniami, dziewczęta w białych schludnych fartuszkach częstowały wszystkich zakąskami z tac, a fotografowie pracowicie ustawiali i przestawiali grupy do zdjęć rodzinnych, aż Aldo i India ze śmiechem postanowili, że dość już tych fotografii.

Venetia i Paris znalazły się w centrum zainteresowania męskiej młodzieży, komplementowano je i zarzucano pochlebstwami z prawdziwie włoskim zachwytem nad ich urodą. One także zapomniały w tym dniu o wszystkich zmartwieniach i bawiły się na całego.

– Wchodzi do ogromnej rodziny – stwierdziła Paris, gdy India i Aldo kroili tort weselny. – Zawsze uważałam, że z naszej trójki Indii najbardziej brakuje rodziny. Ty miałaś Lancasterów, a ja... ja od początku byłam samotnicą.

Siostry, na moment same w tłumie, wróciły myślami do zmarłej matki.

– Biedna Jenny – westchnęła Venetia. – Bardzo by jej się to wszystko podobało.

– Powinna tu być na ślubie Indii – gniewne wspomnienie ściągnęło twarz Paris. – W dalszym ciągu sądzę, że jej śmierć nie była przypadkowa.

– Wiesz, to ciekawe. Opowiedziałam całą tę historię Fitzowi McBain i on też uważa, że tu coś nie gra. Obiecał nawet, że się tym zainteresuje. Ma w Los Angeles ludzi, którzy mogą posprawdzać różne rzeczy. Nie jestem pewna, co zamierza zrobić i co spodziewa się odkryć, ale... – Vennie szybko otrząsnęła się ze wspomnień.

– Tak czy siak, to nie czas i nie miejsce, by na ten temat rozmawiać. Powinniśmy się dziś cieszyć radością Indii. Och, popatrz, idą następni kuzyni z szampanem...

India i Aldo postanowili spędzić miesiąc miodowy w pałacu i jako pierwsi zamieszkać w kremowym apartamencie, który pośpiesznie wykańczano, by zdążyć przed ich ślubem. Contessa postanowiła taktownie wyjechać na jakiś czas do krewnych we Florencji i dać młodym okazję cieszenia się sobą w samotności.

– Nie przeżyłabym, gdyby trzeba było jechać w jakąś podróż i stracić najlepszą zabawę – zwierzała się India, gdy Paris pomagała jej zdjąć suknię. Vennie zdjęła buty i wyciągnęła się na łóżku siostry, przysłuchując się rozmowie. – Będą jeszcze ognie sztuczne, a potem tańce na rynku. Ach, to wszystko jest takie wspaniałe, chciałabym, żebyście były równie szczęśliwe jak ja. – Odwróciła się do Venetii: – Vennie, a jak tam Fitz McBain?

Venetia usiadła, rumieniąc się ogniście.

– Och, to już skończone... przynajmniej tak mi się wydaje.

– Naprawdę? – w głosie Indii brzmiało niedowierzanie. – Dlaczego wobec tego wracasz na „Fiestę”?

– Samo tak wyszło. Jestem pod ręką, w tym samym regionie... jakoś tak się złożyło.

– Taak? – India usiadła na łóżku obok niej. – To posłuchaj rady starej zamężnej kobiety i zastanów się, co Jenny by zrobiła w twojej sytuacji. Paris mi tak kiedyś powiedziała. Pamiętasz, Paris? I podziałało! Vennie, nie zastanawiaj się w nieskończoność, czy facet cię kocha, czy nie. Pomyśl, co by zrobiła Jenny, i zrób to samo.

– Ale to wszystko jest takie skomplikowane.

– Dlaczego? Ze względu na Morgana? Daj spokój, Vennie, zastanów się. Czy Morgan jest jedyną przeszkodą między tobą a Fitzem?

– Fitz mi powiedział, że bym o wszystkim zapomniała, ale nie jestem pewna, czy

to z powodu Morgana.

– No? A nie chciałybyś się tego dowiedzieć? – India spojrzała na zegarek. – Muszę się przebrać. Aldo pewnie już czeka.

Vennie dała się porwać entuzjazmowi Indii i nie miała już czasu, żeby przemyśleć słowa siostry. Mogła to zrobić dopiero następnego dnia rano, kiedy obie z Paris czekały na lotnisku.

– Ja nie jestem taka jak Jenny – zwierzyła się. – Ja nie potrafię tak po prostu podejść do mężczyzny i spytać go, czy mnie kocha. A jeśli powie, że nie? Może tak powiedzieć. Może byłam tylko przelotnym kaprysem, ładną dziewczyną w gorącą tropikalną noc.

– Rób, jak uważasz, Vennie. To twoje życie.

Paris tego ranka była wyjątkowo milcząca. Ona wraca do pustego mieszkania, pomyślała Vennie, a ja tu samolubnie martwię się o swoje sprawy.

– Co chcesz teraz robić? – spytała. Paris wzruszyła ramionami.

– Nie będę już modelką, nie zniósłabym tego. Poza tym, po tych wszystkich włoskich specjałach Mitsoko nawet na mnie nie spojrzy, chce, żeby jego dziewczyny wyglądały jak szkielety. Mam parę pomysłów na wakacyjne stroje. Pomyślałam sobie, że może coś uszyję i spróbuję sprzedać w różnych butikach w Saint-Tropez i Monte Carlo. Wiesz, takie swobodne, wesołe, sportowe ciuszki. Daleko im do paryskiego krawiectwa, ale ja się zmieniłam, Vennie. Chcę teraz zacząć od samego dołu, zrobię wszystko, byleby tylko wcisnąć się do światka projektantów.

– Nie od samego dołu, tylko od początku – pocieszyła ją Vennie. – Powodzenia, Paris. Bądźmy w kontakcie, zadzwoń, kiedy będziesz się wybierać na południe, musimy się koniecznie spotkać.

Lot Venetii zapowiedziano jako pierwszy i Paris została sama na zatłoczonym neapolitańskim lotnisku. Pomyślała, że będzie tęsknić za miłym towarzystwem Indii i za pogodnymi dniami w pałacu, ale świat znowu rzucał jej wyzwanie. A Jenny chciałyby, żeby córka stanęła do walki – i wygrała. Paris wyprostowała się. Podeszła do stanowiska odprawy pasażerów. Dobra. Trzeba spróbować jeszcze raz.

21.

To był ciężki dzień. Na planie Brudnej gry było pełno gości z zewnątrz, a to go zawsze rozpraszało. I tak jest ciężko, kiedy trzeba pracować przez cały dzień, nie zapomnieć ani słowa, wyglądać ekstra i starać się wypaść jak najlepiej, myślał zdenerwowany Rory, a tu nagle pod nogami zaczyna się plątać tłum bankierów, czy tam księgowych, wszyscy traktują ich jak honorowych gości, a on musi robić za kabaret.

– Zmęczony? – spytał Bob siedzący obok niego w limuzynie, która ich wiozła ze studia do willi aktora.

– Skonany – Rory zamknął oczy.

I rzeczywiście wyglądał na wykończonego. Bez makijażu jego twarz była podpuchnięta i niezdrowa. Bob przesiedział z nim cały dzień na planie i nie mógł się nadziwić, ile czasu filmowcy marnują na czekanie. Zawsze trzeba było coś poprawić, zrobić nową scenografię, a potem kręcili oderwane fragmenty scen albo robili zbliżenia, kilkakrotnie filmując twarz wypowiadającego kwestię aktora długimi ujęciami... a jednak co tydzień następny odcinek Brudnej gry pojawiał się na ekranie! To nie dla mnie, stwierdził Bob. I tak był już niespokojny: za długo grał rolę kumpla Rory'ego. Miał tylko nadzieję, że Fitz McBain rozumie, co on przeżywa, i później nagrodzi go odpowiednio, i to nie tylko pieniędzmi. Marzył o awansie w strukturze korporacji.

– Dobra, Rory, jesteśmy na miejscu.

Kierowca wyskoczył, by otworzyć im drzwi.

– Dobranoc, panie Grant. Do jutra.

– Dobranoc.

Rory pomajstrował przy kluczach, znalazł ten właściwy i otworzył drzwi. Po całodziennym upale gorąco aż buchało z pokojów.

– Szlag by to trafił – warknął i włączył klimatyzator.

– Powinieneś mieć gosposię – oświadczył Bob, podszedł do lodówki i wyjął butelkę Mondavi Chablis. – Daj szklanę, to ci należy.

Rory popatrzył na wino z niesmakiem.

– Wolałbym piwo... wiem, wiem, że ma miliony kalorii i że nie powinienem. Cholerna Jenny Haven – wrzasnął w pustkę – ty mi zaszczyliłaś tą szajbą z kaloriami, i to tak, że nie mogę się jej pozbyć – popatrzył na Boba. – Jak wypiję piwo – poskarżył się – zaraz mi przybędzie kilogram, a jutro te cholerne dopasowane dzinsy na mnie nie wejdą i brzuch mi będzie zwisał nad paskiem.

– Przesadzasz, Rory – uspokoił go Bob – wypij to piwo, jedno ci nie zaszkodzi.

Rory wepchnął ręce w kieszenie i nachmurzony popatrzył przez okno na

eleganckie jachty i motorówki zakotwiczone w porcie.

Bob obserwował go w milczeniu. Jeszcze nie widział go w tak ponurym nastroju: Rory był podenerwowany, zestresowany i do tego zmęczony.

Aktor odwrócił się od okna i poszedł w stronę schodów.

– Co jest? – zawołał Bob – Idziemy coś zjeść, czy jak?

– Poczekaj – odkrzyknął Rory. – Zaraz schodzę, tylko wezmę prysznic.

Bob czekał. Przekartkował „Esquire” a później „Playboya”. Nalał sobie jeszcze jeden kieliszek Chablis. Popatrzył przez okno na zapadający nad oceanem zmierzch. Co on tam wyprawia? Minęła już co najmniej godzina.

– Rory, dobrze się czujesz? – zawołał z dołu.

– Jasne – aktor zszedł na półpiętro – dlaczego pytasz? Uśmiechał się szeroko, a ze schodów zbiegł jak błyskawica. Bob jeszcze go nie widział tak napakowanego.

– Widzę, że podziwiasz Laleczkę Miesiąca. Wiesz co, Bob, jedźmy do Mansion, tam zawsze coś ciekawego się dzieje. Trochę pogramy w bilard, potańczymy... słuchaj, one naprawdę takie są, te zdjęcia nie kłamią.

– Myślałem, że jesteś skonany.

– Bo byłem. Ale już mi przeszło – zaśmiał się Rory. – Dałem sobie trochę w żyłę, stary, i po krzyku. Teraz jest ekstra. No to chodź, lecimy.

– A co z pracą? Masz wstać o wpół do szóstej.

– To wstanę.

Rory zgarnął kluczyki i wyszedł z domu. Bob podążył za nim i zatrzasnął drzwi. Przeczuwał, że czeka go ciężka noc.

Wrócili do domu o wpół do piątej i padli na kanapę. Bob właśnie złapał drugi oddech, a Rory pękał. Spadł z niebotycznej wysokości i rozkleił się kompletnie. Siedział przeraźliwie blady, podpierał głowę rękami i wpatrywał się w marmurowy blat stolika.

– Chyba coś cię strasznie gryzie, Rory – zaczął Bob i zabrał się do skręcania jointa. – Znaczący, to widać. Jakbyś coś dusił w sobie, jakieś poważne zmartwienie.

Rory podniósł głowę i popatrzył na niego.

– Masz rację – odparł.

– Wiesz, nie warto zamykać się w sobie, tak jak ty teraz – Bob zaciągnął się papierosem. – Skończysz na leżance u psychiatry... zmarnujesz dziesięć lat, wydasz kupę pieniędzy i co z tego będziesz miał? Rozmowa z przyjacielem przyniesie ten sam skutek.

Rory znowu oparł głowę na rękach i zapatrzył się w stół; żałował, że akurat teraz ma okres depresji. Wszystko szło mu jak z płatka, odniósł olbrzymi sukces w tym mieście, gdzie liczył się tylko dzień dzisiejszy. Pieniądze płynęły do niego szeroką strugą – nigdy nawet nie marzył, żeby mieć aż tyle. Teraz nie potrzebowałby forsy od

Jenny – o, znowu ona! Wspomnienie o niej zawsze kryło się w zakamarkach mózgu i w chwilach depresji uparcie wydobywało się na powierzchnię. Jej błękitne oczy patrzyły oskarżająco, były takie błękitne i takie przerażone. Tak jak wtedy, tamtej nocy...

– Masz rację – powtórzył powoli – muszę się przed kimś wygadać, a ty, Bob, jesteś moim najbliższym przyjacielem. Ale to nie było tak, jak myślisz. Znaczący, byłem wtedy młodym chłopakiem i musiałem jakoś przetrwać w tym brutalnym świecie. Rozumiesz, o co mi chodzi, Bob?

Bob włączył mały dyktafon w wewnętrznej kieszeni dżinsowej kurtki od Ralphi Laury.

– Jasne – zgodził się. – Oczywiście, że rozumiem.

22.

W tym sezonie „Fiesta” była najweselszym, najchętniej odwiedzanym jachtem na całym Morzu Śródziemnym. Najpierw leniwie wzięła kurs wzdłuż wybrzeża, od Monte Carlo do Saint-Tropez, potem popłynęła do Porto Cervo na Sardynii, parę razy zakotwiczyła w maleńkim porcie Calvi na Korsyce albo dla odmiany żeglowała na zachód do Puerto Banus w Marbelli. Wszystkie kabiny były bez przerwy zajęte, tłum gości przelewał się po pokładzie, a Venetia czuła się, jakby nagle puszczono ją na głęboką wodę. I trochę jej to pomogło; nie miała czasu na smutki, bo ledwie dawała sobie radę nawet z pomocą dwóch dziewcząt, które musiała ściągnąć do pracy z Londynu. Wieczorami bywała tak zmęczona, że marzyła wyłącznie o tym, by wreszcie pójść spać.

W ciągu pierwszego miesiąca Fitz McBain przyjechał ledwie dwa razy – za każdym razem tylko na jedną noc i tylko po to, by przywieźć ze sobą nową grupę znajomych, którzy przez kilka następnych tygodni korzystali z jego gościnności – choć nie mieli nawet okazji zobaczyć się ponownie z gospodarzem. Venetia też nie spotkała go sam na sam; właściwie rozmawiała z nim tylko raz, przy jakiejś kolacji, kiedy rozweseleni szampanem goście wywołali szefową kuchni z kambuza, by pogratulować jej talentu.

W Musiała stanąć przed nimi z rumieńcami na twarzy, w starych szortach i wielkim pasiastym fartuchu. Było jej gorąco, włosy miała nie uczesane i czuła, że bardzo źle wygląda w porównaniu z tymi wszystkimi eleganckimi, zrelaksowanymi paniami w jedwabnych letnich strojach. Fitz uśmiechnął się, gdy napotkał jej wzrok, ale ona chciała uciec stamtąd jak najprędzej.

Ze swego punktu obserwacyjnego przy kambuzie widziała później, jak roześmiani goście schodzą na ląd na przyjęcie do hotelu Cervo, i czuła się jak Kopciuszek, który został w domu, gdy wszyscy inni pospieszyli na bal.

Goście często chodzili na kolacje do kafejki w porcie Calvi albo do eleganckich restauracji i zostawali tam na tańcach aż do rana – albo szli szaleć do dyskoteki. Gdyby miała dość rozsądku, by się zakochać w Morganie, wszystko byłoby fantastycznie, ale przecież po żadnej z córek Jenny nie należało się spodziewać rozsądku, prawda?

Morgan bez wątpienia czuł się urażony, ale na szczęście miał pretensję do niej, a nie do ojca.

– Mogłem się tego domyślić wcześniej – stwierdził tajemniczo, gdy wyjawiała mu prawdę o swoim uczuciu do Fitz’a – ale powinno być odwrotnie: to on przecież cię zawsze kochał.

Wpatrywała się w niego zaskoczona i zastanawiała się, czy aby go dobrze

zrozumiała. Ta uwaga szybko umknęła z jej pamięci, tak wielką odczuła ulgę, gdy Morgan wreszcie pojał, że mogą być tylko przyjaciółmi.

– Największy frazes wszechczasów – skomentował kwaśno – nigdy bym nie pomyślał, że może dotyczyć mnie!

– Może to i slogan – odpowiedziała łagodnie – ale dobrze oddaje, o co mi chodzi. Morgan, byliśmy dobrymi przyjaciółmi od samego początku i miło by było, gdyby udało nam się to zachować.

Mimo to odczuła ulgę, gdy przestał się tak często pojawiać na jachcie – w nowej sytuacji czuła się wobec niego dziwnie skrępowana.

Wiadomość, że pan McBain przyjeżdża na „Fiestę” na kilka tygodni, obiegnęła całą załogę w parę minut. Lśniący czystością jacht został jeszcze raz wypucowany na przyjazd właściciela. Wszystkie okucia lśniły w słońcu, a załoga, ubrana w wykrochmalone białe szorty i koszule, wyczyściwszy nawet złote galony na czapkach, była w pełnej gotowości. Na jachcie zapanował spokój – nowa grupa gości miała przyjechać dopiero późnym popołudniem.

Venetia z bijącym sercem zastanawiała się, co ma na siebie włożyć. Ochłodziła się pod prysznicem, umyła włosy i wysuszyła je na słońcu, i w końcu wybrała białą bawełnianą spódniczkę i dużą bluzę, której nie zapięła, tylko ściągnęła w talii szerokim skórzanym pasem. Zimowa tropikalna opalenizna zbrązowiła jeszcze pod śródziemnomorskim słońcem i tworząc kontrast z blond włosami uczesanymi w modne, jakby rozczochrane pasemka, nadawała jej wygląd młodego, zdrowego zwierzątka. Czas najwyższy „zadziałać w stylu Jenny”, zdecydowała przeglądając się w lustrze.

W niezwyklej ciszy, jaka zaległa na jachcie, zegar miarowo odmierzał godziny.

Fitz się spóźnia, pomyślała z niepokojem; może wcale nie przyjedzie. Dobry Boże, spraw, żeby przyjechał, zrób to dla mnie... dłużej tego nie zniosę, muszę go zobaczyć.

Przyjechali dopiero o wpół do siódmej wieczorem. Venetia usłyszała jego znajomy głęboki głos i kobiecy śmiech. Wybiegła pędem z kabiny, niemal wpadając na nich na zakręcie. Piękna złotowłosa blondynka stała u boku Fitz'a, a kilku roześmianych gości jeszcze siedziało w szalupie.

– Venetia – Fitz zostawił Olympe i ujął dłoń dziewczyny. – Jak się czujesz? – w jego ciemnych oczach malowała się troska. – Mam nadzieję, że się nie przepracowujesz.

Venetia poczuła, że znów się czerwieni. Boże, czy nigdy się nie pozbędzie tego dzieciennego nawyku? Ręka jej zadrżała, więc pośpiesznie ją cofnęła.

– Nie, nie, skądże, po to tu jestem.

– Morgan mówił mi, że jego zdaniem za dużo pracujesz i że powinnaś mieć

więcej wolnego czasu – odparł – a ja się z nim zgadzam. Porozmawiamy o tym później, dobrze? Dzisiaj i tak jem z gośćmi na łodzi, więc nie zwracaj sobie nami głowy.

Venetia posmutniała. On idzie do lokalu, pewnie z tą pięknoscią.

– Świetnie – odpowiedziała cichutko.

Olympe z zainteresowaniem obserwowała cichą wymianę zdań między Fitzem a śliczną blondynką o fantastycznie długich nogach. Czyżby miała w niej rywalkę? Potrafiła wyczuć związek między mężczyzną a kobietą niemal na odległość, zanim jeszcze do czegoś między nimi doszło, a między tymi dwojgiem coś było, tylko nie mogła odgadnąć co.

– Nie przedstawiś mi swojej przyjaciółki, Fitz? – spytała głośno.

Venetia zapłonęła gniewem. Nie zejdzie na drugi plan tylko z powodu obecności tej kobiety, będzie walczyć o to, czego pragnie, tak jak India – i jak Jenny.

– Jestem tu szefową kuchni, do usług – oświadczyła zdecydowanie i złożyła ironiczny ukłon, co wywołało aplauz ze strony gości tłoczących się na pokładzie. – Jeśli ktoś życzy sobie zjeść coś specjalnego, proszę tylko powiedzieć. Nazywam się Venetia. Venetia Haven.

– Haven? – Olympe spojrzała na dziewczynę ze wzmożonym zainteresowaniem – tak jak Jenny Haven?

– Jenny to moja matka.

– Rzeczywiście, co za podobieństwo, prawda, Fitz? Oczywiście, to musi być siostra Paris Haven... a, co mi tam, pomyślała Olympe i poszła do swojej kabiny, pozostawiając Fitz'a w towarzystwie Venetii. Ta mała nie jest w stanie z nią rywalizować, stwierdziła. Jest młodsza i bardzo ładna, ale nie zna reguł gry. Gdyby to była Paris, piękna Paris, to inna sprawa...

– A zatem, Venetio – powiedział energicznie Fitz – porozmawiamy jutro. A propos, Morgan prosił mnie, bym ci powiedział, że przyjeżdża na weekend.

Pomachał jej ręką i zniknął. Odwróciła się ze złością, pobiegła na górę po dwa stopnie naraz i trzasnęła drzwiami swojej kabiny.

– Niech go cholera – wściekle tupiała nogami – cholera z nim i z tą babą. Kto to, u diabła, jest? Po jaką cholere? ona tu przyjechała?

Czas zacząć działać. Zrzuciła ubranie i weszła pod zimny prysznic. Na chwilę zaparło jej dech, ale później, gdy już siedziała przed lustrem, czuła się bardzo odświeżona. Zrobiła sobie staranny makijaż, a potem zgarnęła włosy na twarz, podniosła do góry i upięła na czubku głowy, zostawiając tylko kilka swobodnie opadających pasemek. W porządku, to już trochę bardziej wyszukana fryzura. Kilka kropli perfum i gotowe. Tym razem nie będzie wyglądała jak naiwna, zagubiona w wielkim świecie dziewczynka, postanowiła i otuliła się krótkim błękitnym

satynowym szlafroczkim, który kiedyś należał do Jenny. Rzut oka w lustro – i już wiedziała, że taki wygląd powinien pomóc jej osiągnąć to, czego się spodziewała: lekko zwichrzone włosy. Oczy pełne cieni i tajemnic, długie, smukłe, opalone nogi i błysk nagości pod swobodnie narzuconym szlafroczkim. Portret uwodzicielki, pomyślała, przypomniawszy sobie, jak to poprzednim razem zawitała do kabiny Fitz'a w starych rozepchanych szortach i w koszulce. Jeśli wtedy się udało, to teraz tym bardziej powinno. Od razu poczuła się lepiej. India miała rację – nie ma co cierpieć w milczeniu i z uśmiechem na ustach, trzeba coś zrobić – Teraz pozostało tylko czekać – znowu czekać!

Wrócili wcześniej, niż się spodziewała, pewnie zmęczeni całodzienną podróżą. Słyszała, jak mówią sobie dobranoc, jak zatrząskują się drzwi, a potem zapanowała cisza – Odczekała piętnaście nieskończone długich minut, potem otworzyła drzwi i rozejrzała się ostrożnie. Pusty pokład lśnił w księżycowym świetle. Cichutko przekradła się na bosaka do wielkiego salonu. Często tędy przechodziła, by spędzać samotne noce w łóżku Fitz'a, ale tym razem będą razem. Zawahała się na moment pod drzwiami, ale nie usłyszała nic podejrzanego. Powoli nacisnęła klamkę i zajrzała do środka: w gabinecie było ciemno, tylko spod drzwi sypialni sączyło się światło. Podeszła do nich z bijącym sercem i otworzyła. Gdyby nie ciche skrzypnięcie wypaczonych Przez morską wilgoć desek, nie zauważyliby jej.

W ramionach Fitz'a leżała Olympe. Piękna, ubrana jedynie w czarne koronkowe majteczki, podniosła pytająco głowę. Uśmiechnęła się na widok Venetii i zapytała z rozbawieniem:

– Czy zamierzasz się do nas przyłączyć, czy chciałaś jedynie zapytać, co zjedlibyśmy na śniadanie?

Venetia stała jak skamieniała wpatrując się w jej nagie ciało, w te piękne piersi, które Fitz przed chwilą całował. Boże, chciała umrzeć, po prostu umrzeć...

– Zamknij się, Olympe – Fitz odepchnął Francuzkę i ruszył w stronę drzwi. Venetia odwrócić się i wybiegła.

– Venetio, Vennie, chodź tutaj! – dopadł ją na zakręcie korytarza i złapał za ramię. – Chodź tu, ty cholerny głuptasku. Co w ciebie wstąpiło, kto to widzie żeby coś takiego zrobić? Mój Boże, Vennie, jesteś szalona.

Vennie podniosła rękę i uderzyła go z całą siłą.

– Masz rację – wrzasnęła – jestem cholernym głuptasem. Matka mnie tak wychowała, że nie znam życia, i dlatego to zrobiłam. Nienawidzę cię, Fitz, nienawidzę...

Wyrwała rękę z jego uścisku i rzuciła się do ucieczki, ale pośliznęła się na satynowym pasku swego uwodzicielskiego szlafrocza – który we właściwym momencie miał się rozchylić. Niestety rozchylił się właśnie teraz, pozwalając, by

rozbawiona Olympe ujrzała na chwilę nagość dziewczyny. Venetia poprawiła szlafrok i wyszła.

– A więc, kochany – rzekła Olympe – czy podejmujemy zabawę tam, gdzie ją przerwaliśmy, czy też mam udać ból głowy?

Doskonale się orientowała, że w takim momencie najlepiej jest się wycofać. Fitz był wyraźnie przygnębiony całą sceną. A może w tym wszystkim było coś więcej, coś, co umknęło nawet jej doświadczonemu oku? Jakże to strasznie nudne.

– Chyba że chcesz o tym porozmawiać?

– Nie powinnaś tak mówić, Olympe – w głosie Fitz'a brzmiały ostre nuty.

– Tak? Może jeszcze powinnam tłumaczyć się przed panną Haven z tego, że z tobą sypiam?

– Olympe, przepraszam... To jeszcze dziecko... oddałbym wszystko, żeby ta scena się nie zdarzyła.

Może ta Venetia jest młodzianka, pomyślała Olympe, ale na pewno nie przyszła do kabiny Fitz'a ubrana – a raczej rozebrana – tak, jakby chciała tylko pocałować wujcia na dobranoc. Modelka narzuciła na siebie matinkę i podeszła do drzwi.

– Pamiętaj tylko, Fitz, że takie młode dziewczęta potrafią być niebezpieczne – ostrzegła. – Do wszystkiego podchodzą bardzo poważnie. Nie znają się na twoich sztuczkach... i na moich też. Jedno z was może w końcu skrzywdzić drugie – cicho zamknęła drzwi. Olympe nigdy nie trzaskała drzwiami.

Nagle zadzwonił telefon. Fitz z irytacją podniósł słuchawkę. Kto, u diabła, może dzwonić do niego o tej porze?

– Przepraszam, że niepokoję – powiedział dyżurny oficer – ale to jakiś pan Ronson z Los Angeles. Twierdzi, że to pilne.

– Dziękuję bardzo, proszę łączyć.

W słuchawce zabrzmiał głos Boba Ronsona:

– Dobry wieczór, panie McBain. Przepraszam, że tak późno dzwonię, ale to jest na tyle ważne, że powinien pan się o wszystkim dowiedzieć od razu. Dotyczy to tej nietypowej sprawy, która – się zająłem na pańską prośbę.

Fitz słuchał w napięciu:

– Rozumiem. Jak idzie?

– Bardzo dobrze, proszę pana, jeśli to można określić w ten sposób. Mam informację, która była panu potrzebna. Nagrałem ją na taśmę, panie McBain. Nie chciałem wnikać w szczegóły przez telefon, ale chyba powinien pan jej wysłuchać jak najprędzej. Mogę jeszcze złapać wieczorny lot, jeśli pan sobie życzy.

– Nie – odpowiedział pospiesznie – czekaj na miejscu Ronson, ja przyjadę. Może trzeba będzie odbyć kilka interesujących spotkań w tej sprawie. Dziękuję, Bob. Dobra robota – Drobiazg, panie McBain – w głosie Boba zwykła oficjalna sztywność ustąpiła

zadowoleniu; zauważył, że szef po raz Pierwszy zwrócił się do niego po imieniu. –
Czyli mam oczekiwać pana jutro?

– Tak jest. Później podam godzinę, dobranoc, Bob, i jeszcze raz dziękuję.

Fitz usiadł przy biurku i zastanawiał się co może być na tej taśmie. Potem przekazał pilotowi, że samolot ma być gotowy na ósmą rano i że polecą do Los Angeles.

23.

Bill poprawił granatowy krawat, nerwowo rozpiął kamizelkę szarego flanelowego garnituru, a potem znowu ją zapiął. Czekał w holu wielkiego domu Fitz McBaina w Bel Air i zastanawiał się, o co chodzi. Ni z tego, ni z owego zadzwonił do niego jakiś sekretarz czy asystent McBaina i poinformował, że „pan McBain będzie w Los Angeles w czwartek i chciałby się spotkać z panem Kaufmannem, żeby porozmawiać o interesach”.

Może McBain myśli o zainwestowaniu w wytwórnię filmową albo, co bardziej prawdopodobne, w telewizję kablową lub satelitarną? Ale jeśli nawet, to dlaczego skontaktował się ze mną, zastanawiał się Bill. Są inni, lepsi i potężniejsi, którzy z radością powitaliby możliwość takiej współpracy. Wszystko to jest bardzo niepokojące.

Miał nieodparte przeczucie, że coś tu nie gra. Tylko co?

Popatrzył na malutki obrazek stojący na połączonych sztalugach przy stoliku z magnetofonem, obok kanapy. Dałby głowę, że to prawdziwy Matisse...

Fitz stał w drzwiach i obserwował tego człowieka: byłego agenta Jenny, kiedyś jej przyjaciela. Jej Judasza. Albo jednego ze zdrajców – ten drugi już zmarł.

– Tak, to Matisse – powiedział. Bill aż podskoczył na dźwięk jego głosu i poczuł się jeszcze bardziej nieswojo. – To jeden z moich pierwszych nabytków, kupiłem ten obraz, kiedy zacząłem robić pieniądze. Prawdziwe pieniądze. – McBain, jakby nie zauważając wyciągniętej ręki Billa, wskazał mu krzesło.

– Siadaj, Kaufmann. Nie zajmę ci dużo czasu. Niewątpliwie jesteś bardzo zapracowany.

– Nie wiem, w jaki sposób mógłbym się panu przydać, panie McBain, ale proszę powiedzieć, w czym mógłbym pomóc...

– Naturalnie, że powiem.

Bill nerwowo poprawił się w głębokim, miękkim krześle. Dlaczego McBain nie podał mu ręki? O co tu, do cholery, chodzi?

– Chciałbym porozmawiać o Jenny Haven – oświadczył Fitz – reprezentuję interesy jej trzech córek.

Jenny! Jezu Chryste, a więc o to chodzi! Te dziewczuchy w końcu mnie w coś wrobiły, pomyślał Bill, a na głos powiedział:

– To bardzo smutna sprawa. Było nam niezmiernie przykro z tego powodu. Dziewczęta z pewnością panu powiedziały, że ja i Stan, to znaczy Stan Reubin, prawnik, który zmarł tragicznie kilka miesięcy temu... że jesteśmy zawsze gotowi im pomóc. Jeśli mają jakieś kłopoty, jestem pewien, że firma Staną z przyjemnością spełni jego obietnicę, nie pobierając żadnych honorariów.

– Cieszę się, że to słyszę, Kaufmann – odparł gładko Fitz – i mam nadzieję, że ty też zamierzasz dotrzymać obietnicy.

Bill poczuł olbrzymią ulgę. A więc o to chodzi. Dziewczyny potrzebują pomocy, pewnie wpakowały się w jakieś kłopoty. Ale jeśli pomaga im Fitz McBain, to przecież chyba nie chodzi o pieniądze?

– Jasne, że pomogę – zapewnił gorąco. – Wie pan, że przez dwadzieścia pięć lat prowadziłem sprawy Jenny. Chętnie zajmę się kłopotami tych biedulek.

– Dokładnie o to chodzi, Kaufmann, one rzeczywiście są biedne! A jest tak dlatego, że kiedy Miss Haven przestała być gwiazdą „pierwszej wielkości” i trzeba było poświęcić jej nieco więcej czasu, więcej pracy i więcej wysiłku, a poza tym zaczęła przynosić dużo mniejsze zyski, niż przynosiła tobie i panu Reubinowi przez te wszystkie lata – dwadzieścia pięć lat, sam, zdaje się, tak mówiłeś – wtedy obaj zostawiliście ją samą sobie. Musiała walczyć zdana na siebie, bez żadnego doświadczenia, bo przez całe życie ktoś inny dbał o jej interesy. Rzuciliście ją sępom na pożarcie, Kaufmann, a one już siedziały w pobliżu i ostrzyły sobie dzioby na ten kąsek. W końcu i ty do nich dołączyłeś. Razem z panem Reubinem – Fitz zajrzał głęboko w niespokojne oczy Billa. – I z Rorym Grantem.

Bill poczuł potworną suchość w ustach, jakby długo już nie przełykał śliny. Jego głos skrzypiał jak nóż po szkle, kiedy wydusił z siebie jedno słowo:

– Rory?

Fitz uśmiechnął się znowu.

– Rory – potwierdził uprzejmie. – Niedawno spotkałem go przypadkiem na Barbadosie. Bardzo przystojny młody człowiek: taka przyjemna, otwarta twarz, ładny uśmiech... idealny dla telewizji. Podobno jego rola w Brudnej grze to tylko pierwszy krok na drodze do kariery. Młody Rory jest bliski sukcesu, a ty uczepiłeś się go jak rzep!

Czego on, u diabła, chce od tego Rory’ego, zdenerwował się Bill, czyżby ten skurczybyk mu się poskarżył, że go wyzyskuje?

– Zaraz, zaraz – ze złości odzyskał głos – Rory to mój klient. Wszystko jest zgodne z prawem. Każdy aktor musi mieć agenta i prawnika, sam pan wie. Bez nas by zginęli w tym biznesie. Panie McBain, niech mi pan wierzy, zarabiamy te pieniądze ciężką pracą!

– Nie interesuje mnie, w jaki sposób pan zarabia na Rorym Grancie ani ile pan na nim zarabia. Chodzi mi o pieniądze Jenny Haven, te pieniądze, które ukradł jej pański klient, pan Grant – Fitz obserwował, jak na twarzy Kaufmanna gniew ustępuje miejsca przerażeniu.

– O co panu chodzi? Rory w życiu nie ukradł ani centa...

– A potem, naturalnie, porozmawiamy o wysokiej sumie, o jaką powiększy się

majątek panien Haven w wyniku procesu, który zamierzam wytoczyć w imieniu jej córek.

Jezus, Maria, co on mówi? Co ten Rory mu nagadał? Bill kurczowo zacisnął dłonie na rzeźbionej poręczy krzesła. Czuł, jak wielki sygnet wbija mu się w palec.

– Jaki proces?! – wykrztusił. – Pan oszalał! Te dziewczuchy pana w coś wrabiają...

Fitz podszedł do niewielkiego magnetofonu stojącego obok sztalugi z obrazem Matisse'a.

– Zanim bliżej przyjrzymy się sprawie, powinien pan chyba posłuchać tego – włączył magnetofon, cofnął się nieco i obserwował reakcję Billa na charakterystyczny głos Rory'ego, który popłynął z głośników.

No wiesz, Bob, młodemu facetowi ciężko się wybić na własną rękę... ty nigdy nie byłeś w dołku, jak ja, twoja rodzina ma pieniądze. Wiesz, lubiłem Jenny, naprawdę ją na początku lubiłem, tylko że miała taką ciężką rękę do tych cholernych pieniędzy. Ubierała mnie u najlepszych krawców, tylko że w kieszeni tych ubranek nie miałem nawet centa. Jezu, mówię ci, nawet u tego zasranego fryzjera musiałem wypisywać na czeku jej nazwisko. Słowo daję, Bob, takie rzeczy cholernie poniżają mężczyznę...

No i zaczęła mieć kłopoty w interesach, bo ten jej agent i menedżer puścił ją w trąbę... pewnie zarabiała za mało, żeby mu się chciało dla niej szarpać. Jej prawnik też nie chciał z nią gadać. Zaczęła sama prowadzić swoje sprawy i nie miała pojęcia, jak to robić.

Stary, wszystko nagle zrobiło się takie proste... Ja potrzebowałem pieniędzy, a ona je miała. No i co w tym złego? Na ciuchy mogłem wydawać, ile chciałem... Kurwa, Bob, wiem, że to było złe, znaczy było nielegalne, ale co tam! Musiałem mieć gotówkę – koka nie jest tania, sam wiesz, a poza tym spotykałem się z różnymi dziewczynami ze studia... co ci będę gadał, jak jest...

Bill siedział z twarzą ukrytą w dłoniach i słuchał, jak Rory opowiada o tym, że sprzeniewierzał pieniądze Jenny. Nie do wiary, co za idiota. I komu on to wszystko opowiadał? Pewnie myślał, że mówi do przyjaciela – cały czas powtarzał, jak to dobrze mieć przyjaciela, przed którym można się naprawdę wygadać, zwierzał się, jak to wszystko dusił w sobie, jak mu się nieraz śniło...

Fitz zatrzymał magnetofon – Tej części powinieneś wysłuchać ze szczególną uwagą – podkreślił i znów puścił taśmę.

Muszę to komuś powiedzieć, Bob, a tobie mogę zaufać – głos Rory'ego był pełen emocji, jakby chłopak miał zaraz wybuchnąć płaczem. Bill poczuł, że żołądek zaciska mu się ze strachu. – Kiedy odszedłem, Jenny sprawdziła parę rzeczy. Zadzwoiła do mnie wtedy na plan, groziła, że napuści policję. Nalegała, żebym się z nią spotkał wieczorem, żebyśmy porozmawiali na ten temat. Obiecałem jej to.

Naprawdę chciałem pojechać, ale robota się przeciągnęła. Wszystko chrzałem

przed kamerą, bo mnie nastraszyła, no i mieliśmy opóźnienie. Wróciłem do domu o wpół do dziesiątej i zastałem Margie. Zdobyła dla mnie kokę, miała już wszystko gotowe... wiesz, trochę poszalałem, byłem na haju, większym niż kiedykolwiek... wiesz, było mi ekstra, no i Margie była taka fajna. Z tego wszystkiego zapomniałem o Jenny. No i ona zadzwoniła, powiedziała, że bym brał dupę w troki i przyjeżdżał, bo jak nie, to mnie załatwi! Chryste, Bob, szkoda, że tego nie słyszałeś... mówiła do mnie, do Rory'ego Granta, jak do jakiegoś zasranego bachora. Powiedziałem, że nie jadę do Beverly Hills, żeby nawet pękła... no to zgodziła się na dom na plaży – byle szybko! Postanowiłem jej powiedzieć, żeby się odpieprzyła, żadna zramolała aktorka nie będzie mnie pouczać!

Wziąłem samochód Margie, bo moje czarne ferrari zaparkowane przed jej domem za bardzo by zwracało uwagę. Była już tam, czekała na mnie... Musiało być około trzeciej rano, widziała, że jestem na haju, i dostała szału, normalnie się wściekła. Powiedziała, że pootwiera okna, że bym poodychał świeżym powietrzem i mógł normalnie rozmawiać, a ja jej na to, że nie jest moją mamusią – mam już jedną i wystarczy. Uderzyła mnie, Bob! Przejechała pazurami przez cały policzek, Bob – a ja następnego dnia miałem kręcić zbliżenia! Jezu, ale mnie wkurwiła. Wtedy dałem jej szkołę – nie, nawet jej nie dotknąłem, nie biję kobiet, nawet jak jestem naprany. Ale załatwiłem ją słowami, Bob. Trafiłem ją w najczulsze miejsce. I od tej pory zastanawiam się, czy to przeze mnie skończyła na dnie Kanionu Malibu...

Jego głos był graby z emocji. Chłopak tłumił szloch, opowiadając o swoim strachu.

Przysięgam na wszystko, że tak nie myślałem, to były tylko słowa, takie frazesy, wygarnąłem jej pod wpływem chwili... powiedziałem, że brałem pieniądze, jasne, że tak, przecież tylko dlatego z nią byłem. Takiej podstarzałej gwiazdy nikt już przecież nie chce. Kazałem jej rano usiąść przed lustrem i dobrze się sobie przyjrzeć – zobaczyć siebie bez podkładu i bez makijażu. Ciało jej obwisa, zaczyna mieć drugi podbródek – i jeszcze chce grać młode dziewczyny w filmie? Nawet agent ją opuścił. Nikt nie chce jej znać. Ma szczęście, że wytrzymałem z nią tyle czasu, chociaż mnie tak krótko trzymała... jasne, że brałem pieniądze. A czego się, kurwa, spodziewała?

Kolejna długa pauza. I znowu zwierzenia, tym razem spokojniejsze:

A ona stała przede mną i patrzyła tymi wielkimi niebieskimi oczyma, a ja widziałem w nich strach – strach, że mam rację, strach przed przyszłością... sam nie wiem. Ubrała się wieczorowo na to spotkanie. Nagle poczułem się tak, jakbym był dużo starszy, a ona była dzieckiem, śliczną panienką wybierającą się na pierwszy bał w lśniącej wieczorowej sukience.

Nadal tak wyglądała, wiesz, to nie miało nic wspólnego z wiekiem – zawsze patrzyła tak niewinnie, naiwnie, mimo tego seksownego ciała i reputacji... I naprawdę

taka była, znaczy taka naiwna. Dlatego mogłem wydebić od niej tę forszę. Ona po prostu wszystkim ufała.

Jenny nie była skażona złem. Założę się, że gdybym jej wtedy powiedział, że wziąłem całą forszę i że przepraszam, to by mi wybaczyła. Ale posunąłem się za daleko. Nie płakała, nie groziła... ani nie szukała odwetu.

„A więc tak się sprawy mają”, powiedziała tylko. Podeszła do drzwi, ale jeszcze się odwróciła i spojrzała tak, jakbym jej wbijał nóż w serce – głos chłopaka przeszedł w szept. – Nie mogę ci powtórzyć tego, co mi wówczas powiedziała, Bob. Nie powiem ci, ale to mnie prześladowuje, kurwa, po nocach to słyszę.

...Nie zdawałem sobie sprawy, co zrobiłem, co to wszystko dla niej oznaczało. Odwróciła się i wyszła. Słyszałem, jak zapala silnik... Mogłem za nią pobiec, przeprosić, powiedzieć, że to wszystko nieprawda, że się zagalopowałem... – kolejna przerwa i westchnienie. – Wiesz, co się potem zdarzyło.

– Sądzisz, Rory, że popełniła samobójstwo z powodu tego, co od ciebie usłyszała?

– Nie wiem! Nie rozumiesz tego, Bob? Nie wiem! I dlatego nie śpię po nocach, a jak zasnę, to śni mi się to wszystko od początku... Jenny w tej ślicznej błękitnej sukni i ten strach w jej ślicznych błękitnych oczach... Czuję się jak morderca. Koroner nie podał przyczyn zgonu, więc nigdy nie będę wiedział na pewno. Zdajesz sobie sprawę, co ja ci mówię, Bob? Nigdy nie będę wiedział, czy to moja wina. A najgorsze jest to, że wcale nie uważam, że Jenny była zramolałą aktorką, ona była bardzo miła... i wciąż piękna. Jezu, przecież nie sypiałbym z jakąś tam staruchą, ona była kimś, naprawdę była wyjątkowa. I taka miła, za dobra dla takiej szmaty jak ja... – Rory dławił się łzami.

Jedna z jego lepszych ról, kwaśno pomyślał Bill. Rory wreszcie wziął się w garść.

Nikomui nie powiedziałem, że byłem w domu w Malibu. Tylko Margie o tym wie, ale ona jest za głupia i się nie liczy. Zresztą była wtedy naćpana. Nie mogłem przecież iść na policję i powiedzieć, że to ze mną Jenny się spotkała i żeśmy się pokłócili, gliniarze mogliby doszukiwać się szczegółów... a wiesz, jak jedno prowadzi nieraz do drugiego. Nie mogłem sobie wtedy pozwolić na taki skandal. Możesz sobie wyobrazić reakcję studia... Brudna gra byłaby skończona. Jaka firma zechce zlecać reklamy w przerwach serialu, którego gwiazda jest wplątana w taką aferę? Wyobrażam sobie te nagłówki: „Seks, narkotyki, pieniądze – samobójstwo?” Może by nawet pomyśleli, że to moja robota, znaczy, że ją zabiłem. Itak wszyscy się zastanawiali, czy zrobiła to celowo, czy to był wypadek. Sprawa z dnia na dzień nabierała rozgłosu... stała się sensacją tygodnia, wiesz, jak to jest. A potem zadzwonił Stan Reubin...

Bill Kaufmann zeszytywniał, czując, jak McBain uważnie się w niego wpatruje.

Jenny już wcześniej puściła farbę przed Stanem i Billem Kaufmannem. Opowiedziała im wszystko o tych pieniądzach. Prosiła ich o pomoc jako starych przyjaciół, ale jej powiedzieli, że w tej sprawie nic się nie da zrobić. Tamtej nocy zadzwoniła do Stana jeszcze raz przed samym wyjazdem, by mu powiedzieć, że się ze mną ma spotkać w domu w Malibu i chce mi wszystko wygarnąć. Stan, zdaje się, nie był zachwycony, że była klientka go budzi o czwartej nad ranem, ale jej poradził, żeby mi powiedziała tak: Jak oddam pieniądze, które ukradłem – ukradłem, rozumiesz, Bob? Cholera, ja na nie zasłużyłem! – to nie wytoczy mi sprawy i zapomni o sumach, jakie straciła na złych inwestycjach.

Przyszli we dwóch na spotkanie ze mną... pod sam koniec pracy, kiedy byłem zmęczony, a cała kokaina już odparowała. Bill, słodki jak miód, powiedział, że rozumie moją sytuację jako początkującego aktora i że Jenny była trudną kobietą. Stan był śliski jak każdy prawnik: „Chodzi o ochronę twoich interesów”, mówił... Miałem tylko opowiedzieć im o wszystkim, a oni już znajdą sposób, żeby mnie kryć. Więc im opowiedziałem. I nagle wszystko się zmieniło... Jezu, Bob, te dwa skurczybyki mi groziły! Stan powiedział, że można mnie pozwać przed sądą oszustwo i poważną kradzież – Rory aż się zakrztusił. – Nawet gdybym się wybronił, to i tak oznaczałoby to koniec mojej kariery, jeśli oni doniosą o tym policji. A potem zmienili ton i powiedzieli, że mogą zapomnieć o wszystkim, co ode mnie słyszeli, jeśli zawrzemy zadowalającą ugodę. W rezultacie Stan Reubin został moim prawnikiem, a Bill Kaufmann agentem – za dużo wyższy procent niż to jest przyjęte. Teraz robią ze mną, co chcą: Rory Grant tańczy, jak mu zagrają!

Fitz wyłączył magnetofon, wyjął taśmę, wsunął ją do kieszeni i spokojnie popatrzył w przerażone oczy Billa.

– Co pan chce z tym zrobić? – wychrypiał agent. – Niczego pan mi nie dowiedzie. Ja nie zrobiłem nic złego. Rory był przeciążony pracą, załamany po śmierci Jenny. Zajęliśmy się nim ze Stanem, bo ktoś musiał pilnować, żeby chłopak nie zrobił sobie krzywdy... to ćpun, pan wie, nikt mu nie uwierzy.

– Ja mu uwierzyłem – Fitz pohamował pogardę i gniew, jakie wzbudzały w nim wykręty Kaufmanna. – Jestem przekonany, że ty i Stan Reubin na równi z Rorem Grantem przyczyniliście się do śmierci Jenny Haven w Kanionie Malibu. A wasza rozmowa z nim to oczywisty szantaż.

Billowi po raz pierwszy w życiu odebrało mowę. Milczał i wpatrywał się w Fitz.

– Jednakże – energicznie kontynuował przedsiębiorca – nie jestem tu po to, by bronić Rory’ego Granta przed szantażem. Nie interesują mnie też wyrzuty sumienia, jego ani twoje. Działam w imieniu córek Jenny Haven. Należy im się poważna suma: pieniądze ukradzione przez Granta i te, jakie wygrałyby w procesie o odszkodowanie z powodu zaniedbań, których dopuściłeś się ty i Reubin. Moi prawnicy twierdzą, że

w grę wchodzi bardzo wysoka kwota – Fitz przerwał, żeby ocenić reakcję Kaufmanna. Widać było, że agent jest naprawdę przerażony; gwałtownie mrugał oczyma i zaciskał dłonie na poręczach siedemnastowiecznego krzesła, tak mocno że jego sygnet prawdopodobnie porysował politurę. – Siostry Haven nie życzą sobie niepotrzebnego nadużywania imienia ich matki w procesach sądowych – kontynuował Fitz. – Nie będą tolerować dalszych skandali. W związku z tym, Kaufmann, i wyłącznie z tego powodu, jestem gotów porozmawiać o rekompensacie. O rekompensacie? To znaczy, że chce załatwić to polubownie? – Kaufmann trochę się odprężył.

– O rekompensacie?

– Dziewczęta wysuwają znacznie mniejsze roszczenia, niż zrobiłbym to ja albo sąd. Obaj wiemy ponadto, że w grę wchodziły kwoty wielokrotnie wyższe niż to, czego one żądają.

– Ile? – zaskrzeczał Bill.

– Półtora miliona.

Bill resztką rozsądku powstrzymał się, by nie spytać: Dla każdej?

Powoli wracał do przytomności, jego mózg zaczynał znowu funkcjonować. Może uda się jednak z tego jakoś wykaraskać.

– Półtora miliona dolarów – powtórzył Fitz. – W końcu to nie aż tak dużo. I, powtarzam jeszcze raz, Kaufmann, to jest o wiele mniej, niż przyznałby im sąd. – Z twarzy agenta wyczytał, że dobrze utrafił z tą kwotą; półtora miliona było do zdobycia dla tego człowieka, jakoś sobie z tym poradzi.

– Ja nie mam tylu pieniędzy, McBain – Bill puścił poręczę. – Trudno zebrać półtora miliona gotówką.

– Popatrz na to w ten sposób: pięćset da Rory, pięćset weźmiesz z majątku Reubina, a pięćset zapłacisz sam – poradził mu Fitz. – Bardzo łatwo się wykpisz, Kaufmann, zbyt łatwo!

Po pięćset od każdego, myślał Bill, gorączkowo zestawiając fakty i liczby. Wiedział, że Rory da radę zebrać taką sumę, tylko będzie musiał odłożyć kupno domu na bulwarze Benedict i wziąć zaliczkę ze studia... Po drugie, majątek Stana; Jessie na pewno będzie się stawiać... może lepiej porozmawiać z jego partnerami... tak, to jest wyjście. Pogada z nimi, na pewno nie będą chcieli, żeby nazwa ich firmy była zamieszana w skandal – to by mogło ich zrujnować tak samo, jak zrujnowałoby jego. Zapłacą. Może nawet wyłożą cały milionik – przecież nie będą znać dokładnej sumy.

Zapłacą, ile będzie trzeba. Bill nieomal uśmiechnął się z ulgą. Widział już światło w tunelu; co więcej, może uda mu się coś na tym zyskać...

– Zobaczą, co się da zrobić, panie McBain – obiecał.

– Jeszcze jedno – powiedział Fitz, podchodząc do drzwi. – Moje nazwisko nie

może być wymieniane w związku z tą sprawą. Jasne?

Otworzył drzwi, a Bill zaskoczony spostrzegł, że w holu czeka jakiś młody człowiek o surowej twarzy bez śladu uśmiechu.

– Jeśli je wspomnisz, dowiem się o tym – zagroził Fitz.

Bill w to nie wątpił; przecież jakoś dowiedział się o Rorym, nie?

– Jasna sprawa – odparł i pośpiesznie wyszedł. Zatrzymał się jeszcze na chwilę w holu. – A co z nagraniem? – zapytał. – Dostanę je, kiedy przyniosę pieniądze, prawda?

– Nieprawda. Przegrałem tę rozmowę na kilka taśm, które trzymam w różnych sejfach rozsianych po całym świecie. Nagranie jest moje.

– Ale w takiej sytuacji nigdy nie będę wiedział... – Bill zdał sobie sprawę, że wpadł w pułapkę.

– Dokładnie tak – Fitz zaczęła bawić ta rozmowa. – Zawsze będę mógł pójść z nim na policję.

Bill podszedł do wyjścia. Młody człowiek nie ruszył się, żeby mu otworzyć drzwi. Zatrzymał się jeszcze na chwilę z ręką na klamce, bo w uszach znów zabrzmiał mu głos Fitz:

– I jeszcze jedno. Odwrócił się, zdruzgotany.

– Masz na to dokładnie tydzień. Będą cię tu oczekiwać w czwartek w samo południe. Mnie nie będzie, zajmie się tobą pan Ronson.

Bill spojrzał w oczy Ronsona, szare i zimne jak kamień. Zadrżał.

– Przyjdę – obiecał i pośpiesznie wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

24.

Przejechała całe Lazurowe Wybrzeże, od Monako po Antibes, zajrzała do wszystkich eleganckich butików i nie zrobiła ani jednego poważniejszego interesu. Wszyscy szczerze podziwiali modele, ale mówili to samo: kupiliby coś, gdyby przyjechała w lutym albo w marcu, lecz teraz mają już pełne półki. Za późno – sezon już trwa.

Dwóch właścicieli kupiło po parę kreacji, bo wyprzedali już wszystkie podobne. Zarobione pieniądze akurat pokryją koszty podróży, ale musi jeszcze raz spojrzeć prawdzie w oczy: znowu jest prawie bez grosza. Co gorsza, jej wiara w siebie i swój talent została zachwiana po raz drugi. Nie wystarczy być utalentowaną projektantką, ciężko pracować, prezentować swoje kreacje jako modelka. Trzeba jeszcze znać się na interesach, mieć odpowiednie kontakty, no i oczywiście dużo więcej szczęścia niż ona! Nie wiedziała, na czym polega sprzedaż detaliczna odzieży – zawsze stawiała przed sobą wyższe cele: miała przecież zostać następczynią Chanel, nieprawdaż? Koniec z marzeniami. Nie ma na to szans – jedyny osiągalny dla niej kontakt ze światem projektantów to praca na wybiegu w wielkim domu mody.

Paris przepchnęła się przez tłum wczasowiczów do cieniejszej kafejki i zamówiła sok z cytryny. Było jeszcze wczesnie. Turyści, poubierani w lekkie szorty i koszulki, popijali poranną kawę, czytali gazety i plotkowali. Paris poczuła się nagle bardzo samotna, zdając sobie sprawę, że jej problemy zupełnie izolują ją od leniwego świata wakacyjnych kurortów. Zastanawiała się przez chwilę, czy lepiej zadzwonić do Vennie, tak jak początkowo planowała, czy wracać do stolicy. Paryż o tej porze był wyludniony, restauracje i sklepy – pozamykane; cała Francja miała wakacje. Nie, nie wytrzyma samotności w wielkim mieście; zadzwoni na „Fiestę” do Vennie.

Kupiła żetony od barmana i zamówiła międzymiastową. Czekwała niecierpliwie, słuchając szumów i trzasków na linii, aż wreszcie połączyła się z jachtem. Przywołali Vennie w parę sekund.

– Cześć – powiedziała. – Vennie, słuchaj, jestem w Antibes. Mogłabym cię odwiedzić.

– Paris, kochana, sama nie wiesz, jak się strasznie cieszę, że cię słyszę. Będziesz mogła trochę zostać? Jesteśmy w Saint-Tropez. Paris, przyjedź koniecznie, jesteś mi bardzo potrzebna.

Sądząc po głosie, Venetia powstrzymywała płacz. Paris zaniepokoiła się:

– Słuchaj, czy coś jest nie tak? Masz taki dziwny głos.

– Nie... Tak... Paris, wszystko jest nie tak. Opowiem ci, gdy się spotkamy. Kiedy możesz przyjechać?

– Będę tak szybko jak się da. I pamiętaj, wszystko będzie dobrze. Nic się nie

martw. Niedługo przyjadę.

Paris rzuciła słuchawkę na widełki i pobiegła do samochodu. Musiało się stać coś poważnego, skoro Vennie jest aż tak przygnębiona. Ale co?

Ruszyła gwałtownie, wróciła do centrum miasta, skręciła na zachód i wjechała na autostradę do Saint-Tropez.

Olympe z natury łatwo się przystosowywała i nie narzekała na zmiany, które jej zdaniem stanowiły nieodłączną część życia. Czasem były to zmiany na lepsze, czasem na gorsze, ale te ostatnie zwykle bagatelizowała. Dlatego też nieobecność Fitz'a na „Fieście” raczej ją irytowała, niż niepokoiła. Podobno poleciał do Los Angeles „w pilnej sprawie służbowej”, ale podejrzewała, że prawdziwą przyczyną jego wyjazdu jest najmłodsza córka Jenny Haven.

Sytuacja zaczyna się komplikować – pomyślała obracając się na szezlongu, żeby poopalać trochę plecy. – Fitz jest i tak za stary dla tego dzieciaka... a dla mnie w odpowiednim wieku. Tak dobrze się rozumiemy.

Na „Fieście” panował niezwykle spokój. Większość gości popłynęła całą flotyllą maleńkich żaglówek na całodniowy piknik, żeby poszukać na wybrzeżu nowych, nie uczęszczanych zakątków do plażowania. Olympe zrezygnowała z wycieczki. Pewnie potną stopy o ostre muszle jeźowców poprzyczepianych do podwodnych skał i spała plecy na zbyt intensywnym słońcu; za bardzo jej zależy na własnym wyglądzie, żeby mogła sobie na coś takiego pozwolić. Jeszcze tylko pięć minut i trzeba się schować do cienia – minęło już piętnaście minut: jej dzienna dawka kąpieli słonecznej. Niesamowity relaks – i niesamowita nuda: nie ma się z kim przekomarzać, nie ma z kim flirtować. Olympe zamknęła oczy i całą sobą chłonęła słoneczne ciepło.

Venetia kręciła się po pokładzie w oczekiwaniu na Paris. Cały czas myślała o Fitz'u. Ze sto razy przeczytała krótki list, który dla niej zostawił. Przepraszał za przykrości i za to, że uniósł się gniewem. Chciałby, żeby Venetia zrozumiała, iż wszyscy troje znaleźli się w trudnej sytuacji. Wyjeżdża służbowo i pewnie w tym sezonie już nie wróci na „Fiestę”. Ma nadzieję, że będzie mogła pracować dalej i że miło spędzi resztę lata.

Jak jej może być miło, kiedy on wyjechał?

W liście nie było nic, co by sugerowało, że mu na niej zależy. Ani tkliwych przeprosin, ani zwierzeń, ani intymnych wyznań. Przypomniała sobie, jak całe wieki temu zaśmiewała się razem z Kate Lancaster na myśl, że mogłaby być obiektem czyjejś „sekretniej namiętności”; tylko że wtedy rozmawiały o Morganie. Jak to było strasznie dawno i jak wszystko było wtedy proste, kiedy tylko udawała, że jest zakochana. Nikt jej nie ostrzegł, że prawdziwe uczucie może sprawić ból! W końcu postanowiła, że za parę tygodni wróci do Londynu i tam poszuka sobie pracy; nie jest stworzona do takiego życia jak tu. Najpierw będzie ciężko harować, a potem otworzy

własną restaurację.

Szkoda że Paris jeszcze nie ma; koniecznie musi z kimś porozmawiać, w przeciwnym razie zwariuje. Niecierpliwie spacerowała po pokładzie, zastanawiając się, ile trwa jazda z Antibes do Saint-Tropez przy tak wzmożonym ruchu. Pewnie całą wieczność. Nerwowo przeczesła dłonią postrzępione na końcach, rozjaśnione od słońca włosy. Trzeba czymś się zająć, nie można tak tkwić tu w nieskończoność i tylko myśleć. Za każdym razem, gdy pozwalała myślom swobodnie wędrować, pojawiał się przed jej oczyma obraz Olympe, pięknej i nagiej w ramionach Fitz'a. Prześladował ją bez przerwy, mimo że bardzo chciała zapomnieć o tej scenie i o własnym poniżeniu. Nie winiła Fitz'a, tylko własną głupotę i naiwność. Zachowała się jak dziecko wierząc, że on będzie sam i że będzie na nią czekał, jak wtedy.

Drugi raz już takiego głupstwa nie palnie, tego była pewna. Żeby chociaż Olympe Avallon wyjechała... Niestety, została na jachcie i nic nie wskazywało na to, że nieobecność Fitz'a ją niepokoi. Bawiła się świetnie, chodziła na wszystkie przyjęcia urządzone na jachtach i w willach. I była tak cholernie piękna!

Venetia trzymała się z dala od pomieszczeń dla gości i od pokładu, gdzie zwykle chodzili się opalać i pili drinki. Miała nadzieję, że już nigdy więcej nie spotka Olympe.

Do diabła, trzeba się naprawdę zabrać za jakąś robotę. Nie będzie przecież analizować tego wszystkiego jeszcze raz. Nie będzie czekać beczynnienie, aż przyjedzie Paris, tylko pójdzie do siebie i napisze jeszcze jeden list do Kate.

Paris była zgrzana, zakurzona i zmęczona. Na nadmorskiej autostradzie był jeden wielki korek, więc jazda ją zupełnie wykończyła. Stała pod prysznicem w dobrze wyposażonej łazience przylegającej do kabiny, którą przeznaczyła dla niej Venetia. Strumień wody przyjemnie chłodził jej ciało. Zastanawiała się, co by tu doradzić siostrze. Oczywiście, Venetia zrobiła z siebie wariatkę, ale lepiej nie liczyć, ile razy ona sama wyszła na taką samą idiotkę... Zadrzała gwałtownie i to wcale nie z powodu zimnej wody. Zdaje się, że im obu naprawdę brakuje szczęścia w życiu.

Wytarła się do sucha, włożyła szorty i kusą kolorową bluzeczkę. Venetia była zajęta w kambuzie. Może warto się najpierw rozejrzeć po tym przepięknym jachcie. Nie zdawała sobie do tej pory sprawy, że „Fiesta” jest tak wspaniała. Chodziła po przestronnych, połączonych ze sobą salach, zajrzała do wielkiego salonu, gdzie stały głębokie, wygodne kanapy, a na ścianie wisiał obraz Cezanne'a, i obejrzała jadalnię, w której przy długim stole mogły zasiąść naraz przynajmniej dwadzieścia cztery osoby. Wystrój wnętrza stwarzał atmosferę bezpieczeństwa, prostoty i wygody, a jednocześnie nie był ostentacyjny. No, chyba że Cezanne jest dla kogoś szczytem ostentacji, pomyślała z ironicznym uśmiechem. Pokłady jaśniały czystością, a młody załogant polerował okucia, które i tak lśniły jak lustro.

W pewnym momencie Paris zdała sobie sprawę, jakie niesamowite pieniądze trzeba mieć, żeby móc utrzymać taki jacht, i na chwilę straciła kontenans... tacy ludzie pewnie w ogóle nie zauważają, ile co kosztuje. Przypomniała sobie z przykrością, że ona sama jest kompletnie splukana.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Paris podeszła w stronę niebieskiej markizy rozpiętej na rufie. Ktoś tam był... szczupłe brązowe ciało wygrzewające się w promieniach popołudniowego słońca... ciało o znajomych kształtach!

– Olympe!

Olympe otworzyła oczy.

– Paris! Co za niespodzianka. Nie wiedziałam, że znasz Fitzę McBaina. Aha, zaraz, zaraz, pewnie przyjechałaś do siostry... do tajemniczej Venetii.

– Venetia i tajemniczość? – Paris wydało się to zupełnie nieprawdopodobne.

– Może kiedyś ci to wszystko opowiem – Olympe uśmiechnęła się psotnie, a jej przejrzyste szare oczy zmierzyły Paris od stóp do głów. – Ślicznie wyglądasz, Paris, ale to przecież normalne. Chodź tu, siadaj – pogładziła oparcie leżaka stojącego obok, po czym ułożyła się wygodnie na szezlongu, leniwie wyciągając ramiona nad głową.

Paris usadowiła się na poduszkach, tak aby nie patrzeć na niemal całkiem obnażone, gładkie, opalone ciało Olympe. Wspomnienie nocy z tą kobietą i z Hugonem paliło ją niemal jak słoneczny żar... pospiesznie odepchnęła od siebie tę myśl.

– Należą ci się przeprosiny – powiedziała Olympe. – Miałam do ciebie zadzwonić zaraz po twojej rewii, Paris. Naprawdę chciałam, ale musiałam nagle wyjechać tego samego wieczora... zostałam nieomal porwana, przez Beny'ego – zaśmiała się. – No, może niedokładnie tak to było, wiesz, jaki on jest. Naprawdę jest mi przykro, Paris, że ci nie wyszło – dodała z powagą. – Zwyczajny pech. Paris wzruszyła ramionami. Wcale nie była tego taka pewna po swoich ostatnich doświadczeniach.

– Zaczynam ostatnio wątpić, czy ja w ogóle mam talent.

– Jak możesz tak mówić? Chciałabym być w połowie tak zdolna jak ty.

Olympe była autentycznie zdziwiona. Paris popatrzyła na nią ze zdumieniem. Czy to znaczy, że Olympe w nią wierzy? Jeśli tak, to jest w tym odosobniona.

Pojawiła się Venetia z mrożoną kawą na tacy. Przystanęła na widok Olympe siedzącej razem z Paris.

– Och, nie zdawałam sobie sprawy, że ktoś tu jeszcze jest. Myślałam, że wszyscy pojechali na piknik.

– Nienawidzę pikników – odpowiedziała Olympe – i bardzo się cieszę, że nie pojechałam, bo mam okazję znowu zobaczyć się z Paris. Znamy się całkiem niezłe, prawda, Paris? – dodała złośliwie.

Venetia starała się na nią nie patrzeć.

– Mam sporo roboty... wiesz, gdzie mnie znaleźć, Paris, prawda? – odwróciła się i prawie uciekła, a Paris patrzyła za nią ze zdumieniem. Co się dzieje z tą Vennie?

– Chyba wszystkie kobiety w twojej rodzinie są pięknosciami – stwierdziła leniwie Olympe. – Jest jeszcze jedna, prawda?

– India. Wyszła za mąż kilka tygodni temu.

– Szczęściara. Mam nadzieję, że jej mężowi się dobrze powodzi i da radę ją utrzymać na starość – Olympe westchnęła głęboko. – Wiesz, zaczyna mnie już trochę niepokoić moje małżeństwo. Nie wiem, czy byłabym w stanie wyjść za Beny'ego, chociaż w zasadzie powinnam to zrobić. Ale pewnie mnie nie poprosi o rękę po tym maleńkim flircie z Fitzem McBainem.

Paris wpatrywała się w nią z napięciem.

– Po twoim flircie? – przypomniała sobie opowiadanie Venetii o kobiecie w jego kabinie... Olympe...

– Bardzo miły flirt. Miałam nadzieję, że potrwa troszkę dłużej, ale obawiam się, iż twoja siostrzyczka wzięła górę. Właściwie młodzianka Venetia rozbiła bank w Monte Carlo: ustrzeliła dwóch McBainów naraz! Morgan był tu w zeszłym tygodniu, przywiózł jej mnóstwo prezentów, a oczy tak mu błyszczały... Wyjechał w parę dni później ponury i zgaszony. Mam wrażenie, że Venetia go odrzuciła, bo między nią a jego ojcem dzieje się coś znacznie ciekawszego...

– To zdaje się wyłącznie jej sprawa – wtrąciła Paris zimno. Olympe roześmiała się.

– Naturalnie że tak. Kochanie, nie irytuj się. Ja uwielbiam takie zgadywanki, kto z kim, co i dlaczego. Daj spokój, Paris, nie złość się na mnie. Jesteśmy takie podobne do siebie, sama dobrze wiesz – pogładziła nagie ramię Paris delikatnymi palcami o długich paznokciach. – Nie musisz się rumienić – zamruczała – tamta noc była taka zachwycająca... Nie zapomniałam o tobie.

– To była pomyłka. Nie powinnam była tego robić.

– A dlaczego nie? Tak przyjemnie jest czasem dzielić się mężczyzną i obdarzać się sobą nawzajem. Nie powinnaś się tego wypierać przed samą sobą. Seks jest naprawdę strasznie prosty, musisz tylko dobrze poznać, co ci sprawia przyjemność, i nie traktować go z nadmierną powagą – znowu się zaśmiała. – To wszystko jest strasznie zabawne, jeśli się dobrze zastanowić.

To prawda, pomyślała Paris. Poza tym, rzeczywiście było mi wtedy dobrze. Kochałam się wtedy z obojgiem, bo sama tego chciałam... a czy to bardziej wstydliwe, niż oddać się Amadeo Vitrazzemu za kredyt? Chyba wręcz przeciwnie.

– No więc opowiadaj, co u ciebie. Projektujesz nową kolekcję? – spytała Olympe.

Ona jest taka koleżeńska, taka fajna; Paris nagle poczuła, że Olympe ją zrozumie.

– Nie stać mnie na następną kolekcję – wyznała – a poza tym, kto by przyszedł ją

ogłądać po tamtej klęsce? Musiałam zmienić podejście: „wielka projektantka” usiłowała ostatnio sprzedawać swoje kreacje po wszystkich butikach Lazurowego Wybrzeża... ze zwykłym w jej przypadku brakiem powodzenia.

Olympe usiadła, otoczyła kolana ramionami i słuchała z zainteresowaniem.

– Nic dziwnego, że właściciele butików nie chcieli kupować... oni zaopatrują się już w grudniu. Nie wiedziałaś?

– Nie pomyślałam o tym – przyznała Paris ponuro. – Ja nie mam głowy do takich praktycznych rzeczy. Wydawało mi się, że jeśli przywiozę ze sobą coś ładnego i oryginalnego, to i tak kupią.

Olympe zastanowiła się nad jej słowami.

– W pewnym sensie masz rację. Tu na Riwierze zawsze jest rynek na nowinki i ładne rzeczy. Większość znanych mi kobiet byłaby w stanie popełnić morderstwo, żeby tylko móc się oryginalnie ubrać! Tylko że wybrałaś zły okres. A może powinnaś tu otworzyć sklep, a nie sprzedawać kolekcje? Byłoby ci o wiele łatwiej zacząć. Paris, pewnie mnie na wieki znienawidzisz za to, co ci teraz powiem, ale twoja rewia była skazana na klęskę, jeszcze zanim wyszłyście na wybieg – mimo twojej fantastycznej kolekcji. Świat jest brutalny, moja kochana, i jeśli chcesz sukcesu, to musisz być trochę cwańsza. Pierwsza sprawa to reklama. Nikomu się nic nie uda bez odpowiedniej reklamy, żeby nawet miał najlepsze projekty świata. A tę reklamę można mieć tylko wtedy, jeśli się jest na „ty” ze wszystkimi redaktorami z działów mody, poczynając od „Vogue” i „Women’s Wear Daily”, a kończąc na porannych gazetach. A oprócz tego potrzebna jest międzynarodowa firma reklamowa, która postara się, żeby czytelniczki natrafiały na twoje nazwisko za każdym razem, kiedy wezmą pismo do ręki w samolocie albo w poczekalni u fryzjera.

– Ale mnie nie było stać na usługi takiej firmy, ledwie mi starczyło na same ubrania. Potem przez trzy miesiące musiałam pracować u Mitsoko jako modelka, zanim uzbierałam tyle, żeby popłacić wszystkie rachunki: za wynajęcie pomieszczenia, za krzesła, za nagłośnienie i za te wszystkie „drobiazgi”, które razem wzięte kosztowały mnie fortunę. Te ciuszki, które chciałam posprzedawać w butikach, były zrobione chałupniczo i mimo to znowu jestem bez grosza.

Bez grosza? Jakim cudem? Może wszystkie pieniądze Jenny są ulokowane w jakimś funduszu powierniczym albo czymś takim?

– Przepraszam, że pytam, ale co ze spadkiem po Jenny?

– Nie ma żadnego spadku – Paris wstała gwałtownie i zaczęła nerwowo spacerować po pokładzie. – To długa historia.

Oczy Olympe aż się zaokrągliły ze zdumienia. Dla niej kobieta była bez grosza, jeśli zostało jej tylko trochę diamentów i jedno jedyne futro. Jeśli Jenny Haven nie przekazała córce w spadku żadnych pieniędzy z jakiegoś tam nieznanego powodu,

sytuacja była poważna. Mój Boże, Paris mówi serio, jest naprawdę bez grosza!

– Wiesz co – Olympe przeciągnęła się leniwie – chodźmy obejrzyć te sukienki. Może coś nam przyjdzie do głowy.

Co tam, pomyślała, biorąc Paris pod ramię, mnie samej może się przydać parę nowych rzeczy, a może znajome koleżanki też uda się namówić, żeby coś wzięły. Zdaje się, że dla niej każda suma ma znaczenie.

Paris pootwierała walizki i porozkładała ich zawartość na łóżku: były tu króciutkie sukienki, w sam raz, żeby w nich przesiadywać wieczorami w kawiarniach i chodzić do dyskotek pod gołym niebem, miękkie, cienkie jak pajęczyna suknie na romantyczne randki, szerokie szorty z mankietami do uda, noszone z szerokimi prostymi paskami, olbrzymie męskie koszule na plażę – wszystko było oryginalne, wesołe i inne, i fantastycznie wyglądało na Olympe, która przymierzała modele jeden za drugim.

– Rewelacyjne! Super! Paris, ja to muszę mieć – wykrzykiwała, odkładając na bok stos rzeczy, które jej się najbardziej podobały – słuchaj, są po prostu obłędne, szkoda że nie mogę wziąć wszystkich!

To bardzo ładnie ze strony Olympe, ale Paris nie chciała litości.

– Weź wszystko, co chcesz – wrzuciła ramionami – i tak nie chcą się sprzedawać. Traktuj to jako prezent.

– Paris! – jęknęła z dezaprobatą Olympe – jesteś za dobra! Oczywiście, że nie wezmę ich w prezencie, a niby dlaczego? Kupuję je od ciebie. Jestem twoją klientką, do cholery, nie potrafisz się poznać na ludziach?

Paris roześmiała się mimo woli:

– Po prostu nie jestem do czegoś takiego przyzwyczajona – powiedziała. – Ty jesteś pierwsza, Olympe, a może i ostatnia.

– Ale jeśli chcesz niektóre oddać za darmo, to mam pewien pomysł – oświadczyła chytrze Olympe. – Znam parę modelek z klasą, które spędzają wakacje w pobliżu. Oszaleją, jak zobaczą te ubrania. Może by im tak parę rozdać, co, Paris? Gwarantuję, że będą w nich paradować we wszystkich modnych miejscach i na najelegantszych przyjęciach, a ja już się postaram, żeby wszystkim mówiły, czyje to projekty. To będzie niezły początek – twoje nazwisko stanie się popularne w środowisku.

– Naprawdę tak myślisz, Olympe? – w głosie Paris zabrzmiała nadzieja. – Myślisz, że ktoś naprawdę zwróci uwagę na nazwisko projektanta?

– Te kobiety żyją modą, oddychają modą, najnowsza, najświeższa, najoryginalniejsza, najciekawsza i najbardziej awangardowa... a z takim znanym nazwiskiem jak Haven...

– Haven? – zdziwiła się Paris. Zawsze starała się nie wspominać nazwiska Jenny.

– Myślałam o nazwie „Chanel”, ale ktoś już jej chyba wcześniej używał –
zażartowała. – A Jenny niestety dała mi na imię Paris, co też nie ułatwia sprawy.

– Ale musimy jakoś nazwać butik.

– Jaki butik?

– No, nasz, ten, który otwieramy w przyszłym sezonie. Nie pozwolę, żeby taki talent mi umknął. Ja z kolei mam kontakty, trochę trzeba będzie popracować... i musi nam się udać! No, jak tam, chciałabyś mieć taką współpracowniczkę? – Olympe uniosła dłoń. – Poczekaj, zanim odpowiesz, zdradzę ci pewien sekret. Za tą śliczną buzią i figurą modelki kryje się mieszczańska dusza. Moja matka, bardzo mądra kobieta, od ponad czterdziestu lat prowadzi Bistro Corsaire w Marsylii, a przedtem lokal należał do mojej babki. Dowodzi całym interesem ze swojego wysokiego stołka przy kasie... jak Napoleon pod Moskwą, tylko ze znacznie większym powodzeniem. Matka najprawdopodobniej uskładała znacznie więcej pieniędzy, niż mi się przyznała. Paris, słuchaj, nie ma większej przyjemności niż robienie pieniędzy. Matce nigdy się za bardzo nie podobało, że jestem modelką, zawsze powtarza, że jeśli kobieta chce do czegoś dojść w tym świecie, musi umieć ruszać głową i wykorzystywać kontakty! Jeśli się dowie, że chcę rozkręcić poważny interes, wyłoży pieniądze w jednej chwili! No i co ty na to, Paris? Będziemy współpracowniczkami?

– Tylko czy damy radę? – zastanawiała się Paris – To znaczy, czy ty naprawdę chcesz zostać moją współpracowniczką? Potrafię świetnie projektować i szyć, jestem o tym przekonana, mimo tych wszystkich niepowodzeń. Ale nie mam żadnych kontaktów ani pieniędzy.

– Ach, znowu te pieniądze! Za późno na takie rady, bo i tak przekonałaś się już o tym na własnej skórze, lecz nigdy, ale to nigdy nie wkładaj swoich własnych pieniędzy w żadną inwestycję, z którą wiąże się ryzyko, choćby była bardzo kusząca. Ty inwestujesz swój talent. Teraz musimy obrócić tę ideę w czyn. Przede wszystkim trzeba znaleźć lokal. Pod koniec sezonu na pewno trochę sklepów splajtuje. Wiem, które mają najlepszą lokalizację. Złapiemy coś, póki ceny są niskie, porobisz projekty, a potem znajdziemy kredytodawcę. Obiecuję, że się o to postaram. Och, Paris, to fantastyczne!

Olympe wyglądała jak egzotyczny rajski ptak, gdy w jaskrawo-różowej jedwabnej sukience z krótką falbaniastą spódniczką niecierpliwie przemierzała małą kabinę. Kto by się domyślił, że w tej kobiecie siedzi drobnomieszczanka? Paris już prawie widziała ich butik, w Saint-Tropez albo w Antibes: jasną białą fasadę i swoje najnowsze, zmysłowe fantazje na wystawie. Wewnątrz będzie łukowaty sufit i miły chłód – z gorącego słońca będzie się wchodziło do sklepu jak do grotu pełnej letnich sukienek i fantastycznej sztucznej biżuterii. Och, Jenny by oszalała z zachwytu! Ale Jenny nigdy nie zobaczy tego butiku, nigdy nie włoży żadnego stroju

zaprojektowanego przez córkę, nigdy nie podzieli jej radości i nie będzie się cieszyć jej powodzeniem. To Jenny zawsze dodawała Paris wiary we własny talent i to ona posłała ją do samotnej walki – po zwycięstwo. Może chciała zdobyć okruszek nieśmiertelności dzięki sukcesowi córki, może chciała, żeby nie zginęła pamięć ich nazwiska? A Paris tak uparcie jej tego odmawiała, nie chciała używać nazwiska matki, zależało jej, żeby do wszystkiego dojść o własnych siłach. Biedna Jenny. Biedna, kochana Jenny – pomyślała dziewczyna.

– Jak ci się podoba taka na przykład notatka w gazetach? – spytała z uśmiechem. – Paris Haven, córka niezwyklej, wspaniałej gwiazdy filmowej Jenny Haven, projektantka uroczych kreacji dla awangardowego Haven Boutique w Saint-Tropez, znowu odwiedziła jacht miliardera Fitzo McBaina w towarzystwie swojej współpracownicy, supermodelki Olympe Avallon. Obie piękne panie planują w przyszłym roku otwarcie drugiego sklepu w Porto Cervo, na Szmaragdowym Wybrzeżu...

Olympe aż piszczała z zachwytu, a Paris ze śmiechem padła na kolę.

– Uczysz się – chichotała modelka – szybko się uczysz, Paris Haven.

– Jenny bardzo mądrze zrobiła, że posłała mnie w świat, żeby sama znalazła drogę do sukcesu – powiedziała Paris, poważniejąc – a ja, głupia, myślałam, że wobec tego wszystko muszę osiągnąć wyłącznie własnymi siłami. Teraz dopiero rozumiem, o co jej chodziło! „Znajdź okazję – i skorzystaj z niej”, mówiła. A ja byłam zbyt samolubna i nie dostrzegałam, że jedną z moich mocnych stron jest nazwisko, jej nazwisko.

– Możesz być z niego dumna – potwierdziła Olympe.

– Czyli że to będzie Haven Boutique?

– Poprawka: Haven Boutiques, przecież mamy otworzyć jeszcze ten drugi na Sardinii, prawda? Poczekaj – zawołała wychodząc – pójdę po szampana, trzeba to oblać.

Paris, ciągle się uśmiechając, zastanawiała się nad nagłą odmianą swojego losu. Olympe była idealnym katalizatorem. Tego właśnie było jej potrzeba. To przecież straszna głupota – próbować dojść do wszystkiego w pojedynkę. Co dwie głowy to nie jedna, a jeśli jedna z tych głów należy do Olympe, to tak jakby było ich co najmniej cztery! Uda im się na pewno, była o tym przekonana. Już zaczęła myśleć o nowych kolorach, tkaninach, projektach... w wyobraźni zobaczyła uroczy butik i jego kuszącą wystawę, a nad nią nazwisko Haven – znowu w pełnym świetle. Jenny byłaby z tego bardzo zadowolona.

25.

Margie od jakiegoś czasu nie przychodziła do Rory'ego. Teraz otwierała drzwi kluczem, który mu ukradła przed miesiącem. Ciekawa była, czy jest w domu, a jeśli tak, to czy ucieszy się na jej widok. Właściwie nie rozstali się w przyjaźni; powiedział jej, żeby sobie poszła w cholerę. Ale znając Rory'ego, pewnie już dawno o tym zapomniał. A jeśli nie zapomniał, to zawsze może mu dać do zrozumienia, że jest jego prawdziwą przyjaciółką. Mimo że właściwie nie przyszła tu w celach towarzyskich.

Cicho zamknęła drzwi i poszła do otoczonej kolumnami części wypoczynkowej parteru.

– Jest tu kto? – zapytała z wahaniem.

Nikt nie odpowiedział. Przy kręconych schodach zawołała głośniejszym głosem. W dalszym ciągu cisza.

Dom jest pusty. Dobra nasza. Ze śmiechem wbiegła po schodach, potrząsając jasnymi włosami, by pozbyć się zawrotów głowy – coś tam chyba jednak zostało po wczorajszym nocnym odlocie. Gdzie ten Rory trzyma proszek? Nadał w szafce w łazience, czy już zmienił miejsce?

Nie musiała długo szukać. Na nocnej szafce stał kryształowy słoik, w rodzaju tych, które w latach dwudziestych służyły do przechowywania pudru – piękne kobiety zanurzały w nich kłębki łabędziego puchu, a potem przypudrowywały twarz. Teraz można się było obyć bez łabędziego puchu: Margie zaciągnęła się głęboko.

Rory to pewniak – zawsze, kiedy brakowało jej pieniędzy albo przyjaciół, którzy by się podzielili, on miał kupę proszku i nigdy nie sknerzył. Bóg wie, kto za to płacił, przecież ta koka była warta fortunę. Częstował nią tak, jak inni drinkami. Margie ściągnęła z nóg czerwone zamszowe kozaczki, które kupiła sobie w zeszłym tygodniu u Magnina, i ułożyła się wygodnie na łóżku. Poczekaj na Rory'ego. Na pewno się ucieszy, jak ją zobaczy, co nie?

Czarne ferrari Rory'ego pokonało odległość z Palm Springs do Los Angeles w rekordowym czasie dwóch godzin. Jechałby jeszcze krócej, gdyby pod Bakersfield nie zatrzymała go policja. Miał na liczniku 200 na godzinę – będzie go to kosztowało ładnych parę setek. Parę setek! Jezu, to jest nic, kiedy trzeba wybulić trzy czwarte miliona! Trzy czwarte miliona dolarów! Kurwamać!

Rory zwolnił przy wjeździe do miasta i zaczął przebijać się przez korki, co chwila zmieniając pasy ku wielkiej irytacji kierowców, którym zajeżdżał drogę. Myślał tylko o jednym. Na początku nie wierzył Billowi. Właściwie nie był pewien, czy teraz mu wierzy. Skąd może wiedzieć, czy ten szmaciarz go nie kołuje – po prostu powiedział, że „ktoś” wie o wszystkim i że „ktoś” pójdzie na policję, jeśli nie dostanie siedmiuset

pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Bill musi zapłacić tyle samo, w każdym razie tak mówił, i Stan też. Cała kwota wynosi dwa miliony dwieście pięćdziesiąt.

Oświadczył Billowi, że to szantaż. „Jasne – przytaknął Kaufmann – a masz jakiś wybór? Chcesz, żeby donieśli policji? Mówię ci, stary, z nimi nie ma żartów.”

Przeszył go dreszcz strachu: „Ci faceci” – kogo właściwie Bill ma na myśli? Jenny miała przyjaciół w różnych kręgach, a Bill wspomniał, że pieniądze są przeznaczone dla jej córek. Powiedział, że dziewczynami ktoś się „opiekuje”.

Rory był w pułapce i dobrze o tym wiedział. Nie tyle w pułapce, co w bagnie po uszy. Studio wyłoży większość tej kwoty jako zaliczkę na poczet jego honorariów, co oznacza, że będą go mieli przez dłuższy czas w ręku. Nie ma mowy o następnej podwyżce, o którą chciał zawalczyć. Co gorsza, będzie musiał zrezygnować z kupna domu na Benedict; właściwie Bill już to zrobił za niego. Kiedy Rory siedział w jego biurze, Bill zadzwonił do tej kobiety z agencji i powiedział, że jego klient zmienił zdanie. Udało mu się nawet uzyskać zwrot zaliczki, bo skłamał, że Rory chce znaleźć coś większego, może w Bel Air. Bel Air! Dobry Boże, będzie miał szczęście, jeśli nie wylądaje w zwykłym bloku w północnym Hollywood!

Kto to są ci „oni”, zastanawiał się, zmieniając gwałtownie biegi na światłach i skręcając w stronę Newport Beach. I skąd ci „oni” wszystkiego się dowiedzieli? Wcale nie był pewien, czy Bill go nie oszukuje, czy po prostu nie włoży tych pieniędzy do własnej kieszeni, teraz, kiedy niema już Stana, który by dokładnie wszystko skontrolował. Tylko że jest jeszcze jedna rzecz – Bill wspominał o jakiejś taśmie.

Rory wjechał na podwórko, a potem do garażu, wyłączył zapłon i tępo gapił się w szybę. Tylko trzy osoby wiedziały o wszystkim: Margie, która była z nim tamtej nocy – ale nawet ona nie wiedziała wszystkiego, nigdy jej nie opowiadał o finale całej sprawy; Bill, który mógł wymyślić tę historię z taśmą, żeby skuteczniej go szantażować, no i Bob.

Nie, to nie może być Bob; Bob to prawdziwy przyjaciel. Tyle już dla niego zrobił... Czyli że zostaje Bill Kaufmann w roli szantażysty i Margie, ale ona jest przecież za głupia i zawsze chodzi naćpana – coś takiego nawet nie przysłoby jej do głowy.

Zatrzasnął drzwiczki i powlókł się w stronę domu. Znienawidził to miejsce. Śmieszne, na początku tak go strasznie lubił, uważał, że jest taki elegancki, wymarzony dla dobrze zapowiadającego się aktora, taki szykowny, podwójny apartament ze szkła i drewna w Newport Marina. Ale teraz Rory był gwiazdą, potrzebował dużego domu, żeby wydawać przyjęcia, musiał mieć oryginalny salon i salkę kinową, i basen, i kort tenisowy... niech szlag trafi Billa Kaufmanna!

Margie usłyszała jego kroki na schodach i usiadła po turecku na łóżku.

– A co ty tu, kurwa, robisz? – Rory spojrział na nią z wściekłością. Wyglądała okropnie, chuda była jak szkielet! Twarz jej spuchła, oczka mrugały nerwowo, kiedy uśmiechała się do niego. Przynajmniej jedna przyjazna twarz... Tylko czy na pewno?

– Weszłam sobie – powiedziała słodko. – Pomyślałam, że ucieszysz się, jak do ciebie przyjdę.

– Przyszłaś do mnie czy po to? – wskazał kryształowy słój i leżącą obok zakrętkę.

– I do ciebie, i po to – przyznała. – Dawno się nie widzieliśmy, Rory. Stęskniłeś się za mną?

– Nie – odparł, ściągnął koszulę i rzucił ją na krzesło. – Raczej nie.

Zdjął mokasyny i dżinsy, kopnął je na bok i poszedł wziąć prysznic.

Jaki on przystojny, naprawdę jest super, pomyślała Margie, podziwiając szerokie bary, umięśnione i szczupłe ciało największego telewizyjnego gwiazdora Ameryki.

– Mam do ciebie parę pytań – Rory zawrócił od drzwi łazienki. Stał przy łóżku i patrzył na nią gniewnie. Margie nieśmiało pogłaskała go po udzie. Był na nią wściekły. Co ona takiego złego zrobiła? Wzięła sobie tylko troszkę koki.

– Z kim o mnie rozmawiałaś? – zapytał. – O mnie i o Jenny?

– Jenny? – we wpatrzonych weń oczach dziewczyny malowało się zaskoczenie. – Z nikim nie rozmawiałam. Co niby miałabym mówić? Och – przypomniała sobie – z nikim oprócz Boba, ale on już przedtem wiedział, że wtedy w nocy u niej byłeś.

– Bob! – Rory poczuł, że uginają się pod nim kolana. Padł na łóżko obok dziewczyny. – Powiedziałas mu?

– Nie ja, tylko ty – poprawiła. – Sam wspomniał o tobie i Jenny, a ja zapytałam, skąd to wszystko wie...

– Kiedy to było? – przerwał jej, wściekły. – Kiedy, ty głupia dziwko?!

Margie odsunęła się od niego przestraszona.

– Tej nocy, kiedy wszyscy pojechaliście do La Scali, a mnie nie chcieliście zabrać ze sobą. Zapomniałeś mi przywieźć pizzę, byłam głodna, więc Bob zaprosił mnie do Du Par, kiedy odwiózł mnie do domu. Ale on już wtedy wiedział, Rory, przysięgam.

Rory'ego aż swędziała ręka, żeby trzasnąć ją w tę głupią opuchłą gębę. Pohamował się jednak; jeszcze mu do tego wszystkiego brakuje oskarżenia o pobicie nastolatki. Roztrzęsiony poszedł do łazienki. A więc to jednak Bob. Ten skurwysyn podstępem wy dobył informację z Margie, a potem równie podstępnie dowiedział się szczegółów od niego. „Nie powinno się takich rzeczy dusić w sobie, lepiej zwierzyć się przyjacielowi”, czy nie tak powiedział? A więc to Bob go szantażuje? Pieniądze mają być dla tych dziewczyn... więc dla kogo on pracuje?

Rory puścił zimną wodę i wszedł pod lodowate strumyczki strzelające z góry i ze wszystkich czterech ścianek prysznic. W pierwszej chwili aż zapało mu dech. Nie

ma co się zastanawiać, dla kogo pracuje Bob. Cholera, co ze mnie za dureń, co za skończony dureń!, pomyślał.

Zdenerwowana Margie włożyła swoje czerwone kozaczki i usiadła na brzegu łóżka. Nawet nie tknęła koki, tak się bała, że Rory znowu się wścieknie.

Nie zwracając na nią uwagi, otwierał i zamykał szuflady, trzaskał drzwiczkami szafek w poszukiwaniu czystych szortów, czarnego dresu i sportowych butów. Chciał się stąd jak najprędzej wynieść, nie mógł już dłużej wytrzymać w tym domu. Do diabła z nimi wszystkimi! Tamten dom na Benedict należał mu się, on na to zarobił.

Nagle stanął jak skamieniały i zapatrzył się w lustro. Usłyszał głos Jenny tak wyraźnie, jakby była tu, w tym pokoju... znowu mówiła to samo... te słowa, które nie dawały mu spać po nocach: „Ja zarobiłam te pieniądze – krzyczała. – Przez dwadzieścia pięć lat codziennie wstawałam o wpół do szóstej. Spływałam potem pod reflektorami, depilowałam sobie nogi woskiem, rozjaśniłam włosy i stale trzymałam dietę, wszystko dla tych cholernych pieniędzy. Nawet swoje dzieci oddałam do obcych, żeby móc tu pracować i zarabiać. Niech cię diabli wezmą, Rory Grancie!”

Westchnienie wyrwało się z jego zaciśniętych ze zdenerwowania ust. No dobra, odda to wszystko. Teraz wiedział, o co jej chodziło: grała jak wszyscy w Hollywood i prawie wygrała, więc on też zapłaci swój haracz i postara się wyjść z tego jako zwycięzca. Zapłaci Billowi, ale upewni się, że każdy cent trafi do sióstr. Będzie go to kosztowało ten dom w Bel Air, ale pies to trącał – może dzięki temu będzie spał spokojnie. A Bill Kaufmann nie znajdzie już na niego żadnego haka. Zaraz, zaraz, przecież Bill Kaufmann siedzi w tym równie głęboko jak on sam.

Złapał kluczyki i wybiegł z pokoju.

– Dokąd się wybierasz? – proszący głosik Margie gonił go na schodach.

Rory zatrzymał się u ich podnóża. Spojrzał w górę i uśmiechnął się do dziewczyny.

– Idę wylać z pracy Billa Kaufmanna – oświadczył.

26.

Pierwszy jesienny mistral szumiał nad Lazurowym Wybrzeżem, pędząc przed sobą ciężkie szare chmury. Siąpił deszczyk, gdy Venetia, ubrana w dzinsy i ciepły wełniany sweter, szybkim krokiem przemierzała ciche uliczki Saint-Tropez. Ostatni letni goście już wyjechali, jak wędrowne ptaki szukające cieplejszych okolic na zimę. Miasto było wymarłe. Postrzępione markizy trzepotały na wietrze nad pustymi ogródkami kafejek, a puste butiki wabiły korzystną ofertą wyprzedazy.

Venetia drżała w porywach wiatru, przyciskając do siebie paczki z zakupami. Lato umarło, a przed nią stała perspektywa samotnej zimy w Londynie. Jediną przyjemnością będzie spotkanie z Kate i Lancasterami. Kupiła dla nich mnóstwo prezentów, niemal całą zaoszczędzoną pensję wydała na różne przedziwne drobiazgi, które na pewno im się spodobają. Teraz pozostało tylko spakować się i przygotować do wyjazdu następnego dnia rano. Załoga postanowiła wydać kolację na jej cześć, więc zrobiła olbrzymi lodowy tort, wypisała na nim wszystkie imiona, narysowała małą łódeczkę i dodała napis: „Żegnaj, «Fiesto».”

Pod wpływem impulsu weszła do sklepu z winami i kupiła wielką butelkę szampana jako swój wkład w uroczystość. Może ją ten szampan trochę rozweseli dziś wieczór. Objuczona paczkami podreptała na „Fiestę” – panował na niej zdumiewający ruch.

– Pan McBain – powiedział jej Masters, którego spotkała na schodach – wrócił niespodziewanie i pytał o ciebie.

Fitz przyjechał! Jej serce biło niespokojnie, gdy szła ze stewardem po pokładzie. Po co wrócił? Pewnie chce posprawdzać wszystko na swoim pięknym jachcie przed jutrzejszym rejssem do Rotterdamu na doroczny przegląd... tak, to na pewno powód jego wizyty.

– Idź lepiej do niego – Masters wyjął jej zakupy z rąk – pewnie chce ci dać premię. Wszyscy dostajemy premię na koniec sezonu.

A więc o to chodzi. Venetia rozpaczliwie szukała jakiejś wymówki, żeby nie iść, ale nic jej nie przychodziło do głowy. W dalszym ciągu była członkiem załogi i musiała słuchać poleceń kapitana. Na próżno poprawiła ręką włosy – natychmiast znowu się rozwiały. W dodatku dziś rano nawet się nie umalowała. Pewnie wygląda jak piętnastolatka – a do tego jeszcze ten głupi stary niebieski sweter! Przestań!, skarciła się ze złością, nie udawaj, że jesteś najbardziej wyrafinowaną kobietą na całej Riwierze – jesteś tylko sobą! Wyprostowała się i pomaszerowała prosto do gabinetu.

Fitz, w dzinsach i wiatrówce, siedział przy biurku i przeglądał jakieś papiery. Podniósł wzrok, gdy weszła. Wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętała – głębokie,

ciemnobłękitne oczy spoglądały przenikliwie, jakby potrafił czytać w myślach.

Uścisk jego dłoni też zachował dawną szorstkość i stanowczość.

– Venetia, jak się masz? – przez chwilę przytrzymał jej dłoń.

– Świetnie – odparła głosem, który nawet jej samej wydał się cichutki i nieśmiały.

– Dziękuję – dodała nieco głośniejsze.

Fitz poprawił się na krześle. Patrzył na nią nic nie mówiąc, a ona, zakłopotana, odwróciła wzrok... To było nie do zniesienia. Zdawało jej się, że najgorsze już za nią... po co on wrócił – żeby jej znowu wszystko przypomnieć?!

– Vennie, pamiętasz, co ci obiecałem tego wieczora, kiedy poszliśmy do restauracji na Barbadosie?

Pamiętała każde słowo, które wypowiedział tamtego wieczora.

– Że dowiesz się o Jenny?

– Tak, że się dowiem o Jenny. Nie zapomniałem o tym. Przyjechałem między innymi po to, żeby ci opowiedzieć, czego się dowiedziałem.

Czekała wlepiając w niego oczy. Możliwość dowiedzenia się czegoś o matce sprawiła, że dziewczyna zapomniała o swoich przeżyciach.

– Wiadomość jest jednocześnie i dobra, i zła – powiedział. – Moi ludzie przyjrzeni się bliżej jej finansowym sprawom i obawiam się, że wydobyli na jaw bardzo dziwne rzeczy.

Zawahał się. W żaden sposób nie może jej powiedzieć wszystkiego o Rorym Grancie – nigdy w życiu. Śmierć dodała Jenny godności, a on to uszanuje.

– Venetio, nie będę się wdawał w niepotrzebne szczegóły; powiem ci tylko, że podejrzenia twojej siostry były słuszne. Pieniądze twojej matki trafiły do cudzych kieszeni.

Venetia pamiętała ten dzień, kiedy wszyscy spotkali się w domu w Malibu, a Stan i Bill bardzo logicznie wytłumaczyli, w jaki sposób Jenny straciła całą fortunę.

– Bill Kaufmann? – szepnęła. Fitz przytaknął.

– I Reubin, i jeszcze inni. Przykro mi, Vennie.

– Znam ich, od kiedy sięgam pamięcią – powiedziała zszokowana. – Dlaczego oni to nam zrobili, Fitz?

– Skąd mam wiedzieć? – wzruszył ramionami. – Hollywood to dziwne miejsce. Wypacza ludzkie charaktery, niszczy przyjaźnie... oczywiście nie wszystkich to dotyczy, ale zawsze są ci słabi i ci bez skrupułów, a o pokusy nietrudno, wkoło jest przecież tyle pieniędzy. Vennie, powinnaś się cieszyć, że wasza matka była rozsądną kobietą i nie wpakowała was w to bagno. – Fitz wsadził ręce do kieszeni i zaczął nerwowo przemierzać kabinę. – W każdym razie udało mi się odzyskać dla was część tych pieniędzy. Lepiej nie pytaj w jaki sposób. Po prostu uwierz mi, że lepiej było postąpić tak, jak postąpiłem, niż ciągać was po sądach i narażać dobre imię waszej

matki.

– Oczywiście – powiedziała z przekonaniem.

– W banku First National and City w Los Angeles macie na spółkę półtora miliona dolarów.

– Półtora miliona – powtórzyła, niebotycznie zdumiona.

– To jest mniejsza suma, niż wam się należy, ale uwierz mi, tak było lepiej. Jeśli chcesz, dostaniecie jutro czeki.

Takie pieniądze, pomyślała Venetia. Paris będzie mogła otworzyć sieć Haven Boutiques; India i Aldo pospłacają pożyczki w bankach i będą mieli kapitał operacyjny na potrzeby hotelu, może nawet zdecydują się na dzieci wcześniej, niż planowali – India tak na to przecież czeka... A ja? Co ja zrobię?

Fitz, z rękami w kieszeniach, opierał się o biurko i obserwował dziewczynę.

– Nawet nie zdajesz sobie sprawy, co to oznacza dla moich sióstr – powiedziała.

– A dla ciebie?

– I dla mnie – dodała spokojnie. – Dziękuję ci.

– Co teraz będziesz robić, Vennie?

Spuściła wzrok. Nie mogła przecież wyznać, iż chciałaby, by to on jej powiedział, co ma ze sobą zrobić, i żeby zaplanował dla nich wspólną przyszłość. Mocno splotła dłonie, starając się skoncentrować na jego słowach.

– Mówiłaś kiedyś o otwarciu restauracji – przypomniał. – Może teraz jest na to dobry moment; masz pieniądze i pewną praktykę. Moje londyńskie biuro może ci pomóc w kwestiach prawnych, wiesz, przy wynajmie lokalu i tak dalej.

– Dziękuję ci. Fitz westchnął.

– Niczego nie chcesz mi ułatwić, Venetio.

– Myślałam, że łączy nas coś więcej niż interesy. Popatrzyli na siebie w milczeniu.

– To była tylko gorąca, tropikalna noc – powiedział w końcu – leniwy wielki księżyc wisiał nad wodą, jacht lśnił bielą, a starszy facet wykorzystał sytuację, o jakiej marzył latami.

Venetia wpatrywała się w niego ze zdziwieniem.

To niesamowite, pomyślał Fitz, ona mi już wcale nie przypomina Jenny; nawet te wielkie szaroniebieskie oczy nie budzą żadnych skojarzeń z jej matką. To po prostu ona, Venetia. Venetia, którą kocham.

Zmusił się, żeby mówić dalej. Powinien grać fair, trzeba jej wszystko powiedzieć, dać jej szansę.

– Vennie, nie wiem, jak to zrozumiesz, ale jest coś, co powinnaś wiedzieć.

Venetia patrzyła na niego niepewnie. Zrobiło jej się zimno w ręce, więc wsunęła je w rękawy starego swetra i czekała. Miała wrażenie, że on wcale nie ma ochoty jej

tego mówić. Poraziła ją nagła myśl. Boże, tylko niech to nie będzie o Olympe. A może on planuje się z nią ożenić?

Fitz znowu zaczął spacerować po kabinie.

– Kiedy Morgan zadzwonił do mnie z Londynu i powiedział że Jenny Haven nie żyje i że spędził wieczór w towarzystwie jej córki, byłem oszołomiony. Widziałem się z twoją matką wiele lat temu, jeden jedyny raz. Ale widzisz, Vennie, miałem uczucie że znam ją od zawsze. Zdawało mi się, że jestem w niej zakochany od chwili kiedy jako trzynastoletni chłopak zobaczyłem ją w Miłości między przyjaciółmi. Do dziś pamiętam ten film ze szczegółami pamiętam wszystkie jej filmy. Oglądałem je po sto razy. Nie wyobrazasz sobie, co Jenny znaczyła dla biednego chłopaka dorastającego w ponurym miejscu, które nazywał swoim rodzinnym miastem... Była jak jedwab i satyna dla kogoś, kto znał tylko łatanę płótno. Takie kobiety nie istniały w rzeczywistości to znaczy w mojej rzeczywistości. Dla tych, które znałem, bieda oznaczała nie tylko niedostatek jedzenia, ale także brak urody i kobiecości; bieda to uczucia zagłuszone wrzaskami hordy głodnych dzieciaków, to mąż, który za dużo pije, bo chce zapomnieć, że nie daje rady ich wszystkich utrzymać. Nawet młode dziewczęta były takie twarde, starzały się przed czasem. Venetio Jenny była chłopięcym marzeniem, pomogła mi przetrwać wiele ponurych, samotnych nocy. Nigdy jej nie zapomnę. Kiedy usłyszałem o jej śmierci, poczułem się, jakbym stracił kogoś bliskiego – kobietę, którą kochałem.

Fitz zatrzymał się i popatrzył na dziewczynę. Jak to dziecko dostatniego świata, wychowane według solidnych angielskich zasad, wykształcone w dobrych szkołach, może w ogóle mieć pojęcie, o czym on mówi?

– Fitz, nie zdawałam sobie sprawy...

– Słuchaj dalej. Kiedy cię spotkałem, przeżyłem szok. Venetio, czy ty sobie zdajesz sprawę, jak bardzo jesteś podobna do matki?

– Ale ja jestem inna – zaprotestowała. – Nigdy nie byłam taka jak ona – uświadomiła sobie, że wcale nie pragnie usłyszeć jego odpowiedzi.

– Nie rozumiesz? Ja nie wiedziałem, jaka Jenny jest naprawdę... ja tylko znałem ją z wyglądu! Była marzeniem, Vennie, zakochałem się w swoich snach. Ta noc, kiedy tańczyliśmy, kiedy trzymałem cię w ramionach... sam nie wiedziałem, czy to ty, czy ona.

Jest gorzej, niż myślałam, Venetia wstała z krzesła. Dużo gorzej. Kochaliśmy się przecież.

– Muszę to wiedzieć – powiedziała. – Chcę znać prawdę. Kiedy się kochaliśmy, to byłeś ze mną... czy... – nie mogła dokończyć pytania.

– Nie byłem pewien – odparł łagodnie. – Nie wiedziałem, czy to Vennie, czy Jenny. Byłaś moją fantazją, moją wymarzoną dziewczynką, która nagle zjawiała się

naprawdę. Znałem smak twoich ust... znałem cię tak dobrze, Vennie. Kochałem cię od zawsze.

Venetia przypomniała sobie chwilę najwyższego uniesienia, kiedy wymówił jej imię. Zastanawiała się wtedy... Och, Boże, musi to wiedzieć!

– A więc to mnie wołałeś wtedy po imieniu – spytała tak cicho, że ledwie mógł ją dosłyszeć – czy...?

Fitz zapatrzył się w jej szaroniebieskie oczy. Wcale nie był pewien, ale nie mógł jeszcze raz sprawić jej takiego bólu.

– Oczywiście, że ciebie. Wołałem Vennie – odpowiedział. Rozplakała się. Czy to był ból, czy ulga? Fitz ją kochał, sam jej to powiedział przed chwilą, prawda? Otoczył ją ramionami. Przytuliła się do niego, a łzy zostawiały wilgotne plamki na jego koszuli.

– To dziwne – wyszeptał – ale ja już nie widzę tego podobieństwa. Kiedy teraz patrzę na ciebie, widzę tylko Vennie. Moją śliczną, młodziutką Vennie.

Zrozumiała aluzję.

– Boisz się, że jestem dla ciebie za młoda – westchnęła. – O to chodzi, prawda?

– Raczej o to, że ja jestem dla ciebie za stary – poprawił. – Zastanów się nad tym, Vennie. Masz przed sobą całe życie. Tego, co ja przeżyłem, wystarczy na tuzin zyciorysów. Możesz zrobić wszystko: otworzyć restaurację, założyć własną firmę, wyjść za jakiegoś rówieśnika, ułożyć sobie z nim życie, mieć dzieci...

– I domek tonący w kwiatkach pnących róż – dodała, uśmiechając się do marzeń, jakie tworzył na jej użytek. – Tylko że ja kocham ciebie.

– Powinnaś być z kimś w wieku Morgana.

– Nigdy naprawdę nie kochałam Morgana – szepnęła – byliśmy przyjaciółmi, było wesoło...

– Właśnie o to mi chodzi, Vennie. Jesteś jeszcze taka młoda, powinnaś wesoło się bawić, poznawać życie, poznawać siebie. Kocham cię, ale muszę dać ci szansę.

– Jaką szansę?

– Żebyś spotkała innych ludzi.

– To znaczy innych mężczyzn?

– Tak. Innych mężczyzn – umilkli oboje. – Widzisz, to jedyny sposób – wypuścić ją z objęć – jedyny sposób, żebyś się przekonała, czego naprawdę chcesz. Boję się, że za parę lat pożałujesz, że jesteś panią McBain, będziesz miała uczucie, że zmarnowałaś młodość, straciłaś swobodę i kontakt z rówieśnikami. Pewnego dnia powiesz mi: miałam możliwości, byłam młoda, też mogłam czegoś dokonać – a zostałam tylko żoną bogatego człowieka. W dodatku starszego.

– Ja nie mogłabym... to znaczy... Fitz, ja cię kocham.

– A ja ciebie; dlatego ci to wszystko mówię, Vennie. Nie zniósłbym, gdybyś za

mnie wyszła, a potem zorientowała się, że popełniłaś błąd. Nie rozumiesz tego? Lepiej wcale cię nie mieć niż mieć i stracić. Odejdź, Vennie, odejdź ode mnie na jakiś czas. Spróbuj żyć na własną rękę, spróbuj otworzyć restaurację, nawiąż nowe przyjaźnie, rób to wszystko, co twoi rówieśnicy.

Vennie chciała znów rzucić się w jego ramiona, wejść w jego życie już teraz, chciała, by na zawsze ją pokochał. Ale wiedziała, że Fitz podjął już decyzję. Miał taką poważną twarz; pragnęła wygładzić tę bruzdę między brwiami, pogłaskać zmarszczki rozchodzące się promieniście z kącików oczu, chciałyby go zapewnić, że młodość jest dla niej ciężarem, a nie szansą. Ale to by nic nie dało. Odsyłał ją z powrotem do jej świata. Tylko na jak długo?

– Ile czasu ci potrzeba, żebyś udowodniła, że kocham tylko ciebie i że zawsze będę cię kochać?

Fitz westchnął ciężko. Wiedział, że może ją poprosić, żeby zapomniała o tym, co mówił przed chwilą, że może powiedzieć, iż zrobił z siebie głupka, że jej potrzebuje, że nie może bez niej żyć i że ją kocha, bo jest taka młoda, słodka i urocza. Tylko że nie wolno mu tego zrobić. Koło niej kręci się pewnie z pół tuzina młodych ludzi, z których każdy może jej powiedzieć to samo. Musi zaryzykować.

– Spróbuj żyć z dala ode mnie przez rok, Vennie – powiedział w końcu. – Dwanaście miesięcy to nie jest aż tak długo. Jeśli po tym okresie będziesz mnie w dalszym ciągu chciała, to będę na ciebie czekał, na pewno.

Venettia popatrzyła na niego niepewnie. Jeśli ją naprawdę kocha, nie powinien się z nią rozstawać.

Przypomniała sobie fragment tekstu z jednego z filmów Jenny. Obserwowała wtedy matkę, która, ubrana w kremowy satynowy szlafrok, powtarzała rolę, spacerując bez końca po hotelowym apartamencie. Wyrzucała ramiona w powietrze i co chwila zwracała się w stronę otwartego okna, mówiąc do nie istniejącego kochanka: „Prawdziwa miłość nie jest samolubna – wołała – prawdziwa miłość niczego nie żąda, tylko wszystko oddaje.”

Fitz dawał jej swobodę wyboru. Jenny by to zrozumiała i zaakceptowała.

– A więc rok – przeczesła dłońmi rozczochrane włosy. – A więc tylko rok, słyszysz, panie McBain? – udało jej się uśmiechnąć. – Robimy interes.

Fitz zaśmiał się:

– Jeśli ci to odpowiada.

– Odpowiada mi – w jej głosie brzmiał upór – w ten sposób się nie wycofasz.

– Nigdy bym tego nie zrobił, Vennie.

– Jesteś pewien, że nie ma innej drogi? – jeszcze nie skończyła zdania, a już wiedziała, jaka będzie odpowiedź. – Dobrze już, dobrze – dodała pośpiesznie – wiem, że nic więcej nie wywalczę. Może z czasem będzie ze mnie kobieta interesu!

Spojrzała mu w oczy i wyczytała w nich miłość. Wszystko będzie dobrze. On na pewno będzie czekał. A przed nią cały rok, który musi przeżyć bez niego. Zabrział jej w uszach pocieszający głos Jenny, jak wtedy gdy zostawiała ją po raz pierwszy samą w angielskiej szkole: „Spójrz na to z innej strony: możesz przez ten czas nad sobą pracować, możesz coś osiągnąć”, powiedziała. A Jenny przecież zawsze miała rację.